

URSZULA JAWORSKA

WSZYSTKIE KOŁORY SNÓW

Kobiety na krawędzi

Urszula Jaworska

WSZYSTKIE KOLORY SNÓW



Copyright © Urszula Jaworska, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

SPIS TREŚCI

[Wszystkie kolory snów](#)

– Jakie kolory snów pani sobie życzy? – spytał z zawodową uprzejmością.

– A liczenie do dziesięciu?

– To za chwilę. Najpierw chciałem porozmawiać z panią o kolorach... – Chyba się uśmiechnął, ale tego nie była pewna, widziała tylko jego oczy nad масечką zakrywającą resztę twarzy.

Gdyby coś się nie udało, nie zobaczy wnuczki, która ma pojawić się na świecie za dwa miesiące. Nie zobaczy Amelki – albo Hani, tego jeszcze nie ustalili. I Jakuba nie zobaczyłaby już nigdy. I Kasi. Tak, tego się bała. Chyba tylko tego. Oni też się przestraszyli, mimo jej starannie dobranych słów. Nie spytała, czego najbardziej. Jakub uśmiechał się, ale znała przecież dobrze jego twarz. Kasia powiedziała coś optymistycznego, spoglądając niepewnie na Jakuba. Amelka lub Hania pewnie spała, bo brzuch Kasi był spokojny, niemal idealnie okrągły.

– To tylko serce... – próbowała ich uspokoić, tak samo jak kilka tygodni wcześniej zrobił to kardiolog.

– Przecież żyję z tą wadą tyle lat. Co się może stać? Prawie nie czuję żadnych objawów – kłamała wtedy, ale on to wiedział.

– Za duże ryzyko. Zużyło się, niestety. Przecież niedługo przejdzie pani na emeryturę, za dwa lata, jeśli dobrze liczę. Napracowało się. I nie ma się czego bać, takich operacji wykonuje się mnóstwo. Z sercem radzimy sobie bardzo dobrze. W końcu to nie mózg.

Najważniejsze, że to nie mózg, pomyślała wtedy. Ze stażu z neuropsychologii na neurochirurgii, dobre ćwierć wieku temu, zapamiętała zgrzyt piłowanych kości czaszki i doskonale widoczny fragment mózgu. Nie wyróżniał się niczym szczególnym, oprócz może nadzwyczajnej delikatności. Później żałowała, że zobaczyła mózg tak nagi, odarty z okrywających go kości i opon. Niepotrzebnie.

To wcale nie było tak dawno, kiedy kadrowa w kwiecistej sukience – zbyt kwiecistej, zbyt obcisłej, bezlitośnie demaskującej niebezpiecznie dorodne ciało – przyglądała się jej z ciekawością.

– Pani chce tu pracować? W tym szpitalu? – pytała. – To się trzeba zastanowić. Tak się obciążać w młodym wieku... To nie będzie przyjemna praca – ostrzegała. – Tu zwożą wszystko, co oszaleje w mieście i okolicy... – kontynuowała swoje rady.

Patrzyła z troską, której Zuzanna wcale nie chciała, ale uśmiechnęła się uprzejmie. Była tu już kiedyś, w dzieciństwie, i zapamiętała to miejsce jako piękny park. Drzewa były wtedy niższe, soczyście zielone. A więc, na przykład, zielony, jeśli chodzi o kolory...

To „oszalałe zwożone z całej okolicy” budziło ciekawość. Pomyślała wtedy, że jeśli wszystko, to przecież oprócz ludzi powinny być i psy, i koty, i gołębie czy wróble, a nawet mrówki. Gołębie czy wróble widzi się czasem na ulicy martwe. Może to właśnie w wyniku gołębiego lub wróblego szaleństwa rozbijały się samobójczo o pierwszą napotkaną w locie przeszkodę? Psy czasem atakują, też się o tym mówi, ale czy wtedy są szalone? Koty... Rzadko się słyszy o oszalałym kocie, raczej zwijają się w kłębek i cierpią, ale to chyba nie jest szaleństwo. A mrówki... jak wariują mrówki? Żadnego gołębia, wróbla, psa ani kota, o mrówkach nie wspominając, nie przywieziono na żaden oddział w szpitalu, w którym pracowała tyle lat i do żadnego innego szpitala też nie. Nawet z powodu cierpienia.

– Pani Zuzanno, co z tymi kolorami? – popędzał anestezjolog. – Proszę wymienić trzy... albo przynajmniej dwa.

Dwa kolory, a nawet trzy, oczywiście, zaraz wybierze z tych wszystkich, jakie nosi w głowie. Ale najpierw musi powiedzieć, że jest coraz zimniej. Że powinni ją przykryć jakąś kołdrą lub kocem. Ten narastający chłód przeszkadza. Przez to właśnie nie może się skoncentrować na kolorach, które za chwilę już będzie mogła wymienić bez trudu. Na pewno.

Fiolet. Pachniał lawendą. Zawieszony w gęstym powietrzu, przez które przedziera się zatłoczony autobus, grzęznąc w rozmiękłym asfalcie, którego woń miesza się z zapachem potu pasażerów. Fiolet pozostaje nietknięty, oddzielony od wszystkiego, wysublimowany z rosnących po obu stronach drogi

drzew, splatających się litościwie nad autobusem w ochronny dach.

Zuzanna patrzy na ramiona Igora, które ma na wysokości oczu. Rysują się znanymi na pamięć liniami pod cienką koszulą, a ona przypomina sobie ich naskórek, dotykając językiem własnych ust. Wzrusza ją to, że jego twarde od zewnątrz ramiona od wewnętrznej strony pokryte są tak delikatną skórą, szczególnie od łokci w górę. Kiedy leży z rękami splecionymi pod głową, ona całuje te miejsca, które go łaskoczą; przeważnie szybko rozplata wtedy ręce, aby objąć ją i przytulić. Ona wtula głowę pod jego ramię tak, żeby to wrażliwe miejsce było pod jej ustami. Chce jej się płakać z radości i zachwytu, i płakałaby, gdyby nie czuła się tak bardzo rozleniwiona i senna.

Igor nachyla się i całuje ją w usta, wbrew wszelkim żelaznym umowom, że nie będą całować się ani dotykać w miejscach publicznych. Czuje szorstkość jego policzka, ocierającego się o jej skroń. Po chwili Igor odsuwa głowę i patrzy na nią, uśmiechając się swoim lekko kpiącym uśmiechem, o którym Zuzanna już wie, że nie ma w nim kpiny. Ludzie obok sprzeczą się o coś, przepychają, nienawidzą, a ona czuje na ustach schnącą w gorącym powietrzu lawendową ślinę Igora. Mała plamka po lodach pistacjowych, które niedawno jedli, zasnęła nad lewą kieszenią jego koszuli. Trzeci guzik od góry ledwie się trzyma, kropelka potu toczy się powoli po skroni na policzek; Zuzanna dotyka jej czubkiem palca wskazującego, a następnie smakuje tę odrobinę językiem, tak jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką i dotykała językiem wody z Bałtyku osiadłej na palcach. A po chwili on, z poważną nagle twarzą, bierze jej dłoń i podnosi do swoich ust, dotyka językiem jej palca wskazującego, na którym przed chwilą wysychała kropelka morskiej wody. Ludzie w autobusie cichną, jakby i oni odczuli w świętych zakamarkach swoich ciał niezwykłość tej chwili, skoncentrowanej na czubku jej palca, którego przed chwilą Igor dotknął językiem. Patrzą sobie w oczy. Zuzanna czuje ucisk w gardle i dreszcz przebiegający po udach i brzuchu, mruży oczy i myśli, że nawet gdyby mogła coś powiedzieć, to nie znalazłaby słów, bo to jest jedna z tych chwil, kiedy słowa przeszkadzają jak rozwiązane sznurówki.

Drzwi autobusu otwierają się z traskiem i ludzie przepychają się do wyjścia. Igor obejmuje ją mocno i Zuzanna wie, że jego oczy są teraz niesłychanie poważne, jak jeszcze chwilę temu, gdy w nie spojrzała, odnajdując, jak zawsze, nieskazitelnie lawendowe oceany.

Wysiadają na ostatnim przystanku, w lesie, i zanurzają się w jego cień. Żar odbija się od liści drzew i wraca do słońca, nie parząc ich głów. Zapewne słońce, które tu nie przebijało się przez liście, zostawiło rozpalone okruszki na jej skórze, gdy liznęło ją gorącym językiem, zanim weszli w głąb lasu. Teraz okruszki przedostały się do krwi i pulsują w niej.

Igor odwraca ją powoli tyłem do siebie, podciąga do góry sukienkę. Zuzanna opiera ręce na pochyłym pniu, szorstkim, z popękana, omszałą korą.

– Cholera, nie mam prezerwatywy. Spróbujemy bez?

– Będziesz musiał uważać...

Igor całuje jej ramiona, kark i szaleńczo wrażliwe muszelki uszu. Zuzanna oddycha głęboko i przytula twarz do złożonych dłoni, nosem niemal dotyka kory pnia, jej drobinki dostają się do nosa i łaskoczą. Ramiona Igora oplatają ją, gorący penis ociera się o jej pośladki. Zuzanna wyciąga rękę do tyłu i mocno przyciska go do siebie. Leniwie śledzi łagodnie, narastające rozpychanie, zmieniające się w wibrujące kręgi, rozchodzące się od miejsca, w którym są ze sobą połączeni, jak fale od wrzuconego do wody kamienia, coraz dalej, z narastającym boleśnie zachwytem.

A gdyby nie uważał? Może urodziłoby się dziecko, które z pewnością byłoby szczęśliwe, bo powstałe nie tylko z komórek ich ciał, ale również z maleńkich cząstek tego drzewa, trawy, ziemi, smaku i zapachu tej łąki, lasu, rozgrzanego powietrza i tej wibrującej muzyki.

Ich głośnie oddechy zagłuszają granie owadów, las zamiera w oczekiwaniu, powietrze drży jak nogi Zuzanny, gdy krzyknęła cicho, przepełniona wibracją ponad miarę. Owady znów zagrały rozpaloną

muzykę, motyle pofrunęły do słońca, las zaśpiewał. Igor powtórzył po chwili jej cichy krzyk i wycofał się z niej gwałtownie, co odczuła boleśnie, i po chwili jego sperma trysnęła na liście krzewów, rozsiewając senno-mleczny zapach, którym odurzył się wiatr, co zerwał się nagle. Owinął chłodem ich spocone ciała i przemknął po naznaczonych liściach, unosząc ze sobą ich nową, niezwykłą woń. Coraz wyżej i dalej w świat, aż pod drzwi stuletnich staruszek, które uśmiechają się nagle bezzębnymi ustami i zapomniany rumieniec wykwita na ich zwiędłych policzkach. Przymykają oczy i mruczą jak leniwe koty.

I jeszcze cyma... cyno... ten smaczny kolor. – Zuzanna próbuje przypomnieć sobie, jak wymawia się początkowe głoski; czuje opór coraz bardziej sennego języka, ale po chwili cynamonowy łączy się w zapachu z cukrem i mlekiem, i trawą, czy też coś tutaj się pomyliło. Choć może wcale nie, bo leży przecież na cynamonowej trawie, wsłuchana w głos, który się skarży bardzo śpiewnie, bardzo granatowo, tym granatem usianym złotymi gwiazdami:

*Patrzę na twoją fotografię,
którą dziś przysłałaś mi,
i wypowiedzieć nie potrafię
męki...*

– Jak? Mąki? – Lilka śmieje się prosto w ucho Zuzi, która słucha w zachwycie męskiego głosu, śpiewającego tak jakoś... zupełnie inaczej, niż się normalnie śpiewa.

– Cicho bądź, Lilka, ja słucham.

– No co ty, to się tańczy, nie słucha, ja z tobą zatańczę. – Lilka szarpie ją za rękę, ale Zuzia ze złością się wrywa.

Już nigdy nie zobaczę twych oczu za mgłą...

– Oczu za mgłą, ja nie mogę... – Lilka jednak cichnie, opada w trawę obok Zuzi. – Przecież oni też nie słuchają, tylko się śmieją i tańczą. Tylko ty słuchasz, Zuzka. Nikt więcej.

Zuzia słyszy śmiech dobiegający z otwartych szeroko okien mieszkania Lilki i Leny, ale ten śmiech nie przeszkadza jej, przeciwnie, bardzo pasuje do miękkiego głosu śpiewającego nie do końca zrozumiałe słowa. Ten śmiech jest tak samo dziwny, niezrozumiały i zupełnie inny od normalnego śmiechu.

*Odeszłaś. Jakże trudno pogodzić się z tem,
Że nie wrócisz ni nocą, ni dniem, myślą ni snem, już
nigdy...*

W mieszkaniu Leny i Lilki jest teraz cicho, tylko zasłona i firanka poruszają się z lekkim szelestem w przytłumionych głosach dochodzących z innych okien.

*Oczy czarne, oczy twe
Wciąż nade mną dawną mają moc
Każdej nocy widzę je
Lśnią nade mną w każdą ciemną noc
Daleki sen kołuje niby ćma
Wieki...*

– Boże, znów o oczach. To chyba oczy są najważniejsze, nie? – zastanawia się Lilka i Zuzia też się nad tym zastanawia.

*...noc cała oczy twoje ma
Oczy czarne, rozwarte i ogromne
Oczy czarne, uparte, nieprzytomne
Oczy czarne, przymglone, najłaskawsze, szalone
Już na zawsze stracone oczy twe*

– To głupie jest, Zuzka, nie słuchaj, porozmawiaj ze mną... – mówi Lilka.

Zuzia ziewa, nie słyszy już słów piosenki, które rozmywają się gdzieś ponad jej głową i głową Lilki, która, zrezygnowana, mości się w trawie obok niej. Może gdyby pilnie słuchała, nie pozwalając sobie na delikatnie rozkołysany sen, zrozumiałaby wreszcie, o czym jest. O oczach, niby tak, ale chyba nie tylko, tam jest jeszcze coś, czego nie potrafi usłyszeć czy zobaczyć.

Trawa pachnie tak bardzo, powietrze pachnie tak bardzo, ale inaczej niż trawa. Ziemia pachnie tak bardzo. To już trochę podobnie jak trawa. I ramię, na którym oparła buzię, pachnie, ale całkiem inaczej niż wszystko pozostałe. Chociaż może trochę jak trawa, ale jednak nie do końca, bo jak powietrze też. I jak coś jeszcze, może chałka z masłem i cukrem, bo jakoś słodziej. To pewnie dlatego, że ona i Lilka zjadły niedawno przygotowaną przez Lenę na kolację chałkę z masłem, cukrem i cynamonem. I pewnie to masło i cukier, i cynamon zostały na rękach po kolacji.

– Zuzanna, do domu! Zuzanna! – woła mama z balkonu.

Zuzia zrywa się z wysokiej trawy o zapachu cynamonu, cukru i mleka i biegnie, czując pod stopami w lekkich sandałkach nierówność ziemi. Wbiega na schody, które zna na pamięć, więc nie przeszkadza jej ciemność panująca na klatce schodowej. Nie musi otwierać oczu, żeby trafić na stopnie, a następnie, stojąc już przed drzwiami mieszkania, wyciągnąć rękę i nacisnąć dzwonek. Drzwi otwierają się bardzo szybko, zamazyście, po czym Zuzia poznaje natychmiast, bez żadnych słów i możliwości dojrzenia czegokolwiek w ciemnym korytarzu, że mama jest niezadowolona i rozżłoszczona. Wtedy jej ruchy są gwałtowne, źle wymierzone, nie trafia precyzyjnie w klamki, uchwyty drzwiczek szafek w kuchni, w oknach. Wymykają się wtedy z jej dłoni, i zarówno drzwi, jak i drzwiczki oraz okna uderzają za mocno, trzaskają jak wystrzały. Mama ma też zmieniony głos – szorstki, nieprzyjemny, a zdania, które wypowiada, są krótkie, ostre i na pewno nie można jej się sprzeciwić. „Już zaraz dziesiąta, a ty gdzieś łazisz jak zwykle”, cicho mówi mama i zamyka za mocno drzwi. Zuzia, przechodząc przez przedpokój obok matki, widzi ojca śpiącego w poprzek tapczanu. Pewnie wcześniej kłócili się, może szarpali, i to, a może coś jeszcze, rozżłościło mamę, która skrada się za nią. Mama szepcze: „Myj się i spać”, po czym znika w kuchni, gdzie zapala kolejnego papierosa z pustym, płaskim ustnikiem, a Zuzia zamyka się z ulgą w łazience. Szybko myje się w hałaśliwej wodzie, zmywając z siebie zapach trawy, cukru, cynamonu i mleka, a także drobinki uwodzicielskich, męskich głosów śpiewających o oczach. Później otula się szczelnie kołdrą w swoim łóżku, ciepłym i miękkim. Zegar w mieszkaniu sąsiadów wybija dostojnie godzinę. „Szlag by ich trafił z tym cholernym zegarem”, syczy do siebie w kuchni mama, a Zuzia wsłuchuje się w uderzenia tego czegoś w zegarze. Nie wie, co to jest, ale ten dźwięk obijający się o ściany sąsiedniego bloku jest niezwykle, jak pojedyncze, gigantyczne krople deszczu uderzające jedna po drugiej w szybę. Mama pokrzykuje w kuchni niby do siebie, ale przecież do sąsiadów ze zbyt głośnym zegarem, który zawsze niespodziewanie kończy wybijanie godziny, nawet kiedy wiadomo, ile tych uderzeń będzie. Ostatni dźwięk zawsze zostaje dłużej w powietrzu, zawisa na pewien czas i trwa w nim,

rozpuszczając się powoli, a kiedy znika, słycać pustkę, jaka po nim zostaje w nadmiernie wtedy cichej ciemności...

Starsza, właściwie stara kobieta jest zmarznięta, bardziej sina niż rumiana. Zgrabiące palce z trudem dają się rozprostować, kiedy podaje dowód osobisty, o który poprosiła Zuzanna. Kobieta drży jeszcze z zimna, ale już powoli taje w ciepłe gabinetu. Zdejmuje wyliniały kapelusik, zupełnie niestosowny w taką pogodę, pewnie jednak w jej poczuciu elegancki i konieczny do dopełnienia wizerunku, choć wystawione wcześniej na mróz uszy teraz płoną.

– Zrobię pani herbaty. – Zuzanna uśmiecha się, a że starsza pani nie potrafi wymówić żadnego słowa, wstaje od biurka i włącza czajnik. – Proszę usiąść w fotelu przy kaloryferze.

Zuzanna wskazuje miejsce, a kobieta, mrużąc zmęczone oczy, z uśmiechem sadowi się w ciepłe, którego brakowało jej przez ostatnie godziny.

Zuzanna przepisuje dane z dowodu, znów złościąc się na mikroskopijne literki. Musi używać okularów, ale tylko do najmniejszych literek, przekonuje siebie, z większymi oczywiście radzi sobie świetnie. Przygotowuje kartki, choć przez chwilę zastanawia się jeszcze nad wyciągnięciem dyktafonu. Ale szkoda miejsca w dyktafonie, myśli, pewnie nie usłyszy tu niczego, co wymagałoby szczególnego zaangażowania i dodatkowej pracy w postaci kolejnych odtworzeń wypowiedzi, z pewnością zdąży wszystko zapisać ręcznie.

– B...b...bo autobus się spóźnił, później stał d...d...ługo, a ogrzewanie wysiadło. I p...p...óźniej jeszcze kazali nam iść pieszo tak daleko, d...d...do następnego autobusu, bo ten się zepsuł. Nie p...pojechał. A tamten nie mógł przyjechać po nas, taki lód na d...drodze, musieliśmy do niego dojść. A ogrzewanie też miał ze... psute – wyjaśnia, dygocząc jeszcze, pani dbająca o noszenie kapelusza niezależnie od pogody i zdarzeń losowych.

– Czy pani wie, dlaczego została skierowana na badanie?

– No pewnie, że wiem. Sąd mnie skierował... A to... to wszystko z powodu mojego sąsiada, co nade mną mieszka. Ja mieszkam na trzecim, on na czwartym. Zawziął się na mnie. Najpierw walił w sufit, ale jak! Rzucił dziesięciokilogramowym kamieniem, tak wyczuwałam. Aż żyrandol się kołysał. Widziałam, jak niósł ten ka... kamień w reklamówce. A to wszystko tak od jakichś dwóch lat, wcześniej było dobrze, było ciszej, jak pił, to jakoś też tak po cichu, jak pożyczył pieniądze, to szybko oddawał. Ostatnie pięćdziesiąt złotych oddał jakieś dwa lata temu, przyszedł wtedy do mnie, daje mi te pieniądze, ale widzę, że patrzy na mnie pożądliwie. Ja byłam w takim szlafrocuku, który bardzo lubię, a on rzucił się na mnie, całować zaczął i chciał mnie zgwałcić, ale się wyrwałam i uciekłam. I od tego to wszystko się zaczęło, on chyba w tej miłości do mnie się zawiódł i później się mścił tak okrutnie.

– Taki zakochany w pani, to piękne. Taka późna miłość, prawda? Ile ma pani lat?

Starsza pani patrzy na Zuzannę z niechęcią, ale Zuzanna przygląda się jej spokojnie, dając do zrozumienia, że jest zdecydowana czekać na odpowiedź.

– ...dziesiąt... – mamrocze wymijająco kobieta.

– Może pani powtórzyć, bo nie zrozumiałam? – nie odpuszcza Zuzanna; chce jeszcze spytać o dzisiejszą datę, porę roku i tak dalej.

– Siedemdziesiąt. – Starsza pani wydyma usta.

– Siedemdziesiąt cztery – precyzuje Zuzanna i zastanawia się, czy pani ukrywa swój wiek z kokieterii, czy rzeczywiście zapomniała. – A ja ile, według pani, mam lat? – pyta Zuzanna, traktując pytanie jako okazję do zorientowania się w przytomności umysłu pacjentki, adekwatnej ocenie rzeczywistości.

Kobieta przygląda się Zuzannie badawczo, krytycznie, tak jak kobieta może przyglądać się drugiej kobiecie.

– Pięćdziesiąt pięć – rzuca w końcu zjadliwie.

Zuzanna miała nadzieję, że pani jednak zaniży jej wiek, choćby z powodu jakiejś wady wzroku albo tego szaleństwa bijącego z jej oczu, ale nic z tego.

– Zgadłam? – cieszy się złośliwie starsza pani. – Zmarszczki przy oczach panią zdradzają.

Zmarszczki... Najpierw osiedliły się przy oczach i ujawniały się tylko przy uśmiechu, by zaraz zniknąć, że niby nic, że tak wpadły na ułamek chwili. Dostyc niespodziewanie, ale przecież wcale nie, zawładnęły zewnętrznymi kącikami oczu. Później jeszcze się wzmocniły, okopały, ale wciąż udawały, że w zasadzie to za bardzo ich tam nie ma, że wpadły jak zwykle na chwilę, pośmiać się razem z Zuzanną. A gdy jest zmęczona i niewyspana, to tak dla towarzystwa. Zostaną na trochę i zaraz znikną. Okazywało się, że kłamały. Podstępne dzikie lokatorki, które za chwilę rozpanoszą się w całym domu. Bo na przykład szyja. Takie niby nic, takie płyciutkie bruzdy pojawiają się też jakby na chwilę. Później na ździebko dłużej, zapewniając, że jeśli Zuzanna użyje dobrego kremu, to one zaraz się wyniosą. Słowo honoru. A niedługo później są oburzone – no, jakże tak, mają odejść? Przecież są tu tak długo, że w zasadzie od zawsze. Że ich nie widziano? No cóż, takie bakterie na przykład też są, choć ich nie widać.

– Gdzie się podziała moja uroda... – nuci staruszka, patrząc z uśmiechem na Zuzannę. – Moja uroda po świecie chodzi i ładnych chłopców za sobą wodzi. Pójdę do stawu, zatrzymam wodę, może odnajdę swoją urodę... – śpiewa coraz głośniej.

– A jaka dziś jest data? – pyta zniecierpliwiona Zuzanna, kiedy kobieta cichnie, choć coś tam jeszcze nuci pod nosem.

– No, zima, a rok... zaraz...

Zuzanna mruży oczy, przyglądając się zmaganiom starszej pani z opornym mózgiem, jakby chciała ją ukarać za jej zbyt przenikliwe spojrzenie.

Zadaje następne pytania badające orientację, podaje kartkę do testu zegara. Będąc świadkiem walki starej kobiety z niszczącą chorobą, czuje już tylko żal, że to tak się dzieje, że jest nieubłagane, pożerające bez litości i że przecież i ją może kiedyś pożreć. Dowiedziała się już wystarczająco dużo o tej kobiecie i jej problemach z psychiką, obserwując jej próby narysowania zegara, a wcześniej problemy z datą i innymi zbyt dla niej teraz niejasnymi szczegółami czasu i świata wokół, może pozwolić starszej pani wrócić do pasjonujących ją obszarów, od których błyszczą jej oczy, twarz się zaróżowia. Mózg umiera, ale na pożegnanie stworzył świat, w którym pani żyje pełnią życia, ktoś ją kocha, pożąda jej. Tak dużo się dzieje, jak w telenoweli, a właściwie w kryminale z wątkiem erotycznym. Jakiś dobry i litościwy ten jej mózg, myśli z czułością Zuzanna.

– Dzwonił do domofonu, zbirów napuszczał. On zna rozkład mojego mieszkania i wie, gdzie ja jestem w tym swoim mieszkaniu, wtedy w tym miejscu wali w sufit. Może podsłuch założył, że tak wszystko o mnie wie. Bo ja cichutko chodzę, nie słychać, a on słyszy. Może i kamery ma, bo ja często w łazience czuję, że on gapi się na mnie. Chyba nie może o mnie zapomnieć, co? – Uśmiecha się i poprawia resztki włosów, zdemolowanych dodatkowo kapelusikiem. – On się tak mści za moją odmowę, jak to mężczyzna, odmowy nie lubi, zaczyna gonić kobietę... szelma... Myślał, że skoro miałam kiedyś przyjaciela, to on łatwo mnie zdobędzie, pewny taki... – dodaje pieszczotliwie. – Szpiegowałam go, żeby dowiedzieć się, gdzie pracuje i żeby mu opinię w pracy popsuć, bo nie wiedziałam już, co mu zrobić za to znęcanie się nade mną. Bo byłam już zmęczona. Ani spać w tym mieszkaniu, ani w ubikacji się załatwić, ani nic. To może człowieka umęczyć, nawet jeśli wie, za co jest to znęcanie.

– A za co? – pyta Zuzanna.

– No za jego odrzuconą miłość przecież! – wyjaśnia pani, zniecierpliwiona małą przenikliwością Zuzanny. – Ale jak poszłam do tej jego pracy, do biura, i powiedziałam o wszystkim, to oni tylko patrzyli na mnie, patrzyli, patrzyli i zawołali ochroniarza, takiego wielkiego. I wie pani co? Prawie pod pachą

mnie wyniósł stamtąd. Może też chciał mnie dotknąć? Ja coś tak czułam, że to niby wynoszenie, a tak naprawdę...

– Czyli inni mężczyźni też się w pani podkochują, nie tylko ten sąsiad?

– No pewnie. Co pani myśli, że tylko ten? To by jeszcze dało się znieść, ale tego jest dużo. I ja zaczęłam w końcu ich przepędzać. Bo już sobie rady nie dawałam. Najpierw złożyłam skargę w spółdzielni mieszkaniowej, tam gdzie mieszkam, że taka sytuacja miała miejsce. Opisałam, co się wyprawia. Wszyscy się zbiegli, jak to mówiłam, to myślałam, że dobrze, interesują się i mi pomogą. Ale wcale nie, nic z tego nie wyszło. Później się przekonałam, że ten prezes, u którego wtedy byłam, jest w zмовie z sędzią Wiatrowską, do której poszłam do sądu, i że wspólnie uradzili, żeby sprawie łeb ukreć. A dzielnicowy to jak mnie widział, że znów przychodzę na skargę, to już nic nie mówił, tylko palcem pokazywał mi drogę do domu, tak mnie maltretował. I on, ten dzielnicowy, cały sinoczerwony się robił, jak mnie widział, tak musiał dusić w sobie prawdę, bo jakby tę prawdę powiedział, to pewnie miałby kłopoty jakiegoś. Musiał w sobie wszystko zatrzymać, to i siniał. I kazali mi na badanie się zgłosić do psychiatry, to poszłam i tam cuda ze mną wyrabiali, bo wciąż wychodziła ta lekarka i mówiła, że zaraz mnie przyjmą, zaraz przyjmą, a trwało to ze dwie godziny. Brała mnie, czy ja nerwowo nie wybuchnę. I ta lekarka stwierdziła, że ja zdrowa jak rydz jestem, ale jak to doszło do sędziny Wiatrowskiej, to ta kazała zmienić, że chora niby. I do pani mnie przysłali.

– Boże, jakie z ciebie dziecko – mruczy Lilka, choć jest tylko rok starsza od Zuzi, która przy niej czuje się rzeczywiście czasem dziecinnie, jak w towarzystwie dorosłej kobiety. I Lilka, trochę obrażona, trochę rozczarowana Zuzanną, wstaje gwałtownie z kanapy. – Przecież ona niczego nie zauważy, nie wie, ile ma tych papierosów, jak weźmiemy dwa, to...

Lena wchodzi tanecznie w drzwi i Lilka milknie. Lena przytula Zuzannę, która chętnie poddaje się zagarnięciu przez miękkie, ale silne ramiona, zatapiając się w zapachu mocnym, ciemnym, intensywnym i zupełnie innym niż wszystko, co pachniało w innych ludziach.

– Zrobię wam naleśniki, chcecie? – pyta Lena i śmieje się, pewna, że chcą. Wybiega do kuchni, podśpiewując, i po chwili pachnie naleśnikami w całym mieszkaniu. Lilka przestaje myśleć o papierosach Leny, zjadają naleśniki z cukrem zgrzytającymi głośno w zębach. Później odrabiają lekcje, rozkładając zeszyty i książki na stole przykrytym serwetą. Mieszkanie Leny pełne jest przedmiotów, jakich Zuzia nie widziała w żadnym innym miejscu, a z wszystkich widzianych gdzie indziej te, które ma Lena, były najpiękniejsze. Na przykład różowe domowe pantofelki z ogromnymi białymi pomponami, niesłychanie wykwintne, szczególnie subtelny rodzaj atłasu o przestrzennych niemal wzorach. Szafa pełna zwiewnych sukienek. Szlafrok Leny, delikatny i miły jak jej ciało. Tajemnicza tkanina szlafrocka pokryta jest miękką sierścią, która pod palcami ugina się jak trawa, by po chwili powstać. Wysokie szpilki Leny. Kolorowe poduszki, których pełno w mieszkaniu, ozdobione koronkami, kokardkami, falbankami. Nieruchome lalki, siedzące na nich dumnie. Lena szyła dla nich maleńkie ubranka i mówiła do nich tak jak do Zuzi, gdy czesała jej włosy w wyszukane fryzury. I Lena mówi przy tym do lalki lub Zuzi, że ma śliczne włosy, takie jasne i długie, że jest cierpliwą dziewczynką, nie wierci się przy czesaniu, aż Lena się zastanawia, jak taka mała dziewczynka może wytrzymać tak długo bez ruchu. Zuzanna wie, że choćby cały blok zapadł się pod ziemię, ona będzie stać nieruchomo. Później Lena przygląda się Zuzannie, odsuwając ją trochę od siebie. „Ależ ty jesteś piękna, Zuziu”, mówi i Zuzanna na chwilę wstrzymuje oddech, przeglądając się w jej oczach. I często w takich sytuacjach Lena przytula ją do siebie, całuje w czoło lub leciutko naciska nosek, albo sięga do toaletki i maluje oczy i usta Zuzi najprawdziwszymi kosmetykami. Z okrągłego pudełka, drewnianego, ale lekkiego, pokrytego ciemnym szkliwem z kwietnymi wzorami, cichutko piszczącego przy odkręcaniu, Lena nabiera na puszek puder, który unosi się

w powietrzu jeszcze chwilę po nałożeniu na buzię Zuzanny i wiruje w promieniach słońca, wpadających przez okno. Kiedy Lena nałoży już na twarz małej Zuzanny makijaż, biegnie do swojej wielkiej, błyszczącej politurą szafy i wybiera z pachnącego wnętrza kolorową sukienkę, którą Zuzanna z bijącym sercem wkłada, skracając przez podwinięcie w pasie i rękawach. Lena śmieje się i klaszcze w dłonie, opada na kolorowe poduszki, a szlafrok rozchyła się, ukazując uda między różową, połyskliwą halką od góry a zakończeniem beżowych pończoch od dołu. Zuzanna przegląda się w lustrze i nie śmie głębiej odetchnąć. Lena poprawia jej włosy i makijaż, znów całuje ją i głaszcze.

Ktoś dzwoni do drzwi i Lena zostawia Zuzię samą, nie bojąc się o swoje skarby. Flakoniki i pudreczka stojące na toalecie przeglądają się w lustrze dumnie i wyniośle, z pobłażaniem pozwalają Zuzannie korzystać ze swoich siedlisk pod nieobecność królowej. Zuzanna zanurza czubki palców w słoiczkach z tłustawą zawartością, rozciera pachnące krople z buteleczek. Pudełko na puder szczególnie zachwyca wzorkami, kwiaty z masy perłowej inkrustującej lakową powierzchnię mienią się kolorami zależnymi od kąta padania światła i ruchu nadawanego przez dłonie Zuzi. Pudełko mieni się różem zachodu słońca, po chwili migocze ogniem, później pojawia się kolor jak szafirowy staw, a w innym miejscu niebo w pogodną letnią noc.

Lena wraca i siada obok Zuzi. W zamyśleniu czesze swoje rude włosy, upina je w wysoki kok, uśmiechając się do wpatrzonych w nią Zuzanny, maluje usta bardzo czerwoną pomadką, a brwi czarną kredką. Patrzy na siebie uważnie w lustrze, delikatnie dociska palce przy zewnętrznych kącikach oczu, leciutko przesuwa do tyłu, przez co oczy na chwilę stają się skośne.

– Widzisz, mam zmarszczki – mówi smutno.

Zuzia przygląda się w poszukiwaniu zmarszczek, ale nie znajduje ich przy oczach Leny, jej twarz jest gładka i piękna; przecząco kręci głową.

– Nie widać? – ostrożnie pyta Lena.

– Nie ma – uspokaja ją Zuzia.

Lena uśmiecha się z ulgą. Czesze włosy Zuzi po raz kolejny, upina inaczej, ale tak samo pięknie jak wcześniej.

– Właściwie nie powinnam żyć – mówi szeptem, jakby w lustrze zobaczyła coś, co było powodem takiego strasznego zdania wypowiedzianego jednak bardziej w zamyśleniu niż ze strachem.

Widząc zaniepokojoną minę Zuzanny, odgania dłońią złe myśli z czoła. Podbiega do gramofonu i sięga po pierwszą z brzegu płytę. Po chwili głęboki męski głos wypełnia pokój ciepłą falą. Zuzia wraz z Lilką i Leną tańczą, trzymając się za ręce, a smutne obrazy z oczu Leny wsiąkają w tafle lustra, gdzie je zostawia na zatracenie, na samotną wędrówkę w najdalsze lustrzane dale, z których nie ma powrotu.

Później Lena idzie do łazienki i leży w wannie wypełnionej pachnącą pianą, spod której wcale jej nie widać. Zapach rozchodzi się po całym mieszkaniu, jakby piana wypływała powoli z łazienki i wędrowała po podłodze aż do ogródka przed domem, aż do maleńkiej furteczki w ogrodzeniu mikroskopijnego ogródka, przez którą latem Zuzia wbiega wraz z Lilką z gorącej trawy pełnej gadających owadów, niosąc na bosych stopach zapach koniczyny. Wiosną wybuchają tam zawsze niespodziewanie pewnego dnia mleczce, oślepiające żółtością. Mleczce zamieniają się w tajemniczy sposób w dmuchawce rozsypujące się później na wietrze. „Baba czy dziad?” – woła mała Zuzanna do Lilki, chowając za plecami dmuchawca w usmarowanych mleczną wydzieliną dłoniach. „Baba, baba, baba!” – krzyczy Lilka. Zuzia wyciąga zza pleców dmuchawca pozbawionego zwiewnych nasionek, a więc – dziad, śmieje się, przegrałaś! Kiedy noce są wyjątkowo gorące, Zuzanna z Lilką kładą się w trawie i patrzą na gwiazdy.

To chyba adapter był tym czymś, co przyciągało tak wielu gości do mieszkania Leny. Sadowili się wygodnie na kanapie wśród kolorowych poduszek, a Lena rozkładała na talerzach przyniesione przez nich ciastka z kremem, pomarańcze, czekoladę, nalewała do kryształowych kieliszków wino. Zapalali

papierosy, zdejmowali marynarki i rozluźniali krawaty, podwijali rękawy koszul. Lilka najczęściej mówiła wtedy do Zuzanny: „Idziemy na podwórko” – i zawsze był to koniec jej wizyty na ten dzień. Odwracała jeszcze w drzwiach głowę, patrząc na Lenę, która już o niej nie pamiętała, bo nachylała się nad gościem, wtórując mu ciemnym śmiechem przypominającym swoją głębią zapachy z buteleczek na toaletce.

Apasjonata kołysze gorącym powietrzem i granatowym niebem pełnym gwiazd głos z gramofonu, słodki jak pocałunek Leny, która tańczy; Zuzia widzi to przez zasłony w otwartych na oścież oknach. Lena tańczy przytulona do białej koszuli i pokrytych ciemnymi włoskami rąk.

Apasjonata wspomnienie dawnych dni

Apasjonata

melodia szczęścia chwil.

Dla ciebie grałem,

gdy byłaś blisko mnie.

Swą wielką miłość... chciałem ci wyznać w niej...

Lecz prędko prześnił się

nieśmiały sen o szczęściu

i zostałem sam.

Melodią teraz wzywam ciebie,

gdy znów cichutko gram

– płakał głos z gramofonu, głos mieniący się jak połyskliwe wzorki na lakowym pudełku. Połyskliwość, ale i rozszepkanie, i granat nieba na wyciągnięcie ręki, ciemne potoki śmiechu Leny i jej gości, ale też nagła cisza, gdy ten śmiech nieoczekiwanie milkł, wszystko to snuło się sennie po trawie, owijając Zuzię ciepłym kocem, podkładając jej pod głowę puchowe poduszki. Mogłaby tak płynąć coraz dalej, czy bliżej właśnie, i chyba wyżej, czy też...

Zapłakane oczy, zapomniane oczy,

których nie ma już od wielu lat.

Całowane usta, ukochane usta,

które zabrał mi szeroki świat.

A jednak w noc każdą widzę je we śnie,

Tak się żalą w mroku i wołają mnie.

Kiedy adapter milknie, Lilka budzi Zuzannę, która prawie zawsze zasypia w pachnącej trawie. Czekają jeszcze chwilę, Lilka wie, jak długa powinna być, i wracają przez uchyloną furteczkę pod balkonem do mieszkania zanurzonego w księżycowym świetle, wpadającym przez niedbale zasłonięte okna. Pachnie mandarynkami czy egzotycznymi kwiatami, może przywiezionymi przez kogoś z bardzo dalekich krajów, może z Afryki, myśli Zuzia. Miarowo chrobocze pozostawiona samej sobie płyta. Lena śpi w białej pościeli, z rozchylonymi ustami, pulchne ramię odcina się złotawo od śnieżnego tła, skrzące się włosy, rozsypane na poduszce, wypoczywają po męczącym dniu, gdy dusiły się, uwięzione spinaczami. Zuzanna nie może oderwać oczu od Leny, stoi nieruchomo w progu, gdy z łazienki wychodzi pan Leszek. Dopina białą koszulę, uśmiecha się do dziewczynek, kładzie palec na ustach z cichutkim, przeciągłym „ciiiii” i wskazuje na śpiącą Lenę. Wychodzi bez słowa, cichutko pogwizdując, a mijając je, dotyka delikatnie

noska Zuzi, która patrzy teraz z bliska w jego twarz. Możliwe, myśli Zuzia, całkiem możliwe, że wciąż można śpiewać o oczach, ustach, dłoniach, włosach.

Szymcha jest miniaturową. Gdyby żydowskie dzieci wtedy były miniaturowymi, jeszcze bardziej miniaturowymi niż Szymcha, to może więcej udałoby się ich uratować. Można by je chować po kieszeniach, pod czapką lub pod kołnierkami pelis, prosząc, żeby mocno się trzymały, zamknęły oczy i czekały cierpliwie, aż uda się je zanieść w bezpieczne miejsce. Ale miniaturowy Szymcha – i tak za mało miniaturowy, by zastosować pomysł Zuzanny – pojawił się już po wojnie i tylko w jednym egzemplarzu.

– Przecież ja już mam prawie czterdzieści lat – uśmiecha się – ale nie czuję się dorosły. Może to przez to, że jestem mały i drobny, a może przez to, że jestem wciąż z rodzicami, sam nie wiem. Ale oni tak się o mnie boją... Zawsze tak było, że się bali. Nie mogłem wychodzić nigdzie sam, nie mogłem mieć kolegów, bo im nie ufali. Tylko raz, dziesięć lat temu, uciekłem im. Ja tak mówię, że im uciekłem, ale tak naprawdę chciałem tylko zobaczyć kawałek świata i wrócić do nich, żeby już mogli być spokojni i mieć mnie na miejscu, mieć mnie do tego chowania przed światem, przed ludźmi. Bo oni boją się ludzi bardzo. A ja nie za bardzo. Choć początkowo trochę się bałem. W szkole było różnie, ale przeważnie mnie lubili. Dla mnie to były pierwsze kontakty z dziećmi, bo na podwórko prawie nie wychodziłem, a jeśli już, to z mamą albo z tatą. Oczywiście, że wołałem bawić się z dziećmi i udawało mi się czasem namówić mamę lub tatę, żeby sobie siedzieli na ławce, a ja pobiegam z innymi, pobawię się w chowanego albo w wojnę. Pani wie, jak się bawić w wojnę? Pewnie tak, to pamięta pani... wypowiadam wojnę przeciwko, piwko... – Szymcha śmieje się zaraźliwie i Zuzanna też nie może powstrzymać się od śmiechu – przeciwko, piwko – śmieje się Szymcha – a przeciwko Żydom było bez piwka. – Śmieje się dalej, ale już inaczej, mały Szymcha, i Zuzanna tym razem czuje dreszcz przebiegający przez plecy.

– Wciąż czuję, że są w mieszkaniu... – Głos Szymchy jest teraz matowy. – Czuję ich obecność. Nie wiem, ilu ich jest, może te miliony zabitych przychodzą do mnie, a może tylko kilkadziesiąt osób z mojej zabitej rodziny, nie wiem. Ale są.

Zuzanna nie chce wyobrażać sobie martwych ludzi w jakimkolwiek mieszkaniu, więc broni oczy przed tymi obrazami, zapisując na kartce równym, nadmiernie starannym pismem informacje, zdecydowanie nie są to obrazy, a przynajmniej nie powinny być, bo będą się snuły za nią później natrętnie.

– A czasem rodzice wydają mi się martwi, że to duchy, że nie żyją i nigdy ich żywych nie było. Albo że byli żywi, ale od jakiegoś czasu są martwi. – Zuzanna kontynuuje zapisywanie informacji, nie oglądanie obrazów. – To różnie jest i nie wiem, od czego to zależy. I to jest tak, że z jednej strony wiem, że to mi się wydaje, z drugiej jestem prawie pewien, że to prawda. To mnie męczy. Kiedy nie brałem ketrelu, to byłem pewny, że oni nie żyją i w domu są umarli. Ketrel mi pomaga bardzo, bo tak już raczej nie myślę. Albo nie z taką pewnością. Najgorzej, kiedy jednak myślę, że oni nie żyją. I jak jeszcze dochodzą głosy i jak wydaje mi się, że mówią do mnie w telewizji, jak szafa do mnie mówi, ściany do mnie mówią, to wtedy biorę lorafen. Po pięć albo więcej. Ja wiem, że to za dużo, ale muszę. Uciekam do łazienki, tam mam takie miejsce między wanną a ścianą, bo wanna jest trochę za krótka i nie dochodzi do ściany, i tam zwijam się jak kot i czekam, aż to wszystko minie. Ale teraz nie jest tak źle. Najgorzej było w dzieciństwie, kiedy przychodziły psy, podchodziły do łóżka i ujadały, warczały. Mama je odganiała, a ja krzyczałem, bo bałem się, że jej coś zrobią. Psy były straszne. Może najstraszniejsze, bo byłem mały. Nie wiadomo dokładnie, czy to było z padaczki, co mi rozpoznali wtedy, czy z choroby psychicznej. Bo jeszcze widziałem różne inne obrazy, bardzo kolorowe, niektóre nawet przyjemne. No, ale trzydzieści lat temu lekarze za mało jeszcze wiedzieli, żeby to wszystko dobrze rozpoznać. No i depakinę muszę brać, bo bez niej raz płaczę i umieram, raz się śmieję, i rodzice tego nie wytrzymują. A jak im na trochę

uciekiem wtedy, to pojechałem do Izraela, do Kanady, do Indii i do Nowego Jorku i w parę jeszcze innych miejsc. Zanim wyjechałem, nauczyłem ich obsługiwać internet i komórkę, bo tego nie umieli. Ale nauczyli się, bo to im dawało możliwość kontaktu ze mną przez te dwa lata. Spieszyłem się bardzo, bo nie wiedziałem, jak długo oni wytrzymają beze mnie. Dwa lata tak jeździłem. I wie pani co? Świat nie jest złym światem. Ludzie są na ogół dobrzy. Kiedy wróciłem, powiedziałem to rodzicom i myślałem, że się ucieszą. Ale oni zaczęli płakać. No to przestałem mówić o tym wszystkim, co widziałem, co przeżyłem. Bo pomyślałem, że może im jest smutno, że ten całkiem dobry świat był na wyciągnięcie ręki, a oni zasłonili przed nim okna i zamknęli drzwi. A teraz to jestem w szpitalu już chyba dwudziesty raz. Teraz to chciałem się zabić. Bo już chyba nie umiem żyć w tym zamkniętym świecie, nie umiem też stąd odejść. Może oni to wiedzieli i dlatego wtedy tak płakali? A śmierci boję się strasznie. Moja chęć życia jest tak ogromna i tak strasznie boję się tej śmierci, że coraz częściej myślę, jak się zabić, żeby wreszcie przestać się bać śmierci. Ona jest zresztą wszędzie, w tylu sytuacjach, i ja tak mam, że już muchy nie mogę zabić ani nawet o niej niczego złego powiedzieć, bo zaraz widzę obrazy, ruchome obrazy, jak kawałki filmów, przeważnie o wojnie, o zabijaniu na wojnie. Pani nie rozumie, tak? To ja opowiem. No na przykład ta mucha lata i mnie wkurza, ja się złościę coraz bardziej, mówię do niej czy do siebie, że mam tego dosyć, że ją... kurwa, o przepraszam... utłukę, bo mnie... no... złości. Więc łapię gazetę czy kapeć i próbuję, a ona, oczywiście, ucieka, ja nie trafiam, bo często mam zamazany obraz po tych lekach, więc wkurzam się jeszcze bardziej i mówię do niej, tej muchy, coraz gorsze rzeczy, i zaraz widzę obraz, buzię małej dziewczynki, którą zabija jakiś Niemiec, co widzi tę dziewczynkę jak ja muchę, że nic niewarta, że go wkurza samym tym, że żyje, i przeszkadza w czymś tam, we wszystkim, coraz bardziej przeszkadza, więc zabicie jej to zabicie muchy. To mi się nakłada, rozumie pani, cały czas. I tak w kółko. Zawsze jakiś obraz, natychmiast obraz, najczęściej z wojny. Pająka nie mogę zabić, nie mogę nawet o nim źle pomyśleć, bo zaraz pojawiają się obrazy, jak ktoś patrzy na kogoś z pogardą i obrzydzeniem i zabija, torturuje, niszczy. Kwiatka nie mogę pominąć przy podlewaniu, bo wiem, że on wtedy jest przerażony, że nie dostanie pić, i umrze. To znaczy tak czuję, to jego przerażenie czuję, i znów obraz kogoś, kto umiera z głodu i pragnienia. A wie pani, jak każde stworzenie walczy o życie? Każdy komar, mucha czy pająk, czy cokolwiek innego. Może rośliny też, tylko nie widzimy tego tak wyraźnie. Najprędzej człowiek może przestać walczyć, tak myślę. Ale inne stworzenia walczą zawsze. Ile to ja much wyciągnąłem z wody, ile os, pszczoł i wszystkiego innego, co miało jakieś groźne wypadki. Ile kotów i psów. Wołają mnie, zawsze jakieś znajdę i ratuję, najbardziej, gdy jestem u babci czy cioci na wsi, tam to już całe lato nic nie robię, tylko ratuję. W domu mam pełno doniczek z awokado, które wyrosły z pestek. Bo ja bardzo lubię awokado. Wyjmuję pestkę, kładę do wilgotnej ziemi i po jakimś czasie pestka pęka i w środku pojawia się roślinka i tak rośnie, chroniona przez te dwie połówki pestki. Zawsze przyglądam się temu z zachwytem, jak ta roślinka jest chroniona przez te dwie części pestki, jak przez rodziców. To mnie wzrusza tak bardzo, że płaczę. Mam tych awokado tak dużo, że mi się w domu nie mieszczą. A nie mogę pestki wyrzucić, bo dla mnie tam są te dzieci z rodzicami. Rozdaję te roślinki, ale już nikt nie chce brać. Musiałem przestać jeść awokado. Nie dałem rady. Z ananasem też miałem przeprawę. Odcina się liście, ten pióropusz, i tak robiłem. A później dowiedziałem się, że te odcięte liście też można włożyć do wody i wyrosnie roślina. Ale ja już tego nie chciałem, bo już nie mam miejsca na nowe rośliny. Wyrzuciłem na śmietnik. Zimą. Te liście jakoś wyleciały z puszkii i leżały tak w śniegu chyba przez tydzień, a ja, ile razy tam poszedłem, czułem ich ból. I ich wołanie. Że tak zostawiłem bez pomocy tę roślinę, ona chciała żyć, a ja wydałem ją na takie cierpienia. Przestałem jeść świeżego ananasa... – Milknie i patrzy zmęczonymi oczami gdzieś daleko. – Czuję cały ból świata, wszystkich cierpiących stworzeń. Ludzi, zwierząt, roślin. W tym czasie, jak tu siedzimy, tyle bólu. Ja to czuję. I chcę się zabić, bo to nie do zniesienia. – Ogromne oczy w małej twarzy wpatrzone są do wewnątrz głowy, gdzie jest dla tych oczu niebezpiecznie

i samotnie. Ale podobnie jest na zewnątrz głowy, więc oczy nie mają drogi ucieczki, czy patrzą na zewnątrz, czy do środka. Z pewnością ciężko jest żyć w tak szczelnym osaczeniu. – Powiem pani coś jeszcze. Może nawet to będzie najgorsze. Kiedy byłem w Izraelu, poznałem pewną kobietę. Przedstawili mnie jej, a ona zamilkła, patrząc na mnie. Nie wiedziałem, o co chodzi. Cały czas na mnie patrzyła. To było takie przyjęcie u jednego z moich krewnych. Po pewnym czasie ona podeszła do mnie i mówi: „Synu – choć nie byłem jej synem – czekałam całe życie na twoje oczy. Już myślałam, że nie przyjdiesz. Ale jesteś, więc opowiem ci wszystko, bo masz takie oczy, że tylko im mogę powierzyć tajemnicę. Ona będzie ciężka, ale musisz ją unieść”. I opowiedziała mi o obozie dla kobiet, w którym była w czasie wojny. To chyba najstraszniejsza opowieść, jaką słyszałem. To, co tam się działo, przekraczało wszelkie granice okrucieństwa. Upodlenie tych kobiet, największe zbrodnie, jakie można zadać człowiekowi, szczególnie kobiecie, obezwładniły mnie. Ona opowiadała i opowiadała, a ja nie mogłem się poruszyć. W mojej głowie był krzyk przerażenia. Przed moimi oczami obrazy największych zbrodni. Nawet ich ciała je zdradziły, to było najgorsze. Bo rodziły się dzieci, te kobiety zachodziły w ciążę, choć wszystko było przeciw temu, i gdyby ciało było choć trochę mądrzejsze, nie pozwoliłoby na to. Ale było odwrotnie. W tych najstraszniejszych warunkach rodziły się dzieci, z gwałtu, potwornej przemocy. Szybko umierały albo były zabijane, najczęściej przez ich matki, które wyły później bezgłośnie. Po co się rodziły? Przeciw wszystkiemu. Niepotrzebnie. Przeciw samym sobie. Natura jest głupia. Byłem tymi kobietami, tymi noworodkami, ale też byłem ich oprawcami. – Szymcha wyprostował się, urósł, zmarszczył brwi i zmrużył oczy. – Patrz na nie, wszystko zrobią, co chcesz, za kawałek zgniłego chleba. Bo to kurwy. Moja Helga to porządna kobieta, nawet do głowy by jej nie przyszło to, co one są w stanie zrobić, wystarczy, że strzelisz palcami i gwizdniesz. Taki naród, złodziei i kurew. Wczoraj widziałem, jak myły się w kawie. Który normalny człowiek myje się w kawie, chłopie, rozumiesz? I pytam Dietricha, co one z tą kawą robią, popieprzyło im się całkiem w tych zawszonych łbach czy co? A on mówi, że coś tam z wodą jest nie tak, że nie ma czy co. A co mnie to obchodzi, w sumie. A zawszone gorzej od zwierząt. A brudne jak śwynie. Tylko te, które przyjeżdżają świeżymi transportami nadają się do czegokolwiek, później to już chodzące trupy. Musisz wybrać sobie te świeże, te najmłodsze najlepiej. Machniesz im przed nosem kawałkiem kiełbasy, to zrobią, co będziesz chciał. I od tej strony, bracie, i od tej, i od tamtej, rozumiesz. A później kopniesz w dupę, jak ci się znudzi, i niech idzie tam, gdzie wszystkie, i niech popracuje dla dobra Rzeszy. A nie chce im się pracować. Bo to leniuchy, wiadomo. Byle tylko nic nie robić, wylegiwać się całe dni, tak by chciały. – Szymcha zmałał do swojej normalnej postaci, objął się rękami, kiwał się chwilę w przód i w tył z zamkniętymi oczami. – Przestałem wtedy spać na długi czas. Bo czułem rozpacz tych kobiet, które nie miały nic, i takie łóżko, i pościel, i to, że się umyłem wieczorem, że było mi ciepło, bezpiecznie, to dla nich było odległe i krzyczące z rozpaczny marzenie. Czułem się jak ich kat. Że ja to mam, a one nie miały. Spałem na podłodze. Nie mogłem jeść. Obrazy mnie zabijały. Nie wytrzymam, myślałem, muszę porozmawiać z tą kobietą, żeby zabrała ode mnie to wszystko. Jechałem do niej i myślałem, że powiem jej: matko – choć nie była moją matką – ja tego nie mogę udźwignąć, przepraszam, jestem za słaby. Ale ona umarła. Jakieś trzy tygodnie po naszym spotkaniu umarła. Zostawiła mnie z tym. Przyrosło do mnie, przeniknęło mnie. Zmartwiłem się najpierw, że nie mogę jej tego oddać. Później pomyślałem, że dla niej, dla tych zamęczonych kobiet i dzieci powinienem to pomieścić w sobie. Moje cierpienie jest milion razy mniejsze od ich cierpienia. I zostało. Mam to tu – dotyka swojej głowy ostrożnie, delikatnie, pewnie zna dobrze jej kruchość i wypełniające ją szczelnie niebezpieczne krajobrazy.

Zuzanna chciała by przetrzeć dłońmi swoją stężałą twarz, szczególnie oczy, ale zastygła, znieruchomiła, rozplynęła się i nie jest pewna, czy jest teraz gdzieś w opowieści Szymchy, czy jest Szymchą, czy z Szymchą tutaj, w szpitalu przepelnionym po brzegi innymi Szymchami.

– A przecież! Wesołych świąt Bożego Narodzenia, dla pani i całej rodziny! – pokrzykuje Szymcha radośnie. – To moje ulubione święta. I dobrze, że jestem w szpitalu, to będę na najprawdziwszej wigilii.

Szpital podoba się Zuzi, taki chłodny i tajemniczy, rozśpiewany głosami ptaków. Mama powiedziała, że to szpital; Zuzanna sądziła, kiedy tu weszli, że są w parku. Zielonym, bardzo zielonym. Cisi, zamyśleni ludzie siedzący nieruchomo to tu, to tam na ławkach wydawali się odpoczywać.

Mama rozgląda się wokół.

– Mietek, gdzie to jest, bo mnie się pomyliło...

– To tu – pan Mietek wskazuje budynek w głębi.

Wchodzą do jednego z budynków, ciemnego, z okratowanymi oknami; Zuzia dopytuje się, dlaczego tu wchodzą i dlaczego te kraty, nie odpowiedziano jej jednak. Idą ciemnym korytarzem, stają przed drzwiami bez klamki, zamiast której jest okrągły uchwyt. Mama i tata siadają na krzesłach, a pan Mietek głośno puka do drzwi bez klamki raz i drugi. Po długim czasie drzwi otwiera pani w białym fartuchu, wchodzą do dusznego korytarza z podobnymi postaciami jak te widziane na zewnątrz, w szaroburych, niekształtnych ubraniach z pozawijanymi rękawami lub podciągniętymi w pasie, bo za długie. Same kobiety, nieruchome, milczące lub głośne, biegające i śmiejące się z czegoś albo zapatrzone gdzieś. Zuzia przygląda się im z ciekawością, są tak inne od znanych jej kobiet. To tak, jakby porozpinać guziki w ubraniu i zrzucić to ubranie, bo było za ciasne, myśli Zuzia i chce powiedzieć to mamie, tacie i panu Mietkowi, ale widząc ich napięte twarze, rezygnuje.

W pokojach wzdłuż korytarza znajdują się łóżka, w niektórych leżą nieodgadnione postacie nakryte kocem lub kołdrą po same uszy. Pan Mietek podchodzi do jednego z takich łóżek, za nim mama i tata – z ociąganiem, niepewnością czy niechęcią. Zuzanna widzi, że oni nie patrzą na postać w łóżku, ale zupełnie gdzie indziej.

– Dzień dobry, co słyhać u mamy? – pyta pan Mietek. – Sąsiadów przyprowadziłem, mama pamięta? Zyga i Marta, może mama się przywita... I Zuzia z nami przyjechała w odwiedziny...

Mama wyjmuje z torby kawałek ciasta, które wcześniej upiekła, i jabłko. Układa to na odrapanym stoliku przy łóżku. Jedno z jabłek spada i toczy się z głośnym w tej ciszy głuchym plaśnięciem. Zuzanna wybucha śmiechem i biegnie za zbuntowanym jabłkiem. Nikt więcej nie roześmiał się jednak, przeciwnie, mama, tata i pan Mietek skulili się jeszcze bardziej, ich twarze się zapadły. Zuzia czuje się nieswojo, może zrobiła coś złego, podnosząc to jabłko, a może to jej śmiech był tu czymś niestosownym.

Na sąsiednim łóżku ktoś siada gwałtownie, patrzy chwilę na Zuzannę, wydaje się, że coś powie. Ale nie, opada na swoje poślanie, odrzucając jednocześnie koc, i ukazuje białe, chude nogi, które po chwili otwierają się jak szczypcy i miga ciemne owłosienie jak gniazdo uwite w konarach drzew. Zuzanna dobrze wie, że nie powinna oglądać takich obrazków, szybko więc odwraca się tyłem do bezwstydnej postaci. To samo robią rodzice i pan Mietek, straszliwie zakłopotani, unikający swojego wzroku. Mama zaczyna gwałtownie dopytywać się o zdrowie pani Heleny. Zuzia wpatruje się w jej twarz i rozpoznaje sąsiadkę, ale jednocześnie widzi zupełnie obcą, nieznaną osobę nałożoną na tę pierwszą. Czy to na pewno pani Helena, która wciąż przesiadywała na ławeczce przed klatką, plotkując hałaśliwie, częstująca pachnącym ciastem drożdżowym, pielęgnująca sałatę w swoim ogródeczku pod balkonem?

Pani Helena patrzy na nich bez wyrazu, obojętnie. Na nieruchomej twarzy nie pojawia się żadne uczucie czy grymas, cokolwiek, co pozwoliłoby zaczepić choćby najcieńszą niteczkę. Świat odbija się od jej źrenic jak piłka od muru. Ciasto wciśnięte do ust machinalnie gryzie bezzębnymi szczękami, okruszki wysypują się do łóżka, a mama strzepuje je na podłogę. Białe, zmierzwiłone włosy nie opadają na ramiona, ale sterczą wokół głowy jak dziwna korona. Zuzanna chciałaby porozmawiać z panią Heleną, której oczy są śpiące, choć ona nie śpi.

– Albo śpi jakoś w środku swojej głowy, prawda? – pyta Zuzia raz mamę, raz tatę, ale oni jakby nie słyszeli pytania, więc Zuzanna ustala sama ze sobą, że tak właśnie jest.

Kobiety leżące na innych łóżkach śpią chyba naprawdę i zwyczajnie, bo oczy mają zamknięte, przykryte są kocami, pod którymi niektóre zwinęły się w ciasne kulki, jak koty czy psy. Rodzice i pan Mietek cichną, nic nie mówią, nawet nie patrzą na siebie, jakby i to było zbyt głośne. Później siedzą przed jakimiś drzwiami, za którymi po kolei znikają na chwilę osoby siedzące wraz z nimi. Kiedy przychodzi kolej na nich, tata mówi, że nie wejdzie, bo lekarze go denerwują, niech mama idzie z panem Mietkiem. Później Zuzanna i tata czekają. Tata pali kolejnego papierosa.

– A dlaczego oni wszyscy są tacy dziwni? – pyta Zuzia.

– Nie wiem. Chorzy. – Tato krzywi się lekko.

– Ale na co?

– No, psychicznie. Wariaci.

Mama z panem Mietkiem wracają, nie mówią nic. Sąsiad szybko wyciąga papierosa.

– No i co? – dopytuje się tata.

– To, co zawsze. Że to tak już będzie. – Pan Mietek jest smutny, chyba chce mu się płakać. – Ona chyba już nie będzie normalna. Mnie jej tak strasznie żal. – Próbuje zaciągnąć się papierosem, ale mu się to nie udaje, chlipie jak dziecko. Tata niezgrabnie poklepuje go po ramieniu.

– To ja też zapalę. – Mama sięga drżącą ręką do kieszeni marynarki taty, znajduje papierosy i wyciąga z paczki jednego. Tata podpala papierosa, choć spotkanie drżącego papierosa z drżącym płomieniem zapalniczki nie jest łatwe. Udaje się po kilku próbach.

– To nie leczą jej? – dopytuje się dalej tata.

– Mówią, że ona jest chromiczna czy coś. Ty coś zrozumiałaś z tego, Marta?

– Ja ich nigdy za bardzo nie rozumiem, ale to coś złego, że niby leków na to nie ma i tak zostanie.

– To już nie ta schizofrenia? – pyta tata, zaciągając się głęboko papierosem.

– To chyba też wciąż ma. I jeszcze to chromiczne – wyjaśnia pan Mietek.

Idą alejkami w chłodnym powietrzu. Na ławkach siedzą ci sami ludzie co przedtem, a może tylko tak się Zuzannie wydaje, bo wszyscy mają takie same pizamy. Ktoś śpiewa wysokim, urzekającym głosem, przesnuwającym ciszę srebrnymi nitkami. Zuzia widzi w oknie budynku kobietę czeszącą włosy w promieniach zachodzącego słońca, wpadającego przez kraty chroniące otwarte szeroko okno, w którym stoi. Rodzice i pan Mietek siadają na ławce, dyskutują o czymś zawzięcie, a Zuzanna powoli zbliża się do kobiety w oknie, zafascynowana jej śpiewem. Wchodzi na niewysoki pagórek, nisko umieszczone okno jest teraz niemal na wysokości jej twarzy. Kobieta powoli czesze długie czarne włosy, poprzetykane srebrnymi pasmami. Zauważa Zuzię, milknie, przygląda się przepastnymi oczami. Zuzia próbuje się ładnie uśmiechnąć i grzecznie mówi „dzień dobry”.

– Dni nie są dobre już od dawna, dziewczynko... – Kobieta mówi cicho, ale Zuzia słyszy ją bardzo dobrze w ciszy, w której szemrzą liście drzew, głosy rodziców i sąsiada Mietka, siedzących na ławce niedaleko.

– Dlaczego?

– Mój syn i ja, i mój mąż, zgubiliśmy się we wszechświecie i nie możemy się odnaleźć. Tak strasznie się poraniliśmy... – Kobieta pokazuje zabandażowane przeguby rąk. – Czy ja się poraniłam. Nie pamiętam. Wszystko mi się poplątało... I tracę włosy. – Wyciąga przez kraty rękę ze szczotką pełną czarnych i siwych włosów, po chwili opiera głowę o kraty. Szczotka wysuwa się z jej rąk i spada na podłogę, Zuzia podnosi ją i wspinając się na palcach, podaje kobiecie.

– Dam ci coś – szepcze kobieta i wyciąga do Zuzi zaciśniętą pięść. – Daj rękę.

Zuzia zastanawia się chwilę, ale nadstawia dłoń, nad którą kobieta otwiera swoją. Zuzia przygląda się

swojej dłoni, w której nie ma nic.

– Niby nic ci nie dałam – mówi kobieta. – Niby tylko powietrze, czyli nic. Ale gdybym ci je zabrała...
– Przesuwa dłonią blisko nosa i ust Zuzi, która przez ułamek sekundy czuje, że się dusi. A może tak jej się wydaje. – Gdybym ci je zabrała, nie mogłabyś żyć. Tak samo jest z miłością. – Kobieta przesuwa dłoń blisko serca Zuzanny, która najpierw czuje jego gwałtowne uderzenie, a później bolesny skurcz. – Najbardziej boli, kiedy już jej nie ma.

Zbliża twarz do krat, wpatruje się w Zuzię źrenicami jak dwa najczarniejsze ziarenka piasku. Po chwili obejmuje dłońmi głowę i z grymasem bólu odchodzi w głąb pomieszczenia. Zuzia słyszy jej coraz głośniejszy płacz. Czeka jeszcze chwilę, płacz cichnie, może kobieta zasnęła, zmęczona. Zuzia ma nadzieję, że przyśni jej się coś dobrego, może na przykład dobry świat czy wszechświat, nie wie za bardzo, jaka jest między nimi różnica, chyba wszechświat to taki większy świat. I żeby w tym świecie/wszechświecie koniecznie odnalazła swojego syna. Schodzi z pagórka z zaciśniętą dłonią, do której zostało przelane powietrze, to niby nic. Wraca do rodziców, którzy wołają ją już kolejny raz. Chciałaby im opowiedzieć o kobiecie w oknie, ale rozgadani teraz dorośli nie dopuszczają jej do głosu.

– I ja poszłem najpierw za niom dlatego, że oczów nie móg oderwać od niej. Jak przywionzane te moje oczy za niom polecioły. Nawet jak ja by nie chcioł, to one polecioły przodem i pociongly mnie za sobom jak psa. Takie te moje oczy zrobiły sie prendkie i niesłuchajonce. Polecioły i już. – Uśmiecha się do Zuzanny, odsłaniając szerniałe zęby, a białe rżęsy pod białymi brwiami trzepoczą przy każdym słowie, jakby i teraz oczy dopełniały obrazami słowa. Okrągła głowa z kępkami białych włosów kiwa się monotennie, przytakując w rytm jego powolnej opowieści o miłości. Uśmiecha się nieśmiało, przepraszająco. Przeniknięty subtelną cichością, co chwila urywając opowieść, zasłuchany w szepty, które wypełniają mu uszy, zapatrzony w obrazy, które uwiodły jego jasne oczy. – Te moje oczyska... Co sie im stało, pani? Kiedyś mnie słuchowały, a teraz nie chcom. Jak to z nimi jest? A panine oczy słuchajom?

– Słuchają.

– To dobrze, to pani sie nie menczysz jak ja. – Wisiu i jego oczy zgodnie cieszą się, że Zuzanna ma lżej, niż mogłaby mieć, gdyby jej oczy postąpiły tak jak oczy Wisia.– Ja pierszy raz widzioł takom pienknom dziewczyne. Bardzo pienkna. Jak jaka świenta. Ja myśloł, że to tylko w kościele taka pienkność może być, że blisko Boga tylko. Ale tak, żeby po brudnej ziemi chodzić, ja myśloł, to nie. Nie widzioł nigdy takiej pienkności. A ona szła sobie drogom i nic, pewnie nawet nie myśloła o tym, że taka pienkna. Cicho sie zrobiło, jak ona przeszła, całkiem cicho...

– Trochę tej ciszy pan chyba zabrał ze sobą?

– Całom wzioł. Ja chodził za niom i zbierol tom cisze w siebie. Nie chcioł, żeby sie ubrudziła od świata, to jom zbierol, żeby ochronić przed tym brudem. – Wisiu dotknął dłonią czoła. – Tu żem schował. Zuzanna uśmiechnęła się. Przecież prześwituje, pomyślała, widzę.

– Da mi pan trochę tej ciszy?

Wisiu zastanowił się, przesunął dłonią po oczach, czołe.

– Nic z tego, ja by chcioł, ale sie przykleiła od środka. Może jak przetne czoło, to jom wyjme...

– Nie, tego proszę nie robić. Ta cisza musi zostać na swoim miejscu. Tak ma być. Ja sobie znajdę inną.

– Ale ja myślę, że ja zabrał całom i już jej nie ma na świecie...

– Jest jej jeszcze dużo, proszę się nie martwić. Wystarczy dla wszystkich.

– To dobrze. Ja swojom sobie zostawie, a pani sobie poszuka innej. Można jom znaleźć. Jak ja jom pierszy raz usłyszol, to później słyszol jej coraz wiency i wiency. I zbierol, żeby sie nie brudziła od brudu świata, bo moja ukochana była w tom cisze owinienta i jakby sie cisza ubrudziła, to ona też by była brudna. – Wisiu uśmiecha się ciepło, przymyka oczy i na chwilę nieruchomieje, zasłuchany. – Śmieje

sie... – Powieki znów ożyły drżącym trzepotem. – Śmieje sie. Pani słyszy?

– Nie, nie słyszę... – szepcze Zuzanna.

– No jak nie słyszy, takiego srebrnego śmiechu nie słyszy? – Powieki przyspieszyły. – To ja dźwięnk też zabroł? – Zaniepokoił się. – Ja tak i myślał. Bo jak ona zaczęła do mnie mówić, to zaczęło być coraz ciszej. Tylko jom było słychać. To znaczy, że ja i cisze, i dźwięnk zabroł z tego świata, a zostało to, co ona mówi...

– Nie, wszystko jest. I cisza, i dźwięk, wszystko jest w porządku...

– No jak jest, jak nie ma? Jakby wszystko było, to pani by słyszała, co trzeba. I cisze by pani usłyszała, i dźwięnk, każde jest inne, ale od razu wiadomo, co jest co, nie można sie pomylić. A pani nie słyszy. No to nie ma... – Patrzy badawczo na Zuzannę. – Ja wiem, jak jest, bo tylko jom słysze...

– A mnie? – spytała bardzo nierozsądnie Zuzanna.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy, zaskoczony, ale po sekundzie stracił zainteresowanie tym dylematem.

– Jom tylko słysze i tak jest. Tak pięknie do mnie mówi. Jak nikt nigdy do mnie nie mówił.

– Co mówi, panie Wiesławie?

– Mój kochany mówi... – Znów się zasłuchał; powtarza za słyszonym głosem z uśmiechem, podwyższając nieco ton głosu: – Najmilejszy... Jak dobrze, że cie spotkałam, jesteś mojom najwienkszym miłościom... Chce być tylko z tobom... Nigdy cie nie zostawie... Jesteś najlepszy na świecie... Jesteś najpiękniejszy... I mondry jak nikt na świecie... – Przymknął oczy.

Zuzanna przygląda się szczęśliwej twarzy, rozpromienionej w reakcji na mówione wewnątrz głowy słowa, zalewające ją łagodnością jak buzię dziecka karmionego słodkościami.

Wisiu otwiera oczy.

– Woła mnie, żeby do niej iść. Ja raz poszed i czekał pod jej domem, to znaczy domem Fronckowiaków, bo ona do nich przyjechała. Czekoł wtedy i czekał. I zabrali mnie stamtod i przywieźli tu, ścierwa jebane...

Zuzanna przerzuca kartki w teczce Wisia.

– Panie Wiesławie, bo pan na mrozie tam stał i odmroził sobie ręce i nogi. Przecież ledwie pana uratowali.

– Ja?

– Pan. Przecież ma pan bandażę na rękach i nogach, to z tego powodu właśnie...

Wisiu przygląda się tłumoczkom na dłoniach i stopach. Marszczy brwi w intensywnym namyśle. Popukał zawiniętą dłonią w dłoń.

– Nie, ja nie wiem, czemu mnie to zrobili... – Spróbował szarpnąć bandaż zębami.

Zuzanna powstrzymuje go.

– Proszę nie niszczyć opatrunku. Przecież ma pan rany.

– Jakie rany?

– Po odmrożeniu. Nic pana nie boli?

– Nic.

– Bo pan dostaje leki przeciwbólowe. Nie bolało pana, jak pan tam stał na mrozie, tak długo?

– Nie. Nic mnie nie bolało i nic mnie nie boli... – Przygląda się Zuzannie z podejrzliwą niechęcią. – Co oni mnie tu porobili, gady jedne...

Drzwi mieszkania Leny otwierają się gwałtownie i staje w nich tato. Jest pijany, chwieje się na nogach i wymachuje butelką. Chwiejnie przemieszcza się w głąb mieszkania, po drodze potyka się i siada na łóżku Lilki, zastanawiając się głośno i bełkotliwie, czy wszyscy mają w tym miejscu łóżka dla dzieciaka. Zuzia zamiera w bezruchu i jedna myśl kołacze się w jej głowie: że tato robi Lenie coś złego. Nie może

się jednak poruszyć ani wydobyć z siebie głosu. On jej nie widzi, zagrzebanej w poduszki i lalkach, wydaje się, że nie widzi też Lilki. Zebrawszy siły, podnosi się z łóżka i idzie do Leny, która stoi teraz w drzwiach łazienki, gdzie się kąpała. Włosy spływają kroplami na czerwony szlafrok, w który się zawinęła, o którym Zuzanna wie, że nie ma guzików. Lena przytrzymuje go w talii i pod szyją dłońmi, zwłaszcza pod szyją jest zmierzwiony i zwinięty z nadmiarem, jakby tu było właśnie to miejsce, którego trzeba szczególnie mocno bronić. Ruchliwe białe futerko, którym obszyte są brzegi szlafroka, faluje i drży przy każdym ruchu. Zuzia chce krzyknąć, żeby Lena uciekała. Boi się, że tato ją uderzy albo skrzyczy, albo odepchnie. Tak jak mamę. Lena jednak tylko wyciąga przed siebie prawą rękę i gdy ojciec dochodzi na odpowiednią odległość, dotyka jego ramienia paznokciem wyprostowanego palca, zatrzymując go bez trudu, mimo że dotknięcie jest bardzo lekkie. Ojciec pewnie nawet go nie poczuł przez koszulę. W twarzy Leny wcale nie ma strachu.

– Co ty, Lenka... – bełkocze ojciec głosem, jakiego Zuzanna nie zna, takim proszącym, miękkim.

– Wyjdź stąd, Zyga – mówi twardo Lena i jej głos też jest Zuzannie całkiem nieznany, właśnie z powodu tej twardości i stanowczości.

Lena wydaje się teraz wyższa niż zwykle. Stoi wyprostowana, z uniesionym podbródkiem, silna i pewna siebie.

I wtedy ktoś szarpie drzwi i wbiega mama Zuzanny. Chwilę oddycha ciężko, wisząc na drzwiach, które otworzyła z takim impetem, i wpatruje się w stojących naprzeciw siebie tych dwoje. Lena opuściła rękę, ojciec wsparł się o ścianę.

– Ty... ty... ty... – zaczyna piskliwie mama, jak porysowana płyta z piosenką o oczach. – Ty żydowska kurwo! – Na płycie mamy odnalazł się widać właściwy rowek.

Zuzanna zamyka oczy, nie chce patrzeć w twarz Leny; wie, że to, co powiedziała mama, oznacza coś bardzo złego, to znaczy wie, że „kurwa” oznacza coś bardzo złego, nie wie, co znaczy „żydowska”, pewnie jeszcze coś gorszego. Może Lena teraz się rozpłacze, a Zuzia nie chce widzieć jej łez.

– Zabierz go, Marta, zabierz. Ja go nie zapraszałam. – Głos Leny jest cichszy.

– Nie zapraszałaś, dziwko?! Pół dzielnicy złązi się do ciebie, wiadomo po co! I jeszcze mówisz, że nie zapraszasz! Jakbyś nie zapraszała, toby nie przychodzili. Burdel sobie tu założyłaś!

Burdel to też coś bardzo, bardzo złego. Słowa, które wypowiada mama, są straszne i Zuzanna, dotąd skulona, czuje, że musi się poruszyć, by jej nie przygniotły. Prostuje ścierpięte nogi i ramiona i wtedy wszyscy patrzą na nią. Przez chwilę myśli, że umiera, bo ze strachu serce przestało jej chyba bić i coś takiego jak wielki mróz, najzimniejszy śnieg, przesunęło się pod skórą.

– Co, jeszcze dziecko tu przyprowadzasz?!... – krzyczy mama, podbiegając do Zuzanny.

Szarpie ją i stawia na nogi tak gwałtownie, że Zuzanna krzyczy z bólu. Ojciec coś bełkocze i chwiejnie idzie do wyjścia, ale chybotnęło nim na ścianę i chcąc asekurować się ręką, uderza trzymaną w niej butelką, rozbijając ją.

– Kurwa! – krzyczy z wściekłością i rzuca szyjkę butelki na podłogę.

– Powinni zatłuc cię wtedy, dziwko – syczy mama w stronę Leny, która najpierw kuli się i przymyka oczy, jakby nie chciała czegoś zobaczyć, a później otwiera je szeroko, unosi dumnie głowę.

– Ale nie zatłukli, Marta, nie zatłukli... – szepcze.

Ojciec wychodzi chwiejnie, za nim matka, ciągnąc chlipiącą Zuzannę.

– Nie będziesz tam chodzić! Nie będziesz, nie będziesz! – krzyczy, gdy wchodzi do mieszkania, i próbuje ją uderzyć, ale wychodzi to nieporadnie, bo matka też płacze, przez co raczej wymachuje rękami, niż uderza, i bardziej z tej niezręczności paznokciec zahacza o prawy policzek Zuzanny, złościąc w nim krwawy ślad.

Ojciec chrapie, leżąc w poprzek łóżka.

– Zamknij się tam! – mamrocze.

Zuzanna ucieka do łazienki. Przerazona kuli się w rogu pod umywalką. Płacze, a łzy płynące po zranionym policzku powodują jeszcze większy ból, płacze więc coraz bardziej, obejmując się mocno rękami, najciaśniej, jak można, aby poczuć wyraźniej swoje odpływające, rozmazujące się wraz z rzeczywistością ciało. – „Twych przenajsłodszych pieścizot nigdy... nigdy... nigdy...” – szepcze. Taka usypiająca modlitwa, zakłęcie odganiające złe duchy czy złych ludzi, przynajmniej wściekłych ludzi, a już na pewno pijanych ludzi. Na pewno.

Kiedy obudziła się, było jej bardzo zimno i niewygodnie, wydawało się, że połowy ciała w ogóle nie ma. Zniknęło. Z pokoju rodziców dochodziły odgłosy, których Zuzanna zawsze bała się i wstydziła, gdy je słyszała. Skrzypiało ich łóżko. I jeszcze dziwne, chrapliwe oddechy, jęk, chyba z jakiegoś straszego bólu, bo taki przeciągły, jakby nie mógł się długo skończyć. Jak zwykle zatkała uszy, zawinęła głowę w ręcznik dla pewności. Sprawdziła, czy drzwi są zamknięte. Chciała później, gdy zrobiło się cicho, co usłyszała mimo ręcznika omotującego głowę, położyć go na podłodze jako namiastkę pościeli, jednak doszła do wniosku, że mama by się gniewała. Zwinęła się więc w kłębek i zasnęła.

Obudziło ją pukanie do drzwi.

– Zuza, Zuza... – woła cicho mama. – Wychodź już. Do łóżka, słyszysz?

Zuzanna wsłuchuje się w głos matki. Nie ma w nim niedawnej furii. Brzmi normalnie, jakby nic się nie stało wcześniej. A może mi się to wszystko przyśniło – myśli Zuzanna. Dlaczego więc leży na podłodze łazienki? Otwiera z wahaniem drzwi.

– Idź już do łóżka – szepcze mama; mijając ją, poprawia nerwowo włosy, rozpięty szlafrok i wiele innych drobnych niedociągnięć, które pojawiły się w jej ubraniu i ciele, niby nie wiadomo skąd.

Trudno przejść obok siebie w mikroskopijnym przedpokoju, nie spotykając się przynajmniej kątem oka. W którymś ułamku sekundy ich spojrzenia krzyżują się, pogłębiając niewygodne zawstydzenie obu.

Ojciec chrapie głośno i miarowo. Ostry zapach jego potu i trawionego alkoholu zemdlilił Zuzannę. Szybko otwiera okno i oddycha rześkim powietrzem, wyglądając w cichą, łagodną i dobrą noc, przysłaniającą bloki, ogródki pod oknami i drzewa. Następnie wsuwa się do swojego łóżka we wnęce, nakrywa się kołdrą na głowę i chłonie miękkość i ciepło swojej kryjówki.

– Nic nie wiem o żadnym... badaniu – prychnął i czubkami palców, z obrzydzeniem, przesunął kartki, które przed chwilą Zuzanna położyła na jego biurku.

– Doktor Zaniewski prosił...

– Ja tutaj zlecam badania, to znaczy normalne badania, a nie takie coś. – Machnął dłonią w stronę kartek z opinią Zuzanny.

– Chciałabym jednak przekazać informacje o tym pacjentce, bo są ważne...

– Niech pani nie żartuje. Co pani może wiedzieć.

– Jestem psychologiem.

– No właśnie... no właśnie... Co wy tu właściwie wszyscy robicie? Po co was zatrudnili? Miejsca zajmujecie w szpitalu przeznaczone dla lekarzy.

– Ja i pozostali psycholodzy, bo pewnie o nich pan mówi, zajmujemy się...

– Dziećmi by się pani lepiej zajęła, domem, po prostu, jakieś obiady by pani gotowała dla męża czy coś...

– Ten pacjent, którego badałam...

– Przesadza pani z tym badaniem. Porozmawiała sobie pani z kimś i tyle.

– Moje wnioski po badaniu są takie, że jest wyraźne tło psychologiczne objawów, które w mojej ocenie mają charakter dysocjacyjny, nie psychotyczny.

– Niech pani da spokój. Proszę to zostawić lekarzom.

– Pacjent był katowany w dzieciństwie przez ojca alkoholika, przemoc trwa do dziś, choć w mniejszym nasileniu.

– A co mnie to obchodzi, bity czy głaskany. Ma schizofrenię i tyle. Dostanie lekarstwa albo EW. Jeszcze nie zdecydowałem.

– Sprawność intelektualna powyżej przeciętnej, brak deficytów w sferze poznawczej...

– A wygląda na kretyna. Pani nie pomyliło się coś, nie pomieszało w tym... badaniu, że taki mądry wyszedł?

– W opinii wyjaśniam, jakie są przyczyny tej sytuacji.

– Taa, badanie intelektu... No, ostatecznie, możecie to robić. Macie tabele i różne takie. Jak tam na was mówili niedawno jeszcze, asystent socjalny czy jakoś? No i tyle, testy możecie robić, intelekt ocenić i wystarczy.

– Intelekt pacjenta jest sprawny, wyraźnie zaburzona jest sfera emocjonalna z powodu przemocy w rodzinie. Pacjent dekompensuje się w sytuacjach przekraczających jego możliwości przystosowawcze, pojawiają się objawy dysocjacyjne przypominające psychotyczne.

– Co to w ogóle jest, ta psychologia. Jakaś nauka o psach chyba. Jakieś psychoanalizy, frojdy srojdy jakieś...

– Zostawiam opinię. Pacjent nie jest winny temu, że mamy różne podejście do jego problemów. Do widzenia.

Kiedy zamykała za sobą drzwi, usłyszała głośnie uderzenie w nie od wewnątrz gabinetu, który opuszczała z ulgą, czując szybko bijące serce i zaciskające się, coraz bardziej suche gardło. Zaniepokojona, otworzyła zamknięte już drzwi i zajrzała do pomieszczenia. Pod drzwiami leżał pęk ciężkich szpitalnych kluczy, a w połowie drogi między ordynatorem a drzwiami jej, zwichrowana teraz, opinia. Ciekawe, czy rzucał jednocześnie, czy po kolei. Niereformowalna Dziewiątka.

Wchodząc po schodach na Szóstkę, szuka po kieszeniach kartki z nazwiskami pacjentów, a później miejsca, gdzie można usiąść z pierwszym z nich. Gabinet Adama jest pusty; poszedł, zdaje się, do sądu. Szkoda, chętnie wypiłaby z nim herbatę i opowiedziała o swojej przygodzie. Może jutro.

– To głosy były – szepnął Ciesielski, moszcząc się w chybottliwym fotelu, jakby zawstydzony, że przeżył tak niedorzeczną historię. – Nagadały mi takich bzdur... Byłem chory, to im uwierzyłem. Najgorsze, że kazały mi przejść przez całe miasto z zamkniętymi oczami. No to poszedłem. Szedłem i szedłem, mało z tego pamiętam, chyba dwa dni szedłem. Nie mogłem oczu otworzyć, głosy nie pozwalały. To tak po omacku szedłem. Że mi się nic nie stało, to cud jakiś. Jak teraz byłem na przepustce i jechałem tramwajem, to tak sobie jak przez mgłę przypominałem, że pewnie tędy musiałem iść, bo z domu od drzwi poszedłem prosto, przez ulicę, przez tory tramwajowe, tak sobie przypominałem. Pisk samochodów sobie przypominam i wrzaski ludzi, pewnie myśleli, że pijany jestem. A ja musiałem tak, bo to była kara dla mnie. Za grzechy. Tylko już nie pamiętam jakie. No, ale pani wie, bzdury się człowiekowi pieprzą, o, przepraszam, w głowie, jak go najdzie. W sumie to sam sobie jestem trochę winien, bo leki odstawiłem...

„Kiedy ranne wstają zorze”... – gruchnęło nagle zza ściany, zmiatając z ust Zuzanny kolejne pytanie. Oboje z Ciesielskim zmarszczyli brwi, wpatrując się pytająco w siebie nawzajem. Pierwszy oprzytomniał Ciesielski.

– To doktor Kohnke! – wykrzyknął.

Do potężnego kobiecego głosu dołączył męski, nieco słabszy, lecz dzielnie starający się dorównać.

– A to Czesiek Gwardzik. Rano go przywieźli. Lubię go. Doktorową też. Ale wolę, jak nie śpiewa, tylko jest normalna. Nie lubię, jak ją nachodzi to śpiewanie i całe wariactwo. No, ale już parę dni temu

wszyscy mówili, że łapie fazę.

„Jeszcze Polska nie zginęła...” – dobiegało teraz zza ściany.

Tupot na korytarzu narastał w nierównym rytmie, zmierzał do drzwi sąsiedniego pokoju z rozśpiewaną doktor Zenobią i tam się zgromadził, a następnie przeistoczył w odgłosy szarpaniny. Męski głos przekonywał:

– Pani doktor, pani sobie pośpiewa gdzie indziej, ja zaprowadzę...

– Przyszli po nich. To Józek Pieper, ten nowy pielęgniarz. Mówimy na niego Pipa. Pani go zna? To ten olbrzym. Straszna świnią. Lubi czasem przyłożyć ot tak, dla zabawy. Nawet Puńka raz kopnął. Pani sobie wyobraża?

– No i czego mi przeszkadzają w czasie hymnu? Co z was za Polacy? No, jesteście wreszcie, ruski pomocie, już przyleciałeś do prawdziwej polskiej męczennicy, co na krzyżu z hymnem na ustach ginie. Adam, to ja powinnam zostać ordynatorem, nie ty, ale boją się mnie tutaj, bo za dobra jestem.

– Wiem, Zeniu, oczywiście.

– Gdzie chcecie mnie zabrać? Precz z łapami!

– A co ty chcesz od doktorki? To już pośpiewać sobie nie wolno? Dawaj, Zenia. Jeszcze Polska! A gdzie te łapy, won mi stąd, chuju! Zenia, nie daj się. W mordę im, chujom jebanym... Spaaal żółte kormorany – rozśpiewał się ochryple Gwardzik. – Spaaal żółte kormorany...

Ciesielski zmarszczył brwi i popukał się w czoło.

– Kormorany spal! – parsknął. – Całkiem mu się pomieszało!

Zduszony krzyk atakujących i atakowanych zmieszał się w jedno. Zadrżały ściany. Hałas przemieścił się na korytarz i tam pozostał.

– Pewnie złapali się futryny – domyślił się Ciesielski. – Ja też tak nieraz robię, znaczy, jak mam ostrą fazę. Jak jestem spokojny, to nie, no, bo po co wtedy? Jak futryna jest taka wystająca i mocno powżynana, to trudno od niej oderwać człowieka. Ale musi być na czym zacisnąć palce. Jak jest taka mizerna, jak te w nowych blokach, to trudniej. No, ale tu jest porządna, z początku wieku...

Stęknęły drzwi gabinetu, w którym siedzieli Zuzanna i Ciesielski.

– O, a teraz zaparli się przy naszych drzwiach – komentował Ciesielski. – Złapali się klamki. Tej klamki można się złapać, bo ona i tak niczego nie otwiera, to tylko uchwyt. Dlatego ona jest dobra do złapania się. Tylko się wyslizguje, bo metalowa i nie za duża.

Głosy oddalały się, ale dołączały inne, podczas gdy rozśpiewana doktor Kohnke i jej obrońca przemieszczani byli szpitalnym korytarzem. Po chwili pacjenci z korytarza też śpiewali, każdy swoją pieśń.

– Więc, panie Pawle, głosów już pan nie widzi? – Zuzanna próbuje skoncentrować się i wrócić do tematu rozmowy.

– No co pani, pani psycholog, głosy się słyszy, a nie widzi – obruszył się Ciesielski. – I ja nie słyszę.

– Taki jeden narzeczony mamy, mówię ci, jaki przystojny, chce się z nami ożenić. A bogaty, mówię ci. Będziemy mieszkać w takim wielkim domu z ogrodem, tylko daleko, na drugim końcu miasta. Tramwajem to się strasznie długo jedzie. Ale ja będę tu przyjeżdżać, zobaczysz – zapewnia Lilka.

Ciepłe letnie popołudnie. Zuzia siedzi na ławce i patrzy na znajomy fotel, kanapę, krzesła, stół, szafę, kwiaty i tyle innych zaprzyjaźnionych rzeczy wynoszonych z mieszkania Leny. Ustawione na chodniku okazują się dużo mniej znane, nawet obce. Musi sobie przypominać po kolei każdą z nich, odtwarzając połączone z nimi sytuacje, a także poszukać w swoich zmysłach pamięci o nich. Zgromadziły się w ciasnym, nieregularnym kręgu jak zapomniani krewni.

Podjeżdża błyszczący samochód, który Zuzanna widziała już kilka razy wcześniej, i wysiada z niego

wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze. Wszystko w tym mężczyźnie było inne, od starannie ostrzyżonych włosów, czystych butów, po garnitur noszony w środku tygodnia. Wszedł do klatki Leny, a po jakimś czasie wyszli z niej oboje. Za nimi naburmuszona Lilka. Podeszli do samochodu mężczyzny, on jeszcze rozmawia z tymi od przeprowadzki, tłumaczy coś. Lena zobaczyła Zuzannę. Unosi rękę, porusza palcami w geście pożegnania, uśmiecha się. Zuzanna odpowiada tym samym, serce bije jej mocno i chce jej się płakać. Lena otwiera drzwiczki samochodu, ale zatrzymuje się, jakby coś jej się jeszcze przypomniało. Szuka czegoś w torebce, idąc w kierunku Zuzanny, po chwili wyjmuje lakowe pudełko z pudrem.

– To na pamiątkę. Taka miła i mądra z ciebie dziewczynka. Uśmiechnij się i czasem o mnie pomyśl.

Zuzanna uśmiecha się niepewnie. Pudełko skrzy się w słońcu kwietną inkrustacją, aż trzeba zmrużyć oczy.

– Wyjeżdża pani na zawsze?

– Mam nadzieję, kochanie! – Lena śmieje się, wicherzy grzywkę Zuzanny i odchodzi tanecznym krokiem do samochodu. Sukienka oplątuje jej nogi w szpilkach, które stukają o płyty chodnika, rude włosy poruszają się w rytm kroków. Wsiada do błyszczącego samochodu i odjeżdża na zawsze, tak jak chciała.

Zuzanna otwiera powoli lakowe pudełko, wsłuchując się w znajomy pisk. Wiatr porywa trochę jasnego pyłu i rzuca jej w twarz. Zuzanna uśmiecha się, bo to ją łaskocze, zupełnie, jakby Lena nanosiła na jej skórę swoje tajemnicze specyfiki. Rozochocony wiatr znów kradnie trochę pudru, więc Zuzanna zamyka ostrożnie pudełko i biegnie do domu. Drzwi mieszkania otwierają się gwałtownie, zanim dotknęła klamki.

– Daj mi to! – Mama szarpie pudełko, które jednak wymyka się z jej ręki i toczy po podłodze do mieszkania, gdzie trafia w nogę krzesła, na którym siedzi ojciec czytający gazetę, i się zatrzymuje.

– Co to? – mruczy ojciec, wyglądając zza gazety.

– Nic. – Matka podbiega i podnosi pudełko. Rzuca Zuzannie złe spojrzenie i wychodzi do kuchni.

Zuzanna kładzie się na łóżku i zamyka oczy. Wszystkie tajemnicze, a później oswojone przedmioty, zdarzenia, zapachy, słowa i ludzie z mieszkania Leny i Lilki zniknęły. Może ich nigdy nie było.

Okrywa się swetrem i kieruje rozgrzane słońeczko na siebie, licząc na trochę przynajmniej ciepła. Mimo wszystko jest tu lepiej niż w klatce, gdzie zmarzniętymi rękami nie mogła pisać na maszynie. Tutaj chyba się da, ma jeszcze sporo czasu, zanim Jeremi i dziewczyny wrócą z obchodu, na który nie poszła, obiecując sobie, że uporządkuje notatki i przejrzy te akta i to będzie dobry wstęp do pisania opinii, którą już dawno powinna skończyć. A przynajmniej zacząć.

Czy Bogusia mogła zabić? Mieć imię tak miękkie, tak kobiece, waniliowo pachnące, szarlotkowo i bożonarodzeniowo. Mieć tak piękne stopy z kształtnymi palcami, prawdziwa rzadkość u kobiet ze wsi. Delikatne paznokcie pomalowane były krwistoczerwymi. Nogi Bogusi były delikatnie opalone w wyniku wielokrotnego nienachalnego kontaktu ze słońcem, jeszcze w październiku dość intensywnym. Nogi w rozkładanych klapkach niepotrafiących zepsuć ich urody, od niechcienia oparte na poprzeczce sąsiedniego krzesła, bez kokieterii oparte, tak po prostu, żeby było im wygodnie. Nieświadome swej urody, piękne same dla siebie. Może takie nogi miałoby dziecko, które Bogusia zabiła, tak po prostu i zwyczajnie, bo Bogusia cała jest prosta i zwyczajna. Tylko nogi są z innego świata.

– Ja kocham dzieci. Moje maleństwa kochane, co one tam teraz robią? – W oczach Bogusi zakręciły się łzy.

Twarz Bogusi, bardzo bogusiowata, nie pasowała do wykwintnych nóg z krwistoczerwymi paznokciami. Bogusia uśmiechała się przez łzy na wspomnienie swych trojga dzieci, za którymi tęskniła. Tego czwartego nie było, więc za nim Bogusia nie tęskni, ono jej nie interesuje, bo jego nie było od

samego początku.

Niedorozwój w stopniu lekkim może trochę wyjaśnia – nie umiała przewidzieć konsekwencji niektórych swoich działań, była tak mało sprytna, nie potrafiła też porządnie kłamać, bronić się czy atakować, czy cokolwiek porządnie ukryć. Ani ciąży, ani kochanka, ani śladów, które powinna usunąć dokładniej. Nie tak po łebkach, jak to zrobiła. Mąż zeznał, że zawsze była niechlujna. Więc gdy podcinała gardło dopiero co urodzonemu dziecku, krew poplamiała podłogę, ściany, no i pewnie dziesięć kropli spadło na jej stopy, barwiąc paznokcie na rubinowo.

– A, tak jakoś za szybko to zrobiłam – zwierzała się Zuzannie. – Bo ja taka gapa jestem. Mój mąż tak mówi – dodawała, usprawiedliwiając swoje byle jakie sprzątanie po byle jakim morderstwie. Morderstwo? – pytała zdziwiona. Nie, ja nie jestem morderczyni, ja tylko nie mogłam urodzić. Co by mój chłop powiedział? To przecież nie jego było.

Bo Bogusia miała kochanka.

– I nie wyżywiłabym już następnego. – Bogusia nie precyzowała, że dziecka.

Nie ma dziecka, nie ma morderczyni dziecka. Ale jest podejrzenie o morderstwo, bo jest mąż, który jej nie oszczędza, nie kryje, ale zgłasza na policję, że według niego była w ciąży i urodziła dziecko, które później zabiła. Bo on widział zakrwawione ubrania, widział krew w łazience, bo żona nie umie sprzątać, jest nieuważna. To nie było jego dziecko, dodaje, żona miała kochanka, on jest tego pewien. I z tamtym zaszała. Z nim, ślubnym mężem, na pewno nie, nie chciała z nim współżyć już od dawna, bo go nie chce. Chciała innego. Tak, jemu było przykro z tego powodu, ale jak kobieta nie chce, to nie, nie będzie zmuszał przecież. Też zamierzał kogoś sobie znaleźć. Nie znalazł. Więc obserwował ją od pewnego czasu, od kilku miesięcy, i domyślał się, że ona jest w ciąży. Trochę podglądał, trochę pokojarzył fakty – na przykład, że nie używa podpasek, a przecież kiedyś, kilka miesięcy wcześniej, to tak. A ostatnio podpaski nie były używane, nawet trochę się ta nierozpakowana paczka przykurzyła. Więc on to obserwował i myślał. Że ona chodzi w takich luźnych ubraniach. Że kilka razy wymiotowała. Że ma taki dziwny pas, którym obwiązuje brzuch. „Więc jak zobaczyłem tej krwi tyle w łazience, to domyśliłem się, że mogła zabić, bo jak spytałem, co się stało, powiedziała, że okres dostała. To ja jej kazałem rozebrać się i przyjrzałem się piersiom – były twarde, i jak dotknąłem, nacisnąłem, to wydobywał się z nich płyn. I jeszcze kazałem zdjąć majtki, najpierw nie chciała, ale w końcu się zgodziła, spojrzałem między nogi, dotknąłem nawet, ale nie zauważyłem niczego podejrzanego. Choć nie wiem, czego się spodziewałem, jakich śladów. Czegoś innego niż było, ale wszystko było zwyczajnie”.

Może jednak jest możliwe wyrzucenie tych akt, notatek, obrazów, które przyczepiły się do oczu. Może możliwe jest uniknięcie pisania tej opinii. A może przynajmniej trochę pomoże herbata i słodka bułka, może będzie jadła powoli, bardzo powoli, wróci Jeremi z dziewczynami, okaże się, że nie ma tu miejsca na pisanie opinii, a w klitce panują syberyjskie mrozy, które będą trzymać do wiosny, i w ten sprytny sposób nie dojdzie w ogóle do pisania tej zbyt strasznej opowieści. Kto wie, może to realny plan? Więc uzupełni notatki w teczkach kilku pacjentek, żeby zapomnieć choć trochę o tamtym, a teraz zje bułkę i wypije herbatę. Lub kawę. Na pewno nie będzie palić.

Kolejny raz dzwoni telefon i Zuzanna szybko przełyka kęs słodkiej bułki z makiem. Spróbuje odebrać ten telefon, mimo że w jednej dłoni ma bułkę lukrującą jej palce, a w drugiej szklankę z gorącą herbatą. Może to jakaś bardzo ważna sprawa, może ktoś z sądu, kto powie jej, że ta opinia wcale nie jest potrzebna, bo przecież to wszystko nieprawda. Matki nie zabijają swoich dzieci, kochają je ponad życie i nigdy nie robią im krzywdy, więc to wszystko przez durną sekretarkę, która akurat czytała nieprawdopodobny horror i pomyliła kartki. Dzwonią właśnie, żeby jej to powiedzieć i wszystko odwołać.

– Słucham – bełkocze do słuchawki na zbyt krótkim, poprzecieranym gdzieniegdzie aż do kolorowych

przewodów, zawsze poplątany sznurze.

– Z Jeremim – rozkazuje męski głos w słuchawce.

Zuzanna nie zna tego głosu, nie kojarzy z nikim, kto mógłby tak obcesowo zażyczyć sobie rozmowy z Jeremim. Zastanawia się chwilę i pyta:

– A kto mówi?

– Śnieg mówi – odpowiada zniecierpliwiony głos.

Zuzanna spogląda zdezorientowana przez okno. Biały śnieg leży, jak leżał, na trawniku i drzewach, nie mówi. Milczy chłodno.

– No, długo będę czekał?

W drzwiach staje Jeremi i Zuzanna wyciąga do niego słuchawkę.

– Kto? – pyta cicho Jeremi.

Zuzanna wzrusza ramionami.

– Śnieg.

Jeremi nie dziwi się.

– Witam – mówi w słuchawkę i próbuje zmieścić się w swoim zdezelowanym fotelu. Słucha w milczeniu, kiwając głową. Do Zuzanny dociera podniesiony głos przebijający się przez ebonit aparatu.

Drzwi gabinetu otwierają się gwałtownie i wpada gruba pielęgniarka z Dziesiątki.

– Jeremi! Ty gadasz przez telefon, a tam..

Jeremi podnosi rękę w królewskim geście, uciszając podekscytowaną kobietę.

– Rozumiem, rozumiem – mówi spokojnie. – To ja może wejść do pana i porozmawiamy. Gdzie pan jest? Aha. To ja podejść pod okno i wtedy pan będzie wiedział, że to ja i pan mi otworzy, tak? No nie, nie będę wchodził przez okno, nie dam rady, za wysoko. Wolałbym drzwiami. Znakomicie, to ja już idę.

– Ze Śniegiem rozmawiałeś? – pyta gruba pielęgniarka, wciąż zdyszana.

– No. Co tam się dzieje?

– Wyobraźcie sobie, wskoczył do gabinetu szefa i zabarykadował się od środka. Dopiął się do telefonu i dzwoni w różne miejsca. Gada i gada. Z policją gada, z dyrektorem gada... naszym dyrektorem. Z sądem gada i opieprza ich jak beczkę od smoły za swoje niby-krzywdy, i gdzieś tam jeszcze wydzwania... – Rozgląda się wokół, szczególnie że pojawiły się już Maria i Ania, zaalarmowane widać wiadomością. – No i powiedział, że tylko z tobą będzie mówił. No, więc dzwonimy do ciebie, a tu zajęte cały czas. Dyżurka też zajęta. No to przyleciałam po ciebie. Chyba trzeba odciąć ten telefon, ale jak? On tam ma przed nosem spis wszystkich ważnych telefonów i będzie tak dzwonił pół dnia.

– A co wam to przeszkadza? Niech sobie pogada.

– Ale on nasłał policję na tę swoją byłą żonę, co go wpakowała na leczenie.

– Widać nie był zadowolony z jej pomysłu. – Jeremi wzruszył ramionami z łobuzerskim uśmieszkiem.

– No nie, czy ty nie pamiętasz, co on wyczyniał w ostrej fazie? Co ta kobita miała zrobić. Czekać, aż jej łeb ukreści?

– No nie wiem, czy ona nie byłaby szybsza... – mruczy Jeremi.

– Nie dziwota, że on tylko z tobą chce gadać – sapie pielęgniarka, a Maria z Anką zaśmiewają się w drzwiach.

Wiedziała – i nie wiedziała wcale, że tak będzie. Przeczuwała – i zupełnie nie była świadoma, że to nastąpi. Jak wybuch, którego energia zbiera się niezauważalnie i podstępnie. A jednak otwarcie i zuchwale w spojrzeniach, w słowach, które czuje się bardziej, niż rozumie, że są podwójne, potrójne. W gestach. Ale w spojrzeniach chyba najbardziej. Szczególnie gdy za dużo wypili, siedząc godzinami przed blokiem na ławkach, przy skleconym przez nich do tego celu stoliku, wygodnie i przemyślnie

usadowionym pod coraz większym klonem. Najgorzej było w czasie przyjęć rodzinnych, kiedy co chwila któryś przygarniał ją silną ręką, którą czuła niemal od razu na piersiach, na pośladkach, po których ją ten czy inny klepał, mówiąc z rozrzewnieniem – tym pijackim rozrzewnieniem, którego nienawidziła – o dzieciach rosnących zbyt szybko i nie wiadomo kiedy. I że przecież nie ma się z czym kryć, dlatego robi to przy tych wszystkich ludziach, tak ją przyciąga do siebie, tak po ojcowsku. „No przytul się wreszcie do swojego starego wujka”, dodawał ten i ów, wcale nie wujek. Goście i rodzice śmiali się i pili następną kolejkę, „wujkowie” oblizywali się łakomie. Jej ciało kamieniało, nie potrafiła wydobyć głosu, szukała jeszcze ratunku w oczach matki, ale nie znajdowała go tam. „Dzieci rosną, człowiek się starzeje... Tak, tak, to już teraz kobita, teraz trzeba uważać na nią jeszcze bardziej... Człowiek zawsze ma problemy z dziećmi, małe dzieci – mały kłopot, duże dzieci – duży kłopot, a duża dziewczyna to fura kłopotów” – bełkotali, przesuwając spojrzenia od jej ramion w dół, a później z powrotem. I Zuzanna czuła się rozbierana strzep po strzepie ubrania, jej ciało było oglądane i dotykane bez przeszkód i mimo jej woli poddawane badaniom i ciekawskim dłoniom, opisywane, komentowane.

„Zuza, moja Zuzaaa, tylko ty nikomu nic, to będzie ci ze mną dobrze. Będziesz moją królową. Zawsze byłaś, ślicznotko...”. Zuzanna nie chce być jego królową. Nie mówi mu tego, nie mówi nic, leży z zamkniętymi oczami, zaciśniętymi z całej mocy, czeka, aż będzie mogła się podnieść. Kiedy on wreszcie ją puszcza, wstaje, czując krew płynącą po nogach. Wujek – nie, żaden wujek, Mundek, kompan ojca, zawsze odnajdujący się przy nim, gdy pojawiał się alkohol, sąsiad z bloku obok – patrzy na nią ze zdziwieniem. „Więc jednak byłaś dziewczicą”, mruczy. Może nawet z triumfem i dumą uśmiechając się przy tym. „Nie bardzo czułem, tak się rozkochałem w tobie, zresztą takie młode dziewczyny są węższe – dodaje na usprawiedliwienie. – Bo wiesz, ja myślałem, że ty już dawno... Tak wychodziłaś często. No, popatrz, rozdziewiczyłem cię. Jednak ja, a nie jakiś chłystek z tych, co łazili z tobą, wkurzali mnie tylko” – kończy podniesionym tonem. A Zuzanna nie może sobie przypomnieć, od jakiego właściwie imienia jest to zdrobnienie. Mundek, czyli...

To stało się zbyt szybko. Wujek Mundek... Nie, żaden wujek przecież. Kto to właściwie jest? Przyszedł, ledwie wyszła mama. Ojciec bardzo się ucieszył na jego widok, a szczególnie na widok butelki w jego dłoni. Kiedy siedząca przy biurku Zuzanna odwróciła się, czując wzrok na swoich plecach, od razu napotkała tamto spojrzenie. Ale Mundek, a przede wszystkim jego oczy, towarzyszył jej już od dawna. Czasem wydawało jej się, że czeka na nią na ławce, gdy wracała ze szkoły, gdy wychodziła do sklepu, do koleżanki. Patrzył. Bardzo rzadko coś mówił. Wczoraj powiedział wyjątkowo dużo, ale z jakąś złością: „Co ty myślisz, że takie porozcinane spódnice będziesz nosić?”. Wzruszyła ramionami i pobiegła dalej, do koleżanki, z którą miały uczyć się do klasówki. Kiedy wracała wieczorem, wciąż tam siedział. „Zmarzniesz w końcu w takiej sukienusi, cipka ci zmarznie” – powiedział; uśmiechnął się i mrugnął do Zuzanny. On jest pijany, pomyślała. Mundek zawsze jest albo pijany, albo po prostu głupi, mówiła często mama. Kiedyś Zuzanna weszła do kuchni i zobaczyła mamę wyłuskującą się z jego rąk. „Głupi”, powiedziała wtedy, widząc zdziwione oczy zaskoczonej Zuzi. Wcześniej on i mama byli jakoś tak sklejeni ze sobą. „Pijany albo głupi, z nim tak zawsze”, mruknęła mama, mijając znieruchomiałą Zuzię, a Mundek roześmiał się chrapliwie. I spojrzawszy na Zuzię, pogłaskał ją po głowie. Jakoś tak za wolno. Za mocno. „Spodobałoby ci się”, powiedział. Nie zrozumiała. No ale przecież pijany lub głupi, co tu rozumieć. To chyba tak, jak ta Waleria z sąsiedniego bloku, znaczy głupia. Ale jednak nie, to jakoś inaczej z tym wujkiem nie wujkiem Mundkiem. Bo przecież wrócił zaraz do stołu i siedział obok mamy, i śmiał się, i mama się śmiała. I wszyscy się śmiali razem z nimi. Może to od tego czasu Mundek zaczął przyglądać się Zuzannie. Miała wtedy chyba trzynaście lat, a Edmund, czy jakoś tak... Nie, nie Edmund. Dlaczego Mundek?

Zuzanna idzie do łazienki, przez cały pokój, po puszystym dywanie w kwietne wzory. Czuje miękki ból

w podszewkach stóp, jakby biegła gdzieś jeszcze chwilę temu. Dlaczego nawet stopy ją bolą? Może jednak wyrwała mu się i biegła? Bardzo chciała to zrobić, może więc jednak mu uciekła. Ogląda się – nie, on jest, leży na wersalce i przygląda jej się zmrużonymi oczami; widząc jej spojrzenie, posyła całusa; wacha przedtem czubki swoich palców i mówi: „Pachną tobą”. Zuzanna czuje mdłości, przypomina sobie jego szorstkie palce wciskające się między jej nogi, których nie dało się zacisnąć. Pod skórą przesuwa się powoli coś jak wielki mróz, najzimniejszy śnieg. Tak z dołu do góry, od stóp do głowy. Osadza się w oczach, to pewnie przez to powieki są stężałe, nieruchomieją zamarznęte. Ale przecież musi się poruszyć. Więc próbuje.

O bólu wie dywan, tylko dywan, i próbuje pomóc, gładząc jej zmęczone stopy. Sukienka trzymana końcami palców wlecze się za nią, bo kiedy ją chwyciła, on dotknął jej dłoni i poprosił: „Nie ubieraj się, jesteś taka ładna”. Idzie więc naga i przypominają jej się zdjęcia nagich więźniarek obozu koncentracyjnego idących do łaźni. To samo pochylenie ramion, które i tak niczego nie ukryją, przed niczym nie uchronią. Są bezużyteczne. Obolałe ciało daje o sobie znać przy każdym ruchu. Droga do łazienki trwa strasznie długo, wcześniej tego nie wiedziała.

Ojciec, kiedy zobaczył butelkę, powiedział niepewnie, że niedługo idzie do pracy.

– Przecież razem idziemy, Zyga, jeszcze jest trochę czasu. Tylko nie wiem, czy nam wystarczy, bo to taka resztką jest, a chciałem się napić przed robotą. To pomyślałem o tobie, Zyga. Ale jak nam będzie mało, to się skoczy na metę, nie?

– No jasne, chłopie!

– A ty, Zuzka, później dzisiaj idziesz, nie? – spytał z troską Mundeck.

– Tak jakby – burknęła Zuzanna, przeczuwając, że ciężko jej będzie się uczyć z dwoma pijakami za ścianą.

– Jak się odzywasz do mojego przyjaciela, gówniaro – warknął ojciec.

– Daj spokój dziewczynie. Uczyć się chce, mądra chce być, żeby jej jakiś matoł za wcześnie dziecka nie zrobił. Nie, Zuza?

Nie odpowiedziała. Czowała już ten ohydny zapach papierosów i alkoholu. Otworzyła okno, zasłoniła uszy dłońmi i spróbowała skoncentrować się na książkach. Dalekie głosy stały się tłem. Ocknęła się, gdy ojciec szarpnął ją za ramię.

– Pożycz mi kasę.

– Nie masz, Zyga? Ja ci dam. – Mundeck otworzył portfel.

– No dobra – zgodził się od razu ojciec. – Ty dajesz kasę, a ja lecę na metę.

– Tylko wiesz, trzeba dalej, bo ta tutaj już nie działa. Ja ci to wszystko narysuję. Daj kartkę, Zuza.

Rysuje trasę, która nie podoba się ojcu.

– Cholera, kawał drogi.

– Dasz radę, chłopie. Leć.

Zuzanna wraca do książek, ale po chwili słyszy, że wujek nie wujek zamyka drzwi wejściowe na klucz. Wszedł do pokoju i podszedł do okna.

– Uczysz się i uczysz – mruknął i zamknął okno.

Zdziwiło ją, że tak się szarogęsi. Jakby był u siebie. Zamyka drzwi, okna, wysyła ojca. W następnej chwili było już za późno.

W łazience próbuje zmyć z siebie ohydny zapach. Ten ostry, przenikliwy zapach, który czuła też od innych mężczyzn, ale u niego był szczególnie wyraźny, gęsty. Przymyka oczy i odtwarza poszczególne obrazy ostatnich dni i tygodni związane z jego osobą, ułożone teraz porządnie, jak kostki domina, zależne jedna od drugiej. Ostatnią dołączono kilka chwil temu.

Nie domyje się, to nie jest możliwe. Musi w końcu wyjść z tej łazienki, spod wody, spod piany

mydlanej, musi wyjść i żyć dalej, z nim wewnątrz swojego ciała już na zawsze.

Wciąż krwawi. W zapachu tej krwi jest domieszka czegoś, czego dotąd tam nie było. Ten zapach jest mdlący, obcy. Na pewno jest w ciąży. Na pewno.

– Zuzo, wychodź, ja też się muszę opłukać, do pracy idę – pokrzykuje radośnie Mundek, pukając w drzwi.

Więc wychodzi. Kiedy mijają się w wąskim przedpokoju, klepie ją po pupie. Coś mówi, ale Zuzanna mija go, nie rozumie słów. Może jednak to wszystko nieprawda. Może jest jeszcze czas, żeby to skasować, wymazać. Może to jeszcze zniknie. Słyszy za sobą jego radosny głos, ale wciąż nie rozumie słów. Idzie do swojej części mieszkania, podchodzi do okna i patrzy na znany krajobraz – czy on w ogóle istnieje? Dzwoni dzwonek, więc idzie otworzyć. Zdyszany ojciec wpada do przedpokoju.

– A gdzie Mundek?

– W łazience. Niech on sobie idzie – szepcze Zuzanna i próbuje odnaleźć oczy ojca, ale one są rozbiegane, pijane, dalsze niż Antarktyda. – Tato, niech on sobie idzie. Tato, nie pozwól mu... – szepcze cichutko, zbyt cicho.

– Co cię naszło. Co od niego chcesz? Jak matka, też o wszystko zawsze pretensje...

Mundek wychodzi z łazienki zadowolony i uśmiechnięty, przygląda się jej chwilę, co Zuzanna widzi kątem oka. Próbuje ją objąć, ale ona strąca jego rękę z ramienia. Obaj z ojcem śmieją się.

– Ostrą masz córkę, Zyg. I piękna, i niedotykalska, no skarb po prostu.

Ojciec przygląda się jej, ale zaraz traci zainteresowanie.

– Mundek, tam nie ma żadnej mety. Łaziłem, szukałem, nic. Zły adres mi dałeś.

– Niemożliwe, kupowałem tam z miesiąc temu dobrą wódkę. Coś musiałeś pokręcić, stary. Dobra, napijemy się po robocie.

– Przygotuj mi kanapki – mówi ojciec do Zuzanny. – I dla Mundka też. Bo my jesteśmy takie fajne chłopaki, co teraz idą do roboty!

Śmieją się obaj, ciasny przedpokój wypełnia się ich zapachem. Zuzo czuje mdłości, wycofuje się do kuchni, szarpie okno i w świeżym powietrzu gwałtownie oddycha. Potem powoli kroci chleb na grube pajdy, smaruje masłem, wrzuca wędlinę, zawija w szeleszczący papier. Nie patrząc, podaje ojcu zawiniątko.

– Dziękuję ci bardzo, Zuzka. Zupełnie jakbyś była moją żoną – mówi Mundek, rechocząc.

Kiedy wychodzą, Zuzanna zamyka drzwi na zamek i słucha, jak zbiegają po schodach, pogwizdując i śmiejąc się. Stoi nieruchomo w przedpokoju, jak zastygła na linii startu biegaczka, napięta do granic, do bólu, gotowa do biegu, czekająca na wystrzał z pistoletu. I gdy pistolet wypala trzaśnięciem drzwi na dole – rusza. Pakuje kilka rzeczy, które wpadają w ręce bardziej przez przypadek niż namysł konieczny przy podróży. Z pudełka schowanego w najgłębszym kącie szafy wysypuje do papierowej torebki oszczędności, zastanawiając się, na jak długo starczą. Starannie opasuje torebkę gumką recepturką i wrzuca do torby swój jedyny majątek. Śpieszy się, bo przecież oni w każdej chwili mogą wrócić. Niby poszli, ale wrócić mogą zawsze. Na przykład okaże się, że fabryka jest dzisiaj zamknięta. Wtedy na pewno wróciliby tutaj pić dalej. Trzeba się śpieszyć. Jeszcze Jimi Hendrix, nie zostawi go przecież. Obudzony ze snu, dezorientowany i niezadowolony, próbuje bronić się nieudolnie, ale w końcu udaje się włożyć go do wewnętrznej kieszeni kurtki, gdzie zasypia, cicho posapując.

Zbiegając po schodach, przypomina sobie wreszcie: Rajmund.

– Ja jestem w szpitalu już trzeci raz, ale lecę się od dwudziestu, u doktora Lasockiego, pewnie pani zna, on też tu pracuje. Tylko to leczenie nie przynosi rezultatu. Bo smutek wciąż jest. A doktor obiecał, że nie będzie. I teraz mówi się o dystymii, bo podobno żeby to miała być depresja nawracająca, którą

rozpoznawano wcześniej, to muszą być okresy bez depresji. A u mnie tak nie jest. Od lat tylko depresja, bez przerw.

Czy ja z czymś łączę swoje złe samopoczucie? Z niczym. Nie ma przyczyny. Nie ma żadnej przyczyny. Ta depresja pojawiła się jakieś dwadzieścia parę lat temu, wtedy nie wiedziałam, co to jest. Czułam się tak źle, że o samobójstwie zaczęłam myśleć. Dzieci się wystraszyły, zaprowadziły mnie do doktora i on zaczął leczenie lekami. Trochę pomagały na początku, później już nie. Lekarze mówią, że jestem oporna na leki, podali mi chyba wszystkie, jakie były dostępne przez te lata. Nawet sprowadzałam leki z zagranicy, przez rodzinę.

Czy byłam u psychologa kiedykolwiek? Nie, lekarze uważali, że to nie jest mi potrzebne. Po co mi psycholog? – Przygląda się Zuzannie życzliwie, jak miłej dziewczynce, choć dzieli je ledwie dwadzieścia lat. To nie jest przepaść. To da się łatwo i bez wysiłku przeskoczyć, właściwie przekroczyć jednym kroczkiem. – Ja myślę, że jak mam żyć tak długo jak moi rodzice, co mają ponad dziewięćdziesiąt lat, to cieszę się z jednej strony, że tak dobre geny odziedziczyłam, ale z drugiej strony, jeśli moja depresja ma trwać jeszcze trzydzieści lat, to nie ma się z czego cieszyć. Może to przekleństwo, a nie dar? Już nie myślę o samobójstwie, czasem tylko, że może lepiej byłoby nie żyć. Ale życia chyba sobie nie odbiorę, bo to grzech. No i jak przeżyłyby to dzieci i wnuki? Nie mogę zrobić im czegoś takiego.

Z dziećmi wszystko dobrze, dorosłe są, mają rodziny. Są wnuki, dwoje, trzeci wnuk urodzi się za pięć miesięcy. Wszystko jest dobrze w moim życiu, pani psycholog. Nie ma powodu do smutku. No, bo czym mam się smucić?

Czym smuciłam się najbardziej w życiu? Chyba niczym, właściwie. Wielu smutków nie miałam. Dobre życie mi się trafiło. Dosyć dobre. Jestem rozwiedziona, od wielu lat. Już to nie ma znaczenia, ten rozwód...

No tak, wtedy to trochę przeżyłam, ale nie żeby urządzić jakieś histerie czy coś, bo mąż odszedł do innej kobiety. Zostawił mnie z dziećmi, okropnie postąpił. Bardzo zawiódł. Mnie i dzieci. Nie spodziewałam się tego po nim, tworzyliśmy dobre małżeństwo, dobrą rodzinę, a okazało się, że on to zostawił i poszedł. Ale po co do tego wracać, to taka daleka przeszłość. To już nie ma żadnego znaczenia. Przebolane.

Jak bolało? Czy ja wiem... To raczej zaskoczenie było. Musiałam wszystkim zająć się sama, wszystkie domowe sprawy spadły na mnie. Rachunki, zarobienie na te rachunki, wszystkie decyzje... Jeśli czuję coś w tej sprawie, to wciąż tamto zdziwienie.

A to ważne, co ja czułam do niego dwadzieścia lat temu? I trzydzieści? I czterdzieści? Nie, to nieważne. Ale jak pani pyta... Ja tańczyć z nim najbardziej lubiłam. Ale to było jakieś czterdzieści parę lat temu, kiedy się poznaliśmy. Na dancingu. Koleżanka mnie wyciągnęła wtedy, bo ja bardzo lubiłam tańczyć. I on mnie poprosił, i jak tylko daliśmy kilka kroków na parkiecie, wiedziałam, że on będzie ze mną. Z nikim tak mi się nie tańczyło. Wyszliśmy stamtąd rano. Ale to ma jakieś znaczenie, tamten dancing i nasze wspólne tańcowanie tak dawno temu? Ciekawe...

Czy mi brakuje tego tańczenia z nim? Nawet pani nie wie, jak bardzo. Mnie się śni, że tańczymy. Wciąż mi się śni.

Co wtedy czuję? Co pani tak wciąż mnie pyta, co czuję, co czułam? Po co to? To wszystko jest zamierzczłą przeszłością. Nie ma znaczenia. A czuję, jak już pani taka ciekawa, że frunę nad ziemią. Zawsze tak się czułam, kiedy z nim tańczyłam. Tylko we śnie frunę wyżej. Dużo wyżej.

Co czuję, kiedy się budzę z takiego snu? Pani znowu swoje. No dobrze. Płaczę. Dlaczego? No, że to był sen. Tylko sen. Że jego już nie ma, że nie zatańczę. Że stara jestem. Z kimś innym tak zatańczyć? To nie jest możliwe. Nikt inny tak nie tańczył. Tylko on. Sprawdzałam.

No, on umarł, nie nacieszyli się długo sobą. To myślę, że jest jakaś sprawiedliwość boska, nie? Że nie

byli długo ze sobą. Tylko pięć lat. Niecałe. I umarł. On umarł, tak, tak. I myślę, że jeśli spotkamy się kiedyś gdzieś tam, w jakichś zaświatach czy coś, to ja odwrócę głowę i będę udawała, że go nie widzę. Nie będę się przecież poniżać. Żeby sobie czasem nie pomyślał, że mi zależy czy coś.

Pewnie, że to ważne. Nie pokażę mu przecież, że on mnie w ogóle obchodzi. No bo nie obchodzi i kropka. Zresztą, kiedy go widziałam z balkonu, jak idzie do tej zdziiry, to też się chowałam za firankę, żeby mnie nie zauważył. Bo ona mieszkała niedaleko, widziałam z balkonu jej blok...

Co czułam, oczywiście... No, tak nieprzyjemnie czułam. Że się dobrze bawią, a ja wciąż za tą firanką i czekam, aż on może gdzieś się pokaże i zobaczę go. Ale to głupie było, Boże, jakie głupie... Po co o tym mówić po tylu latach. To bez sensu.

No, na raka umarł. Raka jąder. To musi być ręka boska w tym, że tak właśnie go pokarało, nie? Bardziej już nie mogło być sprawiedliwie. I ja wszystkie listy jego podarłam. I fotografie. Ale dzieci niektóre uratowały. Nie wiem po co. Bo po co mi go widzieć? Tylko mnie denerwuje tymi oczami. Bo ja pamiętam, jak je mrużył i się uśmiechał, taki zadowolony, kiedy stał w drzwiach i mówił, że odchodzi. A ja się osunęłam po tych drzwiach, framudze znaczy, kiedy wyszedł. Trzymałam się tak długo, aż usłyszałam, jak trzasnęły drzwi na klatce. Bo on zawsze bardzo trzaskał drzwiami na klatce, kiedy wychodził albo wchodził. Zawsze wiedziałam, że idzie albo że wyszedł. Tylko sąsiedzi początkowo zwracali uwagę. Ale później przyzwyczaili się. No i tak zostało.

Co ja do niego czułam? Pojęcia nie mam. To prehistoria. Nie, ja już go nie kocham. Skąd ten pomysł? Kiedyś tak, ale jak odszedł, to nie. Skończyła się miłość. Musiałam zarobić na dzieci, na siebie. Biegałam z roboty do roboty. Bo ja jestem księgową. Nic od niego nie chciałam... No, faktycznie trochę się zacięłam wtedy. Do kiedy się zacięłam? No, nie wiem... Czy dzisiaj jeszcze jestem wciąż zacięta? Nie. Chyba nie. To byłoby ważne, z tym zacięciem? To ja jeszcze pomyślę. A kiedy on poszedł sobie do tej kurwy, to ja nic nie czułam, tylko pomyślałam, że będę musiała wziąć dodatkową pracę, bo mi nie starczy pieniędzy na życie. Dzieci były w liceum, jedno miało maturę...

A co niby miałam poczuć? Poszedł, to poszedł. Nawet nie pamiętam za bardzo, jak to było. Nic nie pamiętam... Stał w przedpokoju, jak jakiś obcy. Miętosił czapkę w rękach, a dłonie miał sine od mrozu, bo to była taka mroźna zima, i powiedział, żebym go spakowała, bo odchodzi. Ja zaczęłam się śmiać, myślałam, że może jest pijany, ale był trzeźwy. To przestałam się śmiać, zresztą nikt się nie śmiał, dzieci stały jak wryte.

Nie, nic więcej nie pamiętam, żadnych szczegółów, kto by to nosił w głowie przez tyle lat... Woda ściekała z jego butów i na chodniku, takim czerwonym, co miałam wtedy w przedpokoju, robiła się coraz większa plama i ja myślałam o tym, że chwilę wcześniej sprzątałam. I żeby sobie poszedł, jak ma tak świnić mi chodnik. I jak spojrzałam na jego twarz, żeby mu to powiedzieć, to zobaczyłam krople potu na jego czole. Pomyślałam, że pewnie mu gorąco i że się zaziębi, jak będzie łąził po mrozie taki upocony, a on wciąż stał w mieszkaniu w zimowym, grubym ubraniu. I czy mam jeszcze aspirynę, pomyślałam, co mi ją przysłała ciotka z Kalifornii, że powinno być jeszcze siedem tabletek. Ale od razu przypomniałam sobie, że on przecież chce iść. I że dwie jego ulubione koszule, jedna w kratkę, druga w prążki, bo on lubił drobne wzorki na koszulach, że one suszą się w łazience, dopiero co wyprane i jak on je weźmie, takie mokre? I że w tej w prążki guzik przy lewym mankiecie ledwie się trzyma i miałam go przyszyć, i że już nie zdążę. Że nigdy tego już nie zrobię, jeśli on naprawdę odejdzie. I że pewnie zabierze też szlafrok, ten frotté, co łąził w nim po mieszkaniu, kiedy się lenił, a jak leżeliśmy na wersalce i oglądaliśmy telewizję, to ja się przytulałam do tego szlafroka, bo był taki miękki. I spojrzałam znów w jego twarz, a tam kropelki spływały już na podbródek. On popatrzył na mnie, jakoś tak... z niechęcią czy ze złością, może nawet z nienawiścią, tego do dziś nie umiem rozwikłać, i tylko skrzywił się, szarpnął drzwi do łazienki, tam zgarnął swoje kosmetyki i te koszule, byle jak, wszystko razem. I szlafrok też. I wybiegł.

A myśmy tak stali z dziećmi przez chwilę, aż powiedziałam, żeby wracali do lekcji. I jak zamykałam drzwi, to tak dziwnie osunęłam się po tej framudze, taka słabość jakaś mnie ogarnęła. Ale szybko otrzeźwiałam. I więcej się o nim w domu nie mówiło. To znaczy aż do tego czasu pięć lat później, gdy już umierał na raka. Córka tam chodziła do niego i czasem powiedziała, jak on się czuje. Ale ja nie miałam czasu tego słuchać. Dużo pracowałam. Coś tam pomyślałam wtedy, że jakby chciał, to mogę go odwiedzić w tym szpitalu, ale on niczego takiego nie powiedział. No to nie zobaczyłam go przed śmiercią. A na pogrzeb to miałam nie iść, no bo po co? Ale przechodziłam akurat niedaleko, to zajrzałam na cmentarz. Ale gdy zobaczyłam tę kurwę, to poszłam stamtąd. Jak później szłam na grób moich rodziców, to musiałam przejść obok jego grobu, ale nie przyglądałam się w ogóle...

Co widziałam? A czy ja pamiętam? Kwiaty tam były często, tak mi się wydaje, bo nie patrzyłam, bo po co... chyba nawet zawsze były świeże kwiaty na płycie. Niech tam mu będzie. Na tamtym świecie udam, że go nie znam. Żeby sobie czego nie pomyślał. Że mi zależy czy coś. No i ona żeby się tam nie plątała. Bo jak wezmę za kudły...

– Zuzka, nie poznajesz mnie? No co ty...

Patrzą na nią łagodne, brązowe oczy Leny. Ale nie, to nie oczy Leny, to brązowe, mocno umalowane oczy Lilki, która teraz ze śmiechem przesuwając dłoń przed oczami Zuzanny.

– Słowo daję, już myślałam, że śpisz na stojąco. Umówiłaś się tu z kimś?

– Właściwie to nie...

– Tak sobie stoisz, co? Uważaj, żebyś czegoś nie wystąpiła! – Lilka śmieje się hałaśliwie. – O rany, co tam masz?

– Świnka morska. Jimi. Muszę ją komuś oddać. Może chcesz? Popatrz, jaka fajna.

Lilka głaszcze pyszczek Jimiego i cmoka czerwonymi ustami.

– Nie, nie mogę mieć żadnych zwierzątek. Często nie ma mnie w domu. A ty ciągle masz takie jasne włosy naturalnie czy farbujesz?

– Nie, takie są.

– Przynajmniej jeden problem masz z głowy. Ja wciąż nie wiem, co robić z moimi. Jak rozjaśniam, to już muszę ciągle, bo te cholerne odrosty tak szybko się tworzą. A co w ogóle u ciebie słychać?

– No właśnie... – Zuzanna uśmiecha się niepewnie i przyciska mocniej Jimiego, który aż pisnął.

– O kurczę, ale fajnie piszczy!

– Właściwie... to szukam mieszkania... I pracy też...

Lilka przygląda się Zuzannie zdziwiona, ale po chwili zdziwienie mija i w jej oczach pojawia się zrozumienie.

– Bo ta twoja matka taka nieprzyjemna, nie? Dlatego zwiłaś?

– A skąd wiesz, że zwiłałam? – pyta Zuzanna, zdziwiona niezwykłą przenikliwością koleżanki.

– Jak szukasz pracy i mieszkania, to chyba zwiłaś, nie? – dziwi się z kolei Lilka małej przenikliwości Zuzanny.

– No tak, jasne. Z matką ciężko, tak... Ale z ojcem też... ciężko... i w ogóle – mruczy Zuzanna, bojąc się, że Lilka spyta o szczegóły.

– No to dobrze, że zwiłaś. Możesz u mnie mieszkać przez jakiś miesiąc. Bo później wraca mój chłoptaş. Jaki fajny, mówię ci... No i pójdziemy na prywatkę dziś wieczorem, co? Idę do takich fajnych ludzi, będzie niezła zabawa. Tylko chodź ze mną najpierw do sklepu, znajoma miała mi zostawić taką fajną bluzkę.

– Co słychać u twojej mamy? – pyta Zuzanna, gdy Lilka w ciasnej przymierzalni przed pękniętym lustrem przymierza stylonową żółtą bluzkę z żabotem.

– U mojej starej? Pojęcia nie mam, ale na pewno wszystko dobrze. W Chicago siedzi. A ja zostałam, ktoś mieszkania musi pilnować. Byłam tam z nią trochę, ale jak tam się jest, to trzeba pracować. To ja wolę, żeby ona pracowała tam i przysyłała mi pieniądze tu. No, jak myślisz? – Lilka wdzięczy się przed lustrem. – Wiesz, taka prywatka przed świętami to fajna sprawa. Wszyscy latają za choinkami, szynką, myją okna, a ja się bawię. Lubię tak olewać wszystko, patrzeć na te mróweczki, uwijające się jak w ukropie, a ja mam to w dupie. Ja jestem pani, co nie musi. Cholera, późno się zrobiło. Chodź szybko.

Niewątpliwie nie miała zwyczaju sprzątać na święta. Patrząc w półprzezroczyste od brudu okno, Zuzanna zastanawia się, czy Lilka kiedykolwiek tu sprzątała. Zwinięta byle jak pościel na łóżku, brudne naczynia upchnięte w różnych miejscach, wymieszane z ubraniami.

– Tęsknisz za mamą? – pyta Zuzanna.

– A co ty tak wciąż o mojej starej? Ty ją lubiłaś, nie? Ona ciebie też. Mówiła na ciebie „ta smutna dziewczynka”. Bo ja wiem, czy ty byłaś taka smutna? Byłaś?

Lilka zakłada rajstopy, podnosząc nogę wysoko, odsłania przy tym czarne majtki. Dostrzega oczko w rajstopach, więc rozpoczyna nerwowe poszukiwanie innej pary. Znalazła i powtórzyła operację ich precyzyjnego zakładania. Zuzanna patrzy na jej pulchne, śniade nogi, pokryte na udach od wewnątrz i na łydkach ciemnymi włoskami.

– Jezu, jak to cholerstwo szybko rośnie. No nie mogę tak iść. Muszę je ogolić.

I już mknie do kąta w kuchni ustanowionego łazienką. Namydla nogi i przesuwa po nich maszynką do golenia.

– A, to może już się podmyję. W końcu nigdy nie wiadomo, jak się skończy prywatka...

Lilka, przygotowana już na wszystko, a przynajmniej na wiele, zakłada świeże majtki, poprawia makijaż. Pogania Zuzannę, jakby to ona była przyczyną opóźnienia, i po chwili wybiegają na ulicę. Przez całą drogę Zuzanna słucha jej krzykliwych opowieści o jakichś mężczyznach, kobietach, o zagmatwanych sytuacjach towarzyskich. W końcu stają przed drzwiami starej, odrapanej kamienicy. Klatka z szerokimi, choć wyszczerbionymi jak zęby staruszki stopniami schodów zachowała nieco dawnej świetności. Głównie we fragmentach ocalałej gdzieniegdzie glazury, a przede wszystkim witraży uzupełnionych teraz dyktą. Stojąc przed kolejnymi drzwiami, Lilka poprawia żabot i włosy, naciska dzwonek, a Zuzanna dochodzi do wniosku, że jest okropnie ubrana. Ta nieprzyjemna myśl trwa krótko, ponieważ zamek zachrobotał, ciężkie drzwi otworzyły się i stały w nich uśmiechnięta kobieta. Radośnie wita się z Lilką, ale po chwili wbija wzrok w jej żółtą bluzkę, wyłaniającą się agresywnym żabotem z rozpiętego kożuszka. Ona ma na sobie taką samą.

– Nie miałaś co na siebie włożyć, co? No i się wystroiłaś, cholera – cedzi przez zęby. – Wejdźcie, a ja pójde się przebrać.

Zuzanna wchodzi za Lilką, która zdejmuje kożuch i wieszka go na wieszaku. Cicho gra muzyka, dwie pary objijają się o siebie między stołem zastawionym talerzami a kanapą, na której tłoczy się kilka osób.

Lilka rzuca się w objęcia przyjaciół, a Zuzanna zatrzymuje się nieśmiało przy drzwiach. Lilka macha ręką w jej stronę: – To moja koleżanka, Zuzka – ale nikt nawet nie spojrzął na nią w radosnym rozgardiaszu. Wszyscy wyglądają na starszych od niej o jakieś dziesięć lat.

Zuzanna sięga po kanapkę i jedząc ją, dostrzega po chwili swoją torbę pozostawioną w przedpokoju, przemieszczającą się teraz powoli i niezdarnie. Siada na podłodze i wyswobadza zdezorientowane zwierzątko. Opiera się plecami o ścianę i wyciąga nogi, robiąc z nich coś na kształt zagrody, w której umieszcza świnkę odzyskującą powoli równowagę psychiczną po zbyt długim więzieniu. Hendrix wyczyścił futerko, rozejrzał się po okolicy i, wyraźnie zadowolony, mości się na brzuchu Zuzanny.

Drzwi wejściowe otwierają się i ukazuje się w nich blond głowa; ogromne błękitne oczy omiatają wnętrze i zatrzymują się na Zuzannie.

– Majka, chodź! – woła Bożena ponad ramieniem szpakowatego partnera.

Majka macha wąską, szczupłą dłonią.

– Przepraszam, że przeszkadzam, chciałem tylko pożyczyć trochę mąki.

– No włącz!

Majka wchodzi, ale zatrzymuje się przy Zuzannie. Kuca, a kiedy wyciąga rękę, żeby pogłaskać Jimiego, Zuzanna czuje wyraźny zapach damskich perfum.

– Co to za zwierzątko? – pyta Majka.

Jego jasne oczy wyglądają zagadkowo; nie tylko dlatego, że podkreśla je czarna kreska, stanowiąca ostry kontrast z kolorem tęczyówek, ale też dlatego, że umieszczone są w zdecydowanie męskiej, choć szczupłej i delikatnej twarzy.

– Jimi Hendrix – szepcze Zuzanna, a Majka śmieje się cienkim, dźwięcznym śmiechem. – To znaczy świnka morska.

– Twoja?

– Tak, ale muszę ją komuś oddać.

– Dlaczego? Nie lubisz jej?

– Lubię, ale możliwe, że jestem w ciąży i... nie wiem, co dalej będzie. Rano uciekłam z domu, bo tam... właśnie...

Majka wstaje i wychodzi.

Zuzanna przymyka oczy i nie widzi przed sobą żadnego rozwiązania. Może najlepiej byłoby umrzeć?

Drzwi znów się otwierają i Majka siada naprzeciw. Wyciąga do Zuzanny rękę; szeroki rękaw czerwonej bawełnianej koszulki z okrągłym dekoltem zsunął się, odsłaniając wytatuowany na przedramieniu napis „Lenny”. W dłoni Majka trzyma banknoty; potrząsa nimi i wtedy Zuzanna dotyka ich lekko palcami, chyba wciąż nie wierząc w ich istnienie. Majka pewnie sądził, że Zuzanna chwyci pieniądze, tak się jednak nie stało, i pieniądze opadły na podłogę między. Ciekawski Jimi pospieszył sprawdzić, co pojawiło się na jego terenie. Majka wstał.

– Zaraz, zaraz... – Zuzanna podrywa się i staje naprzeciw Majki, patrzy mu w oczy. – Nie możesz dać mi tych pieniędzy.

– Dlaczego nie?

– Ja przecież nie mam z czego oddać.

– A czy ja cię o to pytam?

– Ale...

– Majka, skarbie, gdzie kupiłeś taką szalową bluzkę? – dopytuje się Lilka, już mocno nietrzeźwa.

– Dostałem w prezencie. Ale nie pożyczę ci, kochanie. Nie zmieściłabyś się – spojrzał wymownie na piersi Lilki wznoszące jej złoty żabot.

– Majka, a mnie pożyczysz? – Partner Bożeny opiera dłoń na ramieniu Majki.

– Juruś, tobie może nawet pozwolę ją zdjąć z siebie – mówi Majka znów tamtym wysokim głosem i przechyla głowę, kładąc policzek na dłoni Jurusia.

Ten odskakuje, jakby nagle wytrzeźwiał.

– Spierdalaj, pedale! – ryczy.

– Juruś, ty słodki brutalu...

– Spierdalaj! – wrzeszczy Juruś.

Zuzanna nie jest pewna, przestraszony czy wściekły. Majka śmieje się zaczepnie, a Juruś rusza do niego, nie zważając na Bożenę, która uczepliła się jego ramienia. Z drugiej strony wczepiła się Lilka. Juruś staje naprzeciw Majki, międląc przekleństwa.

– Miej wzgląd na mój świeży makijaż – szczebiocze Majka, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

– Żal cię nawet bić, pedale – warczy Juruś i wraca do stołu, nalewa sobie wódki.

– Miło było, ale czas się pożegnać – mówi Majka, znów tym niższym, poważniejszym głosem, i rusza do drzwi.

Zuzanna wyciąga rękę, żeby wyjaśnić sprawę do końca.

– Trzymaj się – rzuca z uśmiechem Majka i wychodzi.

– Ja właściwie największy problem mam ze stresem. I te moje natręctwa. To też jest problem. Choć powinnam się przyzwyczać do nich, są ze mną od tak dawna. No bo na przykład muszę policzyć różne rzeczy w pomieszczeniu i dotknąć niektórych rzeczy w określony sposób, to znaczy inaczej blatu stolika, inaczej krzesła, inaczej tego, co stoi na stoliku. To może rzeczywiście jestem wariatka? I nie mogę się powstrzymać, bo czuję takie napięcie, że mogłabym eksplodować, gdybym tego nie zrobiła. Więc muszę pewne rzeczy zrobić, jak nikt nie widzi. A to męczy. Kiedyś to musiały być różne słowa wypowiadać w głowie, bo bałam się, że jeżeli tego nie zrobię, to umrą rodzice albo dziadek, albo babcia. To mi zajmowało mnóstwo czasu. No i sprawdzanie w domu wszystkiego, czy jest bezpiecznie, to znaczy, czy nie ulatnia się gaz, czy okna są zamknięte, czy nie porazi nikogo prąd, czy nie wybuchnie pożar i tak dalej, tego jest mnóstwo. Tak jakby do mnie należało chronienie ich wszystkich. Wiem, że jest dobrze, a sprawdzam wszystko przez pół nocy. Babcia dostawała hysterii, krzyczała, że jestem wariatka i ona tego nie zniesie, żeby ktoś nienormalny mieszkał w jej domu. Wstydziała się za mnie, mama też, z tym że mama jeszcze czuła się winna, że urodziła wariatkę. Kochamy się bardzo, ponad życie, można powiedzieć. Tak ich kocham, ale zniesić nie mogę. Dziadek był też fajny, ale nie żyje od dawna. Może to po jego śmierci babcia stała się taka. Tata mówi, że kiedy babci zabrakło do dręczenia dziadka, czyli męża, to jeszcze bardziej zadręcza nas. – Śmieje się, a pracowicie wyprostowane, błyszczące silikonem włosy nawet nie rozsypują się na ramionach, ale nieruchomo tkwią na ich wysokości, czasem tylko sięgając ich starannie wystrzyżonymi końcówkami. – Bo babcia jest taka zawzięta. Tata tak mówi o niej. Ja mówię, że buńczuczna, tak mi bardziej pasuje. A mama nic nie mówi, bo ona na ogół nic nie mówi, tylko patrzy takimi wielkimi oczami na to wszystko, czasem płacze w łazience. Ja to kiedyś zobaczyłam, że ona płacze, bo raz nie zamknęła drzwi i widziałam, że płacze i gryzie rękę. I od wtedy wiem, skąd ona ma takie dziwne ślady na dłoniach. Gdy to zobaczyłam, to też zaczęłam płakać. Ale nie umiałam do niej podejść w tej łazience, nie wiedziałam, co powiedzieć. To płakałam razem z nią, tylko w innym pomieszczeniu. Głupio mi i źle się czuję z tym, że źle mówię o babci, o rodzicach. Bo kocham ich, a oni mnie. Wszystko by dla mnie zrobili, babcia zwłaszcza, ja dla nich też. Oddać życie za nich to dla mnie prosta rzecz, nie miałabym z tym problemu, wiem, że oni też zrobiliby to z ochotą i bez zastanowienia. Ale jakoś okazuje się, że oddanie życia jest dużo prostsze niż inne sprawy, niż wspólne, na przykład, życie. To dziwne jakieś i głupie nawet. No, ale tak jest. Bo ja początkowo, do jakiegoś dziesiątego roku życia, nie wiedziałam, że to wszystko jest takie poplątane. Chciałam być dobrą córeczką i wnuczką. Chciałam spełniać ich oczekiwania. Co do joty. Kiedy mi się to nie udawało, czułam się okropnie, wiedziałam, że muszę ich przeprosić, że muszę ponieść karę. Zresztą wszyscy mi ją natychmiast wymierzali. Dziadek patrzył na mnie z wyrzutem, mówił, że wpędzę babcię do grobu. Mama też mówiła coś w tym rodzaju, że ona umrze przeze mnie czy coś innego jej się stanie. Tata mówił, że przez to wszystko mama jest chora. Boże, jak ja cierpiałam. Czułam się zła, wstrętna, czułam się morderczynią całej rodziny. Okropnie się z tym czułam. Bo przecież babcia nawet jabłka nie podała mi ze skórką, niepokrojonego, tylko obrane, w małych kawałkach. Tak samo kroїła kanapki, na małe kawałki. Pomidora zawsze zanurzała we wrzątku, żeby zeszła skórka. To chyba trzeba kochać kogoś, żeby tak robić, prawda? Więc ja nie mogę mówić o niej źle, bo to tak, jakbym uderzyła w jej miłość do mnie. I mam jeszcze brata, młodszego. On się urodził, gdy miałam dziesięć lat, wtedy już wszystko wiedziałam.

O tym, co się dzieje w moim domu i że muszę go bronić. Przed tą miłością, oczywiście, co jest taka mocna, że przewraca. Nie chciałam, żeby on tak cierpiał. Ja już wtedy wiedziałam dużo, to był czas, kiedy dużo czytałam, dużo rozmawiałam z ludźmi, a przede wszystkim zaczęłam odwiedzać dzieci w ich domach. Początkowo nie było łatwo, bo babcia na mnie krzyczała, że chodzę do tych smoluchów, śmierdzieli, idiotów i co tam ona jeszcze o tych dzieciach i ich rodzicach mówiła, że oni wszyscy są poniżej mojego poziomu. Ale to już był czas, gdy ja nie chciałam jej słuchać, bo jak ten świat dzieci się przede mną otworzył, to ja się tym światem bardzo zadziwiłam, bo nie wiedziałam, że istnieje, myślałam, że wszędzie jest tak samo jak u mnie. Do przedszkola oczywiście nie chodziłam, bo tam tylko krzywdę robią dzieciom, mówiła babcia. Ona mogła mnie wychowywać, nikt inny. Była moim światem, w którym, jak później zobaczyłam, wszystko było powykręcane, dziwne, nieprawdziwe, wymyślone. Na przykład nie wolno mi było się męczyć w żaden sposób, a więc nie jeździłam na rowerze, nie biegałam, nie pływałam, nie skakałam, no po prostu nie robiłam nic z tego, co robią dzieci. W szkole byłam oczywiście zwolniona z lekcji WF. A później otworzył się ten inny świat, którego najpierw się bałam, mając wciąż w uszach słowa babci. I wtedy coraz częściej okazywało się, że babcia się myli. Zaczęło się wielkie odkłamywanie. I szukanie gdzie indziej. To było bolesne, ale też przyjemne. Ból był i była radość, że jednak świat jest inny, i była złość, że babcia mnie okłamywała, i ból, że mnie okłamywała, i wdzięczność, że mnie okłamywała, by mnie chronić. Ja teraz muszę i chcę z tego wyjść, jakoś tak niszcząc ją we mnie, ten jej świat jak z horroru czy czegoś tam, czyli jakbym i ją jakoś niszczyła. To jest największy ból. Mama jak zwykle była zbyt przerażona, żeby przeciwstawić się babci. Ojciec zbyt bezradny, bo mama nie traktowała jego walki jako walki o siebie przeciw babci, ale jako walkę z babcią i z nią. Więc tata nauczył się milczeć. Później stał się złośliwy i uszczypliwy, co kiedyś mnie przerażało, a teraz bardzo lubię go takiego właśnie, bo to jest inteligentne. Ale napięcie nie tak łatwo wyrzucić z głowy. Więc jednak sporo z tego, co dostałam w tym domu, zostało, i to mnie zjada, to jest ten stres. Ale jest coś jeszcze... Randki sado-maso. To znaczy, ja jestem maso. Ostatnio omal mnie facet nie zabił, za daleko to wszystko się posunęło, łatwo stracić kontrolę. To jest tak szaleńcze doznanie, tak boleśnie cudowne, tak trudno bez tego żyć. Ale się przestraszyłam po tej ostatniej randce. Że to się wymyka i że coś może się stać, mnie coś może się stać. Z jednej strony to jest skrajnie podniecająca myśl – dotknęła uda w połyskliwych legginsach i przesunęła dłoń w dół, z uśmiechem, mrużąc oczy – ale jakieś resztki zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego przestrzegają mnie. Ale tak trudno przestać to robić, ja na ogół nie wytrzymuję dłużej niż tydzień, dziesięć dni. Później tracę głowę i biegnę do komputera i umawiam się, nieważne, z kim, byle tylko chcieli. I później jest raj i piekło jednocześnie. Szczególnie że znikają moje natręctwa, kiedy jestem na takiej randce. Mogę kiedyś stracić życie, bo faceci są nieobliczalni, kiedy mają kobietę związaną, bez szans na obronę, na ratunek. – Przymknęła oczy i oblizała usta końcem języka.

– Czy to ten... no... telefon zaufania to jest? – wykrztusił pospiesznie głos, zanim Zuzanna zdążyła się odezwać. – Bo ja sama nie wiem za bardzo, czy dobrze robię, ale ja muszę... i mogę? – pyta szeptem dziewczęcy, może bardziej dziecięcy głos. Szeptem rozedrganym, pospiesznym, potykając się, prawie przewracając. Musi się pewnie pozbierać, ogarnąć, musi się oswoić z tym, że pytanie już zostało zadane, już coś zostało rozpoczęte.

Zuzanna domyśla się, że to mogło być trudne, więc bardzo spokojnie odpowiada:

– Tak, ja poczekam.

I czeka, wsłuchując się w oddech, który powoli się uspokaja, zwalnia.

– I ja mogę coś powiedzieć? – pyta głos wciąż zdziwiony swoją odwagą i wytrwałością, bo może wcześniej sądził, że od razu ucieknie.

– Tak.

– Bo mój ojciec pije... bardzo... mamę bije... i brata. Ale brat już jest duży i powiedział ojcu, że jak jeszcze raz kogoś w domu ruszy, to on ojca zabije... a ja nie chcę, żeby oni się pozbijali... nie chcę, żeby poszli do więzienia albo żeby któryś umarł z tego bicia. Bo Sławek już jest taki silny i trenuje to swoje karate, i tak patrzy na ojca, i tylko czeka. Ja wiem, że on tego ojca zabije... i ja nie chcę tego... i...

Zuzanna lewą ręką dotyka skroni; ma nadzieję, że głowa przestanie wreszcie boleć. Przeciera twarz wilgotnym ręcznikiem, który miał być chłodny, a niemal od razu stał się zbyt ciepły. Stara się nie dociskać słuchawki trzymanej w prawej dłoni. Głowa boli klasycznie migrenowo, hemicraniowo, ze światłowstrętem, z mdłościami, łzawieniem lewego oka. Po dociśnięciu słuchawki z prawej strony diagnoza się komplikuje, bo głowa zaczyna boleć całościowo i znacznie mocniej. Wszystko jedno. Musi się skoncentrować na tym chlapiącym dziecku, w którego domu za chwilę może rozegrać się kolejna szekspirowska tragedia, a nie rozważać koncepcje bólu swojej głowy. Na pewno migrena.

Dyktuje więc adresy, opisuje przebieg czynności, które mała musi wykonać. Umawiają się na telefon za tydzień, kiedy znów będzie miała dyżur, pewnie znowu z migreną.

Odkłada słuchawkę z nadzieją, że chwilę odpocznie. Ten upalny wieczór powinien być spokojny, a nie jest. Jakby upał nie wyciszył i nie rozespał ludzi, ale dodał im niezdrowej energii, którą niektórzy teraz muszą oddać jej. Dzwonek telefonu wydaje się dziś zbyt ostry, świdruje obolałe skronie. Mogłam jednak oddać ten dyżur, myśli Zuzanna, wyciągając rękę do dzwoniącego ponaglająco aparatu w nieokreślonym kolorze, ze sznurem zapętlonym w węzły nie do rozwiązania.

– Telefon zaufania... – znów stara się rześko powitać dzwoniącego.

– Kurwa! – krzyczy głos. – Kurwa! Kurwa! – powtarza z coraz większą pasją.

Rzeczywiście, kurwa, myśli Zuzanna, odkładając powolutku słuchawkę jak odbezpieczony granat. Żeby tylko nie poruszyć głową, nie wykonać gwałtownego ruchu, pociągającego za sobą całą sekwencję wstrząsów.

Ręcznik trochę pomaga. Niewiele. Spróbuje po prostu odkręcić wodę i podstawić twarz pod kran. Tylko jak tu wstać, skoro każdy ruch wywołuje mdłości. Jednak spróbuje. Woda rzeczywiście jest przez chwilę zbawieniem, ale ekwilibrystyczna pozycja ciała okazuje się zabójcza. Zuzanna z trudem wraca do burej, wytartej na rogach wersalki, najważniejszego sprzętu w pokoju. Osuwa się bezwładnie i starając się nie poruszać, zapada w półsen.

Chyba rzeczywiście przysnęła na moment; zdaje się, że nawet coś jej się śniło, coś drapieźnie i boleśnie rozdzierającego skórę głowy. Wyciąga rękę do natarczywie dzwoniącego telefonu, starając się nie poruszać głową. Nie udaje się, drobne iskierki przemieszczają się pod powiekami, kłują od wewnątrz. Zuzanna próbuje wykrztusić do słuchawki stałe hasło, ale z ust wydobywa się tylko zduszony pisk. Przełyka ślinę, nie pomaga. Na oślep, z ledwie uchylonymi oczami próbuje odnaleźć dłonią postawioną obok wersalki szklanę z wodą. W słuchawce ktoś szepcze, jęczy chrapliwie. Ktoś chyba ma takie same kłopoty jak ja, myśli przez chwilę, ale zaraz trzeźwiejsza myśl przebija się przez zasłonę bólu, aby zweryfikować podejrzenie. No jednak nie, tamta chrapliwość jest inna, jest w niej energia, oddech coraz szybszy, jakby ten ktoś biegł. Jakieś słowa przedzierają się przez zamieszanie w słuchawce, Zuzanna wciąż przebija się do rzeczywistości przez ból głowy, wirowanie, iskierki i tak dalej. Zamglone, dalekie słowa odczytuje jako „czy mogę?”.

– Tak, oczywiście – zachęca kłamliwie rześko, starając się dodać otuchy temu komuś po drugiej stronie, kto pewnie męczy się sam ze sobą, staczając boje z własną nieśmiałością, strachem, niepewnością, zanim porozmawia o swoich najtrudniejszych sprawach. Słyszy wyraźne „dziękuję” i dopiero teraz dociera do niej, że akcja po drugiej stronie słuchawki toczy się w zupełnie innym kierunku, w zupełnie innym scenariuszu, w którym przed chwilą przyspieszający gwałtownie oddech

z piskiem szczęścia osiąga swój zachwycający szczyt i opada z niego z ulgą, zsuwając się teraz w rozkosznym bezwładzie po miękkiej trawie. Zuzanna nie może poruszyć ręką, by odłożyć czy rzucić słuchawkę. To wszystko odbyło się za szybko, zbyt niespodziewanie, zaskakująco – dopiero teraz Zuzanna zaczyna uświadamiać sobie, co się właściwie wydarzyło, ale nie jest pewna, czy w jej obolałej głowie to wszystko tak się dziwnie pomieszało, czy też naprawdę ten facet wykorzystał ją do swoich fantazji seksualnych. A może jej się to śni, może to jej erotyczne marzenie w półśnie migrenowego bólu?

– Ale... co pan właściwie zrobił? – wykrztusza ze ściśniętego, suchego gardła.

– I znów ubrudziłem budkę. Bo ja mam taki mocny wytrysk – chlubi się głos, tym razem dumny z siebie.

Zuzanna zastanawia się, ile razy opierała się, dzwoniąc z budki, o jej ściany. Obiecuje sobie już nigdy tego nie robić. Siedzi nieruchomo, zbyt zaskoczona, aby znaleźć jakieś rozsądne słowa.

– Ale... – zaczyna, nie wiedząc, co chciałaby powiedzieć dalej. – Ale...

– Bo miałem świerszczyki, kolega mi przywiózł ze Szwecji, ale ktoś mi je ukradł. Nie wiem, jak to się stało. Zabrałem je do pracy, bo ja teraz cały czas myślę o seksie, nawet w pracy, i jak mam przerwę, to muszę wyjść do ubikacji i... no wie pani, a te świerszczyki to było zbawienie. Szybko, sprawnie. Ale mi je podpieprzyli. Co za ludzie. Ja bez tego nie mogę już tak łatwo. Zanim kolega mi przywiezie następne, to pewnie pół roku minie. Wie pani, jak teraz trudno wyjechać. I ile trzeba mieć pieniędzy, żeby tam jechać. A kolega obiecał mi jeszcze, że mi film wideo przywiezie stamtąd, to podobno dopiero jest dobre. Tylko że ja nie mam tej maszyny do odtworzenia. Ale zacząłem zbierać pieniądze. Wtedy to ja będę panisko. Własne kino będę miał w domu, widziałem w Peweksie ten sprzęt. To ja chyba nie będę z domu w ogóle wychodził. A pani ma fajny głos, taki seksowny. Bardzo szybko się podnieciłem. Łatwo mi wyobrazić sobie panią. Na pewno ma pani czarne włosy i duże... te... no. To będę mógł jeszcze zadzwonić?

– Nie!!! – krzyczy Zuzanna, a echo odbija się w głowie od skroni do skroni. I po chwili ból znika. Zuzanna dotyka z niedowierzaniem głowy, która się naprawiła. Nie wiadomo, czy od krzyku, czy od seksu przez telefon, a właściwie w telefonie, czy może jeszcze jakoś inaczej.

– A pani koleżanka się zgodziła... – donosi chytrze głos.

Zuzanna testowo potrząsa głową, której już nie przeszkadza przemieszczanie się obrazów przed oczami. Powoli wraca myślenie, realność, zdolność kojarzenia. Teraz dociera do niej wyraźnie, co się wydarzyło.

– Jak to, zgodziła się? – I która, bo chyba nie stara jak Ziemia doktor Krupa ani pewnie nie Maria, ani... A właściwie kto to wie. Przecież i ona tak jakby się zgodziła. Może i ktoś inny miał taki kretyński migrenowy dzień, gdy niewiele widać, niewiele słyhać ani...

– Nie, żartowałem, tylko pani się zgodziła – radośnie informuje głos.

– Zaraz, zaraz! – Spanikowana Zuzanna próbuje ratować sytuację, bo przecież ten palant zadzwoni jutro do... No, kto tam będzie na dyżurze, o kurczę, stetryczała Krupa, odczytuje Zuzanna z grafiku. – Proszę pana – zaczyna pewnym, przytomnym głosem – niezupełnie się dogadaliśmy na początku... no... rozmowy. Za szybko to się działo i nie było słyhać pana, stąd całe nieporozumienie. Proszę nie dzwonić już w... tej sprawie, proszę zgłosić się do lekarza lub lepiej psychologa. Zaraz podam panu adresy.

– Och, daj spokój... – szepcze miękko głos i po chwili w słuchawce rozbrzmiewa sygnał.

Zuzanna zamaszyście wstaje z kanapy i biegnie do umywalki, odkręca kurek z zimną wodą i w leczniczym strumieniu stara się schować całą głowę, która już nie boli, nie przeszkadza, jedynie domaga się schłodzenia. Staje w szeroko otwartym oknie, niby bez różnicy, ale trochę jednak lepiej. Niebo jest ciemne, bez gwiazd, bez księżyca. Zaraz będzie burza.

Znów dzwoni telefon. Zuzanna odwraca się i patrzy na aparat, zupełnie jak w filmach, gdzie napięcie

wzmocniane jest tym wyświechtanym zestawieniem dzwoniącego telefonu i przerażonej twarzy ofiary. Zawsze ją to rozśmieszało, a teraz robi dokładnie to samo, jakby wzrok mógł powędrować po przewodzie na drugi jego koniec i dojrzeć dzwoniącego.

Przecież nawet nie mogę wyłączyć tego cholernego telefonu, myśli w popłochu. Podchodzi więc na palcach, może chcąc się ukryć lub zaskoczyć tego niewiadomego kogoś, i podnosi słuchawkę, rzucając sakramentalne „telefon...”.

- I było cudownie... – szepcze zachwycony głos.
- Proszę nie dzwonić! – krzyczy Zuzanna.
- Ojej – kokosi się głos uwodząco, obiecująco.
- Absolutnie proszę nie dzwonić, bo... bo wezwę milicję!
- Do budki telefonicznej? A do jakiej?
- Już ja wiem, do jakiej... Namierzają pana!
- E tam. Ale jak nie chcesz, to nie. Trudno.

Lekarz notuje w karcie Zuzanny świeżo zdobyte o niej informacje. Mruczy cały czas do siebie jakąś piosenkę, podśpiewuje, co denerwuje Zuzannę i niecierpliwi. Przygląda się jej chwilę znad okularów zsuniętych na czubek nosa, uśmiecha się.

– Nie wygląda to na ciążę. Pani może jeszcze mieć bardzo nieregularne miesiączki, jest pani bardzo młoda. – Patrzy w kartę. – Osiemnaście lat, cykl jeszcze nie jest ustabilizowany.

Zuzanna siedzi osłupiała. Lekarz podnosi głowę znad papierów.

– Jest pani rozczarowana?

– Nie, nie... Ja się bardzo cieszę...

– To dobrze. Pani mówi, że ta ciąża miałaby półtora miesiąca i trzy dni. To ciekawe, że pani tak dokładnie wie, od kiedy trzeba ją liczyć, co do dnia. Na ogół tego się nie wie aż tak. – Patrzy na nią z ciekawością, a może kpina. – Może jakąś antykoncepcję zaczęłaby pani stosować, skoro nie chce pani być w ciąży.

– Tak, dobry pomysł. Poproszę o receptę. – Uśmiecha się grzecznie, ale przede wszystkim chce wyjść stąd jak najszybciej.

Radosna informacja niespodziewanie zabrała jej siły, jakby była złą informacją. Chciałaby się położyć, odpocząć, spokojnie spać do rana. Wreszcie. W rozbieralni poprawia przekręconą na biodrach spódnicę. Czuje się bardzo dziwnie, nie potrafi określić tego uczucia, a właściwie kilku uczuć jednocześnie – ulgi, nagłego zmęczenia ciała, które musiało się tak dzielnie dotąd trzymać, odpłyniętego strachu, który zostawił ślady w jej głowie. Zanurza rękę w torbie w poszukiwaniu majtek i rajstop i natrafia na Jimiego zwiniętego w jej bieliźnie w kłębuszek. Z kieszeni spódnicy wyjmuje pieniądze, które miała wręczyć lekarzowi, ale okazały się niepotrzebne.

– Następna proszę! – woła lekarz z gabinetu i puka w drzwi rozbieralni; pewnie tym kijkiem, który stał oparty o jego biurko, myśli Zuzanna. Przecież bez tego musiałby co chwila wstawać i iść do oddalonych o parę kroków drzwi, a tak tylko wyciągnie rękę, spryciarz. Gdyby jednak nie używał tego kija, a wstawał częściej, nie byłby taki gruby. Ale komu by się chciało tak często wstawać.

Do drzwi rozbieralni dobija się kolejna pacjentka, popędzając niecierpliwie Zuzannę, która zbiera swoje rzeczy i wychodzi pospiesznie z poradni. Czuje przede wszystkim lekkość. Radość. Spokój. Zapomniane uczucia. Wyrzuca receptę do kosza, pewna, że nie będzie jej potrzebna. Nigdy. Najprawdopodobniej nigdy.

Kupuje po drodze bułki, masło, ser i jabłka, niezbyt piękne, ale niech będą nawet takie, byleby już nie musiała nigdzie dzisiaj wychodzić. Czuje się zmęczona, coraz bardziej zmęczona, więc zaraz po wejściu

do swojego małego pokoiku odstawia zakupy i kładzie się na łóżku, wyciągając się jak najmocniej. Dawno tego nie robiła, ostatnio omijała swoje ciało, unieważniała je i próbowała udawać, że za bardzo go nie ma, możliwe, że wcale go nie ma. Przede wszystkim chodziło o brzuch. Budziła się z cichym przerażeniem, z czymś na kształt płaczu, co zaraz ścisnął gardło, gdy tylko we śnie, przez przypadek, swojego brzucha dotknęła czy położyła się na nim, a szczególnie gdy przeciągnęła się, bo wtedy czuła otwierającą się w nim przestrzeń pełną tajemniczych zakamarków. Bała się tego, co mogło być w jego wnętrzu, bała się tego i bała się o to. Ale teraz zasypiała spokojnie. Jeszcze tylko musi oddać Majce pieniądze. Och, Majka, przyjacielu...

– Zgłupiałaś do reszty? Za smarkata jesteś, żeby się z domu wyprowadzać! – Mama stoi niedaleko drzwi, przez które przed chwilą weszła z wujkiem Ryśkiem, wywołując w Zuzannie wrażenie, że wciąż śpi i śni sen, w którym bardzo się boi złapania w pułapkę bez wyjścia i właśnie w tę pułapkę wpada.

Jak ją znaleźli? Kto ją wydał? Zuzanna przegląda w myślach pospiesznie twarze tych, którzy wiedzieli, nie potrafi jednak wytypować zdrajcy. No trudno. Znajdzie go później.

– Ale ja jestem pełnoletnia... dorosła – cicho mówi Zuzanna, czując ból w gardle, przez które musi przepychać słowa jak przez zbyt wąski tunel.

– Ja ci mówię, że jesteś za smarkata, w głowie ci się poprzewracało! Zbieraj się, jedziemy do domu! Tak, tego krzyku Zuzanna się boi, wibrującego, wysokiego tonu tnącego powietrze.

– Nie.

Matka przygląda się jej z coraz większą złością, którą Zuzanna widzi w jej zaciskających się dłoniach, w ciemniejących oczach.

– Zbieraj się, nie chcę mieć milicji w domu, jak u jakich bandytów. To porządny dom, nie będziesz mi robiła przedstawień dla sąsiadów, niech sobie telewizję oglądają, a nie... to. Masz wrócić i już.

– Spokojnie, Marta. Porozmawiamy z Zuzką i ona zrozumie, że źle robi. Nie, Zuzka? – pyta łagodnie wujek i uśmiecha się.

Zuzanna patrzy chwilę w jego oczy, w które zawsze lubiła patrzeć, bo były najczęściej roześmiane.

– Nie mogę wrócić – mówi cicho.

– No jak nic w ciąży jesteś! – piszczy mama.

Zuzanna przygląda jej się chwilę, zastanawiając się nad reakcją mamy, gdyby rzeczywiście tak było. Na szczęście może odpowiedzieć spokojnie:

– Nie.

– No to o co ci właściwie chodzi? Po co to wszystko? – pyta wujek i znów patrzą sobie w oczy, ale teraz oczy wujka są zatroskane, nie śmieją się.

– Ja już chcę żyć sama – wyjaśnia Zuzanna. – Tak będzie lepiej. Nie wrócę tam już nigdy.

– Jakie tam? Do domu masz iść, a nie tam. To nie jest żadne tam!

Wujek przygryza usta i nie patrzy już na Zuzannę, ale ponad nią.

– Chodź, Marta. Na razie niech ona tu zostanie, zastanowi się i może się to wszystko zmieni – mówi niespodziewanie, nadal nie patrząc na Zuzannę.

Mama mierzy Zuzannę niezadowolonym spojrzeniem, zastanawia się, coś rozważa.

– No co ty, ona nie może tu zostać, musi iść do domu.

– No, ale nie chce. Mamy się z nią szarpać? Jak do tej pory sobie poradziła, to da radę dalej.

– Niby tak – mruczy mama i przygląda się Zuzannie. – W ciąży to ty nie jesteś na pewno?

– Nie jestem – informuje Zuzanna po raz drugi.

Tak się starała ukryć, zakopać, zmylić ślady, a teraz okazuje się, że pogoń wcale jej już nie goni. Pogoń chce mieć spokój, czas i miejsce dla siebie, nie dla niej, która tylko zawadza i wprowadza zamieszanie.

– A jeśli masz co? – pyta mama.

– No, tak... – mówi niejasno Zuzanna, ale widać dla mamy i wujka to wystarczy, bo nie pytają dalej.

Wychodzą. Od drzwi wujek spogląda na nią jeszcze raz i ich oczy znów się spotykają. Może nie wychodź, myśli Zuzanna, może powinienes... może mógłbyś... Wujek odwraca jednak głowę, Zuzanna widzi jego za długie włosy opierające się na kołnierzyku koszuli. Widzi też, że na szczycie jego głowy włosy są już bardzo przerzedzone, prześwituje spod nich niemal regularne białe kółko. Mama posłusznie wychodzi, wujek zatrzymuje się i jeszcze raz odwraca do Zuzanny, jakby chciał się jej jeszcze raz przyjrzeć. Jednak i on wychodzi bez słowa. Zuzanna widzi ich jeszcze przez okno, niedużą postać mamy, jakoś po dziecięcemu idącą przy wyższym wujku, który teraz wygląda niemal jak ojciec mamy, a przecież jest jej młodszym bratem. Znów się odwrócił i spojrział w okno. Zuzanna wolałaby, żeby to mama odwróciła głowę, choć raz.

Kiedy mama i wujek znikają za rogiem, podchodzi do szafy, z której zdejmuje torbę, i zaczyna powoli zgarniać do niej swoje rzeczy. Układa je, niektóre owija w papier. Kiedy wszystko znajduje się już w torbie, zmęczona kładzie się na łóżku, przymyka oczy. Po krótkiej drzemce zrywa się i podnosi torbę. Jimiego układa delikatnie w kieszeni kurtki i wychodzi, zastanawiając się, gdzie właściwie ma teraz pójść. I czy musi, jeśli nic się nie stało. Przecież może zostać tu, spokojnie sobie żyć, ta starsza pani jest miła i cieszy się z jej obecności. Ale teraz może przyjść ojciec, tak jak mama z wujkiem. I tamten może przyjść śladami ojca. Nie zniosłaby jego widoku. Więc jednak musi szukać dalej, gdzie indziej i już nikogo nie informować o nowej kryjówce. Może jeszcze na chwilę przyjmie ją Lilka.

Kobieta patrzy z wyrzutem. Że Zuzanna jej nie rozumie, nie współczuje. A powinna. Nie tak słuchać bez komentarza, bez słowa, wcale nie oburzać się, nie pomstować, nie skrzyczeć tego stwora, z którym przeżyła tyle lat, nie będąc świadoma, że ze stworem żyje. Choć niby teraz jest ładniejszy, niż był, ale to te hormony, które zaczął brać pół roku temu, tak go wydelikaciły, jakoś tak upiększyły. Nie zdawała sobie sprawy, że one tak działają. Choć niby powinna wiedzieć, bo to ona je ma, w końcu urodziła stworowi dwoje dzieci, pięknych zresztą. Żeby tylko nie były zarażone tym świństwem... Przygląda się im uważnie, czy nie pojawiają się jakieś oznaki. Ale chyba nie. Choć to może przyjść niespodziewanie i nagle, jak zawał. I czy na pewno nie? Bo było coś takiego w twarzy i spojrzeniu Alinki, coś takiego, że serce zabiło niespokojnie, ale skarciła siebie za te podejrzenia – nie, tego Bóg nie zrobiłby jej, tego już nikt by nie udźwignął, gdyby jeszcze Alinka. Więc odrzuca takie podejrzenia. Ten tu, Józek, jest chory, może i zarażający, ale nie jej dzieci! Na pewno. Do tego to już by Bóg nie dopuścił. Chyba jest choć trochę miłosierny.

Pospiesznie wyjaśnia zawilości swego myślenia i przesłanki strachu, zdyszana, jakby chciała wreszcie wyrzucić to z siebie i żeby ktoś usłyszał wszystko w pigułce i potwierdził, że ona dobrze myśli, że nie jest sama w tych meandrach, zawilościach myślowych, uniemożliwiających jej sen w nocy, zatruwających dzień.

– Pani mi tłumaczy, że tak to się nie dzieje, że to nie jest jak grypa czy coś podobnego, ale ja swoje wiem. Był inny i teraz jest inny. Tak, prawie nagle. No, może trochę coś tam kiedyś gadał, ale ja pracuję, zajmuję się domem, nie mam czasu na inne sprawy. Najważniejsze to pieniądze rozdzielić na cały miesiąc, pomyśleć, co komu trzeba będzie kupić i za ile, co w domu wymienić, naprawić, ile zaoszczędzić na wakacje dzieci. To są ważne sprawy, a on...

– Ona... – próbuje cichutko i nieśmiało sprostować Józef...a spod blond grzywki.

– Zamknij się, wiem lepiej, z kim byłam, z chłopem przecież byłam, nie z kobitą, skąd te dzieci, sama ich sobie nie zrobiłam. Wyglądasz jak głupek, ale ojcem jesteś. To jak teraz, dzieci też mają zgłupieć, bo ty zgłupiałeś z tym transewete... tansetyz...

– Transseksualizmem – próbuje pomóc Zuzanna.

– A, wszystko jedno.

– Zupełnie co innego – zamierza dalej wyjaśniać Zuzanna.

– A co mnie obchodzi nazwa taka czy inna? Ja tylko wiem, że miałam męża, a on później zgłupiał i zaczął się przebierać za babę. To mnie tego zamieszania wystarczy, języka sobie łamać już nie muszę, bo to nic nie zmieni.

– No właśnie to jest ważne, że pani mąż nie zaczął się nagle przebierać w damskie ubrania, ale inna płeć była w nim od zawsze, tylko ujawniła się teraz, bo nie był w stanie dłużej tego ukrywać. W transwestytyzmie to rzeczywiście przebieranki. Tu problem jest znacznie głębszy i poważniejszy.

– Nie obchodzi mnie to! Ja chcę go mieć z powrotem, a pani i reszta nie chcecie mi pomóc, tylko nad nim się litujecie. O mnie nikt nie myśli, ja nie jestem ważna. O dzieciach też nikt nie mówi. Tylko on, z tą swoją durną fryzurą i z tymi paznokciami.

Józef...a chowa w zaciskających się coraz bardziej dłoniach intensywnie czerwone paznokcie. To pewnie jest tak, że kiedy nagle ta skrywana płeć wybuchnie, to trzeba szybko, gwałtownie, nawet groteskowo wyrwać ją z siebie na zewnątrz. Przez długi czas Józef...a tylko się przyglądał...a i najwyżej w głębokim ukryciu się do tego zawstydzony...a i przerażony...a zbliżał...a. I tak blond i czerwono to później wychodzi. Niezwykle wzruszająca w swojej walce o wszystko i ze wszystkimi, szaleńczo odważnie sięgająca do sedna tej zabronionej wcześniej płci, chcąc dotknąć za wszelką cenę tego najważniejszego. I nawet boleśnie się poparzyć, ale dotknąć, przytulić się, zanurzyć, a później krzyknąć z przerażenia i zachwytu.

– Jak mogłeś mi to zrobić, Józek. Opanuj się i zetrnij te okropne włosy. Paznokcie to nie problem, zmyją się. I te twoje ubrania... – Chlipie. – To tak głupio wygląda, te twoje wielkie nogi w sukience. Dzieci, jak cię zobaczyły, to śmiały się cały dzień. I co ja mam im mówić? Jak ja mam wytłumaczyć te twoje głupoty? Mówię, żeś zwariował. Bo to tak jest, nie? On zwariował? – Patrzy z nadzieją na Zuzannę. – To przecież chore jest, kiedy chłop wkłada kieckę i włosy farbuje na blond! To normalne? Chłopy tak robią? Normalne chłopy? On jest chory psychicznie przecież. On nie jest normalny. Chory, nie?

Zuzanna na wszelki wypadek patrzy między nimi w ścianę, jakby tam miało być bezpieczniej lub tam właśnie miała się znajdować salomonowa odpowiedź. Ale nie ma dobrej odpowiedzi. Są tylko niedobre, niezręczne, urażliwe. Obie tragikomiczne postacie patrzą teraz na nią w oczekiwaniu na wyrok w sprawie normalności lub szaleństwa. Tej kobiecie łatwiej byłoby, gdyby mąż... były mąż... był chory psychicznie, rozumiałaby to jakoś tam po swojemu. Dla niego... niej... czyli... drugiej kobiety? No nie, nie kobiety... Temu byłemu mężczyźnie... tej postaci... No, w każdym razie zupełnie na odwrót.

– Więc jak to ze mną jest, zwariowałam? – pyta niespokojnie Józefa, skubiąc nerwowo skórki przy czerwonych paznokciach, jak rasowa kobieta, którą przecież nigdy nie będzie tak naprawdę.

Zawsze będzie to tylko iluzja czy ogromna nadzieja, na pewno ulga, że zbliżyła się do swojej przeczuwanej płci najbardziej, jak było to możliwe, i niech będzie choć tyle. Przecież nie urodzi się po raz drugi, mimo że chciałyby tego ponad wszystko, żeby wreszcie poczuć spokój, a przede wszystkim spójność, która wciąż jest poza zasięgiem, choć od niedawna bliżej. Unosi zbyt wyskubane brwi, robi coś takiego z ustami, co tylko kobieta może zrobić, ten skrajnie słodki grymas zdziwienia i dziecięcego przestachu w przerysowanym blond stylu Marilyn Monroe.

– Nie, nie jest pan... pani... chora psychicznie. – Zuzanna stara się rozpaczliwie zachować rozeznanie w płciach, co się nagle skomplikowały i zwielokrotniły. Wyobraża sobie pewnie tylko małą część zamieszania w głowie i ciele Józefy przez tyle lat, w głowach jego... jej... żony i dzieci. Więc jednoznaczne informacje są ważne.

– Jak nie?! Jak nie?! – piszczy była czy też wciąż aktualna żona byłego mężczyzny, aktualnie prawie kobiety. – Wszystkim mówię, żeś zwariował, Józek – syczy złośliwie i z satysfakcją, a może tylko z rozpaczą kobieta, na pewno kobieta. – No przecież najpierw to leczyli go lekami, że skizofrenie czy coś ma. Takie silne leki mu dali, że powykręcało go, mówić nie mógł, patrzeć nie mógł, oczy mu uciekały do góry. To odstawili. I powiedzieli, że jakieś wstrząsy elektryczne mu zrobią, to tak się przestraszył, tak błagał, żeby go zabrać stamtąd, że on już czuje się mężczyzną, że przedtem w głowie mu się pomieszało. Ale oszukał, skubany, ze strachu oszukał. Ja to podejrzewałam od razu, że kłamie, ale żal mi się go zrobiło. Nie chciałam, żeby tę jego głowę maltretowali. To zabrałam go i przez jakiś czas było dobrze. Aż znów go zobaczyłam w mojej kiece. To już wiedziałam, że to się nie skończy. I że on bardziej chory jest, niż myślałam.

Nagle cichnie, jakby już wyrzuciła z siebie pokłady najtrudniejszych emocji; cichnie i nieruchomieje, przestaje się miotać i urągać, z oczu płyną łzy, bardzo powoli, bardzo duże łzy, jedna po drugiej, kap, kap, kap na niegustowną bluzkę przetykaną złotą nicią. I patrzy na Zuzannę, która odebrała jej ostatnią nadzieję na wyjście z twarzą z tej sytuacji, patrzy ze smutkiem i zmęczeniem, które dopadło ją po morderczej walce o siebie, rodzinę, męża.

– Mnie nikt nie pomaga. Ja się nie liczę... – mówi cicho i podnosi się z fotela, powoli zbiera swoją nieładną, otyłą postać w brzydkim ubraniu i wychodzi.

– Poczekaj – szepcze Józefa czy Józef, wszystko jedno, i pospiesznie wychodzi za nią, była żoną, aktualnie złamanym człowiekiem.

Zuzanna obejmuje dłońmi głowę i szepcząc do siebie „kurwa, mam dosyć”, próbuje wcisnąć się w fotel, na którym siedzi, może żeby odczuć jego niewątpliwą, jednoznaczną strukturę. Nic jednak nie przynosi ulgi, wszystko jest nadal pogmatwane, a w dodatku szare, zimne i przyprószone jakimś pyłem, który zatyka nos i oczy. Dopija zimną herbatę. Muszę zadzwonić do dzieci, myśli, ale spoglądając na zegarek, uświadamia sobie, że jeszcze są w szkole. Więc jeszcze nie. Skończy te dwie opinie, które czekają już cały tydzień. I dlaczego nie było Jeremiego przy tej rozmowie. Umawiali się, że będzie. Ma już dość tego obrzydliwego pokoju, zwanego gabinetem lekarskim, pójdzie więc do swojego tak zwanego gabinetu psychologicznego, podobnie brzydkiego, ale mniejszego, a więc suma brzydoty będzie mniejsza.

– Proszę pani, proszę pani... – Z ciemnego kąta w końcu korytarza wyłania się nieduża osoba. – Niech pani poczeka, ja muszę z panią porozmawiać.

Zuzanna z dłonią na klamce odwraca się, mrużąc oczy, próbuje wyłuskać z półmroku słabo widoczną postać, a kiedy już ją widzi, intensywnie szuka w pamięci, ale nic nie znajduje, żadnego skojarzenia. Przygląda się ślicznej, zwiewnej nastolatce, która ściskając w dłoniach puchatą czapkę, podchodzi bliżej i staje naprzeciw niepewna, zmieszana, skubiąc nerwowo żółty puch czapki.

– Tak? – Zuzanna czeka chwilę, ale dziewczyna nic nie mówi, patrzy migdałowymi oczami i skubie nadal, sypiąc żółtym puchem. – W sprawie pacjentki? Jakie nazwisko?

– Nie – wykrztusza w końcu dziewczynka. – W swojej sprawie... – rzuca szybko. – I taty.

– Ale to kobiecy oddział, Cztery A. Może pomyliłaś pawilony? W jakiej dzielnicy mieszka tato?

– Nie, nie o to chodzi. On tu był przed chwilą... A ja też chcę porozmawiać z panią o sobie. Bo ja nie mam z kim.

– Chodzi o pana... Józefa?

– No tak, pana Józefa, czyli panią Józefę... Ale najbardziej chodzi o mnie. – Nabiera tchu jak przed zanurkowaniem w zimną wodę. – Bo ja to czuję się chłopakiem... Już od dawna...

Żółty puch z czapki wiruje w powietrzu, zanim dotknie podłogi. Dziewczyna z rumieńcem na twarzy, podkreślającym jeszcze bardziej jej śnieżnobiałą, delikatną, kobiecą cerę, patrzy na Zuzannę wyczekująco. Zuzanna próbuje zebrać myśli, poukładać je, uporządkować. Nie udaje jej się to jednak za

bardzo, bo słowa, tak jak myśli, również nie zamierzają poddać się żadnym rygorom.

– Nie rozumiem – mówi niepewnie.

– No, chodzi o to, że tata czuje się kobietą, a ja chłopakiem. I ja się zawsze tak czułam... czułem, tata też, tylko na odwrót. Ale ja nie wiedziałem, co mi jest. Może tata jakoś bardziej wiedział, ja zupełnie nie. Ale kiedy tata się zmienił w kobietę i trochę powiedział, dlaczego to zrobił, to ja zrozumiałem wszystko. I niech pani mówi do mnie Adrian, dobrze? Może pani tak powiedzieć?

– Ale... teraz?

– Teraz. Ja chcę to usłyszeć, bo jeszcze nikomu tego nie powiedziałem, pani jest pierwsza, więc tylko pani może to powiedzieć do mnie. – Jej czy jego oczy błagalnie wpatrują się w Zuzannę.

– Ale to dla mnie zbyt trudne, bo jesteś fizycznie dziewczyną. To wszystko trzeba dopiero zbadać. Może w związku z sytuacją z ojcem masz teraz zamieszanie w głowie w sprawie płci. – Chwyta się wątpliej nadziei Zuzanna, sama nie bardzo w nią wierząc. Byłoby za pięknie. A przecież jest brzydko, wszędzie. Prawie wszędzie.

– Nie – spokojnie, poważnie, z absolutną pewnością, która wcale nie dziwi Zuzanny. – Nie mam zamieszania. Ja dopiero zaczynam się uspokajać. Myślałem o śmierci, chciałem się zabić. Gdyby ojciec nie zaczął tego wszystkiego w swojej sprawie, ja bym się zabił, bo nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. Było tylko straszne cierpienie. A on nie wytrzymał i zaczął o tym mówić. Ja się z niego podśmiewam, jak mama i brat, żeby oni niczego się nie domyślili, ale ja jestem taka sama... taki sam, jak ojciec, tylko odwrotnie. Rozumie pani?

– Staram się.

– I dzisiaj będę rozmawiał z ojcem i wszystko mu powiem. To może on powie do mnie Adrian, co? Bo pani jakoś nie bardzo?

– Ja nie bardzo. Poczekajmy, aż się wyjaśni, co się z tobą dzieje. Wtedy będzie mi łatwiej. Przyjdź do mnie za tydzień, też będę po południu, dobra?

– Dobra. – Śliczna twarz rozjaśnia się. – Ja chyba muszę porozmawiać z kimś o tym, bo inaczej będzie źle, prawda?

– Prawda. Dobrze, że się... że jest w tobie taka decyzja. Zapraszam za tydzień.

Migdałowe oczy uśmiechają się, piękna twarz jaśnieje. A miało być brzydko, myśli Zuzanna. Wraca do gabinetu Jeremiego z postanowieniem przejrzenia gazety, którą kupiła rano. Przecież muszą gdzieś być jakieś prostsze informacje na temat świata. Otwiera okno, co zawsze wymaga wielu operacji z powodu samego okna, ciężkiego, nieporęcznego, z wysoko umieszczonym uchwytem, a także z powodu wiecznego bałaganu na parapecie. Kiedy wreszcie to jej się udaje, oddycha chwilę rześkim powietrzem, próbując zebrać rozbiegane myśli. Słyszy chrobot klucza w drzwiach. Wpada zdyszany Jeremi.

– Utknąłem w sądzie. Jak tam nasz trans?

– Mamy dwie... dwoje... to znaczy dwóch... właściwie dwa transy czy jakoś... – płacze się Zuzanna w płciowych zawikłaniach.

– Tak, a kto jeszcze?

– Jego córka. To znaczy, ona czuje się chłopakiem.

– Ciekawe.

– Chcę fenactil... dożylnie, domózkowo, byle szybko... – szepcze Zuzanna.

Zmęczenie wydawało się mniejsze, kiedy wyczuwała w kieszeni zwitki banknotów, jakie wypłaciła jej ta elegancka kobieta. Już nie pilnowała jej na każdym kroku, nie stała obok, kiedy Zuzanna odkurzała dywany, ścierała kurze z mebli, myła podłogi. Zuzanna wiedziała, że musi to wytrzymać, uśmiechała się więc, pytała, co jeszcze jest do zrobienia i czy ma odkurzyć drugi raz. „Wystarczy, wystarczy”, łaskawie

zezwałała na zakończenie pracy pani Alicja i też się uśmiechała. Płacąc, podała Zuzannie kartkę z dwoma adresami.

– Już cię wychwalałam pod niebiosa. Zgłoś się tam, to moje przyjaciółki. Ten pierwszy adres to prawnicy, bardzo ciekawi ludzie. Drugi to lekarz neurolog z żoną, moją najlepszą przyjaciółką, Esterą, na pewno ich polubisz. Oni ciebie pewnie też, nie mają dzieci, na pewno będą bardzo opiekuńczy, są przemili. A Leopold, to znaczy ten lekarz, jest tak niesamowicie przystojny... – Przymknęła oczy w rozmarzeniu, chyba niespodziewanie dla siebie samej, ale zaraz przywołała się do porządku, poprawiając pospiesznie kołnierzyk bluzki i przyglądając włosy. Zerknęła jeszcze na mało udanego męża, jak zwykle spędzającego wieczór w telewizyjnym zapatrzeniu na przemian z książkowym zaczytaniem. Westchnęła. – Ale chyba się w nim nie zakochasz – uśmiechnęła się delikatnie, chyba zupełnie nie mając świadomości, że jej zakochanie widoczne było chwilę temu jak przez nieuwagę pozostawiony w widocznym miejscu zbyt intymny list – bo to dojrzały mężczyzna, a ty jeszcze prawie dziecko. Chociaż... – Przyjrzała się Zuzannie podejrzliwie. – Pewnie masz chłopaka w swoim wieku?

– Mam – skłamała z wdziękiem Zuzanna, jakby chciała powiedzieć, że tamten mężczyzna jest bezpieczny, nic ze strony Zuzanny mu nie grozi, żadne zakochanie. Tego akurat była pewna, zbyt poraniona, bezpieczna w swoich maleńkich miejscach do mieszkania, gdzie na szczęście nie zmieściłby się nikt więcej, kogo może trzeba by bacznie obserwować.

– Aluuuu – zabuczał matowo głos z kanapy przed telewizorem – zrobisz mi herbaty?

– Zaraz... – wycedziła przez zęby pani Alicja.

I na ogół tyle było ich rozmowy, a przynajmniej niewiele więcej. Zuzanna zauważyła, że milczenie między ludźmi jest tak samo straszne jak awantury i wrzaski.

– Będiesz za tydzień, tak? Tylko nie zapomnij o moich przyjaciółkach, oni czekają.

– Oczywiście, pójdę jutro wieczorem. Na pewno.

Z ulgą wyszła z tego pięknego, ogromnego mieszkania, gdzie w jasnych, starannie umeblowanych pomieszczeniach czuła podobny zapach powietrza jak w mieszkaniu rodziców. Jakaś nieprzyjemna, drażniąca, niebezpieczna elektryczność wymuszająca czujność i powodująca niewygodę w każdym ruchu szybko tu męczącego się ciała i umysłu. Rzadko zostawała dłużej, niż było to konieczne, mimo że „Alusiaaaa” często zapraszała na herbatę, gdy Zuzanna posprzątała już mieszkanie. Widać była straszliwie samotna, skoro chciała zapełnić pusty wieczór jej towarzystwem. Siedziały wtedy w pięknej, wypucowanej kuchni, udając zainteresowanie nikłą rozmową, z uśmiechami przyklejonymi do ust. I Zuzanna w napięciu opowiadała pani Alicji o rodzicach, którzy niespodziewanie umarli, o szkole, o zbliżającej się maturze, o koleżankach, o filmach, które oglądała. Aż rozległo się z salonu „Aalusiaaaa! Zrobisz mi herbaty?”, co nieodmiennie było wyczekiwany przez Zuzannę sygnałem do wyjścia.

Jak dotąd wszystko się udawało. I kolejne mieszkania do sprzątnięcia, i wyjątkowo niedrogi, ale całkiem ładny pokój u miłej kobiety. Zmęczenie kładło ją do łóżka, ledwie wyszła z wanny; zdarzyło się jej kilka razy w niej zasnąć i gdyby nie stygnąca woda, pewnie spałaby do rana. Uspokajała się tu i cichła, już nie było w niej tamtego przerażenia i gryzącej niepewności, nie było strachu, że sobie nie poradzi i co wtedy, bo przecież nie wróciłaby do domu. Budowała swój mikroskopijny świat w mikroskopijnym pokoiku, sprzątała go i czyściła trzy sprzęty, które w nim się zmieściły: krzesło, stół, łóżko. Dotykanie ich uspokajało jej wewnętrzne drżenie. Bała się jeszcze powiedzieć to głośno, ale chyba się udało.

Pewnego dnia miła właścicielka mieszkania została zamieniona przez złego czarownika. Ledwie Zuzanna weszła w drzwi, miła niegdyś pani podniosła głowę znad blatu stołu zastawionego butelkami.

– A w ogóle... w ogóle, to wypierdalaj... – wybełkotała.

Zuzanna nie zdziwiła się za bardzo, tylko poczuła żal, że musi opuścić ten oswojony zakątek. Już od dawna wiedziała, że ludzie potrafią zmienić się w mgnieniu oka. Weszła po raz ostatni do pokoiku, zebrała swoje rzeczy i wyszła, ścigana bełkotem kiedyś miłej kobiety, która usiłowała pokonać opór języka i powiedzieć coś jeszcze, ale nie udawało jej się przejść przez wysoki próg początku zdania.

Musi chyba znów wrócić do Lilki, tylko czy ta ją przyjmie. Ale nie ma lepszego pomysłu. Postanawia po drodze kolejny raz zajść do Majki, żeby oddać mu pieniądze.

Zatrzymuje się przed drzwiami. Dzwoni kilka razy i gdy ma już odchodzić, drzwi otwierają się. Staje w nich zaspana Bożena w różowym, za ciasnym szlafroku.

– Piekarnia czy co? – pyta rozwlekle, przecierając obrzmiałą twarz.

– Przepraszam, ja właściwie do Majki, ciągle nie mogę go zastać.

– A bo jego nie ma.

– Kiedy wróci?

– Nie, on chyba już nie wróci. Wyjechał. I to jakby na zawsze.

– Niedobrze. Bo ja mam dla niego pieniądze, chciałam mu oddać.

– No to nie wiem, skarbie, jak to zrobisz. – Bożena wzrusza obojętnie ramionami. – Ja ci nie pomogę, bo nie wiem, gdzie on się wyniósł. A, czekaj, to ty byłaś kiedyś u nas na prywatce, z Lilką? Masz takie śmieszne zwierzątko.

– Tak, to ja.

Zuzanna odwraca się. Chyba jednak pójdzie do mieszkania, które kilka miesięcy temu znalazła i rozważyła wynajęcie tam pokoju. Wtedy zrezygnowała, wydawało się za drogo, teraz ma więcej pieniędzy.

– A zwierzątko nie żyje – rzuca jeszcze Bożenie, odchodząc.

– O, szkoda, fajne było stworzenie. A co mu się stało?

– Po prostu umarł.

Zuzanna obserwuje Dolores Miednicę. Musi być nieprawdopodobnie silna, skoro przeżyła, a przecież nie powinna. Absolutnie nie, choć większości jej koszmaru można się tylko domyślać. Jak to się robi, myśli Zuzanna, przyglądając się jej połyskliwym włosom, mieniącym się w słońcu dojrzałymi kasztanami, jak to jest być skazanym na śmierć i wymykać się jej wciąż i wciąż od niemowlęctwa? Może już wtedy wymykać się świadomie?

Dolores je z apetytem zupę, łyżka niemal wygina się od wbijania jej w zbyt płytkie dno w poszukiwaniu ostatnich kropli pomidorówki. Może coś jeszcze da się wycisnąć z wyszczerbionego talerza. Jednak nie. Dolores wstaje i z niemal wyciśniętym talerzem idzie do blatu, na którym stoi kocioł z pomidorową. Idzie powoli i z trudem, z pewnością boli ją całe ciało, na pewno krocze. Ale Dolores idzie jak królowa, odrobinę tylko wykrzywiając usta, czego i tak nie widać, bo jej usta są krzywe od zawsze. Zuzanna dobrze zna jej twarz i nawet drobniutkie drgnięcia kącików krzywych ust są dla niej widoczne, poza tym wie, bo zna Dolores nie od dziś, że upał, a dziś właśnie jest, dokucza jej szczególnie. I że przede wszystkim chodzi o krocze.

– Dzisiaj jest ta głupia krowa, ale spróbuję, może da dokładkę... – szepcze Dolores, mijając Zuzannę, która czeka cierpliwie, aż Dolores się naje. Najpierw idzie do salowej, która jej nienawidzi, bo się jej boi i brzydzi, idzie negocjować nadprogramowy talerz uwielbianej pomidorówki.

Zuzanna nie wie, co Dolores mówi salowej. Z oddalenia widzi tylko głowę tamtej, odwróconej do Dolores tyłem, udającej, że wcale jej tam nie ma. Zuzanna widzi, jak Dolores milimetr po milimetrze zbliża się do salowej, nie za blisko jednak, aby tamtej nie przestraszyć. Widać napięcie w ciele Dolores, koncentrację, wyczekiwanie na właściwy moment, jak u drapieżnika. I nagle ręka salowej chwyta

chochłę, zanurza ją w kotle, wydobywa zupę. Nieprowadzona wzrokiem, bo salowa chyba nie bierze odpowiedzialności za swoją rękę, chochła powoli się przechyliła, a Dolores musi czujnie podstawić swój talerz pod zupę wylewającą się bladokrwistym strumykiem. A gdyby Dolores nie zdążyła, nie przewidziała trajektorii chochli, zagapiła się lub zrezygnowała z dokładki? Ale ona nie rezygnuje, zdąża, nie zagapia się, bo pewnie już w niemowlęctwie musiała się nauczyć, że gapiostwo kończy się śmiercią lub kalectwem. Wraca teraz z pełnym talerzem, idzie ostrożnie, jakby trzymała w dłoniach dynamit. Kalafiorki z palców omywane są przez ciepłą zupę. Może zawinie się na nich kawałek makaronu, przyozdabiając je stosownie. To znaczy niestosownie.

Zuzanna przygląda się w milczeniu zmaganiom z pełnym talerzem, kibicując dziewczynie, która zawsze radzi sobie sama. Dolores stawia talerz na stoliku, oblizuje palce i ich wykwity, a następnie siada z rozmachem, choć zetknięcie się ciała z krzesłem wyrywa z niej cichy jęk. Milknie jednak szybko, a usta zostają pospiesznie zalane zupą, której zdobycie kosztowało tyle wysiłku i bólu. Salowa nawołuje już do odbierania drugiego dania, Dolores przyspiesza. Pierwsze porcje są większe, tłumaczyła kiedyś Zuzannie, ale mogą być zimniejsze, bo kartofle idą z wierzchu. Trzeba chwilę odczekać, żeby wziąć kolejne, bardziej ze środka. Więc z pewnością i teraz zastosuje taką taktykę. Znosi pusty talerz i wraca z porcją ziemniaków i czegoś jeszcze, pewnie smacznego, bo pochłania to błyskawicznie. Chwilę siedzi w milczeniu, odpoczywając po wysiłku, jakiego pewnie musiała dokonywać w sprawie jedzenia od pierwszych dni swojego życia.

Podchodzi do Zuzanny uśmiechnięta krzywymi, zdeformowanymi ustami, w których ukazują się drobniutki, w większości zepsute ząbki. Oczy osadzone na dwóch rozmiągających się poziomach są szczęśliwe.

– Najadłam się – informuje.

Odgarnia kalafiorkowatą dłonią swoje kasztanowe włosy, piękne same z siebie, bez wymyślnych pielęgnacji, myte czymkolwiek, kiedykolwiek, lśniąca falą spływające zachwycająco na niekształtne, nierówne ramionka. Zuzanna wstaje, przez co Dolores staje się taka nieduża, choć, jak to ona, prostuje się i pręży, jak przystoi na wojownika. Obie rozglądają się i jednocześnie znajdują świetne miejsce, w kącie korytarza, porzucone i zapomniane cztery odrapane krzesła, z których przecież potrzebne im są tylko dwa.

– Ciocia, musisz mi powiedzieć, jak ja mogę zrobić matkę – zaczyna podekscytowana Dolores.

– Maturę. No tak... – Zuzanna stara się nie dziwić. – Najpierw trzeba skończyć szkołę podstawową, później średnią, a w ostatniej klasie jest matura.

– Aha. A co to jest ta matura?

– Taki egzamin.

– Egzamin... A co to jest? – Podekscytowana Dolores przytrzymuje ją za rękaw, kalafiorki rosnące na dłoni ocierają się o fartuch Zuzanny.

Muszę zmienić fartuch zaraz, jak tylko wrócę, myśli Zuzanna. I żeby teraz nie dotknęła. Jeszcze te wirusy przejdą na mnie. Nie chcę mieć kalafiorków.

– Egzamin, to takie odpytywanie, jak w szkole, czy umiesz coś, czego się nauczyłaś.

– Żeby coś przeczytać i napisać, tak?

– No tak, tylko trudniej.

– Ale ja dam radę, bo ja mam... ten... markowany... w inteligencji...

– Umiarkowany... no właśnie... – kończy zafrasowana Zuzanna, bo przecież nie ma dobrych informacji dla Dolores w sprawie umiarkowanego poziomu inteligencji i matury.

– Oj, ciocia, pomożesz mi, to się nauczę – stwierdza Dolores z przekonaniem. – To ja bym miała dobrą pracę... Może w sklepie bym nawet mogła pracować... Bo lekarzem to chyba bym nie mogła być, co?

– Musiałabyś po tej maturze jeszcze kilka lat się uczyć. I to jest bardzo trudna nauka.

– No dobrze, ciocia. Korale mi przyniosłaś?

– Jasne. – Zuzanna wyciąga z kieszeni naszyjnik, który znalazła w domu, kupiony kiedyś na jakimś festynie zupełnie nie wiadomo po co.

Dolores jest zachwycona. Jej nieforemna twarz z obrazów Picassa promienieje chyba nawet bardziej niż przy pomidorówce. To jest szczęście małej, krzywej, pięknowłosej dziewczynki z kalafiorkami, które kiedyś wyrosły na jej ciele. Dolores przymierza korale, Zuzanna pomaga je zapiąć, starając się nie dotykać nawet bajecznych włosów. Dolores, zachwycona, głaszcze korale i szyję przy koralach, i dekolt. Zerka z dumą na przechodzące obok pacjentki, te nie są jednak zainteresowane jej koralami.

Nagle twarz Dolores rozjaśnia się jeszcze bardziej.

– Ciocia, Zenek do mnie przyszedł... – szepcze; jej policzki zaróżowiają się jak u najlepiej wychowanej panienki.

Zenek podchodzi i niezgrabnie całuje Dolores w policzek, a ona każe mu podziwiać korale, które nie interesują go wcale, ale skoro Dolores każe...

– Piękne?

Zenon uśmiecha się, kiwa głową. Zenon uśmiecha się zawsze i Zuzanna zastanawia się, czy uśmiecha się również wtedy, gdy dzieje mu się krzywda. Tak pewnie jest, myśli, bo przecież Zenon nie ma w sobie nawet odrobiny złości czy choćby niezadowolenia, przyjmuje świat zawsze z takim samym uśmiechem, niezależnie od zdarzeń. Uśmiech po prostu nigdy nie znika z jego pooranej bliznami po ospie nieładnej twarzy. I jeszcze włosy – ogniście rude, płomiennie rude, tycjanowsko rude, wiewiórczo i co tam jeszcze o rudości można wymyślić. Tak rudych włosów Zuzanna nie widziała nigdy. Tak rude mogą być najwyżej na pudełkach farby do włosów, ale Zenon oczywiście czegoś takiego nie używa. Ledwie pamięta, żeby umyć raz na jakiś czas płomień wyrastające mu z głowy, inne działania pielęgnacyjne są mu zupełnie obce. Tak samo jak Dolores, w której włosy Zenon zapatrzył się z zachwytem, bo znów osunęły się z wąziutkich ramion i zalśniły kasztanowym blaskiem w słońcu wpadającym przez brudną szybę. I uśmiech Zenona z tego właśnie powodu uzyskał nowy wymiar, bo do standardowego doszedł zachwytem. Co do swoich włosów Zenon był przekonany, że niewarte są zainteresowania. Nikt nie potrafił go przekonać, że jest inaczej. Chyba nie zdawał sobie do końca sprawy, że złote nitki, zwane dla ułatwienia włosami, fascynują i zadziwiają. Dla niego fascynujące były tylko włosy Dolores, która dobrze wiedziała, jakie wrażenie robi na Zenonie, i w obecności zdziwionej Zuzanny raz po raz potrząsa swoimi puklami. Doskonale wie, że go uwodzi, Zuzanna widzi to w jej oczach.

Jak oni się odnaleźli, oboje obdarowani przez naturę tak hojnie i jednocześnie tak pozbawieni czegokolwiek? Włosy to pewnie zadośćuczynienie za to, co bolesne w ich trudnych losach. Losy podobne, charaktery inne. Zdziorność Dolores kontrastowała z uległością zawsze uśmiechniętego, godzącego się na wszystko Zenona, który chyba miał wyższe IQ niż Dolores, ale ze światem radził sobie gorzej. Dwa skrajnie różne sposoby na przetrwanie i każdy z nich okazał się dobry, myśli Zuzanna. Oboje przeżyli, choć nie powinni, a teraz jeszcze stworzyli parę, o której mówi cały szpital.

– My się, ciociu, kochamy, i niech mu ciocia powie, że ślub musi być, i to szybko. – Dolores komenderuje jak zawsze, znów potrząsa włosami i Zenon nieruchomieje w swoim zachwycie z wniebowziętym uśmiechem. – Że nie można bez ślubu. Ja jestem porządną kobietą i ja nie zmienię zdania. Ja nie będę po krzakach się tarzać jak niektóre. I z rodzicami miałaś mnie poznać...

– Ale ja nie wiem, gdzie oni są. – Zenon uśmiecha się przeproszająco.

– Jakby się postarał, toby się dowiedział – stwierdza chłodno Dolores, a Zuzanna zagryza usta.

– A ty wiesz? – pyta z łagodnym uśmiechem Zenon.

– Ja się zaraz dowiem i wtedy zobaczysz, że można – mówi z przekonaniem Dolores, a Zuzanna podziwia jej kobiece sztuczki. Gdzie ona się tego nauczyła i kiedy? – I bardzo się kochamy, i chcemy się

pobrać, ciociu.

– A co to jest to pobrać? – dopytuje się Zenon.

– No to właśnie jest ten ślub.

– Co wtedy byliśmy i tak ładnie byli ubrani?

– Tak. Ładnie byli ubrani i jakie korale miała ta pani... – Dolores mruży oczy na wspomnienie biżuterii, która zrobiła na niej tak duże wrażenie.

– I będziemy mieszkać wtedy już razem? Bo mnie jest wciąż zimno, jak siedzimy na ławce. A ja nie lubię, jak jest zimno, ale chcę być z tobą, to siedzę na tej ławce.

– To ślub musimy wziąć, jak mamy ze sobą być. – Dolores uspokaja się nieco, najwyraźniej Zenon zaczyna zmierzać we właściwym kierunku. – Bo ja ciebie też kocham, Zenuś... – Kalafiorokowate dłonie podążają do twarzy Zenona, który rozpląta się w upojnym zachwycie, czule przez Dolores głaskany.

Oboje patrzą na siebie zakochanymi oczami umieszczonymi w zdeformowanych twarzach.

– A dlaczego ty tyle pracujesz, dziecko? Czy to nie za dużo dla tak młodej osoby? Przecież uczyłaś się cały czas bardzo pilnie. Gratuluję matury.

Zuzanna drgnęła, usłyszawszy te słowa. Jak mogła go nie zauważyć, znów pozwalając sobie bezczelnie otworzyć przeszkłone drzwi biblioteczki i wyciągnąć jedną z tych książek, które zafascynowały ją od razu, ledwie zaczęła wycierać je z kurzu, ledwie dotknęła ich dłonią, przesunęła palcami po grzbiecie, otworzyła. Zwabiły ją niepokojącymi, niezrozumiałymi rycinami, niezwykłymi literami, zapachem. Musiała ulec. Później cieszyła się na myśl o kolejnym spotkaniu, starając się, aby wypadło mniej więcej w połowie sprzątanania, kiedy pojawiało się zmęczenie. Czasu miała na ogół niewiele, tyle, żeby szybko je przekartkować i trzy–cztery sekundy dłużej zatrzymać oczy na rycinach. Możliwe, że właśnie dlatego tak dokładnie wnikały do mózgu. Mogła później przyglądać się im jeszcze w drodze do domu. A nawet wylegując się w wannie.

Kiedy głos wskazał kierunek, wiedziała, że w tym ciemnym kącie wielkiego gabinetu, w fotelu schowanym między masywnymi meblami siedzi „pan doktor”. Dystyngowany, jak zwykle elegancki, jakoś tak zwyczajnie niby, a przecież zupełnie niezwyczajnie. Wstał z głębokiego fotela, z którym zlewał się wcześniej przez swój brązowy garnitur. Gdyby miał białą, jak zazwyczaj, koszulę, pewnie zobaczyłaby go wcześniej, ale dzisiaj koszula była ciemniejsza, nie odcinała się tak wyraźnie od garnituru. Stał teraz i patrzył na nią, uśmiechając się lekko, a Zuzanna znów poczuła ucisk wewnątrz piersi, jaki pojawiał się niemal zawsze, kiedy z nim rozmawiała lub kiedy tylko był w pobliżu. Deprymowało ją to, niepokoiło, złościło i... coś jeszcze, czego nie potrafiła określić. Stał naprzeciw niej, wysoki, wyprostowany, zasłaniając wielkie okno, którego mycie było koszmarem. Wiele razy siedział tu przy biurku, czytając, najczęściej z piękną filiżanką w dłoni, którą trzymał przy ustach, miała wrażenie, jakoś za długo, spoglądając gdzieś przed siebie, czasem na nią czy za okno. Wchodząc do jego gabinetu, zawsze pukała i czekała na zaproszenie, zawsze też wołała, żeby gabinet był pusty. Jeśli nie, wycofywała się i szeptała, że przyjdzie później, kiedy „pan doktor” skończy, ale on zawsze zapraszał ją, zapewniając, że nie będzie mu przeszkadzać. No, ale jak tu ścierać kurze w bliskiej odległości od niego, jak odkurzać dywan pod biurkiem? I wiele jeszcze spanikowanych pytań miała w głowie po tych jego zapewnieniach, że absolutnie nie przeszkadza, ale rozwiewały się one dosyć szybko, bo „pan doktor” po jakimś czasie wychodził. Spotykała go też w innych miejscach tego ogromnego mieszkania, pełnego ciężkich lub delikatnych, wytwornych sprzętów. I wtedy jego niespodziewaną obecność najpierw rejestrowała jej skóra, dopiero na końcu – oczy, gdy już odwróciła głowę w kierunku wskazanym przez ciało.

– Moi rodzice nie żyją – odpowiedziała szybko przygotowaną na taką okoliczność formułką. Wszystkim to wystarczało, ale „pan doktor” przyjrzał się jej uważniej i najwyraźniej zamierzał dopiero

zacząć rozmowę, a nie kończyć.

– No tak, wiem, żona mi mówiła. Faktycznie nie masz nikogo bliskiego? A dalsza rodzina? Sąsiedzi, znajomi, przyjaciele? Przecież twoja rodzina nie żyła w izolacji od świata, jak sądzę...

– Tak wyszło, że muszę radzić sobie sama. I jest dobrze, nic złego się nie dzieje – wykrztusiła i chciała wyjść z salonu, ale głos zatrzymał ją w miejscu.

– Czy ja nie powinienem zgłosić na milicję, że tak młoda osoba jest w tak trudnej sytuacji?

– Jestem pełnoletnia, nigdzie niczego nie trzeba zgłaszać. I wcale nie jestem w trudnej sytuacji, wszystko jest w porządku. – Czuła narastającą panikę, nawet język wydawał się oporny i ciężki. Nie przećwiczyła odpowiedzi na wypadek takiej dociekliwości.

– Jak można ci pomóc?

– Przecież mi pan pomaga, dając pracę...

– To wystarczy?

– Tak. Mam jeszcze trzy mieszkania do sprzątnia, naprawdę, nieźle mi się powodzi. – Uśmiechnęła się. – Właściwie nigdy nie powodziło mi się lepiej.

Patrzył na nią łagodnie, spokojnie. W jego twarzy było coś, czego nie potrafiła nazwać, coś, co kojarzyło jej się z rozleniwionym kotem, może nawet tygrysem, ale też jakaś jastrzębia uważność była w tych oczach. A też coś z pawia i czarnego łabędzia, i również coś sarniego.

– Widzę, że interesujesz się książkami. I już wiem – uśmiechnął się – dlaczego ostatnio są poprzestawiane.

– Ja... ja tylko...

– Ależ, dziecko, czytaj jak najwięcej. Które podobają ci się najbardziej?

Zuzanna pokazała swoje ulubione. On kiwał przy każdej głową, ale z twarzy nie dało się nic wyczytać; równie dobrze mógł ją pochwalić za wybór, jak i wyśmiać. Dlaczego wybrałam te najdziwniejsze książki? – ganiła samą siebie. Dlaczego akurat te, gdzie zniekształceni ludzie i niezwykle potwory przy tych ludziach mieszkające, chyba nawet często w nich mocno zagnieżdżone, straszyły na tyłu stronach, a czasem mieszały się ze sobą lub pączkowały jedno z drugiego. Ludzie na rysunkach byli osobliwi, budzili lęk i jednocześnie ciekawość. Najczęściej brzydocy, naznaczeni jakąś wadą ciała, zdradzającą wewnętrzną brzydotę, często przerażeni albo z przerażającymi grymasami na twarzach. Ich głowy nierzadko ukazane były od środka, przecięte, przepołowione, z mózgiami wyjętymi jak orzech włoski ze skorupki. Stwory i maskary mieszkaly w przedstawionych tu ludziach, w ich głowach, warowały w pobliżu, ale też usadawiały się na ramionach lub dusiły leżących, siedząc im na klatce piersiowej. Patrzyły wtedy na oglądającego rycinę z ukosa, jak przyłapanie na nagannej czynności, której, jeśli już została ujawniona, nie trzeba się wstydzić. Ale też patrzyły przerażająco złowieszczo, jakby za chwilę miały wyskoczyć z obrazka i rzucić się patrzącemu do gardła.

– Koniecznie musisz iść na studia.

– Ja? Chyba nie.

– A co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

– Nie wiem. Na razie zdałam maturę.

Zuzanna znów szukała odpowiedniej nazwy na to, co czuła, i znów nie znalazła. „Pan doktor” zaprosił ją gestem, aby usiadła w fotelu obok, ale tak ją tym przestraszył, że odzyskała jasność myślenia.

– Myślałam o studiach, ale... w mojej rodzinie nikt nie studiował. Możliwe, że tak już zostanie... – powiedziała i odważnie ruszyła do drzwi, dając do zrozumienia, że zakończyła rozmowę, ale stanowczy głos nie pozwolił jej odejść.

– Będiesz pierwsza.

– Zastanowię się... – Znów pół kroku w kierunku drzwi; może właśnie to pół to za mało, może

powinna zrobić cały, bardziej zdecydowanie.

– Otworzyli nowy kierunek na uniwersytecie, bardzo pasuje do ciebie... – powiedział pospiesznie, może chcąc uprzedzić jej ucieczkę.

– Jak to pasuje do mnie?

– Psychologia. I nie jest to nauka o psach...

Roześmiali się oboje, a później, poważniejąc, przyjrzeni się sobie z ciekawością.

Zuzanna była onieśmielona i zaintrygowana tym, co mówił. I zdziwiona, że ktoś tak wytworny poświęca swój czas dla niej, ktoś z równoległego, ale wyższego świata poświęca jej tyle uwagi, troski, nie spieszy się, mówiąc do niej, formułuje zdania dla niej wyłącznie przeznaczone, chce coś wytłumaczyć.

– Te książki, które przeglądałaś, związane są właśnie z psychologią. To znaczy bardziej z psychiatrią i neurologią, ale w tamtych czasach psychologia nie istniała w takiej postaci jak dziś. A na styku tych obszarów, nie tak dawno, powstała. Wygląda na to, że zainteresowały cię od razu i pewnie coś jest na rzeczy. Mam jeszcze sporo książek z tej dziedziny. Przeczytasz, dowiesz się więcej. Coś tam też mogą ci podpowiedzieć i wyjaśnić, jeśli będziesz chciała. I pamiętaj, masz ogromne możliwości, nie zmarnuj ich. Ja w ciebie wierzę. – Uśmiechnął się.

Zuzanna zwilżyła usta językiem. „Ogromne możliwości”?

– To może ja zrobię herbaty, spokojnie napijemy się jej i porozmawiamy o tym wszystkim, bo wydaje mi się, że chce ci się pić. Jest tak ciepło...

Te słowa zdeprymowały Zuzannę do reszty, skuliła się i szepnęła, że przecież musi dokończyć sprzątanie.

– Dobrze, rozumiem, oczywiście. Zrobmy tak: ja przygotuję ci co tydzień książkę, którą uważam za ważną, położę ją w swoim gabinecie na fotelu, tym najwygodniejszym, pod lampą, a ty, jeśli będziesz chciała, to ją przeczytasz, kiedy skończysz sprzątać, dobrze? Tylko proszę, żebyś nie wynosiła książek z gabinetu. Czytaj je na miejscu, dobrze? Masz wtedy gabinet dla siebie.

– Dobrze – wykrztusiła Zuzanna. – I dziękuję bardzo za taką możliwość. Ja przychodzę w piątki po południu.

– Wiem.

– To ja idę dalej sprzątać...

– Oczywiście.

W głębi mieszkania trzasnęły drzwi. „Pani doktorowa”.

– To ja dalej... sprzątam...

– Tak, tak. Powiem żonie o naszej umowie w sprawie książek.

– Biła mnie za wszystko. Kazała kłaść się na stołku... – Wstaje z fotela i podchodzi do krzesła, które ma zastąpić tamten stołek czy stołki, odwraca je oparciem do ściany i kładzie się na nim tak, jak wtedy, przywołując tamte obrazy, których nie może zapomnieć. Bo choć przecież Zuzanna wie, jak może wyglądać położenie się na stołku, on musi to odtworzyć, przeżyć tysięczny raz, z takimi właśnie lekko przymkniętymi oczami i ciałem wciąż zatopionym w tamtych wydarzeniach. – Biła czym popadnie. Mówiła, że ręce i nogi mi utnie i wrzuci do pieca. W szkole najpierw mnie bili, później ja biłem, tych silniejszych też. Było mi wszystko jedno, czy mnie zabiją. W szkole mówili, że jestem największy bandyta. A ja już wtedy mogłem bić się z każdym. I wtedy przestali mnie bić, bali się mnie. Ale wcale nie było mi z tym tak dobrze, jak myślałem, że będzie. Zacząłem pić. I piłem tak, jak wcześniej się biłem. To znaczy coraz bardziej, coraz mocniej. Myślałem, że utopię w tej wódce ją, siebie, tamto wszystko. Ale nie dało się. Jeden taki, co pił dłużej i więcej niż ja, powiedział mi kiedyś, że nie ma takiego oceanu

wódki, co by wystarczył na utopienie tego robala, co mnie gryzie. Pani wie, tak się mówi: każdy ma swojego mola, co go szmola. To śmieszne powiedzenie jest i ja, jak je sobie powtarzałem, to zawsze się śmiałem. A powtarzałem często, jak piłem, bo często piłem sam, nie miałem z kim pogadać, a zresztą, o czym właściwie miałbym gadać. Ja jestem raczej milczący. I to żona mnie z tego wyrwała. Sam się dziwię, że jej się udało. Bo to już było picie na zatracenie. Byłem sam, pracować pracowałem, ale to było takie poruszanie rękami i nogami, nie jakaś sensowna praca, życie tym bardziej. A moja żona pracowała w tym barze, gdzie siedziałem co dzień, taka pijalka, wie pani. Przychodziłem po robocie, siadałem w kącie i piłem. Właściwie mógłbym w domu, taniej by było, ale w domu już mi było trudno, może umrzeć chciałem nie sam, tylko przy ludziach. Żeby po prostu byli. I ja to jej nie zauważałem nawet, ale któregoś dnia ona powiedziała, że nie da mi tylu piw, ile zamówiłem, tylko o jedno mniej. No to się wkurzyłem, co ona będzie mi tu rządzić. A ona twarda była i powiedziała, że tak właśnie będzie, bo ona chce mnie raz zobaczyć trzeźwego, i doprowadzi do tego, ale tak, żebym nie wpadł w delirkę. Ona niejedno w tym barze widziała. I ja dopiero wtedy ją zobaczyłem, choć przez mgłę, ale to było tak, jakbym płynął na morzu w ciemności i zobaczył światełko, takie ledwie, ledwie, co to najpierw nie wiadomo, czy się wydaje, się przyśniło, czy jest naprawdę. I ona co parę dni odejmowała jedno piwo. A znała mnie od podstawówki, jak się okazało, chodziliśmy do jednej klasy przez osiem lat. Ale ja jej nie pamiętałem, bo z tamtego czasu nic nie pamiętałem. I wreszcie kiedyś przyszedłem, a ona powiedziała, że dzisiaj nie ma piwa. I to piwo, co zamówiłem, wylała na podłogę przy moim stoliku, powoli, patrząc mi bezczelnie w oczy. Wszyscy ucichli, aż się zdziwiłem, że tak bardzo ucichli, i pewnie czekali, że ją zabiję czy przynajmniej uderzę, no, chociaż skrzyczę. A ja modliłem się w duchu, żeby ona nie przestraszyła się tego, co robi, i żeby taka właśnie była, odważna i mocniejsza ode mnie. I była. To poczekałem na nią, aż skończy pracę, i pojechaliśmy do mnie. I pobraliśmy się niedługo. Pić przestałem. Dobrze nam było. I raz szedłem z psem po takiej łące za blokiem. To znaczy szliśmy razem z żoną. I jakaś kobieta siedziała na ławce, ja jej nie zauważyłem, dopiero żona mówi: „Dlaczego ona tak się nam przygląda?”. I ona wtedy podeszła do nas, ale patrzyła tylko na mnie, i powiedziała: „Powinieneś mnie znać”. Ale ja jej nie znałem. Patrzyłem i patrzyłem, ale nic mi ta twarz nie mówiła. Stara, zniszczona kobieta. Więc mówię: „Nie znam pani”. Pokiwała głową i poszła sobie. I dopiero żona mówi: „Przecież to była twoja matka”. Obejrzałem się za tą kobietą, co to niby była moją matką. Nic nie było w niej znajome. Nic. Nic nie poczułem. Zupełnie nic. Ja już wtedy nie piłem, już miałem córkę, i kiedy ją zobaczyłem po raz pierwszy, córkę znaczy, to wie pani co? Zacząłem płakać. A płakałem jeszcze bardziej, jeszcze mocniej, kiedy jej dotknąłem, to znaczy najpierw jej malutkich piąstek, takich zaciśniętych mocno, aż przestraszyłem się, że może ona ma już w sobie tę moją wściekłość. To mnie tak zabolalo strasznie, że może wzięła całe moje cierpienie, a nie chciałem tego, ją chciałem uchronić przed tym najbardziej. I patrzyłem na jej buzię, taką maleńką, patrzyłem, jak oddycha, i wiedziałem, że to jest takie... kruche, wszystko w niej, nawet ten oddech. Pomyślałem, kiedy tak na nią patrzyłem, że gdybym położył jeden palec na jej ustach i nosku, to ona przestałaby oddychać, umarłaby od tego, i przeraziłem się, że coś takiego mogłoby się stać, no na przykład przez nieuwagę, gdyby coś spadło jej na buzię, to przecież ona nie umiałaby się z tego wyplątać, obronić. I poczułem, że zaczynam bać się, chyba pierwszy raz w życiu, o nią, ale tak strasznie, że chciałbym zmienić natychmiast wszystko wokół niej, żeby było bezpieczne, żeby nie stała się jej krzywda jakaś, jakieś nieszczęście. I że ja po to jestem. Nie mogłem spać, tylko siedziałem przy niej i patrzyłem, jak życie się w niej zadomawia, mości, i myślałem, że ja będę to chronił najbardziej. O siebie nie bałem się nigdy, w największych bójkach, z największymi łobuzami się nie bałem, nawet chyba chciałem, żeby mnie w końcu zatłukli. Teraz wiem, że to ten mój brak strachu ich przerażał, że oni bali się tego, że ja się nie boję. Bo ja wtedy byłem najgorszy wariat, ja wtedy byłem poza ich zasięgiem, oni bali się mnie właśnie dlatego. A moje maleństwo było jak ziarenko piasku, jak malutki kwiatek, tak delikatny, że strach

wziąć do rąk. Taki płatek śniegu. I wtedy po raz pierwszy przestraszyłem się o siebie, że gdyby mnie zabrakło na przykład, to kto ją ochroni. I poczułem strach o siebie jakby zsumowany, jakby przypląnął do mnie cały ten strach, który wcześniej zatrzymywał się daleko ode mnie. I wtedy zacząłem być ostrożny, bardzo ostrożny, we wszystkim. Nie wiedziałem do tego czasu, że wszystko wokół jest tak niebezpieczne. Że podłoga jest niebezpieczna, woda jest niebezpieczna, powietrze, ulica jest niebezpieczna i słońce, i deszcz i... Wszystko. Żona mnie nie poznawała, bo zacząłem ją teraz przestrzegać przed tym wszystkim. Żeby uważała na siebie, bo jakby jej coś się stało, to kto będzie karmił moją malutką Zosię? Bo imię dostała po mojej matce. Nie wiem, dlaczego tak wyszło. Bo ja zapomniałem imienia mojej matki i dopiero jak ochrzciliśmy dziecko, to nagle sobie przypomniałem. A wcześniej, kiedy szukaliśmy dla niej imienia, to jakoś od razu wiedziałem, że Zosia. Żonie bardzo się spodobało to imię. I od razu po chrzcie przypomniało mi się, że przecież moja matka to Zofia. I poczułem się oszukany przez siebie samego, że będę teraz mówił do mojej córeczki imieniem kobiety, która skrzywdziła mnie najbardziej. Więc nie mogłem tego zrobić, dlatego od razu ja i żona mówiliśmy o małej Mała właśnie. Ja nigdy nie użyłem jej prawdziwego imienia. Nie potrafiłem. Ono jest gdzieś tam, jest sobie i już. Niech tak zostanie. Oczywiście wszędzie mówią do niej Zosia, tylko my w domu nie. Mała zresztą nigdy nie pytała. Ona nie wie o tym wszystkim, co było z moją matką. No to musiałem zabić, nie? Sama pani widzi. Musiałem, bo tamten chłopak... Ona przecież jeszcze była prawie dzieckiem, choć wiedziałem, że już się zmienia powoli w kobietę, i to mnie zresztą jakoś, nie wiem, drażniło i przestraszało, bo spodziewałem się tych chłopaków, co zaczną się pojawiać. A zaczęli. Ale ja jej dużo tłumaczyłem, jak to z chłopakami jest i o co im chodzi, i żeby uważała. No i tak było. A ten ją złapał na klatce, jak odprowadził ją do domu, co to tak się cieszyłem, że taki przyzwoity. Zawsze wyglądałem przez okno, ale przy zgaszonym świetle, żeby nikt mnie nie zobaczył, wyglądałem, jak miała przyjść z takiego spotkania, bo nie chciałem nazywać tego randką. I tak czuwałem i obserwowałem, co się dzieje, jak ona wraca, czy wszystko jest dobrze. I ten mi się podobał nawet, że zawsze pod sam blok ją odprowadza i zawsze na czas, co się z nim umówiłem, o której mają być, to byli. I wtedy też wiedziałem, że już idą i jest jeszcze pięć minut. Wiedziałem, że weszli do klatki, to poszedłem pod drzwi, tak żeby trochę się zorientować, co się tam dzieje, czy wszystko w porządku. I jak tak słuchałem pod drzwiami, jak oni szli po schodach, to słyszałem, że sobie rozmawiają, ona się śmieje. Jak podeszli pod drzwi, to ucichli, coś zaczęli szeptać. Ja już miałem odejść, bo pomyślałem sobie, no dobra, tyle chodzą ze sobą, to nawet niech się pocałują, niech tam. Kiedyś to się musi stać, ona ma przecież już dwadzieścia lat, to chyba już może. I pamiętam jeszcze, że żona przeszła z kuchni do pokoju i popukała się w głowę, jak mnie zobaczyła takiego czatującego, ale często tak robiła, gdy mnie widziała w takiej sytuacji. No więc odchodziłem już od tych drzwi, bo głupio mi się zrobiło, gdy żona tak mi pokazała, rzeczywiście, pomyślałem, głupi jestem. I wtedy usłyszałem, że moja córeczka krzyknęła. I w sekundę byłem za drzwiami i zobaczyłem, że ona wyrwa mu się, a on ją trzyma i nie chce puścić. A ona chce odejść i nie może, i że z tego powodu, może bólu, jak on ją tak trzymał, czy może z bezradności, a może jedno i drugie, tak krzyknęła. I nie wiem za bardzo, jak to się stało, ale sekundę później byłem przy nim. Mała już mogła się wyrwać, bo on ją puścił, kiedy tylko mnie zobaczył. W trzeciej sekundzie już nie żył. Bo ja go zrzuciłem z tych schodów. Moja córeczka krzyczała. I żona krzyczała, a on leżał na dole we krwi, coraz większa była ta kałuża pod jego głową. I dopiero otrzeźwiałem zupełnie i pomyślałem, że to było chyba niepotrzebne i że go zabiłem, a sam nie wiem, słusznie czy nie, bo przecież jeszcze mi córka nie powiedziała, dlaczego krzyknęła. Bo może to była złość, na przykład. I czy gdyby to była złość, to należałoby mu się czy jednak nie? O tym wszystkim myślałem, a one krzyczały. Kałuża krwi była coraz większa i ja znów poczułem, że niczego się nie boję, bo moje życie skończone i że może to lepiej. Że będę siedział w więzieniu już zawsze i może to lepiej, może tam moje miejsce. I że od tej mojej wściekłości nie dało się jednak uciec. Że matka moja

Zofia była i jest ze mną na zawsze, a to, że nie wymawiałem jej imienia, niczego nie zmieniło. I to, że zapomniałem jej imię i ją samą, nie zmieniło niczego tym bardziej. Można nie pamiętać, a doskonale pamiętać. I tak było właśnie ze mną.

Zapadała się coraz śmieiej z książkami na całe wieczory. W tle grało radio lub adapter. Słyszała ich śmiech, widziała ich siedzących na kanapie blisko siebie, widziała, jak on podnosił jej dłoń do ust i całował delikatnie albo gładził jej włosy, coś przy tym mówiąc, czego nie mogła, ale też wiedziała, że chyba nie powinna, wyraźnie usłyszeć. Kiedy ona wstawiała z kanapy, jego dłoń z opóźnieniem zsuwała się z jej talii. Kiedy on czytał gazetę lub książkę, ona wtulała się w niego sennie. Kiedy czytali oboje, siedząc naprzeciw siebie w fotelach, przeważnie dotykali się stopami lub zaplątywali je tak, że nie sposób było później się wyplątać. Często wychodzili do teatru lub do kina, a Zuzanna towarzyszyła im lub zostawała w domu i czytała, spała, bardzo mocno spała i śniła sny możliwe do śnienia tylko tu. Czasem budziła się, gdy on lub ona poprawiali jej zsunięty koc. Kiedy widzieli jej niespodziewanie otwarte oczy, uśmiechali się przepraszająco. Jeśli było bardzo późno, „pan doktor” dzwonił po taksówkę, która odwoziła ją do jej pokoiku lub – coraz częściej – zostawała w pokoju gościnnym na noc. Jak dobrze, że ta czarodziejska kraina istniała, że była na wyciągnięcie ręki, tuż przed oczami rozleniwionej Zuzanny, której nie chciało się wracać do wynajętego pokoju z przykręconym do minimum kaloryferem w mroźne dni, do ledwie płynącej z kranu letniej wody, do mrukliwych pokrzykiwań o tym właśnie kaloryferze, wodzie, nadużywaniu prądu i wszystkiego, co tylko sobie właścicielka danego dnia wymyśliła.

Mogłaby tak pozostać wtopiona w to mieszkanie, w elektryczną atmosferę tych dwojga kochających się ludzi, ucząc się ich na pamięć jeszcze raz i jeszcze raz. Kiedy budziła się tam w nocy, słyszała ich przytłumione oddechy i lekkie jak ćmy słowa, słyszała ich mruczenie rozspanych kotów, słyszała ich zachwycone szepty. Kładła się wtedy na plecach, rozsuwała nogi i rozkładała szeroko ramiona, otwierając zaciśnięte dłonie, jak wtedy, gdy kładła się na powierzchni spokojnego morza, czując swoją nieważkość.

Za oknem padał deszcz, śnieg, świeciło słońce lub księżyc. A czasem jaśniało chłodne słońce i padał gorący, gęsty śnieg, zasnuwając je wirującymi płatkami. Ale też często błyszczał księżyc, a rozżarzone słońce wędrowało po niebie, by z nim się spotkać na przecięciu pogmatwanych trajektorii. Bywało, że rozpalony księżyc jak lawa ściekał wraz z kroplami nagle płynnych gwiazd i dopiero stygnące słońce uspokajało rozszalałe nocą niebo. Latem oszołomione pszczoły zbierały lepłą wydzielinę lip i od razu zamieniały w miód. Ściekał słodko z dachów i parapetów kamienic na chodnik i jezdnię, pokrywając je miodową warstwą, która tłumiła stukot obcasów, turkot kół, a także brutalny krzyk czy bełkotliwy pijacki śpiew. To dlatego było tu tak cicho, nawet latem, przy otwartych szeroko oknach. Wiotkie gałązki kwiatów w doniczkach wystawionych na parapety rzucały nocą na firanki ruchome cienie, a płatki czerwonych pelargonii sypały się przy mocniejszym wietrze i pozostawały później wtopione w złotawą warstwę miodu na jezdni jak owady w bursztynie. Śnieg padający tu zimą wydawał się cieplejszy. Pewnie dlatego bezdomne koty i psy mościły sobie legowiska wprost w zaspach i wreszcie zasypiały szczęśliwe. Nad wyraz inteligentne pająki wyprowadziły się dawno, by nie straszyć nikogo swoimi drapieżnymi zwyczajami i niepokojąco nonszalanckim wyglądem – a może na odwrót. Ptaki wiły gniazda w koronach drzew i śpiewały swoje ćwierkotliwe piosenki, a kiedy odlatywały do ciepłych krajów, z pewnością cały czas tęskniły za tym miejscem, gdzie zbudowały najpiękniejszy ptasi dom. Dlatego co roku wracały. Przecież każdy, kto tylko przejdzie tą ulicą, musi być szczęśliwy, a przynajmniej uśmiechnąć się, myślała, zasypiając.

– Wyjeżdżamy bardzo daleko i na bardzo długo. Chyba nawet na zawsze... – powiedziała „pani

doktorowa”. – I wiesz, Zuziu, ja wcale nie chcę. Ja tak lubię to mieszkanie, tę ulicę. Leopold zawsze się ze mnie śmieje, że w każdym zakątku świata powiem, że całkiem ładnie, ale najpiękniejsza jest nasza Lipowa. I to miasto, choć wszyscy mówią, że brzydkie, a ja wiem, że to prawda, to jednak zawsze za nim tęsknię, gdy wyjeżdżam. – Rozpłakała się. – Ja tu jestem tak bardzo szczęśliwa. Ale musimy. Nikogo już tu nie mamy. Dzieci nie mamy i nie będziemy mieć. Tam przynajmniej mamy rodzinę. Czekają na nas. Popędzają nas wciąż. Ostatnio to już krzyczą na nas, że jeszcze nie jedziemy.

Więc jak to, nie zostanie z nimi na zawsze, nie adoptują jej, nie będą jej rodzicami, a przynajmniej wujostwem czy przyjaciółmi? Tak po prostu wyjadą i zabiorą ze sobą wszystko, co tak pokochała?

– Często rozmawialiśmy z mężem, że gdybyś była dzieckiem, a przynajmniej niepełnoletnia, to adoptowalibyśmy cię natychmiast. Ale ty jesteś dorosła. Tak bardzo będziemy tęsknić za tobą...

A później korowody kupców, mężczyźni niebudzących zaufania, za grubych lub za chudych, zbyt rozgadanych lub niepokojąco milczących, zbyt wysokich lub stanowczo za niskich, zbyt wyłysiałych lub nadmiernie owłosionych, klepiących po ramieniu pana doktora lub trzymających ręce w kieszeniach przez cały czas wizyty. Jakoś naburmuszonych, nadąsanych już od progu. Najczęściej krzywili się w czasie oglądania mieszkania, źle o nim mówili. Całą swoją postawą dawali do zrozumienia, że im się nie podoba. Wynajdowali usterki, narzekali, niezadowoleni i jakby obrażeni, że marnuje się ich cenny czas.

– Oni tak muszą, kochanie, przecież nie będą się zachwycać, bo jak wtedy mają negocjować cenę? – wyjaśniał cierpliwie „pan doktor” urażonej żonie.

– Ale jak można mówić takie rzeczy?! Że widok z okna im się nie podoba? Pachnące lipy im się nie podobają? I że ulica głupio się nazywa, bo Lipowa, i z tymi lipami za oknem to im jakoś za słodko? I że glazura w łazience zbyt monotonna? Przecież to piękny kolor, bardzo elegancki! I że meble niemodne? Te meble i za sto lat będą modne. Jak myślisz, Zuziu, będą? – upewniała się kolejny raz Estera.

– Oczywiście. – Zuzanna uśmiechała się cierpliwie. – To piękne meble. I mieszkanie przepiękne. Ale zainteresowani jego kupnem uparcie twierdzili, że jest całkiem inaczej.

– Leopoldzie, nigdzie nie wyjeżdżam – oświadczyła po kolejnej takiej wizycie Estera. – Nie zostawię mieszkania takim ludziom.

Nie chciała już żadnych kupców. „Nieaktualne”, rzucała sucho do słuchawki telefonu, nie zważając na próby przekonania jej, żeby postąpiła inaczej. Codziennie rozpakowywała walizki, które „pan doktor” zapełniał wieczorem na nowo bez słowa pretensji. Później siedzieli w salonie, milczący i smutni, a gdy Zuzanna przynosiła im herbatę, wypijali ją w milczeniu. Zaczęli mówić do siebie szeptem, więc i ona zaczęła ściszać głos. Mimo że wciąż byli, zrobiło się cicho, jakby dawno wyjechali.

– Chcieliśmy cię prosić, żebyś została tu, w tym mieszkaniu, zanim je sprzedamy – powiedział któregoś dnia „pan doktor” przy kolacji. – Teraz już nie zdążymy, przyjedziemy za rok i wtedy spokojnie sfinalizujemy sprzedaż. Albo nasz przyjaciel wszystkim się zajmie – tłumaczył zaskoczonej Zuzannie.

– Ale jak ja mam tu zostać? To niemożliwe...

– A dlaczego? Będziemy ci przysyłać pieniądze na wszystkie opłaty. Zaoszczędzisz. Po co masz wynajmować te obskurne pokoiki.

Zuzanna rozejrzała się po mieszkaniu, jakby widziała je po raz pierwszy.

– Przecież ono jest za duże dla mnie...

– No jest duże, ale przytulne i funkcjonalne. I przecież je lubisz.

– Teraz mogę wyjechać – westchnęła z ulgą Estera i znów zaczęła się uśmiechać.

Zuzanna wszystko lubiła w tym mieszkaniu, ale najbardziej ich oboje. Może niech krewni wezmą sobie mieszkanie, a zostawią ich. Umości im w swoim niedogrzanym pokoiku posłanie z pierzyn, żeby nie marzli i żeby wciąż mogli tulić się do siebie. Będzie im donosiła jedzenie z tej restauracji, w której byli kilka razy razem, i wszystko, co zamówił „pan doktor”, było tak smaczne. Będzie się nimi opiekować.

Zrobi wszystko, żeby tylko zostali. Bez nich na pewno będzie za cicho, jeszcze bardziej cicho niż przez te kilka ostatnich dni. No i pusto. Bardzo pusto.

– Musimy się pożegnać, dziecko.

„Pan doktor” stanął przed nią tak blisko, że mogła się przyjrzeć jego twarzy spokojnie, nie ukradkowo, jak wcześniej. Pomyślała, że już go pewnie nie zobaczy, więc może patrzeć odważniej. Tak też zrobiła, notując w pamięci ciemną cerę ze smugą jeszcze ciemniejszego zarostu, jakby ktoś oprószył skraj jego twarzy najczarniejszym pudrem. I jeszcze zielone oczy, zmarszczka między brwiami, ciemne włosy dyskretnie siwiejące na skroniach. I zapach, tak świeży, a jakoś ciemny, jakby granatowy, a może raczej ciemnoniebieski, choć niewykluczone, że ciemnozielony z domieszką czegoś.

– Będziemy tęsknić. Napiszemy zaraz, jak tylko dojedziemy. Dzwonić będziemy jak najczęściej, żebyś nie czuła się samotna – powiedziała Estera.

– Podasz mi rękę na pożegnanie? – zapytał „pan doktor” z uśmiechem, a Zuzanna zrobiła tak, jak sobie życzył.

Jej dłoń w jego dłoni wydawała się zagubiona, choć też, niespodziewanie dla Zuzanny, zaciekawiona. Więc najpierw, że ciepło. Przytulnie. Delikatnie. Miętko. Doktor pochylił się, ulotny dotyk jego ust na dłoni oszołomił Zuzannę na ułamek sekundy. Wyswobodziła rękę, starając się już nie patrzeć na niego.

– Chciałem ci tylko jeszcze powiedzieć, że jesteś zachwycającą młodą damą.

Piotr nie odrywa od niej wzroku. Zuzanna rozkwita pod jego spojrzeniem; czuje co prawda sztywność ciała zaniepokojonego śledzącymi je oczami, ale jednocześnie ciepło, wręcz żar tego spojrzenia. Tańczą tylko razem. Piotr nie pozwala podejść żadnemu innemu mężczyźnie, tłumacząc z uśmiechem, że nie mogą mu zabrać miłości jego życia. Odchodzą z kwitkiem nawet Janusz i Wojtek, z którymi zawsze tak lubiła tańczyć.

Piotr nie potrafi tańczyć – jakby omijał melodię, nie słyszał jej, czy też tańczył do muzyki, którą słyszy tylko on. Próbowwała dostosować się do niego, nie zważając na rytm i melodię, ale to też się nie udawało. Ale to nie ma znaczenia. Tak miło było przytulić się do niego. Czy to tak miało być? Tak, tak, tak. Zuzanna po raz pierwszy w życiu czuje się nasycona, jakby wreszcie napiła się krystalicznej wody i ugasiła swoje pragnienie.

Kiedy zobaczyła go w pociągu, od razu wiedziała, że zostanie jej mężem. To była pierwsza myśl, która pojawiła się w jej głowie. I spokojna radość, która przyszła razem z myślą, że to ten, że go znalazła i że taki przystojny, z tym nieuchwytnym, cudownym czymś w gestach, w uśmiechu, który jej posłał, gdy stanęli twarzą w twarz, popchnięci na siebie przez tłum. Więc z całą pewnością przeznaczenie, myślała, chętnie poddając się napierającemu tłumowi, który doprowadził ich do siebie jak dobre wróżki czy duszki w bajkach o królewnie, co to pół królestwa i coś tam jeszcze. I to jego cudowne, gdy już stanęli naprzeciw siebie, niebezpiecznie blisko: „Los rzucił nas sobie w ramiona... prawie. Nie możemy walczyć z przeznaczeniem”. Takie subtelne, eleganckie, urzekające. Po prostu – Piotr.

A później była ta najdziwniejsza podróż, która trwała i trwała. Wlokący się pociąg, zmęczeni ludzie i oni dwoje, wpatrzeni w siebie, wypowiadający do siebie pierwsze słowa, ślący pierwsze uśmiechy. Młodziutka miłość jak wiosenna zieleń, majowa burza, odurzający zapach akacji... Ale to był koniec lata... Nieważne. Gdzieś w okolicy Torunia zauważyli, że tłum z korytarza prawie zniknął, a oni stoją tak jak wcześniej, naprzeciw siebie, zbyt blisko. Odsunęli się, zmieszani, ale jednocześnie zachwyceni tymi zbiegami okoliczności, niespodziewanymi obrotami spraw, drobnymi zdarzeniami sprzyjającymi im bez dopominania się o pomoc. Jakby wszystko wokół postanowiło pomóc ich miłości.

Wszystko w nim było fascynujące. Kształt głowy, radosne oczy, dzinsowa kurtka, długie jasne włosy opadające na ramiona, gitara zawadzająca wszystkim, w każdym miejscu korytarza. Wszystkim oprócz

ich dwojga.

Gdyby miała wymyślić mężczyznę swojego życia, wyglądałby dokładnie tak. Jakby ktoś podsłuchał jej marzenia i uformował Piotra zgodnie z nim. A to, że nie umie tańczyć, nie ma znaczenia. Choć za jakiś czas chętnie zatańczyłaby z Januszem lub Wojtkiem, tylko co na to powie Piotr? Ta jego zazdrość... też słodka. Nikt nigdy nie był tak zazdrosny. To ekscytujące, nowe. Może Zbyszek był podobnie zazdrosny, ale chyba nie aż tak, na pewno nie aż tak. Jest w tym jakaś obezwładniająca energia, trochę niepokojąca, ale urzekająca.

– Czy to nie czas, żebym wreszcie wprowadził się do ciebie? – pyta Piotr na tle wrzasku podпиты ludzi. On też pije, a ona czuje coraz wyraźniej jego wódczany-piwny zapach. Ale to jest mało ważne, ten zapach jest odnotowywany tylko w jakimś najmniejszym zakamarku mózgu i pozostaje tam, nie czyniąc żadnych szkód. – Przeszanę jeździć przez całe miasto, to przecież strata czasu. Będziemy dłużej razem. I lubię być u ciebie – mówi Piotr, patrząc jej w oczy. Dotyka jej włosów, zaplątuje w nie palce. – Nie będzie nam się chciało w ogóle stamtąd wychodzić.

– Będzie tak cudownie, że z pracy będziemy wracać jak na skrzydłach – szepcze Zuzanna. On całuje ją delikatnie, z zapachem kwaśnego piwa. – A propos pracy, zaczynam od pierwszego... – mówi Zuzanna, odwracając się jednak od jego oddechu.

– W tym... szpitalu?

– Tak. Chcieli, żebym natychmiast zaczęła, ale powiedziałam, że nie mogę wcześniej. To zresztą prawda, bo nie mogłabym tak często się z tobą widywać. Przecież kiedy ten czas minie, to już będzie inaczej, jakoś doroślej, a teraz to jeszcze taka nasza beztroska miłość, bez kłopotów, bez problemów.

– Jakie my możemy mieć problemy? Jak już cię znalazłem na tym świecie, to reszta sama się ułoży. Znaleźć cię to było najtrudniejsze zadanie.

W sinym od dymu powietrzu, w za głośniejszej muzyce i wrzasku ludzi Piotr jest tak wyraźny i konkretny. I nagle coś podrywa ją do góry, a oczy Piotra ciemnieją. Janusz ucieka z nią, jak z porwaną księżniczką, krzycząc do Piotra: – No chyba mnie nie zabijesz!?! – Od razu odnajdują rytm, odpowiedni krok, bez wysiłku, bez zastanowienia.

– Tak długo z tobą nie tańczyłem, że aż mi tego zaczęło brakować – mówi głośno do jej ucha i Zuzanna czuje jego przyjemnie pachnący oddech.

– Nie pijesz?

– Nie lubię. Alkohol powinien być odpowiednio podany, ale kogo to obchodzi. Ważne, żeby się zalać. Nie lubię tego. Najchętniej piję za granicą, tam jest inna kultura. Ale tańczyć lubię tylko w kraju.

– No to chyba musisz się rozdzielić.

– Chyba tak.

Lubi zapach Janusza. Nawet, kiedy się poci, pachnie. I jak zwykle nie może oderwać wzroku od ciemnej smugi zarostu na jego twarzy, bardzo ciemnej. Nie, przecież nie może jej dotknąć. Ale pewnie jest przyjemnie szorstka. No tak, ale doskonale wie, jak taki zarost rujnuje skórę, każąc sobie płacić boleśnie za chwilę fascynacji.

Kiedy wraca do Piotra, widzi na stoliku więcej butelek. Piotr nie jest trzeźwy, większość ludzi tutaj nie jest trzeźwa, ale nie z większością będzie wracać do domu, tylko z Piotrem.

– Nie pij już. – Zuzanna odstawia butelki z piwem, które przyniósł przed chwilą, na sąsiedni stół, budząc radość siedzących tam osób sącących zbyt ciepłe napoje. Piotr przygląda się jej chwilę, w końcu, uśmiechając się zamazanym uśmiechem, mówi, rozciągając głoski:

– Oooczywiścieeee, chyyyba przesaaadziłem.

Uroczo, słodko. Siadają jeszcze na chwilę, ale Zuzanna chce już wyjść, wydostać się z tego tłumu. Przedzierają się więc do wyjścia, Piotr nieco chwiejnie, łapano co chwila przez znajomych, którzy chcą

zatrzymać ich na dłużej.

– Ale my idziemy już, idziemy! – krzyczy Zuzanna.

– Idziemy, idziemy – wtóruje jej bez przekonania Piotr.

Świeże powietrze i cisza nocy są jak łyk mocnej kawy. Piotr podnosi Zuzannę i chwilę niesie, jakby była dzieckiem. Przytula się do niego i widzi jego trzeźwe teraz oczy. Dobrze, że napił się tej kawy pod postacią rześkiego powietrza. Znowu jest znanym jej, kochanym Piotrem. Łapią się za ręce i śmiejąc się, biegną do nadjeżdżającego nocnego autobusu.

Okrągła buzia Gabrysi ledwie jest widoczna spod góry kołder i koców. Zuzanna czuje pot spływający po skroni, kiedy tak stoi w zaduchu sali, usiłując konwersować z wiecznie zmarzniętą Gabrysią. Podchodzi do okna i szarpie za uchwyt, otwierając je, ma nadzieję, niesłyszalnie. Gorące powietrze z zewnątrz wydaje się rześkie i chłodne; wciąga je zachłannie do zduszonych płuc.

– Ktoś powiedział, że chcesz mnie zabić! – krzyczy Gabrysia.

– Nie, nie... Kłamali – przekonuje pospiesznie Zuzanna, zamykając okno; łyknęła jeszcze jeden haust przed zanurkowaniem w przepastnie duszną głębinę.

– Wcale nie kłamali! – Oczy Gabrysi, nagle wyraźnie widoczne wśród zwojów tkanin, miotają gromy.

– Jesteś moim wrogiem!

– Okno jest zamknięte – melduje pospiesznie Zuzanna.

Gabrysia przygląda się badawczo oknu. Następnie świdruje spojrzeniem Zuzannę, widać jednak obydwa testy wypadły pozytywnie, bo buzia złagodniała i oczy, uspokojone i zapewne niezgłaszające już sprzeciwu, przykryły się powiekami.

– Pani Gabrysiu, jak się pani czuje?

– Dobrze – słychać niewyraźny głos spod koców.

– Ale panią podobno brzuch boli...

– Nie.

– A dlaczego on jest taki duży?

– Bo zjadłam coś.

– A co takiego pani zjadła?

– A, takie tam.

Gabrysia znowu zapada się w swoje puste trwanie pod kocami, nieruchoma, nieobecna, prawie nieżywa. Wszystkie zgromadzone tu kobiety bezgłośnie i bez ruchu śpią w swoich łóżkach, wyłączone ze świata. Ta sala przypomina obóz chorych na śpiączkę z *W pustyni i w puszczy*, śmiertelnie ukąszonych przez muchę tse-tse, trwających w migotliwym świetle ogniska, otulonych kocami przez litościwego opiekuna. Zrywali się nagle i biegli na oślep, rozbijając głowy. Te kobiety nigdzie nie biegną. Zapadają się, kołysane swoją nicością. A może jednak biegną, tylko z miejsca, w którym stoi Zuzanna, tego nie widać. Z tego miejsca widać nieruchomość i ciemne, gęste krople, spływające zbyt powoli po brudnych ścianach, wpełzające pod łóżka, zbierające się w nierównościach podłogi.

– To jak to się stało, że ten brzuch jest taki duży? – przerywa nieruchome zapadanie Zuzanna, pewna, że jeśli jeszcze tu chwilę pobędzie i podda się tutejszym przerażającym zwyczajom, to już nigdy się nie odnajdzie po tej stronie, po której znajduje się teraz. Ta linia, szczególnie tutaj to widać, bardziej w cichym niż głośnym szaleństwie, jest tak przerażająco cienka.

– Pani Gabrysiu, co z tym brzuchem jest? – prawie krzyczy, nachylając się nad zwałem koców.

Głowa Gabrysi wychyla się nadzwyczaj szybko. Warknęła coś niezrozumiale i zanurkowała z powrotem. Jednocześnie pojawiają się trzy rozespiane, niezadowolone twarze na innych łóżkach, patrzące bez sympatii na osobę, która przerywa ich sen, wciąż za krótki, wciąż niepełny, wciąż za płytki

i nie dość pozapadany. Kto śmie?

– Dlaczego tak krzyczysz? – pyta Jadzia z wiechciem brudnosiwych włosów.

Zuzanna zaczyna się nad tym zastanawiać. Przede wszystkim szuka pacjentki dla stażystki. Ale już wie, że to żadna z tych. Nie da się z nimi rozmawiać. Więc po co próbuje? Czego oczekuje od Gabrysi? Że ta nagle wyjaśni jej absurdalność swojej psychopatologii? Że właśnie zrozumiała, że to kompletnie nienormalne być w siódmym miesiącu ciąży i nie zauważać tego, żyć w przekonaniu, że popełniło się błąd dietetyczny i przez to powiększył się brzuch? Zuzanna zdaje sobie sprawę, że jest po prostu ciekawa tej otchłani, a otchłań nie chce pokazać dna. Bo może go nie ma. I chyba ktoś krzyczy. Tak, ktoś krzyczy. Przeciągły, wysoki dźwięk świdrujący uszy. To pewnie Patrycja, ta nowa dziewczyna, leżąca w małej sali obok. Krzyk nie milknie, kiedy Zuzanna wychodzi na korytarz. Zaglądała do Patrycji przed chwilą, wydawało się, że zmęczona walką śpi. Widać jednak nie. Związana, szamocze się teraz, a Zuzanna boi się, że więzy uszkodzą ranę po wczorajszych cięciach. Bruzda po sznurze od żelazka na szyi Patrycji sinieje z wysiłku. Piękna twarz jest wykrzywiona i purpurowa. Zuzanna podchodzi szybko i próbuje przytrzymać niespokojną głowę.

– Uspokój się, dziecko, uspokój się... – szepcze i próbuje przygłodzić zmierzwione włosy.

Patrycja charczy tuż przy jej twarzy, dyszy ciężko.

– Ty mi nie tak nie tak nie tak nie... i patrycja patrycja jak film rozwija przede mną królową o królu złotym twardym złotym jak stal ostrym raniący film się przesuwa przed patrycją co nie widzi mówi nic nigdy już oślepnąć...

Zuzanna gładzi ją po głowie, próbuje położyć, aby ulżyć jej ręką, napinającym więzy łączące je z łóżkiem. Patrycja kładzie się wreszcie, a Zuzanna sprawdza, czy nie jest związana zbyt mocno, wciskając palce pod sznur oplatający ręce dziewczyny. Nie potrafi jednak ocenić, czy jest dobrze związana, nie za mocno, nie za słabo. Pewnie dlatego, że nikogo nigdy nie wiązała i nie obserwowała całe godziny, czy się nie rozplątuje z więzów lub czy ręce nie sinieją.

Patrycja patrzy na nią chyba ze zdziwieniem. Czarne oczy z niebotycznie długimi rzęsami mrugają szybko. Zuzanna chce pogłodzić ją po twarzy, ale to widać nie jest dobry pomysł, bo ledwie jej dotknęła, dziewczyna zrywa się z krzykiem. Wbiega pielęgniarka Iwona i razem próbują uciszyć Patrycję i położyć ją na łóżku. Udaje się to dopiero po dłuższej chwili, chyba bardziej dlatego, że się zmęczyła.

– Strasznie się szarpie, od samego rana, jak tylko przyszli rodzice... – Iwona wskazuje ruchem głowy kąt sali, gdzie dopiero teraz Zuzanna dostrzega dwoje dystygowanych ludzi niemal wciśniętych w ścianę. Kiedy na nich patrzy, mężczyzna kłania się jak uczeń, a kobieta dyga nóżką.

– Państwo są rodzicami Patrycji? – pyta Zuzanna.

Oboje pospiesznie kiwają głowami.

Iwona dużo wprawniejszym niż Zuzanna ruchem sprawdza więzy Patrycji. Trochę je luzuje. Próbuje dostać się do opatrunków na przegubach dłoni.

– Rozkrwawi sobie to na nowo, a tak ładnie miała zszyte... – mówi z niepokojem. – To na nich tak zareagowała. Zanim przyszli, była całkiem spokojna. Uśmiechała się nawet. Trochę zjadła, sama ją karmiłam. Gada cały czas bez sensu, ale była spokojna – szepcze do Zuzanny. – Jak była rozwiązana przez chwilę, chciała rozbić sobie głowę o kaloryfer. Dobrze, że zobaczyłam. A na dyżurze Stasi próbowała własnymi rękami się dusić. W końcu coś wymyśli.

– Patyczki i patyk i patyczka... zawsze patyczka... było wiadomo... zawsze – mówi Patrycja, patrząc na Zuzannę. Na jej twarzy pojawia się grymas trochę przypominający uśmiech, ale równie dobrze może zwiastować płacz. – I tymi patyczkami najpierw patyczkę... a wielkim patykiem patyczkę patyczkuje raz i raz i raz takie straszne raz za razem Patrycja patyczka Patrycja patyczka...

– Czy rozmawiali państwo z ordynatorem? – pyta Zuzanna wbitych w ścianę rodziców Patrycji.

– Jeszcze nie, wybieramy się właśnie. Ale to pani leczy Patrycję?

– Ja jestem psychologiem.

– Ach, proszę pani, ona takie głupstwa wygaduje, takie głupstwa – informuje mama Patrycji. – Jaka to straszna choroba, że tak zmienia dziecko w potwora. Wczoraj próbowała podciąć sobie żyły, przedwczoraj próbowała się udusić paskiem od szlafroka, a jak się nie udało, to sznurem od żelazka, jak tylko na chwilę usiedliśmy, żeby napić się kawy.

– I król patykami patyczkę i będziesz moją królową moją królową na wieki wieków a śmierć nas rozłączy na zawsze tylko śmierć rozłączy na zawsze amen amen amen and man and pen and idź do klasztoru na amenamenamenamen przepaść na zawsze zacykluk zacykluk na zawsze i dla nikogo tylko dla nas sekretny *secret secret and forever secret...* – śpiewa Patrycja.

– Nawet teraz mówi po angielsku, moje dziecko kochane. Tyle pieniędzy wydaliśmy na języki, ale warto było, wszystko pamięta, nawet teraz – wzrusza się mama Patrycji.

Zuzanna wpatruje się w tych dwoje, widzi ich uprzejme, no przecież widzi, jak uprzejme, łagodne, grzeczne, miłe twarze, a wszystko co uprzejme i miłe w tych ludziach kruszy się w miarę, jak Patrycja krzyczy, śpiewa i szepcze swoją opowieść o królu, królowej, patykach i tajemnicy.

Zuzanna bez słowa wychodzi z sali, jeszcze raz przeglądając w pamięci oczy każdego z tych trojga. Zatrzymuje się. Musi się uspokoić. Później siłuje się z klamką drzwi prowadzących do gabinetów lekarzy, bo zapomniała, jak się je otwiera. Gdy sobie przypomni, w następnej sekundzie wpada za szybko, z niepotrzebnym impetem do Jeremiego, który podnosi głowę znad papierów. Zuzanna próbuje się uspokoić, przecież stała wystarczająco długo pod drzwiami, usiłując opanować drżenie rąk, bicie serca, łzy napływające do oczu. Chciała też odzyskać koordynację ruchów, co jej się zupełnie nie udało. Podchodzi do czajnika, nalewa wody, włącza. Próbuje nasypać herbaty do szklanki, ale tylko rozsypuje jej sporą ilość. Wie, że Jeremi ją obserwuje.

– Zrobić ci herbaty? – pyta niby tak jak zawsze, ale sama czuje jakąś sztuczność w swoim głosie.

– Tak, poproszę – mówi Jeremi.

Zuzanna słyszy w jego głosie napięcie, ale może jej się tylko tak wydaje. Odwraca się do Jeremiego dopiero wtedy, gdy stawia na biurku szklankę z herbatą, ale nie patrzy na niego. Siada w fotelu i mieszając swoją herbatę, choć przecież nie sładzi, stara się mówić spokojnie i rzeczowo, bardzo rzeczowo:

– Myślę, że on ją zgwałcił.

– Kto kogo, na Boga?

– Patrycję, jej ojciec.

– Jaką Patrycję? Aha, tę nową dziewczynę. Ale skąd ten pomysł?

– Przecież ona cały czas o tym mówi: patyczki cienkie i jeden gruby i duży, pen, man i tak dalej. – Zuzanna czuje ucisk w gardle, trudno jej mówić, stara się spokojnie oddychać, ale nie bardzo jej się to udaje.

Jeremi składa papiery, miesza herbatę, a przecież nie sładzi. Patrzy na Zuzannę, marszcząc brwi.

– No przecież wiadomo, że gdyby mogła mówić wprost, zrobiłaby to, ale nie może, więc... Przecież tobie, do cholery, nie muszę tego tłumaczyć. – Widzi zdziwienie w oczach Jeremiego i powoli wbija sobie paznokcie we wnętrze stulonej dłoni. – Wszystko się zgadza. Ona opowiada cały czas swoją historię, z detalami – dodaje, czując ogarniające całe ciało drżenie.

– To są twoje fantazje, Zuzo. – Jeremi wciąż przygląda się jej i teraz Zuzanna widzi w jego oczach ten moment, tę sekundę, w której on zaczyna się zastanawiać.

– Nie będę pracować z tą pacjentką – mówi Zuzanna spokojniej. – Za dużo jakichś fantazji i lęków się we mnie pojawia. Coś trudnego jest w niej i tej rodzinie.

– Tak, oczywiście – zgadza się pospiesznie Jeremi i wypija dwoma haustami gorącą herbatę bez żadnego grymasu bólu.

Piotr, początkowo uśmiechnięty, energiczny i radosny, wydaje się tracić rezon w miarę, jak wchodzi po schodach. Choć najwyraźniej uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy schodzili tymi schodami w dół, po wizycie. Bo schodząc, milczeli już oboje. Zuzanna nie umiała jeszcze wtedy nazwać tego, co wydarzyło się między wejściem po schodach na trzecie piętro do mieszkania mamy Piotra a wyjściem z niego po rytuale herbaty i ciasta drożdżowego. Schodząc, czuła zamęt w głowie i złość, ale za nią zaraz się skarciła i próbowała rozbroić, zanim ta się rozrosła w wyraźny kształt – jakby się przestraszyła lub zawstydziała swoich niestosownych emocji. Niemożliwe, próbowała przekonać samą siebie, przecież ona była taka miła, uśmiechała się, siedzieli w tym wypieszczonym mieszkanku, popijali herbatę, zagryzali ciastem drożdżowym, niezbyt może smacznym, bo za suchym, ale Zuzanna pochwaliła wyrób jak należy. Nienaturalnie ożywiony Piotr, bredzący coś o kwiatkach na balkonie, Piotr ze wzrokiem błędzącym po ścianach z tapetą w różyczki.

Dlaczego Zuzanna już po powitalnym okrzyku matki Piotra zorientowała się, że ona jej nie lubi i nie lubiła, zanim się spotkały, i nigdy nie polubi? Dlaczego? Przecież ludzie na ogół ją lubili. Ale widać nie matki. Z matkami jej nie wychodzi. Pewnie nie powinna wyciągać pierwsza ręki na powitanie, ale jakoś tak odruchowo wyciągnęła. Od razu zobaczyła w oczach tamtej, w minimalnym skrzywieniu kącika ust, niezadowolenie i... No przecież nie pogardę, to na pewno za dużo. I wypowiedziane przez tamtą w sposób, który Zuzannę zmroził: „Takie małe dłonie masz, drogie dziecko. Nie za małe?”.

Matka Piotra przytrzymała chwilę w swoich rękach jej dłonie, oglądając jak jakieś wyjątkowo ciekawe eksponaty. I po chwili przesunęła badawcze spojrzenie na resztę Zuzanny, która czując się naga, obmacywana, przyszpilana, a także wybrakowana, nerwowo się roześmiała i wypaliła:

– Takie mi kiedyś wyrosły i już zostały.

Mama Piotra znów skrzywiła nieznacznie usta i wypuściła z rąk dziwaczne, jak się okazało, dłonie Zuzanny. Piotr roześmiał się za głośno, patrząc na nią oczami, w których, jak sądziła, czyta jego nieustający zachwyt i akceptację, więc uśmiechnęła się do niego, pomijając matkę.

– Jak ojciec... – szepnęła jeszcze mama Piotra, a on zaprzeczył szybko.

Matka Piotra westchnęła i zaprosiła gestem do pokoju, gdzie czekały herbata i ciasto. Usiedli w fotelach wymoszczonych flokati, zbyt głębokich, aby swobodnie popijać herbatę i jeść ciasto z talerzyków umieszczonych na mikroskopijnym stoliku. Wszystko wymagało wysiłku i dodatkowych operacji logistycznych, aby skoordynować niby proste działania. Oczy matki Piotra, zupełnie inne niż jego, co powiększało poczucie obcości tej kobiety, obserwowały Zuzannę z uśmiechem powodującym, że elastyczność ciała i precyzja gestów zamarzały. Nawet neutralne tematy – pogody, a następnie ulubionych miejsc wakacyjnych Piotra – nie pomogły.

I jeszcze te korowody wiszących na ścianach portretów braci, sióstr, wujków, stryjków przedstawianych wypowiedzanymi z namaszczeniem tytułami: doktor, mecenas, sędzia.

– A to ojciec Piotra. – Matka wskazuje zdjęcie smutnego mężczyzny. Oczy Piotra patrzą na Zuzannę teraz z dwóch stron, tylko te na fotografii oprawionej w ciemnobrązową ramkę z czarną wstążeczką w rogu są bardziej zmęczone. – Umarł dziesięć lat temu, tak nagle, nikt się nie spodziewał, taki młody człowiek... – zawodzi cichutko matka, a Piotr, nie patrząc na fotografię ojca, usiłuje zjeść ciasto, nie krusząc przy tym.

– A co ty robisz, dziecko, w życiu? – pyta mama Piotra z ustami rozciągniętymi w uśmiech. Jej oczy są nieustająco badawcze.

– Ja? – pyta Zuzanna i zarówno pytanie, jak i jej głupkowata odpowiedź pytaniem zawisają

w powietrzu.

– Zuza jest psychologiem. Pracuje w szpitalu – wyjaśnia radośnie Piotr.

Oczy matki nieruchomieją na twarzy Zuzanny, a później powoli, metodycznie, schodzą jak po schodach na jej dekolt, ramiona, piersi, biodra, nogi, stopy w sandałkach i tam się zatrzymują, więc Zuzanna na wszelki wypadek powolutku wycofuje stopy pod kanapę i stula ich palce. Nie wie, co jest źle, ale coś jest.

– No tak, kobiety już nie noszą pończoch... Sandały na gołe stopy... wygodniej... – uśmiecha się matka Piotra.

– Jest upał... – tłumaczy się Zuzanna.

– Ach, kiedyś, moja droga, pończochy były obowiązkowe dla porządnej kobiety, niezależnie od pogody – mówi matka Piotra.

Jej uśmiech wcale nie jest uśmiechem, myśli Zuzanna, nieruchomiejąc.

– Nie znam żadnej kobiety, która nosi pończochy... – zaczyna i milknie, czując narastający niepokój.

– Mama nosi pończochy... – szepcze Piotr.

– No to już znam kobietę w pończochach. – Zuzanna uśmiecha się pojednawczo i myśli, że można by szerzej otworzyć okno, może wtedy łatwiej byłoby oddychać.

– No właśnie, takiego dinozaura w pończochach – niby żartuje mama Piotra, krzywiąc w nieprawdziwym uśmiechu nieprawdziwe usta.

Zuzanna stara się uprzejmie uśmiechać. Tak pewnie żartuje KGB, myśli, ale nie ujawnia tego.

– To ciekawe, myślałam, że nie ma już pończoch. Chociaż takie ze szwem na przykład są bardzo kobiece...

– No tak... – zawisa złowieszczo.

Mama Piotra nie musi dalej mówić. I pewnie często tak robi – niby kończy wypowiedź, a mówi dalej. Zupełnie jak to echo u Wojskiego, myśli Zuzanna, ale nie mówi tego. Tyle już w tym dusznym powietrzu zastygło, a niech tam, buntuje się i postanawia się nie odzywać.

Zapada milczenie. Zuzanna zastanawia się, czy uda jej się w końcu powiedzieć coś, za co matka Piotra nie ściągnie jeszcze bardziej swoich i tak wąskich ust.

– A w jakim szpitalu ty pracujesz, dziecko?

– Ja... w tym... no... – szepcze Zuzanna i patrzy na Piotra, szukając tam... czegoś.

Piotr uśmiecha się i mruga do niej porozumiewawczo.

– Dla chorych psychicznie – mówi głośno i wyraźnie.

– No tak – szepcze przybita informacją matka Piotra. – Wariatkowo. I będziesz tam długo pracować?

– Nie rozumiem... – mówi ostrożnie Zuzanna, znów szukając ratunku u Piotra. – Dopiero zaczęłam.

– Mama całe życie prowadziła dom, najlepiej w świecie. – Piotr całuje matkę w rękę, a ona wreszcie rozpromienia się, dostawszy widać smakowitą porcję czegoś, czego nie potrafiła przyrządzić Zuzanna. A Piotr umie, na szczęście. Uff. – Teraz, mam, kobiety pracują. Dziwne byłoby, gdyby Zuzka nie chciała pracować.

– A kto będzie dom prowadził, dzieci wychowywał? Dzieci będziecie mieć? – Przygląda się brzuchowi Zuzanny w celu zbadaniu warunków dla ewentualnego potomka; trzeba tam będzie w Zuzannie odkurzyć, wyczyścić, może i wyparzyć wrzątkiem.

– Mamo, o dzieciach pomówimy później. Najpierw o ślubie.

Ale te dzieci to pewnie trzeba będzie zrobić na zasadzie niepokalanego poczęcia, myśli Zuzanna, ale nie mówi tego.

– To kiedy ten ślub? Przecież znacie się już długo, ponad rok, tak? No to czas wreszcie zbliżyć się do siebie bardziej, pocałować przynajmniej... – Uśmiecha się niby łobuzersko, ale ponieważ nie umie tego

robić, wychodzi obleśnie.

– Chcieliśmy we wrześniu – oświadcza Piotr.

– Tak bez zaręczyn?

– Miesiąc od zaręczyn nie wystarczy? – pyta Piotr.

Mama odyma wargi, sapie.

– Piotruś... tak dobrze cię wychowałam. Ale jak dziecko pójdzie już w świat i spotka tam różne... inne osoby – przyjrzała się kolejny raz Zuzannie, innej osobie – to o całym matczynym wychowaniu może zapomnieć. Taki już los najlepszej nawet matki. – Znow przygląda się Zuzannie. Jakoś tak zwycięsko, myśli Zuzanna, choć nie wie, co to była za dyscyplina sportu, w której przegrała. – Pół roku – rzuca twardo matka. Czyli teraz zaręczyny, a ślub za pół roku, przyzwoicie. – Bo inaczej ludzie pomyślą, że w ciąży jest. No a przecież nie jest, tak? – Wycedzone powoli.

Słowa zawisły nad maluteńkim stolikiem, dla którego już tych kilka naczyń to nadmiar. Przygląda się Zuzannie z krzywym uśmiechem, z satysfakcją czającą się w kącikach oczu, z podziwem dla własnego sprytu. Przesuwa oczy na brzuch Zuzanny, która ledwie powstrzymała odruch, by osłonić go dłońmi przed dwoma świdrami, przed wrzątkiem, przed odkurzaczem. Oczy Piotra ze zdjęcia jego ojca patrzą ze zrozumieniem, z wieloletnią wiedzą powodującą rezygnację. Oczy Piotra siedzącego w fotelu są nieprawdziwie radosne, usilnie starają się ominąć oczy Zuzanny.

– Oczywiście, mamus, jaka ciąża... – Całuje ją w rękę i znow stają się parą mającą swoje tajemne rytuały.

Matka rozjaśnia się, prostuje ramiona, poprawia dłońią włosy ułożone sztywno, bez możliwości wymknięcia się i ucieczki.

– No widzisz, Piotruś, moje dziecko... – Uśmiechają się oboje, patrzą na siebie długo. – A co na to twoi rodzice, dziecko? – zwraca się, bez uśmiechu, do Zuzanny.

– Moi rodzice nie żyją.

– Sierota! – krzywi się znow mama Piotra.

No tak, pewnie wymarzyła dla niego królewską dynastię, a tu podejrzany Kopciuszek. Bez powozu z dyni. Bez wróżki. Ze szpitalem wariatów w tle.

– To jak ty mieszkasz? Z kimś z rodziny? No chyba tak. Pewnie z jakąś babcią czy jak?... – Pyta z nadzieją w głosie.

– Nie, od lat mieszkam sama. Mam duże mieszkanie po rodzicach.

– Piotruś też od pewnego czasu mieszka sam, dorosły jest.

Zuzanna omija oczy Piotra, bojąc się, że gdy w nie spojrzy, niechcący go zdemaskuje. I okaże się, że Piotr mieszka u niej, czego matka pewnie nie wytrzymałaby.

– Na razie ja płacę Piotrusiowi za to mieszkanie, dopóki nie zacznie porządnie zarabiać.

– Piotr ma mamę, która o niego bardzo dba – próbuje Zuzanna jeszcze raz, pojednawczo, ugodowo, niemal poddańczo. – Ja musiałam pracować, nie miałam nikogo.

– No tak, nie każdy ma matkę, która dba o dziecko – stwierdza z dumą matka Piotra. – A gdzie pracowałaś?

Zuzanna przez sekundę chce ją nawet oszczędzić, ale tylko przez sekundę. Bo niby dlaczego miałyby to robić, skoro ta kobieta tego nie robiła w stosunku do niej wcale. Po co się wysilać, kłamać, a później pamiętać, co się mówiło, w jakiej sprawie, pilnować, by nie pomylić się w zeznaniach.

– Sprzątałam – odpowiada Zuzanna, obserwując jej zapadającą się twarz. – Ale już nie sprzątam, normalnie pracuję w szpitalu. – Chyba jednak chciała ją pocieszyć, rzucić jej koło ratunkowe, ale niepotrzebnie, bo tamta nawet nie zamierzała go chwycić.

– Teraz bardzo często studentki tak pracują, mamciu, sprzątają, dzieci niańczą... – próbował ratować

sytuację Piotr.

Matka Piotra zastygła jak żona Lota, która miała się nie oglądać, ale jednak skusiło ją, jak matkę Piotra ciekawość co do osoby Zuzanny.

– No tak, Piotruś – wykrztusiła w końcu. – Jeszcze jest trochę czasu. Można się zastanowić, przemyśleć...

– Ja już się zastanowiłem i przemyślałem – mówi Piotr.

Maria staje w drzwiach, otwierając je powoli. Głowę ma opuszczoną, nie widać twarzy spod zmierzwionych włosów. Szlafrok jest omotany wokół jej chudej sylwetki byle jak. Za Marią słychać szczekanie, w różnych tonach, różnych wysokościach, ale wszystkie głośne.

– Cześć. Nie wiedziałam, że masz takie długie włosy. Zawsze nosisz je poupinane.

Maria nie podnosi głowy.

– Mogę wejść? – pyta niezrażona Zuzanna. – Pozwól.

Maria bez słowa usuwa się z drogi.

Trudno przecisnąć się przez rzeczy poustawiane pod ścianami przedpokoju. Śmierdzi. W półmroku niewiele widać. Na stertach książek siedzą dwa koty; myją metodycznie swoje futerka o trudnym do identyfikacji w półmroku kolorze. Ale chyba są czarne. Drogę przez przedpokój oprócz książek, mebli, butów, porozrzucanych ubrań i legowisk zajmują kuwety z wysypującym się piaskiem, a także kilkanaście miseczek z jedzeniem. Nic dziwnego, że śmierdzi, myśli Zuzanna.

– Wiem, tu jest strasznie – mówi Maria – ale ja nie jestem w stanie sprzątać. Długo nie sprzątałam. Od śmierci mamy. Kiedy ona jeszcze żyła, też było trudno, bo po śmierci taty już zaczęło się to wszystko powoli rozsypywać. Obie byłyśmy już połamane, ale jakoś jeszcze udawało się to ogarnąć, bo byłyśmy we dwie. Kiedy on był, wszystko funkcjonowało. Gdy umarł, już było różnie. A jak umarła mama, zawaliło się. Na moją głowę. I te zwierzęta... – Zaczyna chlipać. – Po co mi te zwierzaki? Ale dzisiaj znowu przynieśli mi pod drzwi kociaka. I co ja mam z nim zrobić?

Podaje Zuzannie mięciutki kłębek, który otwiera zaspane oczy. Miauu, mówi. Miauu, miauu, wyjaśnia swoją skomplikowaną sytuację życiową i sytuację Marii, też nie całkiem prostą. Zuzanna czuje pod palcami ciepło rozspanego ciała, a także wibrujące mruczenie, poruszające wnętrze dłoni. Takie słodko skoncentrowane pod palcami życie, ufne i egoistycznie przekonane, że świat musi się nim czule zająć. Nie zwraca uwagi na te wszystkie zasieki, wilcze doły, fosy, wrzący olej lejący się tuż obok. Mruży uwodzicielsko oczy, przekonane oswoim nieodpartym uroku. A później, po prezentacji swojej kuszącej osobki, zeskakuje z niebotycznym wdziękiem na podłogę i odmaszerowuje z uniesionym do góry cieniutkim ogonkiem, bo przecież wykonało swoje zadanie tak, jak trzeba.

Pokój jest zagracony tak samo jak przedpokój. Stare meble, ledwie widoczne spod stert gazet, książek, trzy telewizory, cztery radioodbiorniki bardzo różnej wielkości, pięć aparatów telefonicznych, stopy opakowań leków, ubrań, słoików, pojemników, kosmetyków i wszystkiego innego, co można zgromadzić nie wiadomo po co.

– Nie przestraszysz się? – Maria spogląda spod oka, sprawdzając reakcję Zuzanny.

– Nie – odpowiada zgodnie z prawdą Zuzanna. – Dawno u ciebie nie byłam.

– Jest zmiana na gorsze, prawda?

– Jest inaczej niż kiedyś.

– Zostałam całkiem sama. Jak mogli mi to zrobić? – Maria chlipie i wyciera nos w rękaw szlafroka. – Te telewizory i radia są bez sensu, wiem, ale jak ja mam je wyrzucić? Przecież oni je kupili kiedyś, pamiętam, jak pojawiały się w domu. Telefony też. Kto tu przyjdzie, to zaraz temu się najbardziej dziwi, że tyle tych sprzętów, a przecież to nie tylko sprzęty, to pamiątki.

- Rozumiem, mają zostać.
- No, ale przeszkadzają i są bez sensu...
- Na razie niech będą. Kiedyś podejmiesz decyzję, co z nimi zrobić, nie musisz teraz.
- Dobrze – szepcze z ulgą Maria.

W pokoju oprócz sprzętów jest dżungla. Rośliny zajęły się sobą same, nie licząc za bardzo na pomoc Marii. Ich gałązki, poszukując przestrzeni życiowej, spotkały się pod sufitem, tworząc skomplikowane podpory dla kolejnych gałązek. Kaktusy o wydłużonych, niemal białych pędach zmieniły swoje potrzeby i zwyczajnie, zakwitły ogromnymi, fosforyzującymi kwiatami. Ale przecież to powtykane w doniczki przez mamę Marii sztuczne kwiaty, w całym mieszkaniu upiększała w ten sposób naturę, nieskorą do tworzenia kolorowych obrazków na życzenie. Widać kwiaty w doniczkach postępowały tak samo jak zwierzęce matki zagryzające swoje młode w niewoli, aby nie skazywać ich na nędzną wegetację. Zuzanna dotknęła sztywnych pędów, zwieszających się tuż nad jej głową. Były chłodne i wilgotne, w niektórych miejscach gładkie, w niektórych pokryte drobnymi włoskami. Z gąszczu pod sufitem wystawia łebek kot i wpatruje się w Zuzannę uważnie, jak tygrys obserwujący zdobycz. Zuzanna przez chwilę czuje niepokój, zastanawia się, czy tygrysek zamierza skoczyć na jej głowę, czy też tylko bada sytuację z daleka. Po chwili obok pierwszego pojawia się drugi łebek i teraz dwa kocie pyszczki próbują rozszyfrować zamiary Zuzanny, wymieniając się pomiaukującymi uwagami na jej temat. Zuzanna nie wie, czy wypada korzystnie. Chyba jednak tak, bo pyszczki znikają bezszelestnie.

- Przyjadę jutro z Jeremim.
- Nie chcę. Nie chcę, żeby mnie widział w takim stanie.
- No co ty, przecież jest psychiatrą.
- Ja też.

Maria patrzy na Zuzannę z bólem. Jej świat zachorował na nieuleczalną chorobę i nawet nie ma siły wołać o pomoc. A ona wstydzi się tego świata. Chce go ukryć, poudawać przynajmniej trochę, że go nie ma.

- A co na oddziale? – pyta Maria. – Musicie za mnie wszystko robić, nie?
- Nieważne, co na oddziale, ważne, co u ciebie. Kiedy jadłaś ostatnio?

Maria patrzy ze zdziwieniem na Zuzannę, jakby ta zadała jej pytanie z dziedziny odległej jak fizyka kwantowa.

- No... jadłam... Dzisiaj na pewno jadłam... – Maria marszczy z wysiłku brwi.
- Co jadłaś? – nie daje za wygraną Zuzanna.

Maria myśli intensywnie.

- Nie wiem – poddaje się po chwili, sama zdziwiona swoją bezradnością.
- Zrobię coś do jedzenia. – Zuzanna uśmiecha się i przechodzi do kuchni.

Zaczyna od porządkowania, przynajmniej z grubsza, kuchennej przestrzeni. A więc okno. Mimo protestów Marii, że zimno. I że wypadną koty. Więc Zuzanna zastawia je, czym się da. Teraz te śmierdzące śmieci, w tym resztki po kocim i psim jedzeniu. To nie będzie proste, myśli Zuzanna. Tym bardziej że Maria nie wie, czy ma gumowe rękawiczki, czy też nie. W końcu je znajduje, więc teraz jakoś pójdzie, chyba. Ale nie idzie łatwo, choć Maria już nie protestuje, gdy Zuzanna zgarnia, według Marii zbyt szybko i bezmyślnie, stopy śmieci. Według Marii być może potrzebnych rzeczy. Maria słabnie i przestaje wreszcie mówić, Zuzanna z grubsza ogarnia pobojuwisko. Zwierzęta prychają i poszczekują niezadowolone, choć co jakiś czas próbują bawić się z nią, zwabione nowością sytuacji. Zuzanna nie znajduje nic do jedzenia, wychodzi więc do pobliskiego sklepu. Wychodzi chętnie – po drodze wyrzuci torby wypełnione śmieciami do śmietnika – aby odetchnąć świeżym powietrzem i aby wiatr strzepnął z niej drobinki tego wszystkiego, co osiadło na ubraniu, skórze, włosach. Kiedy wraca, zastaje Marię tak,

jak ją zostawiła, nieruchomą, nieobecną. Nie jest dobrze, myśli z niepokojem. Sprząta dalej, aż wyłania się jako tako uprzątnięty blat w kuchni, podłoga, a w pokoju stół i krzesła. Robi kanapki, herbatę i znosi do pokoju. Maria z trudem unosi filiżankę do ust, choć to przecież Zuzanna wykonała całą robotę, której skutki czuje teraz w obolałych ramionach. Ale widać Maria pracowała i pracuje ciężiej. W kuchni zwierzęta kłócą się o lepsze kęsy, przez uchylone okno wpada zbawcze powietrze i odległe dźwięki, świadczące o tym, że świat na pewno nie umarł wraz z rodzicami Marii. Mimo że Zuzanna kilkakrotnie umyła filiżankę, nie jest w stanie zmusić się do wypicia nawet odrobiny herbaty; udaje, że pije, nawet nie dotykając ustami brzegu. Wychodzi do toalety z torbą i znajduje butelkę z resztką wody, ale i jej nie potrafi wypić w przerażająco zapuszczonej łazience. Trudno, umrze z pragnienia, ale nie przełknie tu nic. Nie potrafi w tych zapachach, przygnębiających obrazach, powietrzu zasnutym czymś lepkiem i gęstym, fruującą na wysokości twarzy sierścią.

– Sprzątnę łazienkę i pójdziesz się wykapać? – pyta niepewnie, jakby spodziewała się od razu odmowy.

– Dobrze – godzi się cichutko Maria.

W łazience Zuzanna najpierw włącza pranie. Doszorowanie wanny wydaje się zbyt trudne, nawet nie próbuje, ale i tak jest dużo lepiej, zwłaszcza po umyciu podłogi.

– Chyba włożysz inne ubranie... – mówi cicho Zuzanna i Maria bez protestu wstaje, idzie do łazienki.

Słychać szum wody, a zwierzęta grzecznie czekają pod drzwiami w zgodnym kręgu.

– Ale co mam włożyć?... – szepcze Maria, wychylając się po chwili z łazienki, owinięta ręcznikiem, z włosami ociekającymi wodą.

Zuzanna idzie do pokoju, do szafy, ale kiedy ją otwiera, okazuje się, że i tam były wszechobecne zwierzęta, moszcząc sobie legowiska w ściągniętych z wieszaków ubraniach. Z trudem znajduje nadające się do użytku spódnicę i bluzkę.

Kiedy Maria wraca już ubrana, z głową owiniętą ręcznikiem, wydaje się zmęczona i wyczerpana. Spódnica zsuwa się niemal z jej bioder.

– Schudłam chyba... jakoś strasznie dużo schudłam – szepcze zdziwiona.

– Mamusiu, czy samoloty można poprosić, żeby usiadły na ziemi, gdzie tylko się chce, nawet na drzewie, na chmurce? – Kubuś wpatruje się z zachwytem w przelatujący nad nimi samolot.

– One są bardzo duże, kochanie. Tego nie widać z naszego miejsca, ale one są ogromne.

Kubuś marszczy nosek. Wyciąga rączki w kierunku samolotu.

– Złapię go, mamusiu, zaraz go złapię...

Zuzanna też wyciąga ręce. Może tym razem rzeczywiście się uda. Złapią go za połyskliwe skrzydła i przytrzymają chwilę, żeby przyjrzeć się z bliska wzorkom, które pewnie tam są. Z dołu nie widać, ale tam na pewno są wzorki i to one właśnie powodują to migotanie.

– Zabiorę go do domu, jak go złapię – zwierza się szeptem Kubuś. – A może on też już się zmęczył tym lataniem, prawda, mamusiu?

Bardzo możliwe. W końcu, jak długo można latać tak wysoko, w chłodzie. Przyda mu się odpoczynek. I żeby trochę się ogrzał.

Małgosia nie patrzy w górę. Obserwuje coś na ziemi, pod stopami. Później wystawia buzię do słońca i uśmiecha się. Jakby świat ją tylko głaskał, dotykał leciutko i zwiewnie. Rzadko robił jej krzywdę, a jeśli już, to budził tym w niej tak ogromne zdziwienie, że wycofywał się zawstydzony. Pozwalała światu na tak wiele bez protestu, bardzo szybko mu wybaczała i tak rzadko płakała.

Kubuś jest już zmęczony spacerem i śledzeniem samolotu, który jednak wymknął się i odleciał, pozostawiając jasną wstążkę, której też nie można dosięgnąć. Złości się na samolot, który nie dał się

zwabić mimo tylu prób. Maszeruje jednak dzielnie, szczególnie że Zuzanna poprosiła go o trzymanie za rączkę Małgosi, zapatrzonej teraz we wszystko wokół, tylko nie pod nogi. Kubuś postawiony w roli starszego brata zapomina o zmęczeniu i nieosiągalnym samolocie, stara się dbać o młodszą siostrę.

Ulica, którą idą, wydaje się nie mieć końca. Ogromne drzewa rosące po obu jej stronach łączą się nad jezdnią, tworząc zaczątki ażurowego dachu. Kołyszą się na wietrze, mienią jesiennymi kolorami liści. Zuzanna ma na sobie wygodną, miękką sukienkę w kolorach identycznych jak liście – rudości i brązy ze starym złotem i zgaszoną zielenią. Harmonia kolorów i powietrza o idealnej temperaturze, nie za gorąco, nie za zimno, słonecznie, ale bez męczącego upału. Spokojny, jesienny czas, kiedy lato już odeszło za horyzont, ale zostawiło najlepsze wspomnienia o sobie.

Zastanawia się, czy wsiąść z dziećmi do autobusu, czy iść z nimi aż do widocznego w dali lasu, w którym kiedyś tę ulicę wyrąbano, drzewo po drzewie, i teraz kuli się na horyzoncie jak skatowany pies. Nie potrafi znieawidzić swojego oprawcy i kiedy ten zadaje mu ciosy, on macha ostatkiem sił ogonem, łąsi się mimo cieknącej krwi i połamanych łap. Kiedy więc wchodzi do tego lasu, stara się stąpać delikatnie, bezgłośnie, żeby mógł w spokoju zabliznić rany.

To chyba tak jest od urodzenia dzieci, kiedy to zapatrzyła się w nie z niekończącym się zachwytem. W granatowych oczach noworodków zobaczyła najkruchszy wszechświat, w którym najpierw się rozplynęła, a później zbudowała na nowo. Jakby cykl odwiecznej wymiany wszystkich cząsteczek ciała, kiedyś rozproszonych w kosmosie, później ułożonych w niej starannie, aby kiedyś znów do planet i gwiazd powrócić, było jej dane przeżyć świadomie w oszałamiającym przyspieszeniu. Kiedy z przerażeniem odkrywała możliwą śmiertelność swoich dzieci i kiedy nie pomagało już nic, w rozpacz wyobrażała sobie wirujący wszechświat i tłumaczyła, że kiedyś z pewnością ich cząstki wśród gwiazd się spotkają, bo taka miłość nie może tak po prostu zniknąć. Spotkają się na pewno i już na zawsze będą razem.

Dzieci poznawały świat od początku, a ona z nimi zobaczyła go jeszcze raz i zadziwiła się, i ucieszyła na nowo światem, ale też poczuła go inaczej niż dotąd. Boleśniej, to jednak zostawiła dla siebie. Coraz bardziej było jej żal drzew płynących w powietrzu jak majestatyczne wieloryby, nieświadomych swojego tragicznego losu. Ale też boi się o drzewne pisklęta, niefrasobliwie wystawiające na świat delikatne gałązki. I teraz rośliny wydają się zwierzętami, zwierzęta ludźmi, a ludzie...

– Mamusiu, to się pali... – szepcze Małgosia, wskazując przed siebie na szaleństwo kolorowych liści rozpalonych zachodzącym słońcem.

Rzeczywiście, to wygląda jak pożar. Zatrzymują się, oczarowani malowniczym spektaklem. Przytula dzieci do siebie, zastanawiając się, czy nie zmarzły. Ale rączki mają ciepłe, policzki też. Ich oczy są pełne zachwyty, nie mogą się nasycić wznieconym przez słońce chłodnym pożarem.

W pospiesznej bieganinie codzienności to wszystko umyka, przestaje być najważniejsze, zsuwa się gdzieś za kanapę i pod stół. A przecież nie powtórzy się już, pozostanie powierzchownie zapamiętanymi zdarzeniami, których szczegóły będzie sobie usiłowała bezskutecznie przypomnieć, wtedy właśnie uświadamiając sobie rozmiar zapomnienia. Więc chce zapamiętać zapach tego powietrza, szalone kolory drzew, błękit nieba, ciepłe policzki dzieci, swoją sukienkę, przytłumione dźwięki i szum wiatru strącającego kolorowe liście.

Zuzanna zaparkowała nieudolnie pod maleńkim, ledwie widocznym w ciemności budynekkiem komisariatu. Na usprawiedliwienie swojej niezręczności przy parkowaniu, bo na ogół szukała usprawiedliwienia, gdy popełniła jakiś błąd, prowadząc samochód, więc na usprawiedliwienie miała tym razem zdenerwowanie i nieznamość topografii tej małej miejscowości. Gdzie go tu przyniosło, pomyślała z bezsilną wściekłością. Pewnie starał się jechać bocznymi drogami, żeby nie wpaść na

policję. I oczywiście wpadł.

Wewnątrz było bardzo cicho i dosyć przytulnie. Przystojna, delikatnie chłopięca twarz przybliżyła się do okratowanej szyby chroniącej przed Zuzanną i innymi intruzami niewielkie pomieszczenie będące zapewne dyżurką.

– O co chodzi? – spytał uprzejmie młody policjant głosem silnym, ale łagodnym, ciepłym i przytulnie ciemnym.

– Mój mąż jest tutaj – zwierzyła się Zuzanna, pełna nadziei, że zostanie teraz przytulona, pogłaskana po głowie, a jeśli pojawią się łzy, to będą scałowane z jej policzków i szmerzący głos wszystko jej wyjaśni, całe skomplikowanie durnego świata. – Mój mąż jechał pijany samochodem i panowie go zatrzymali tutaj, to znaczy na komisariacie. Bo to jest komisariat, tak? Czy komenda, czy coś? – zakończyła blondynkowato i zmieszała się.

– Nazwisko – mruknął z niechęcią.

Kiedy je podała, gdzieś zadzwonił, a następnie podał czarującym głosem nieczarującą treść:

– Pani idzie tam prosto – wskazał korytarz. – Do dwunastki.

– Tam? – spytała zdezorientowana wskazanym przez policjanta mrokiem korytarza. – Dwunastka? – upewniła się jeszcze.

– No przecież mówię – mruknął, nie podnosząc głowy znad jakichś ważnych spraw na biurku.

Korytarz nie robił już wrażenia przytulnego. Widać pieniędzy starczyło tylko na przedsionek. Łatane płytki PCV, obłazące ściany, odrapane drzwi nieodgadnionego koloru. Ostatnie miały namazaną flamastrem dwunastkę. Zapukała. Weszła.

Piotr siedział na krześle przy biurku. Naprzeciw gruby policjant notował coś w papierach. Widok Zuzanny bardzo ucieszył Piotra.

– Dobrze, że już jesteś – wymamrotał, potykając się na słowach. – Bo mnie przymknęli i nie chcą puścić samego. Musi mnie ktoś odebrać, takie przepisy. Roosuumisz?

To pijackie „roosuumisz?”, obrzydliwe i znane jej zbyt dobrze.

– Tak, rozumiem.

– Uciekał nam – włączył się policjant. – Goniliśmy pani męża ze dwa kilometry. – Uśmiechnął się radośnie.

– No to się panowie pobawili – powiedziała.

Policjant spowaźniał.

– Mógł się zatrzymać.

– Mignęli mi takim światłem, takim patykiem świecącym, jak w *Gwiezdnym Wojnach*, roosuumisz? W nocy, w polu. Kto by się zatrzymał? Skąd miałem wiedzieć, że to policja, roosuumisz?

– Mieliśmy kamizelki – wyjaśnił pospiesznie policjant.

– Ja nic nie widziałem! – uniósł się Piotr. – Ciekawe dlaczego?

– Może dlatego, że jesteś kompletnie pijany? – spytała Zuzanna.

Policjant i Piotr spojrzeli na nią z wyrzutem. Złamała reguły zabawy. Przecież powinna teraz zacząć prosić policjanta o darowanie kary. Może powinna wyciągnąć z torebki łapówkę? No, przynajmniej się rozplakać, a nie tak chłodno, tak obiektywnie, tak jakoś...

– I to kolejny raz w tym roku – dobiła wieko trumny.

No nie, żona tak nie robi, zdawały się mówić oczy policjanta. Jaka musi być z niej żoźza, zupełnie pozbawiona uczuć. To przez takie kobiety piją mężczyźni, pozbawieni resztek tego, co o ich męskości stanowi, czytała w oczach policjanta. I jeszcze, że świat zmierza w złym kierunku. Kiedyś kobieta na policji, kobieta mająca coś na sumieniu to była rzadkość. Teraz jest ich mnóstwo. Są takie okrutne, jak przychodzi co do czego. Dużo bardziej niż mężczyźni, jeśli mają okazję rozbijać swoje okrucieństwo. Już

nie są delikatne, czułe, dobre. Nie są kobiece. Co to będzie z dziećmi, jeśli takie babochłopy będą je wychowywać? Coraz gorzej na tym świecie, coraz gorzej. On doskonale wie, jak to jest wracać do domu, w którym czeka wiecznie niezadowolona żona, zawsze w pretensjach, nigdy z uśmiechem. I wymówki. Że pieniędzy mało, to najczęściej. Że ona haruje w pracy i w domu, a on tylko w pracy. I że ma już tego dość. Jakby on nie miał. A niech sobie idzie wreszcie i da mu święty spokój.

Zuzanna bała się, że zaraz się rozplacze. Bełkotliwy głos Piotra, ten ohydny kwaśny zapach, który czuła mimo dzielącej ich odległości – nienawidziła tego. Porażająca powtarzalność sytuacji, słowa, które czekały w tej samej kolejności do wypowiedzenia, te same gesty, miny. Niech to wszystko się nie dzieje, przecież i tak zna każdy punkt po kolei, niczego nie pominie. Odtworzy w swojej głowie i już będzie odfajkowane, zaliczone. Jak długo można oglądać wciąż i wciąż ten sam film.

– Auto zostanie na naszym parkingu. Jutro trzeba po nie przyjechać i zabrać. To sporo kosztuje. – Uśmiechnął się przeproszająco.

Piotr podniósł się z krzesła.

– No to co, szefie, to chyba wszystko?

– Tak jest. I niech pan uważa... z tym wszystkim – mruknął przyjaźnie policjant, a ponieważ zerknął przy tym na Zuzannę, można było odnieść wrażenie, że na nią Piotr powinien uważać szczególnie. – No i wie pan, jak to jest, kiedy ma się w samochodzie szefa...

– Kurwa, co mi strzeliło, żeby jechać? – dziwił się nagle wytrzeźwiały Piotr już w samochodzie, bez wsparcia potulny i skapcianiasty.

– To, co zawsze – odpowiedziała, starając się skoncentrować na drodze.

– Ale ja obiecałem sobie, że już nie wsiądę po pijanemu – biadolił Piotr.

– A tak, pamiętam, wiele razy to mówiłeś.

– Tak, jestem beznadziejny! Niszczę wszystko, co tylko zbuduję! Zaraz niszczyć, Boże. Ale to pech jakiś, trochę wypilem i od razu trafiłem na policję. Jakiś pech.

– Nie po raz pierwszy. Przecież pijesz od dawna.

– Taki pech... Ja muszę coś z tym zrobić, koniecznie. Ale to jest trudne. Gdybyś ty była inna, nie taka zimna i w ogóle... gdybyś była inna... miłsza... – Kładzie dłoń na jej udzie, spogląda na nią z ukosa, uśmiech rozmazuje mu się na twarzy.

Zuzanna zatrzymuje gwałtownie samochód.

– Wsiadaj.

– Zgłupiałaś? Tutaj? A dlaczego?

– Wsiadaj.

– Nigdzie nie wsiadam!

– Wypierdalaj!

– No wiesz? Jak ty mówisz? Z kim ja się ożeniłem? Boże, jaka ty jesteś wulgarna.

– Wypierdalaj!...

– I niech pani powie, że to niemożliwe, żebym ja zabiła moje dzieci... – Wpatruje się ogromnymi oczami w Zuzannę, oczekując wróżby czy wyroku. W dłoniach zaciska chusteczkę, której strzępki spadają pod nogi i tworzą wokół butów pole confetti. – Nie mogę sobie z tym poradzić. Może ja zwariowałam? Pewnie tak, bo która normalna matka chciałaby zabić swoje dzieci. Ale czy ja chcę? Jak myślę o tym, to pewnie chcę. – Płacze. – Czyli jestem morderczynią, a właściwie zaraz może będę. Ja ich chyba nie kocham wystarczająco. Tak mówi mój mąż, od kiedy się dowiedział, jakie są te moje myśli. Niepotrzebnie mu powiedziałam, teraz patrzy na mnie z przerażeniem. Ja w ogóle jestem przypadkiem szczególnym, tak powiedzieli mi lekarze, gdy urodziłam drugi raz bliźniaki. Bo raz urodzić, to już jest

niezwykle, ale dwa razy z rzędu, bez żadnego leczenia hormonalnego, tak po prostu urodzić, to podobno prawie się nie zdarza. Ale ja wolałabym być zwykła we wszystkim, a nie jakaś tam... Najbardziej niezwykle są te moje myśli i nie mogę o tym nikomu powiedzieć, bo każdy od razu się przeraża. A ja to nie? Ja też się przerażam i w dodatku one są ze mną cały czas, a nie tylko przez chwilę. Mój mąż powiedział swojej mamie i ona chciała mi te dzieci natychmiast zabrać. Ja to rozumiem, przestraszyli się. Śledzili mnie cały czas, podglądali. W końcu przywieźli do szpitala i to chyba lepiej. Udało mi się trochę pospać, a nie spałam już... Nie wiem właściwie, kiedy ja ostatnio spałam kilka godzin bez przerwy. Dzieci mi nie pozwalają. To nie ich wina przecież, ja wiem, ale jak się nie śpi i nie śpi, to w końcu człowiek przestaje normalnie myśleć i zaczyna nawet myśleć, żeby te dzieci... no, żeby im się coś stało i żeby umilkły... na wieki. – Płacze. – To straszne. Od takich myśli to się zaczęło. Żeby umilkły na wieki – szepcze. – Jak to pierwszy raz pomyślałam, to się przeraziłam, bardzo. No masz, pomyślałam wtedy, masz za swoje, chyba nie kochasz ich tak jak trzeba, to takie myśli powstają i takie rzeczy się dzieją. Bo mój mąż i teściowa tak mi mówią, co ze mnie za matka, co dziećmi nie potrafi się opiekować. Ja mówię, że mi ciężko, bo te pierwsze bliźniaki mają rok, a te następne dopiero się urodziły i nie mogę nadążyć. Ale teściowa tylko prycha, mąż prycha tak samo i mówią oboje, że nie takie problemy miały matki z dziećmi na tym świecie i dawały radę. A ja nie potrafię. W blokach mieszkam, woda jest, prąd jest, gaz jest, ciepło i tak dalej, to co ja jeszcze chcę. Spać chcę, odpowiadam, a oni, że jak się ma maleńkie dzieci, to się nie śpi i tak to jest, że jak urosną, to się wyśpię. Ale ja w ogóle nie śpię, mówię, a oni, że przesadzam. Ja nie doczekam, mówię, aż one będą większe, umrę z niewyspania. Albo je wcześniej zabijesz, pojawia się natychmiast myśl, ale nie mówię im o tej myśli, tylko uciekam do łazienki i tam się zamykam, a myśli wtedy jakby czekały. Tak, tak, uciszysz je, w końcu je uciszysz tak skutecznie, że nastąpi w domu grobowa cisza. Albo że będę mogła się wyspać, tylko najpierw muszę skończyć z dziećmi tę zabawę. Ja sobie tłumaczę, że to tylko myśli, że ja tego nie chcę, że nie wiem, skąd one się biorą, ale są, szaleją mi w głowie. Tu mnie pytają w kółko, czy to nie są głosy, ale nie, nie, to nie są żadne głosy, to myśli. Chciałam, żeby mąż czasem wstał do dzieci w nocy, ale on się oburzył, mówi, że pracuje na mnie, nie będzie wstawał. No, w sumie ma rację. Teściowa czasem przychodzi, ale tak w odwiedziny raczej, bo mówi, że ona już wychowała dziecko, mojego męża znaczy, i wystarczy. Kawę muszę jej zrobić wtedy, bo ona lubi kawę. I ciasto, jak nie ma ciasta, to jest niezadowolona, ale już trudno. A dzieci wtedy płaczą najbardziej, bo muszę odejść od nich, żeby tę kawę zrobić. Ona wtedy mówi, że gdybym miała pokarm i karmiła je piersią, to byłyby spokojne i zadowolone. Bo ja nie mam pokarmu – ścisza głos. – To straszne, prawda? Jak matka może nie mieć pokarmu, mówi teściowa, mąż też tak mówi, a ja nie wiem, co powiedzieć. Też myślę, że to straszne. Znowu wychodzi na to, że żadna matka ze mnie. I zaraz jak teściowa tak mówi o tym pokarmie, pojawia się myśl, a niech zdechną z głodu wreszcie te bachory, i ja znowu uciekam do łazienki, bo tam mogę się zamknąć i walić po głowie, żeby te myśli jakoś z siebie wyrzucić. Może ja się zabiję, myślę, żeby czasem tych dzieci nie zabić, nie zrobić im krzywdy. To znaczy tak myślałam ostatnio, zastanawiałam się, jak to zrobić, ale kiedy tutaj się wyspałam, to już tak nie myślę. Tylko boję się, że jak wrócę i znowu nie będę spać, to te myśli też wrócą. O zabijaniu siebie, a przede wszystkim o zabijaniu dzieci. Tego boję się najbardziej. Najlepiej byłoby, żebym umarła sama z siebie, na jakiś zawał czy coś. Dzieci są małe, nie zauważą, mąż na pewno szybko się ożeni z jakąś normalną kobietą i dzieciom będzie lepiej, będą miały normalną matkę, nie taką beznadziejną jak ja. Nawet nie powinni im później mówić o mnie. Ja powinnam zniknąć z tymi strasznymi myślami. Nie mogę przy nich kroić chleba, w ogóle używać noża, nawet patrzeć na nóż, bo zaraz widzę, jak wbijam go w ich serduszka. Nie mogę nic gotować, bo widzę, jak oblewam je wrzątkiem. Nie mogę prać, bo widzę, jak wrzucam je do pralki. Nie mogę ich podnieść do góry, bo widzę, jak je rzucam o podłogę. Nic nie mogę, wszystko zamienia się w straszne obrazy. Wolę umrzeć. Choć teraz jest lepiej, tu jest lepiej, bo

śpię. Ja już zapomniałam, co to znaczy spać, i jak zasnęłam tu pierwszej nocy i spałam podobno dobę, co tak się przestraszyli wszyscy, że coś mi jest, to jak później wstałam, to stopy miałam jakby opuchnięte, kiedy szłam po podłodze, to tak dziwnie je czułam. Ale teraz jest dobrze. Zapomniałam, co to znaczy siedzieć przez piętnaście minut, pół godziny nawet i nikt ode mnie nic nie chce. Nic się nie dzieje. Nie muszę nigdzie biec. Po prostu siedzę. To jest niezwykle. I znów wszyscy się boją, że ja tak siedzę nieruchomo i głupio podobno się uśmiecham, a ja jestem po prostu zachwycona. W domu to nie jest możliwe. Kiedy usiadłam na chwilę przy teściowej i poprosiłam, żeby przypilnowała dzieci, a ja posiedzę, to na mnie nawrzeszczała: Co to ma być, dzieci płaczą, rusz się. No tak, pomyślałam, nie mogę przecież tak siedzieć, dzieci płaczą, potrzebują mnie, a ja się rozsiadam, jak jaka królowa, co za matka ze mnie. Co za matka...

Zuzanna stoi przy oknie korytarza Szóstki i pali mentolowego.

– Pani wejdzie. – Salowa zachęcająco otwiera drzwi do gabinetu. – Pan ordynator powinien zaraz być, mówił, że tylko na pół godziny wychodzi, żebym mogła w tym czasie posprzątać. Nie ma u niego za dużo tego sprzątania, nie jest taki bałaganiarz jak poprzednia doktorka. Ona to jakaś dziwna była, wszystkie kubki zużyła, nie myła, i talerze też, co do jednego. A później na gazecie jadła, wiem, bo widziałam. Niby że kobieta mniej bałagani, ale pan doktor, mężczyzna, a czystszy i porządniejszy. Ja tam wolę doktora. Mniej roboty mam, nie? – kończy wstydliwie, powierzając Zuzannie swoją prawie tajemnicę. – To i resztę szybciej obrobie, do sklepiku wyskoczę, jak co rzucą. I miłszy jest też, nie taki gbur, jak była Laskowska. I pacjenci, mnie się zdaje, wolą jego. To pani wejdzie, ja już skończyłam.

– Chyba jednak postoję tutaj. Doktor ostatnio nie pali, nie chcę zasmrodzić gabinetu. Będę strząsać za okno.

Salowa jeszcze chwilę przygląda się podejrzliwie, po czym odchodzi korytarzem.

Zuzanna wydmuchuje dym przez uchylone okno, przez kraty, za którymi pada śnieg. Chce popatrzeć na śnieg, na cichą zimę za oknem, którą nawet nie ma czasu zachwycić się, ucieszyć. Rześkie powietrze działa lepiej niż kawa.

Początkowo nie zwróciła uwagi na szuranie, jakie dobiegało z głębi korytarza, ale jego miarowość i narastająca bliskość zmusiły ją do oderwania wzroku od okna. Znieruchomiała. W jej stronę sunął powoli, z trudem, kształt w ogólnych zarysach ludzki. Była głowa – ogromna, z kępkami włosów, z małżowinami uszu przyrośniętymi do czaszki. Było coś w rodzaju twarzy, a w niej olbrzymie, sinawe, jakby strasznie zmaltretowane i przez to tak nieforemne usta, uślinione, półotwarte. Zarys nosa. Wąskie, krzywo rozmieszczone otwory mieszczące oczy. Głowa chwiała się na zbyt szczupłym ciałku z krzywymi ramionami, zbyt krótkimi rękami, nogami powykręcany jak u lalki, której dziecko zamieniło lewą nogę z prawą. To coś było już blisko, gulgotało jak czajnik z gotującą się wodą. Zuzanna stała nieruchomo, obezwładniona widokiem. Nie było gdzie uciec, monstrum sunęło od strony drzwi, blokując ją w odnodze korytarza. W oknie kraty. Choć tydzień temu na Dziesiątce jeden z pacjentów wyrwał je i uciekł, co prawda w ostrej psychozie. Jeśli jednak Zuzanna wystarczająco się przestraszy, jej siła również może wzrosnąć. Choć na razie zniknęła, zostawiając ją nieruchomą, wbitą w podłogę.

– Puniek, wystraszyłeś dziewczynę!

Adam zbliżył się szybko do potwora i pogłaskał go po głowie. Stworzenie gulgotnęło radośnie i wtuliło głowę w nogi Adama. Ślina sącząca się z jego ust tworzyła coraz większą plamę na nogawce. Zuzanna poczuła ból w palcach lewej ręki i oprzytomniała, upuściła tłący się niedopałek. Adam roześmiał się. Stworzenie zmieniło wydawany dźwięk na jednostajne, pełne zadowolenia pu, pu, pu, pu...

– I właśnie dlatego Walenty nazywa się Puniek – roześmiał się Adam. – Walenty nie pasuje do niego za bardzo, nieprawdaż? Nie uciekaj jeszcze. On jest zupełnie niegroźny. Przytula się tylko co chwila, bo jest

bardzo spragniony czułości, posapie sobie i już. Boże, jaka jesteś blada. Naprawdę się wystraszyłaś.

– Zaskoczył mnie... – mruknęła zmieszana Zuzanna. – Nie słyszałam o nim.

– A kto ma teraz głowę mówić o Puńku. Przecież ważniejsi są ci trzej z Solidarności. O nich wszyscy gadają, przynoszą im jedzenie i ubrania. A Puniek bardzo się przydaje. Gdybyś widziała miny zomowców, co tutaj przyszli dziś rano w poszukiwaniu tych uciekinierów. Weszli butnie, z giwerami. Puniek chciał się z nimi przywitać, on jest bardzo czujny i uwielbia gości, zaraz do nich wychodzi, jak widziałaś, to znaczy wypęła. Ale oni jakoś nie chcieli się z nim przywitać. Szczerze mówiąc, bałem się o niego, nie wiedziałem, co takim kretynom z bronią przyjdzie do głowy, gdy poczują się zagrożeni. Zbledli bardziej niż ty. I wyszli natychmiast. Ci z Solidarności po tej akcji z zomowcami zaprzyjaźnili się z Puńkiem, chociaż wcześniej byli dosyć... nieufni. Dzielą się z nim żarciem, nawet próbowali wcisnąć go w amerykański sweter ze zrzutów, ale się nie dało. Puniek, jak widzisz, ma bardzo nietypową sylwetkę.

Adam otwiera drzwi gabinetu.

– Dlaczego nie weszłaś?

– Chciałam zapalić.

Puniek przemieścił się z cichym szuraniem do środka i przylgnął do nóg Adama, który usiadł w rozchwianym fotelu.

– Nie wiem, co mam zrobić, żeby on się do mnie nie przytulił – zastanawia się głośno Zuzanna, pełna niepokoju o swoje dzinsy kupione okazjnie, ale wcale nie tak tanio. – Nie zniósłabym tego. Niestety, nie jestem w stanie tak się z nim zaprzyjaźnić jak ty. No i dzinsy.

– Musisz go lepiej poznać, wtedy polubisz. Usiądź za biurkiem, tam się nie wciśnie. Zresztą w razie czego zatrzymam go. No i masz tam papiery tego podsądnego. Prosta sprawa, prosimy o zbadanie intelektu.

– Skąd ten Puniek się wziął? – Zuzanna nie może oderwać oczu od zniekształconej postaci.

– Umarła jego matka. Nikt go nie chciał. No to przywieźli go do nas. Matka musiała bardzo go kochać. Kontakt emocjonalny i fizyczny jest mu znany i widać, że to były dla niego dobre doświadczenia. Zresztą, jak nam opowiadali, znaleźli go wtulonego w tę nieżywą już matkę, z tym pu, pu. Prawdopodobnie około tygodnia tak trwał wtulony w nią. Dobrze, że jest zima i tam nie było ogrzewania, chociaż przez to z kolei był bardzo wyziębiony. Bez pomocy jest całkowicie bezradny. Sąsiedzi zorientowali się, że coś się stało, na szczęście.

– Jest... specyficzny, jeśli chodzi o wygląd. I wzruszający jednocześnie. Nie rozumie mowy?

– Rozumie niektóre słowa. Ma tak zniekształconą szczękę, przełyk i język, że w ogóle nie może mówić. Z pewnością odbiera świat poprzez podstawowe emocje. Okazuje przywiązanie i domaga się wciąż tego samego. I dostaje. Choć niektórzy pacjenci wmontowali go w swoje urojenia. Ale na ogół budzi dobre uczucia, kiedy już się go pozna, bo początkowo wszyscy głupieją ze strachu. No dobrze, dosyć o Puńku. Sama widzisz, jaką siłą facet dysponuje, gadamy tylko o nim.

– On jest fascynujący. Naprawdę nazywa się Walenty?

– Najprawdziwiej. Początkowo myślałem, że ktoś nadał mu to imię dla upiornego żartu, ale chyba nie. Ma imię po swoim dziadku, bardzo porządne imię, dziadek był nie byle kto, miejscowy piekarz z dziada pradziada. Podobno bardzo kochał Walentego.

Zuzanna porządkuje akta, żeby nic z nich nie zgubić po drodze, wstaje i rozmawia jeszcze chwilę z Adamem, stojąc przy drzwiach. Puniek pracowicie przesuwają się w jej stronę, widzi to kątem oka, widzi to niewątpliwie Adam. Puniek wyciąga do niej swą zniekształconą rękę, chwiejącą się nieporadnie. Zuzanna szybko dotyka jego dłoni. Skóra jest szorstka, gorąca, nieprzyjemna. Puniek zagruchał cichutko, jak gołąb, jego twarz rozpromieniła się chyba w uśmiechu, co byłoby pewniejsze, gdyby miał coś więcej

niż tylko zarys twarzy i szczątek ust. Opiera się o jej nogi ramionami i zastyga, wydając cichutkie, sennie pu, pu.

– Jak ja teraz mam wyjść? – pyta Zuzanna.

– Może więc zostaniesz dłużej? Dawno nie rozmawialiśmy, jakoś czasu nie ma ostatnio. A Robercik pewnie w swoim żywiole? Nadaktywny, jak zwykle, w tej swojej walce z reżimem?

– Ukrywa się. Nie wyśmiewaj się z niego, rzeczywiście sporo robi. Faktycznie grozi mu więzienie.

– Wszystko zrobi dla tych wpatrzonych w niego kobiet. To lepsze od afrodyzjaków. A ja już mam dosyć tych rewolucjonistów. Mam tych trzech z Solidarności, którzy wciąż się kłócą, wrzeszczą na siebie. Jeden to stuprocentowy antysemita. Co on wygaduje, nie uwierzyłybyś. Gdybym znał wcześniej jego poglądy, nie wpuściłbym na oddział. Ma oczy paranoika, wpatruje się nieruchomo jak rekin, cedzi swoje spiskowe teorie z największym przekonaniem, nie przyjmuje innych poglądów nawet na jotę. I wciąż próbuje mnie przekonywać, zagaduje, zaczepia. Może ja mu dam fenactil albo elektrowstrząsy zaordynuję, co? Ale po nim to spłynie. Korki nam wyrzuci, a on nie poczuje.

– Ojczyzna ci tego nie zapomni... – śmieje się Zuzanna. – Przecież jest wojna... jakby.

– Łatwo ci się śmiać. No i mam jeszcze tych dwóch młodocianych kryjących się przed wojskiem. Ci przynajmniej grają w karty całymi dniami. Ale wciąż marudzą, że głodni. Oni mogliby zjeść każdą ilość. Rodziny wciąż im przynoszą żarcie, a im mało. I wiesz co, są chudzi jak szczapy. Zazdrośczone im takiej przemiany materii. No i dlaczego oni wszyscy do mnie?

– Bo masz facetów?

– A czy tylko ja mam męski oddział w tym szpitalu? Za chwilę nie będę miał normalnych wariatów, tylko samych opozycjonistów i poborowych.

– No przecież nie pójda do Kowalewskiego ani do Wójcikowej...

– Ale do Jacka czy Grażyny mogliby pójść.

– Tam już też ktoś jest. Czy ma być. Wszystko ku chwale ojczyzny.

Zuzanna czuje obecność Puńka cały czas, ale już znajduje w tym odrobinę, może nawet więcej niż odrobinę spokojnego ciepła, czułości, jaką on chce jej przekazać czy wziąć od niej, wszystko jedno. Znowu dotyka jego dłoni, tym razem bez lęku, więc dłoń Puńka wydaje się rozczulająco dziecięca. Może przesypywał w dłoniach ostry piasek, który spowodował tę szorstkość i ciepłą matowość. Te dłonie są całkiem inne, ale już nie może powiedzieć, że obrzydliwe, bo przecież zna Puńka i lubi go razem z tymi dłońmi, dziwną sylwetką i ze zdeformowaną twarzą, wyrażającą tyle miłości. Adam uśmiecha się do niej, jakby słyszał jej myśli.

– Mówiłem? Można się w nim zakochać, nie? To co, może jednak herbaty? Albo tej nowej kawy z Peweksu?

Zuzanna zastanawia się chwilę, zerka na zegarek.

– Nie dam rady dzisiaj. Ale wpadnę... może w środę? Będę miała już zakończone sądowniki z Piątki, zbadam tego twojego, będzie czas na pogaduchy.

– No dobra. Trudno, musisz, to leć. Powiedz jeszcze tylko, z Piotrem w porządku?

Nawet ściszył głos, patrzy na nią spokojnie i z troską. Wolałaby, żeby nie widział sceny, jaką Piotrek urządził w sylwestra, ale stało się. Zuzanna schyla się do Puńka, może chce zyskać trochę czasu, aby znaleźć jakąś zręczną, najlepiej żartobliwą odpowiedź. Nic nie znajduje; wie, że Adam jest zbyt bystrym obserwatorem, by go zbyć byle czym. Może więc trochę za długo koncentruje się na Puńku. Delikatnie, powolutku, odrywa go od swoich nóg, gdzie niby poddańczo trwał skulony, ale tak naprawdę trzymał ją bardzo mocno, nie pozwalając odejść.

– Pogadamy w środę. Do zobaczenia – mówi do Adama, nie patrząc mu w oczy.

– No dobra. Zapraszam w środę. Tylko zadzwoń chwilę wcześniej, żebym miał szansę być

w gabinecie.

– Pu, pu... – żegna się Puniek.

– Naprawdę, już za nim tęsknię – mówi Zuzanna ze śmiechem.

Jest zmęczona tą przedłużającą się w nieskończoność sprawą. Gorąco, okna sali sądowej otwarte, słyhać śpiew ptaków. Stanowi on muzyczne tło dla zeznań trzech młodocianych morderców, udowadniających z przekonaniem swoją niewinność, choć nawet złagodzona przez nich wersja wydarzeń brzmi przerażająco i Zuzanna zastanawia się, czy już całkiem straciła wrażliwość, skoro bez drgnięcia powieki słucha opowieści o katowaniu człowieka. Myśli niemal wyłącznie o tym, że to niespodziewane przesłuchanie na sali sądowej pokrzyżowało jej plany. Że coś, co zwykle zajmuje około godziny, ciągnie się już ponad trzy. A więc nie zdąży pojechać do szpitala, może nawet nie zdążyć na czas do gabinetu, gdzie jest umówiona z pięcioma pacjentami. I czy ma w notesie ich telefony, żeby w razie czego odwołać spotkania. I do szpitala musi zadzwonić, przecież miało jej nie być tylko rano.

Przygląda się twarzom morderców, próbując znaleźć w ich rysach, oczach, może przynajmniej w tym zawsze wzruszającym ją zagłębieniu pod szczytem policzka choćby odrobinę łagodności. I znajduje, szczególnie w jednej twarzy, ale uświadamia sobie, że ten właśnie był najokrutniejszy. Twarz anioła jest oszustwem. *Fake!*, mogłaby krzyknąć, jak gruba Murzynka w metrze w Paryżu, gdy Zuzanna nieświadomie podała jej fałszywą monetę. *Fake! Fake!*

Na przerwie biegnie do toalety, po drodze dzwoniąc na oddział z tłumaczeniem, dlaczego jej nie ma. W obskurnej ubikacji stoją obok siebie dwie kobiety, matka mordercy i matka ofiary. Śmierdzi, słyhać strumień moczu dzwoniący w muszli klozetowej, później szum spuszczonej wody. Kolejka kobiet przesuwa się w stronę kabiny. Matka mordercy zaciska dłonie i zwraca się do matki ofiary jakoś tak ukośnie, jakby bała się stanąć na wprost niej, bo to może byłoby za blisko, za bardzo wprost właśnie. Więc pewnie bokiem będzie bezpieczniej, tak mimochodem, na marginesie, w nawiasie, obok.

– Chciałam... Jakoś tak... Przeprasić...

Matka ofiary patrzy przed siebie, kosmyki włosów z resztkami ciemnej niegdyś farby spadają jej na oczy, ale nie odgarnia ich, może już nic nie czuje od tego momentu, gdy przekazano jej wiadomość o śmierci syna. Pewnie od tego dnia farbowanie włosów byłoby świętokradztwem, pewnie powinna je zgolić do skóry i brwi też, gdzieś tak robiono, gdzie, zastanawia się chwilę Zuzanna, w Grecji? Nie, chyba w Egipcie. Pewnie tamtego dnia świat się zatrzymał, zamarł, zmrożony już na zawsze. Ja to wszystko znam, myśli Zuzanna, wiem, jak to jest, gdy świat się zamraża na zawsze.

– Bo w ogóle, to jakby nie mój tego paninego, to ten paniny mojego by załatwił, na pewno... – zarzeka się matka mordercy. – Oni się całkiem nie lubili, bo jeden za to drużyno, drugi za to. To mojego pewnie też mogłoby już nie być – stwierdza buńczucznie matka mordercy.

Matka ofiary omija ją, wchodzi do kabiny. Matka mordercy wzrusza ramionami, jej usta w perłoworóżowym kolorze, uwydatniającym braki w uzębieniu, wydymają się w zniecierpliwieniu czy oburzeniu na tamtą kobietę. Żeby zaraz tak nie rozmawiać?

Z kabiny słyhać dźwięk moczu uderzającego o ścianki sedesu, spuszczana woda zrywa się niemrawo, matka ofiary wychodzi tak, jak przed chwilą weszła, płynąc ciężko przez duszne powietrze. Matka mordercy chyba chce jeszcze coś powiedzieć, może w krótkiej chwili oddawania moczu przez tamtą znalazła jakieś nowe, celne słowa, ale gdy obie znów są blisko siebie w ciasnej ubikacji, po nabraniu powietrza w płuca nagle rezygnuje ze swojego zamiaru. Odrobina zrozumienia pojawia się pod białymi, spalonymi perhydrolem i trwałą włosami, perłoworóżowe usta przestają uprawiać swoją gimnastykę, zastygają. Kobieta wzdycha ciężko i prawdziwie.

Zuzanna dotyka swojej głowy. Przymyka oczy, otwiera dopiero na dźwięk moczu lejącego się znów do

sedesu jak niezwykle ważny akord na ścieżce dźwiękowej filmu.

Kiedy w końcu weszła do tej jedynej czynnej kabiny, gromadzącej wszystkie kobiece postacie dramatu, nie mogła przez długą chwilę wydalić z siebie ani kropli, choć czuła, jak pełny ma pęcherz. Zapachy, wydzieliny, płyny, rozpacz, wina, kara mieszały się tu jak u zarania życia splątanego ze śmiercią, gdy tak bezlitosne i nieupiększone jeszcze było i jedno, i drugie. Dopiero natarczywe pukanie do drzwi pomogło jej na tyle, że mogła opróżnić coraz bardziej bolesny pęcherz, dodając jeszcze skurcz i ulgę do repertuaru tutejszych przeżyć.

Wracając korytarzem na salę rozpraw, omija uważnie sterty gruzu i wiadra, zastanawiając się, kiedy skończy się trwający od roku remont, odbierający sądowi wszelką powagę, szczególnie w połączeniu z bijącym w nos zapachem baru z parteru. Przecież tak właśnie ze śmiercią jest, przekonała się już wiele razy, czytając akta ociekające krwią, gdzie śmierć jest najprawdziwsza, nie tak wypreparowana i oczyszczona ze wszystkiego, nie tak estetyczna, jak w filmach, ale brudna, pokrzywiona, utyłana, niezgrabna, koślawka. Wcale nie wyjątkowa. Najczęściej wcale nie jest głośna, nie krzyczy, że oto przyszła i jest, proszę patrzeć i podziwiać. Potrafi być prawie niezauważalna. Nie każdy przecież ma szczęście jak lodowy Otzi, że odnajdzie się go po tylu latach i wyciągnie z otchłani milczącego, zimnego niebytu, by umarł jednak w sposób hałaśliwy i wyjątkowy, choć miało być – cichy i ledwie widoczny. Miało być – jak rozjechana na drodze żaba. Nawet nie jak kot czy pies, o większym zwierzęciu nie wspominając. A wyszło krzykliwie, z zainteresowaniem połowy świata, analizowaniem najdrobniejszych strzępków ciała czy ubrania i snuciem fantazji o życiu i śmierci myśliwego, któremu pewnie nawet do głowy nie przyszło, że stanie się wieczny niczym jaki bóg. Ludzie w tamtych czasach z pewnością znali swoją miarę, nie to co dzisiaj, gdy prawie każdy ma się za absolutnie wyjątkowego, myśli Zuzanna, lawirując między porzuconymi narzędziami, a jest beznadziejnie zwyczajny.

Anka mruży oczy przed strumyczkiem chny spływającym powolutku z włosów przez nieuwagę Zuzanny, zajętej nakładaniem zielono-brunatnej papki z tyłu głowy. Zuzanna w porę zauważa jednak nieproszone strumyczki podążające po czole Anki i zatrzymuje je wilgotnym wacikiem.

– Wolałabym nie mieć rudych zacieków na czole – mówi Anka, śmiejąc się. – Jutro będę w sądzie, muszę wyglądać wiarygodnie.

– Już to wycieram, nie martw się. Za dużo wody. Za rzadkie. Nie masz już chny, żeby to zagęścić?

– Nie. Jednak zawsze trzeba trochę zostawiać, na wszelki wypadek.

Zuzanna odlewa odrobinę wody z miseczki, licząc na to, że papka będzie gęstsza i lepiej się będzie nakładać. Owija głowę Anki na linii włosów dodatkowym paskiem papieru toaletowego, chroniąc jej twarz przed rudymi plamami. Później owija jej głowę rozciętą torebką foliową i specjalnie do tego przeznaczonym, zrudziałym od wcześniejszych zabiegów ręcznikiem.

– Teraz trzy godziny męczarni – mówi Anka.

– Może poupycham ci trochę waty, to nie będzie tak spływać.

– Waty mam mało. Boję się, że nic nie będę miała, a za jakieś dwa tygodnie mam okres. Podpasek nie udaje mi się kupić ostatnio wcale, jakby ktoś je zaczarował. Tuż przede mną się kończą i całe stanie w kolejce na nic. Za to papier toaletowy udaje mi się kupić w dużych ilościach. Tego mam sporo.

– No to możemy się wymienić, bo ja odwrotnie.

– Jak wy sobie radzicie w tym wszystkim z dziećmi? Przecież nic nie ma, a jak już coś się pojawi, to trzeba stać godzinami. Ja sobie mogę odpuścić, zjem cokolwiek, ale dzieci...

– Łatwo nie jest, faktycznie. Piotr na szczęście zawsze może wyskoczyć z pracy i postać w kolejkach, w końcu pracuje w centrum. Gdyby nie to, chyba musiałabym całe dni biegać po sklepach. A tak to odhaczamy się w jednej kolejce po telewizor, w drugiej po pralkę... To znaczy Piotr się odhacza i łapie

różne inne okazje.

– Jednak facet czasem do czegoś się przydaje oprócz seksu...

– Na to wygląda.

– Może ja też powinnam posyłać tych moich narzeczonych w kolejki? Ale szkoda czasu. To zabija urok bycia z facetem. Ja nie muszę jeść, najbardziej wkurza mnie to, że nie ma kosmetyków i ciuchów. Całe miasto trzeba przebiec, żeby coś upolować. Koszmar. Wczoraj kupiłam fajne buty. Zobacz i powiedz, czy ładne.

Zuzanna z zachwytem ogląda buty, o jakich marzyła zawsze – niewysoki obcas, brązowe, proste i eleganckie.

– Nie mogłaś mi wziąć?

– Po jednej parze dawali. To cud, że dostałam swój rozmiar.

Wspominają z żalem piękne rzeczy, których z różnych powodów nie udało im się kupić. Bo zabrakło, bo rozmiar nie ten, bo nie zdążyły dobiec do sklepu. Zuzanna dołożyłaby do tych wspomnień jeszcze te o artykułach spożywczych, jak to kończyła się szynka albo wołowina, albo ser, albo... Ale to nie interesowało Anki, skoncentrowanej na swoich ulubionych obszarach. Rysowała w powietrzu kształty sukienek, bluzek, płaszczy, kurtek i butów, wycierając wciąż ciekącą chną.

– I po jaką cholere była cała ta solidarnościowa rewolucja? Od razu wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Jest coraz gorzej. A tobie jeszcze dzieci się zachciało w tym wszystkim.

– Dzieci się po prostu rodzą. – Zuzanna uśmiecha się nieśmiało, może i przepraszająco.

– Ale chciałaś? Ten twój Piotrek chyba nie jest... łatwym człowiekiem, co?

– No nie jest.

– Rozumiem, że nie będziemy o tym rozmawiać?

– Wybacz...

– A daj spokój. Gdybyś kiedyś chciała, to bardzo proszę. Tylko czy ja ci pomogę w czymkolwiek? Ja jestem z facetem do momentu, gdy postanowię go zostawić. A jak nie wiem, czy chcę go zostawić, to jestem z kilkoma, co do których też nie wiem, czy chcę ich zostawić i wciąż się zastanawiam. – Anka śmieje się. – Nigdy nie pozwoliłabym żadnemu na coś, czego nie akceptuję. – Poważnieje i zagląda Zuzannie w oczy. – Chcesz spytać, dlaczego tak?

– A chcesz odpowiedzieć?

– No, dziś może nawet tak. Chwila szczerości pod papką z chny. Ojciec i bracia... szczególnie bracia...

Anka przygląda się Zuzannie, przygryzając usta. Zastanawia się. Rozważa. I w końcu zupełnie innym niż przed chwilą tonem, niemal radośnie rzuca:

– Nic ważnego, po prostu byli. W sumie żaden dramat, byli, no może to, że zawsze najważniejsi. To pryszcz wobec strasznych życiorysów naszych pacjentów.

– No, rzeczywiście, pryszcz. Zrobię herbaty.

– Weź żółtą puszkę, tam jest waniliowa, to prezent od Jacka, bardzo miły jest Jacek – krzyczy Anka z pokoju do Zuzanny, która w małej kuchni opiera głowę o chłodną szybę, przymyka oczy.

– Zapalę sobie! – krzyczy do Anki.

– A pal. Tylko uchyl okno.

– Dobra. A ty się nie ruszaj, bo ubrudzisz wszystko tą chną.

– Nie ruszam się. Tylko zrób mi wreszcie herbaty.

Zuzanna otwiera wielką puszkę i wacha herbatę – waniliową, słodkawą, urzekającą i tyle obiecującą po wszystkich zmiotkach śmieci herbacianych dostępnych w sklepach. Cudowny luksus. I ta puszka.

– Ania, czy ta herbata jest w Peweksie?

– Nie, przywiózł z Niemiec. Kochany chłopak.

Rzeczywiście. Kochany.

Zuzanna wraca do pokoju, niosąc ostrożnie filiżanki z herbatą, delektując się jej aromatem. Stawia wszystko na stoliku, czuje się co najmniej niezwykle, a może nawet wykwintnie z powodu pachnącej herbaty w delikatnych kolorowych filiżankach.

– Anka, ale ty tych facetów tak kochasz czy tak nienawidzisz? – Jeszcze zanim skończyła zdanie, wiedziała, że niepotrzebnie to powiedziała.

Siada więc w fotelu, nie patrząc na Ankę, zastanawiając się, co ona zrobi z tym pytaniem, które wymknęło się jak sprytny więzień z głowy Zuzanny, która rzeczywiście wiele razy nad tym się zastanawiała, słuchając niekończących się opowieści o mężczyznach Anki, o tabunach mężczyzn. Ale co innego zastanawiać się, co innego zapytać wprost. Ale już za późno.

– Zuzanna... – odzywa się Anka po chwili ciszy. – Jak tam herbata?

Zuzanna patrzy uważnie w bursztynowy napój.

– Pyszna.

– Prawda? Należy się Jackowi buziak, a nawet coś więcej, chętnie mu się w taki sposób odwdzięczę.

– Najbardziej zastanawiam się nad tym, że przychodzę do pani, to znaczy do psychologa, nie bezpośrednio po śmierci mojego ojca, ale sporo później. Kiedy zmarł, było mi bardzo źle. A jeszcze gorzej, gdy chorował. Na raka mózgu. Wszystko toczyło się tak szybko, to znaczy szybko i wolno jednocześnie, bo najpierw tego raka nie rozpoznano, choć ojciec szukał pomocy. Mówili mu, że hipochondryk, że nic mu nie jest. Ale badań nie zrobiono. Zawsze dziwi mnie to, że lekarz potrafi powiedzieć pacjentowi, który na coś się skarży, że to nic poważnego. Nie zleca badań, kiedy kogoś coś boli, tylko wyrokuje – to nic poważnego. Nie wie przecież. Nie ma w oczach rentgena, a wydaje wyrok, czyli diagnozę co do przyczyny bólu. I tak było z tatą. Bolała go głowa, a lekarz mówił: nic poważnego, pan jest przewrażliwiony, panu się pewnie wydaje. Jakieś masaże mu zlecali, inne niepotrzebne rzeczy, jakieś sanatorium, ale nikt nie zrobił badań, nie zbadano tej jego biednej głowy. Najbardziej mnie przeraża, że był w tym taki samotny. Moja matka nie jest osobą, która umiałaby pomóc w takiej sytuacji, właściwie w jakiegokolwiek sytuacji. Pomyśleć, jakieś wnioski wyciągnąć, coś krytycznie ocenić, zastanowić się. To nie ona, zawsze zagubiona, bez refleksji, bez wiedzy o świecie, która pozwalałaby jej te ewentualne wnioski wyciągnąć. Bardzo powierzchowna, płytka, niezainteresowana światem, który był dla niej zrozumiały jedynie w podstawowych kwestiach, dalej już nie. Nieporadna, niezbyt mądra, niedojrzała emocjonalnie. Oni nie byli dobrym małżeństwem. Zawsze skłóceni. Od dawna wiem, że przez nią, choć początkowo myślałam inaczej. Ja i moi bracia bliźniacy niesiemy w sobie ich konflikt. Obaj zawsze byli dla mnie dalecy. Nie było między nami bliskości. Przyjaźni. Może teraz jest lepiej, bo jeden zginął. Właściwie powinnam powiedzieć: mimo że jeden zginął. Ale prawda chyba jest taka, że dlatego, że zginął. To znaczy wyjechał i nie wiadomo, gdzie jest. I ja zaczęłam od tego czasu trochę przynajmniej rozmawiać z tym, który pozostał. Zbliżyliśmy się. Nie za bardzo, ale zawsze. Ja w ogóle mam problem z bliskością, tak myślę. Tata, gdy choroba się zaczynała, nie chciał mi głowy zawracać, jak to on. A dręczy mnie, że kiedy próbował, nieporadnie, ale próbował, z mojej strony nie było odzewu. Jak ci koszmarni lekarze – coś tam wykrętnie mówiłam czy robiłam, byle go zbyć. Wiecznie zapracowana i zamknięta w swoim świecie, nie usłyszałam go. Nauczono go, że mało znaczący. Nieślubne dziecko. Jego matka to była bardzo specyficzna osoba, emocjonalnie jakaś pokręcona. Nie dawała mu oparcia. I jak w dzieciństwie, tak później błąkał się po tej chorej służbie zdrowia bezradny i obolały, z tą coraz szybciej tykającą bombą w głowie. Najdziwniejsze, że krótko przed rozpoznaniem badał go jeszcze neurolog i też nie stwierdził tego guza; może najwyżej jest trochę sklerozy, powiedział. Ja nie byłam czujna, bo powinnam powiedzieć, że to jakaś chyba galopująca skleroza, rok temu był bystrym

człowiekiem, a dziś już nie, jak to możliwe, to chyba nie to. Ale w swoim zaganianiu nie zastanawiałam się nad tym nadmiernie, przyjełam do wiadomości, matka w ogóle nie rozumiała sensu, więc zadanie jakiegokolwiek pytania nie było możliwe, jak zwykle. Czasem myślę, tak na marginesie, jak ja przeżyłam przy tak niegramotnej matce. Wciąż czuję się winna, choć minęło tyle lat. Winna, bo nie zatrzymałam się przy nim i nie wysłuchałam go, nie zajęłam się nim, kiedy próbował zwrócić na siebie uwagę i opisać, co się z nim dzieje. Pamiętam kilka sytuacji, wracają wciąż do mnie – gdy zadzwonił i mówił, że boli go głowa, a ja powiedziałam, że mnie też, bo taki upał, żeby wziął coś przeciwbólowego. Ach, ciebie też, odetchnął wtedy i może pomyślał, że w takim razie nie jest tak źle. Albo gdy spotkałam go na przystanku, wysiedliśmy z dwóch jadących w przeciwne strony tramwajów i spotkaliśmy się jakby na przecięciu dróg. „Jedziesz na działkę?” – spytał i wtedy już widziałam, że jakoś tak prawie przepraszająco. „Nie – obruszyłam się – nie mam czasu”. „Tak, oczywiście – wycofał się szybko – jak będziesz chciała, to przyjedźcie”. I każde z nas pojechało w swoją stronę, on na działkę, ja z synem gdzieś tam, nawet nie pamiętam gdzie. Widziałam go jeszcze, jak idzie przez ulicę. Coś mi nie pasowało w jego postaci, jakiś rodzaj zmęczenia, bezradności, zagubienia, ale zatopiona w swoich sprawach pominęłam to. I jak kiedyś miał mi coś przywieźć i zamiast wejść drzwiami, podszedł pod balkon... To było kompletnie bez sensu. Zobaczyłam go przez okno i wyszłam zdziwiona na balkon, dlaczego on tu stoi, zamiast wejść przez drzwi. A on może zabłądził i chodził pod tymi balkonami. Ale nie powiedział tego, tylko coś, co miało wytłumaczyć to dziwne zachowanie, ale nie tłumaczyło, i ja oczywiście nie zrobiłam z tym nic, nie wyjaśniłam. Zostawiłam. A teraz wciąż go widzę pod tym balkonem. Pamięta pani z *Mistrza i Małgorzaty* tę dziewczynę, która udusiła dziecko i wciąż za karę pojawia się przy niej ta chustka czy szal, którym to zrobiła? Prosi Małgorzatę, żeby to zniknęło. Ja jestem Frieda, ja jestem Frieda, pamiętaj, krzyczy do Małgorzaty z rozpaczą, wierząc, że ona może ją uratować, odwołując karę. Ja też jestem Frieda. Stoję na przystanku, stoję na balkonie i w paru jeszcze miejscach, widzę go, chcę coś powiedzieć, coś zrobić i nie mogę. Tylko w kółko mówię głupie słowa, które wyskakują mi z ust i nie mogę ich zatrzymać. Będę je mówiła do końca świata, choć wszystko już krzyczy we mnie. Usta układają się w tamten kretyński uśmiech, wypowiadają tamte formułki, choć już się duszę i wewnątrz mojego ciała już wszystko się gotuje z przerażenia i rozpacz. Ale wciąż mówię tamte zdania głosem, za który powinnam siebie zabić. Te obrazy wciąż są w mojej głowie za karę, za moją głupotę i egoizm, i brak uwagi, i brak empatii... – Łzy płyną po nieruchomej twarzy z szeroko rozwartymi oczami, których źrenice zablokowały się, zastygły, zaryglowały od wewnątrz, nie wypuszczają najważniejszych świadków w sprawie przeciwko tej kobiecie. – Nikt nie podejrzewał prawdy. To w ogóle nie było brane pod uwagę. Oczywiście, patrząc wstecz, widzę, że symptomy pojawiały się od miesięcy. Może gdyby ci cholerni lekarze cokolwiek wybadali, gdyby cokolwiek ich zaniepokoiło, to może i ja zwróciłabym na coś uwagę. Ale tak się nie stało, dopiero gdy wszystko eksplodowało, to znaczy, kiedy w badaniu EEG wyszła prawda o tym, co w tym mózgu się dzieje, wtedy rozpoczęły się pospieszne, nic już niedające działania. Operacja, szpital, umieranie. Koszmar. Łudzenie się, że wyjdzie z tego. Tak zawsze jest. Gwałtowne próby znalezienia rozwiązania, szamotanina. Nie było jeszcze internetu, żeby pozbierać informacje, żeby jakoś to złożyć i poszukać czegoś, może miejsca, człowieka czy leku, który by pomógł. Wszystko po omacku, bez żadnej pomocy lekarzy czy pielęgniarek, którzy w większości oczekiwali tylko pieniędzy, zdemoralizowani i obojętni. Pod koniec znalazłam takiego od opieki paliatywnej i ten był sensowny, całkiem pomocny. Tylko że to już było za późno. I teraz piszę listy do mojego ojca, który dopiero po śmierci stał się dla mnie wyraźny i jakby oczyszczony ze wszystkich niepotrzebnych, zaciemniających jego i naszą relację spraw. Zobaczyłam go dopiero wtedy, gdy już go nie było. Nie wiem, czy pani wie, jaka bezradność pojawia się, gdy ktoś bliski umiera. Jak przewijają się później w pamięci zdarzenia z nim związane i jak bardzo analizuje się słowa, zachowania, że to nie były te, które

powinny się pojawić i które mogłyby odwrócić bieg zdarzeń. I że już nigdy nie wydarzy się to, co powinno się było wydarzyć wcześniej.

Kochał mnie. Kiedyś, gdy jako bardzo małe dziecko zachorowałam, biegł przez las do sióstr zakonnych po pomoc dla mnie. Uczył mnie pływać. Z delegacji zawsze przywoził mieszankę wedlowską. Zaszczepił potrzebę czytania książek. Miał fajne poczucie humoru, którego moja matka bardzo często nie rozumiała i wtedy złościła się. Jakoś próbował ułożyć sobie świat, a łatwo mu nie było. Był inny od pozostałych osób w rodzinie, szczególnie różnił się od swoich przyrodnych braci, alkoholików. On nie pił. Nie palił. Ja dopiero teraz rozumiem, co to znaczy różnić się od wszystkich. W rodzinie nie znajdował oparcia, był uważany za nieporadnego, ginął na tle tych bardziej krzykliwych, bardziej pewnych siebie, prostackich ludzi. No i był tak zwanym bękartem, co skazywało go na rolę gorszego, wiecznie o coś proszącego, łaskawie tolerowanego. Dopiero teraz to widzę i stoję za nim murem. Tylko mocno się spóźniłam. Matka szybciej wyśmiała go przy innych, niż wsparła. Nie grała w jego drużynie. I pamiętam, jak mówił mi różne rzeczy. Nie pamiętam, żeby matka mówiła do mnie cokolwiek, on tak. Tłumaczył. Może nie zawsze miał rację, ale coś chciał mi przekazać, opowiedzieć. Matka nie. Nigdy. A jeżeli, to jakieś głupoty. On był dzieckiem panieńskim, z pewnością niechcianym. Nawet nazwiska nie dostał, gdy babcia wyszła za męża. Opiekowała się nim właściwie jego ciocia, też całkiem inna niż reszta rodziny, dużo mądrzejsza, czytająca książki, z jakąś klasą i szerszymi horyzontami. To dzięki niej był inny, w pozytywnym znaczeniu, od swoich przyrodnych braci, zupełnie nieudanych, prostackich typów. Ale też przez nią nie był jednym z nich. Kiedy oglądam jego zdjęcia, widzę go najpierw jako dziecko, chudziutkie, pewnie grzeczne, później młodzieńca z jakąś pochmurną twarzą, później wychudzonego żołnierza, później już mężczyznę w sytuacjach rodzinnych – tu sporo jest zdjęć ze mną. W pracy, na jakichś wyjazdach, gdzie dobrze widać jego nieśmiałość i zainteresowanie tym, co zobaczył w górach, nad morzem, co przeżywał z ludźmi jakoś tam kulturalnymi, ładnie ubranymi. Dużo jest zdjęć ze mną, widać miłość w jego oczach, ale ja to wszystko zobaczyłam i pojęłam za późno. Gdyby żył... Jakoś teraz widzę go, jak korzysta z radością z tego, co się w Polsce zmieniło na lepsze, jak jeździ w różne miejsca, jak kupuje różne nowe rzeczy. Na pewno nauczyłby się obsługiwać komputer, internet. Był ciekawy świata. No, ale nie żyje. To głupio oczywiście, ale dla mnie jednak nagle okazało się, że sprawy nie są odwracalne, sytuacje się nie powtarzają, nie da się ich poprawić. I jak ta chusteczka podrzucana Friedzie wracają we wspomnieniach, ogląda się siebie, jego jak na filmie, nic nie można zmienić, zostaje ból i wstyd. Nic nie można zrobić. Przepadła szansa na odpowiednie działanie, słowa. Nie powtórzy się, wiadomo, nic dwa razy się nie zdarza.

Zuzanna wróciła do swojej klitki po wizycie na Siódemce i najpierw szamotała się z odmawiającą posłuszeństwa parasolką, później długo wycierała się ręcznikiem, a jeszcze później walczyła z oporną maszyną do pisania. No i wreszcie zauważyła, że przemokły jej buty, więc zrezygnowana próbowała je wysuszyć ligniną; gdzie teraz kupi nowe, jeśli te się rozlecą? Tak długo miała te buty i lubiła je. A kiedy sięgnęła po szklanę z niedopitą herbatą, była tak niezręczna, że większość wylała na akta leżące na biurku. Pospiesznie wycierała brązowy płyn, penetrujący systematycznie kolejne kartki, wykorzystując z rozpaczą całą paczkę papierowych chusteczek, które niedawno udało jej się kupić. A teraz ratowały akta. Niby dobrze, ale jaka szkoda, że wszystkie utopiły się w tej rozlanej herbacie.

Jeremi krzyknął od drzwi gabinetu:

– Zuzka, zejdiesz na dół? Praktykant do ciebie!

Zuzanna odsuwa krzesło i wstaje pospiesznie; przeciskając się do drzwi między biurkiem a ścianą, potrąca książki ułożone na brzegu w chybotliwy murek, który teraz sypie się na podłogę. Już z ręką na klamce, czując jej chłód i dobrze znany wyszczerbiony brzeg, o który często raniła sobie dłoń, zatrzymuje

się na chwilę. Odwraca się od drzwi i jej oczy przesuwają się po książkach leżących już na podłodze i tych spóźnialskich, ociągających się i niemogących podjąć decyzji co do swego aktualnego miejsca pobytu. Beładny stos książek różnej wielkości żyje teraz własnym życiem, cichutko rozbiega się po starej, schodzonej podłodze nigdy nieremontowanego „gabinetu”. Niech spadają, może wreszcie poukłada porządnie, według jakiegoś logicznego zamysłu, by móc odnaleźć zawsze i szybko to, co akurat potrzebne, a nie przekładać za każdym razem z miejsca na miejsce. Choć z drugiej strony rozpoznaje większość z nich po kolorze i wielkości, wystarczy rzut oka. Ale jakiś porządek mógł by być.

Kiedy próbuje zbierać niesubordynowane książki, od razu dostrzega przybrudzoną tekturową teczkę z czarnymi, stylizowanymi literami: *Pamiętnik Lechosława Polaka*. Przecież wczoraj cały dzień szukała tej teczki. Przeraziła się, że zgubiła, że Lechosław przepadł, że ktoś go sobie egoistycznie przywłaszczył. Obdzwoiła wszystkie oddziały, próbując przypomnieć sobie, czy nie pożyczyła tej albo innej osobie zapisków Lechosława. Ale oto jest. Wyślizgane troczki, zapętlone, zbyt krótkie, stawiają przez chwilę opór. Szarpie niecierpliwie, wrywa jeden z nich, przez co teczka otwiera się i wysypują się na biurko żółtawe kartki. Niektóre są w kratkę, niektóre w linię, niektóre gładkie. Gotyckie pismo jest czasem spokojne, równe, niemal kaligrafowane, czasem pospieszne, chwiejne, aż do nieodczytania, gdy litery wrywają się, przepychają, uciekają i gonią jednocześnie. I wyraźnie, tak bardzo wyraźnie widzi teraz twarz Lechosława, który bez większego zainteresowania patrzy na tablice Rorschacha, powtarzając monotonię: „Krew, krew, rozlana krew, wnętrzości człowieka, krew, rozbryźnięty mózg, krew, rozszarpane ciało, czarna krew...”.

– Zuza, praktykanta wysłałam do ciebie na górę! – woła z dołu Jeremi.

Nie, nie dziś, nie teraz, kiedy wszystko mi strajkuje, pomyślała. Jest tak okropnie zimno, mokro, błotniście. Właśnie niespodziewanie i gwałtownie skończyło się lato i na pewno będzie zaraz zima i trzaskający mróz. Możliwe, że już jutro, albo nawet dziś wieczorem, taka galopująca epoka lodowcowa, a czemu by nie?

Odwraca się z niechęcią do drzwi, słysząc pukanie; próbuje opanować irytację, nie płakać nad zakończonym latem, mokrymi butami, rozlaną herbatą, uciekającymi książkami, wściekłymi sprzętami i całą resztą.

– Proszę! – woła.

W otwartych drzwiach staje przemoczony młody mężczyzna z zamkniętym parasolem w dłoni.

– Dzień dobry – mówi radośnie. – Zgłaszam się na praktyki. Igor Lange...

Zuzanna cichnie wewnątrz własnej głowy. Wyciąga rękę ponad bałaganem na biurku, przedstawia się bełkotliwie. No nie! I jeszcze ten zapach, coraz wyraźniejszy, chyba lawenda, odrywający się cząsteczkami od jego mokrego ubrania i... Przychodzi sobie tak po prostu, zwyczajnie, na praktyki, łązi po deszczu, uśmiecha się. Gdyby miała go wymyślić – a dawno już przestała to robić, nawet przed snem – byłby taki właśnie. I jak można mieć tak niebieskie, właściwie niemal lawendowe oczy. Przecież to niemożliwe, nie ma w naturze takiego koloru oczu... A jednak.

W porę złowił jej wahającą się dłoń i zatrzymał na taki drobiazg czasu, niemal niezauważalny, umykający w chwili powstawania. Jego dłoń jest duża i ciepła. Idealne warunki do życia. Opuściła pospiesznie to miejsce, zbyt poruszona odkryciem, że istnieje.

– Szedł pan pod parasolem i jest pan cały mokry? – pyta bardziej karcącym tonem, niż zamierzała.

– Właściwie to nie szedłem pod parasolem.

Zuzanna zrobiła zdziwioną, wyniosłą minę osoby, której takie dziwactwa nawet nie przychodzą do głowy.

– Proszę się rozebrać... – mówi Zuzanna. – To znaczy... tutaj jest wieszak – dodaje szybko, wskazując machnięciem dłoni koślawą konstrukcją obok drzwi.

Kiedy jego ramiona, brązowe od niedawnego letniego słońca, wychylają się z mokrej kurtki, Zuzanna szybko odwraca wzrok. Przecież niedługo będzie miała czterdzieści lat, nie powinna tak taksować spojrzeniem młodego chłopaka.

– Kurtkę trzeba rozwiesić na wieszaku, jest cała mokra – komenderuje jak stara ciotka. – A wieszak pewnie spadł. Zawsze spada. To znaczy wieszak, na którym trzeba kurtkę rozwiesić i powiesić na wieszaku stojącym obok drzwi. – Rzuca jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie. – Bo drzwi w niego uderzają, kiedy wisi na wieszaku, to znaczy na tym dużym wieszaku i spada... – dodaje chyba tylko po to, żeby udowodnić, że wcale nie myśli o jego opalonych rękach, które rozwieszają przemokniętą kurtkę na wieszaku wyłowionym spod drzwi i wieszają wieszak na wieszaku stojącym obok drzwi.

– Rozumiem – mówi bardzo spokojnie i przygląda się jej z odrobiną zdziwienia.

Lepiej niech ma mnie za idiotkę, myśli Zuzanna w popłochu. Czy jej oczy też są tak lepkie i obmacujące, jak to widziała u tylu zbyt dojrzałych, wciąż niezaspokojonych kobiet, które rozpaczliwie gonią umykające coraz dalej szanse? Ale myśl o białym śladzie slipów, a może bokserek na jego opalonej skórze jest tak natrętna, że musi zmrużyć oczy, a ponieważ to niewiele pomaga, przesuwa wzrok i patrzy obok niego w ścianę, a później próbuje przesyć wzrokiem Igora, nie zatrzymując się na jego ciele, jakby go nie było.

Igor siada na krześle stojącym obok biurka i patrzy wyczekująco na Zuzannę, a ona, zmieszana, znów umyka wzrokiem, bojąc się, że on odczyta jej myśli. Patrzy na nią jasnym spojrzeniem bezczelnie młodych lawendowych oczu i uśmiecha się, ukazując zęby jak z reklamy pasty, zapewne zamierzając powiedzieć: „przecież zęby są na całe życie”, ale mówi:

– Więc ja na praktyki... – I milknie, przypomniawszy sobie może, że zdania nie zaczyna się od „więc”.

Uśmiecha się kpiąco, chcąc pewnie wyprzedzić jej kąśliwą uwagę na ten temat, której się spodziewa.

– Świetnie. A czym się pan interesuje... szczególnie... w psychologii? Wybrał pan już temat pracy magisterskiej?

– Oczywiście. Analiza orientacji psychologicznej u kobiet z rozpoznaną schizofrenią w oparciu o technikę Q-sort i test przymiotnikowy...

– Aha... – O Boże, myśli w panice.

– ...i interesuje mnie schizofrenia.

– Wszystkich interesuje schizofrenia.

Ile on może mieć lat, zastanawia się, czując w głowie kompletny rozgardiasz. Wygląda na więcej niż dwadzieścia trzy czy cztery, jakie powinien mieć student kończący psychologię i piszący pracę. Ale on wygląda na sporo więcej. I czy to nie straszne, że może być od niej ponad dziesięć lat młodszy, jeśli tylko wygląda na starszego.

– Jestem przeterminowanym studentem. – Uśmiecha się, jakby czytał w jej myślach. Czy jej twarz jest aż tak czytelna? Musi uważać na mimikę, a przede wszystkim na oczy, zawsze tak zdradliwe i poza kontrolą. – Byłem jakiś czas za granicą, wróciłem niedawno. Mam trzydzieści lat, powinienem pracować już od dawna.

A więc aż i tylko sześć lat młodszy. Dzięki Boże i za to.

Zuzanna patrzy na zegarek, który wskazuje czas w przybliżeniu i na ogół nie wiadomo, o jakie dokładnie przybliżenie chodzi.

– Chyba zaraz będzie obchód... – mówi niepewnie. – Która u pana jest godzina?

Nie zdążył jej odpowiedzieć, gdy zaryczał z korytarza Jeremi:

– Zuza i praktykant, obchód!

– No właśnie... – mówi Zuzanna z wyraźną ulgą. – Znajdziemy dla pana jakiś fartuch i idziemy.

– Jestem przeciwnikiem noszenia fartuchów... – Igor unosi swój pięknie wyrzeźbiony podbródek

w dumnym geście.

– Ja też, ale szkoda mi ubrania.

– A co to ma do rzeczy?

– Dużo. No dobrze, idziemy. Rozumiem, że Szasz i Laing są pana idolami?

– Nie tylko. Ale ten kierunek. A pani idol? – Uśmiecha się... kpiąco.

Zuzanna wstaje energicznie od biurka i chce podejść do drzwi, ale on w tym samym czasie, z tym samym zamiarem, odsuwa krzesło, na którym siedział, i też rusza w tym kierunku. Zuzanna zatrzymuje się, aby na niego nie wpaść, a on usuwa się pod ścianę, by mogła przejść obok niego.

– Proszę, proszę... – Wskazuje mu drzwi, zachęcając, aby wyszedł pierwszy, bo w tej sytuacji musiałyby niemal otrzeć się o niego. Zawahał się.

Z dołu dobiega zniecierpliwiony głos Jeremiego:

– Zuzanna, czekamy.

Znów ruszają jednocześnie, ale Zuzanna z większą desperacją, zapewne widoczną, bo Igor zatrzymał się. Zostawił dość miejsca, by mogła go minąć, nie dotykając. Może szkoda. Zbiega po schodach.

– Proszę zatrzaskać drzwi! – dodała kolejną komendę.

Złowiła uważne spojrzenie Jeremiego, czekającego z Marią i Anką u podnóża schodów.

– Nie dałaś panu fartucha... – przeciąga pytająco.

– Pan nie chciał – ucina krótko.

– A no tak, Szasz i Laing, rozmawialiśmy o tym wczoraj.

– Wczoraj? Przecież wczoraj byłam w sądzie.

– No właśnie, a pan przyszedł i ja zabawiałem go rozmową. Pan ma ciekawe poglądy, niektóre rewolucyjne, jak przystało na młodego człowieka, studenta.

– Pan jest przeterminowanym studentem – zapewnia szybko Zuzanna, nie wiadomo po co.

– No, ale jednak młody. Musi mieć niestandardowe poglądy, musi być fascynacja Laingiem.

– Właśnie – mówi niepewnie Igor, który zdążył zejść ze schodów i stanął obok.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze... rozumiem pana zauroczenie. – Jeremi uśmiecha się ciepło.

Maria i Anka rzucają Zuzannie zdziwione spojrzenia, niewątpliwie zaskoczone tak udatnie skonstruowanym studentem, innym od dotychczasowych praktykantów, pryszczatych i cherlawych, jakby na psychologię wybierali się wyłącznie ci, którzy uważali, że ciało nie jest do niczego potrzebne. Zuzanna wzrusza ramionami i przedstawia dziewczynom Igora, starając się nie widzieć ich zalotnych uśmiechów, szczególnie Anki.

Jeremi otwiera wyjętą z kieszeni fartucha klamką drzwi oddziału. Zapach, który wydostaje się zza nich niemal z łoskotem, pewnie cały czas warując pod nimi i czekając na taką właśnie chwilę, gdy uwolniony wybiegnie na świat, morduje lawendową smużkę przyniesioną z daleka.

Idą szybko przez oddział do dyżurki, mijając sale chorych, zdezelowane fotele i krzesła. Gdzieś gra radio, a może telewizor, ktoś śpiewa, ktoś krzyczy, ktoś się śmieje, ktoś szepcze. Miękką mgłą snuje się dym z papierosów. Wyrzucone z domów staruszki drzemią w fotelach owinięte kocami, odcięte od świata i kołysane słodko przez litościwą panią Demencję, broniącą je przed jasnym uświadomieniem sobie grozy sytuacji. Przeżuwają resztki śniadania, mamrocą do siebie lub nieruchomo płyną w porozrywane fragmenty wspomnień.

Zuzanna kątem oka wyławia stukilogramowe cielsko Antośki, wytaczające się z sali. Zatrzymuje się w drzwiach, rozgląda i na jej twarzy pojawia się wyraz olśnienia. Zuzanna jest pewna, że olśnienie spowodowane jest widokiem Igora, którego ściszony głos, na przemian z głosem Jeremiego, słyszy za sobą.

Uśmiech szalonej Antoniny poszerza się wraz z rosnącym zachwytem w jej oczach. Kiedy Igor

z Jeremim mijają ją, staje zalotnie na pointach, jak wdzięcząca się hipopotamica.

– Pani nie w łóżku? Pani Antonino, przecież pani jest przeziębiona, trzeba dbać o siebie – przymila się Jeremi, przeczuwając kłopoty.

– Nie no, kochany Jeremciu, ile można leżeć w łóżku... samej... – Antośka spogląda zalotnie na mijającego ją właśnie Igora; ręka, w której ma bułkę z dżemem, opada nagle niczym semafor. – Wszystkie konie przepuszczamy, a jednego zatrzymamy... – szczebiocze radośnie.

– Dzień dobry... – mówi na wszelki wypadek Igor.

Chce wyminąć przeszkodę, ale Antośka rzuca trzymaną w dłoni bułką o ścianę i z radosnym piskiem przygarnia go do siebie.

– Królewiczu, ty przecież do mnie...

– Nie, nie... nie do pani... – protestuje słabo Igor.

– Pani Antonino! – mówi ostrym głosem Jeremi, próbując jednocześnie wyłuskać Igora z jej uścisku. – No przecież pani może panować nad sobą, pani może sobą kierować...

Chyba sam nie wie, co dalej miałby powiedzieć, szczególnie że to, co powiedział dotąd, jest bez sensu. Anka i Maria chichoczą.

– Teresa! – woła Jeremi w stronę dyżurki.

– No jasne. – Antośka puściła Igora, którego Zuzanna pociągnęła zdecydowanym ruchem w swoją stronę. – Weź go sobie. – Rzuca wściekle spojrzenie Zuzannie i wycofuje się pod ścianę. – Żetem, młanapli... żetem... mła... – podśpiewuje koślawo, próbuje przypomnieć sobie melodię i słowa. Nie udaje jej się to i może właśnie wskutek rozczarowania lub uświadomienia sobie skali trudności związanych z odtworzeniem piosenki w języku bardzo jej obcym zaczyna zlizywać ze ściany dżem, a następnie opada na podłogę w poszukiwaniu bułki.

Teresa stoi w drzwiach dyżurki, kręcąc klamką w dłoni.

– Ona chyba wypłuka leki – stwierdza z pretensją kierowaną nie wiadomo dlaczego do Jeremiego, jakby to on pomagał Antoninie w wypływaniu tabletek. – Przecież już by na nią choć trochę podziały.

– Trzeba będzie przejść na iniekcje. – Jeremi wzrusza ramionami, nie biorąc na siebie winy za słabo działające na Antoninę tabletki.

– Żeby dać jej zastrzyk, będę musiała zawołać ze dwóch chłopów. Trzech... nie, czterech... – zwiększa stawkę Teresa, przyglądając się z dezaprobatą rozśpiewanej Antoninie. – Ale ona zawsze tak ciężko się leczy, cholera jedna. Od początku, jak do nas trafiła, zawsze z nią same problemy. Oddział rozniesie...

Zuzanna przygląda się z ukosa Igorowi z niedużą satysfakcją; bardziej chyba obawia się, czy jego pierwsza przygoda z psychiatrią nie zniechęci go na tyle, żeby na przykład zrezygnował pod byle pretekstem. A jeśli jutro nie przyjdzie? Ale on dzielnie przemieszcza się wraz z nią i całym obchodem od pacjentki do pacjentki, chyba niezrażony. Zadaje całkiem sensowne pytania. A więc przytomny, orientacja pełna, motywacja na wysokim poziomie. Oczy wciąż lawendowe, nawet w tym szarym świetle.

– Muszę się doprowadzić do porządku... – mruczy bezradnie po powrocie do wychłodzonej klitki; próbuje zetrzeć dżem, okazując przy tym wzruszającą nieporadność.

Zuzanna wskazuje mu umywalkę, sama zaś przygotowuje kawę. Igor zdejmuje zadżemioną koszulkę i wrzuca ją do umywalki, następnie próbuje obmyć siebie. Zuzanna nie sądziła, że w ten sposób będzie się doprowadzał do porządku, myślała, że na przykład umyje ręce i ewentualnie przetrze mokrym ręcznikiem ubranie. Skoro jednak wybrał program maksimum, to niech tam. A może powinna wyjść? I tak już za późno.

Igor wkłada wilgotną kurtkę na gołe ciało, przepłukaną koszulkę rozpościera na umywalce i z rozmachem siada przy biurku. Uśmiecha się do niej kpiąco, a może ironicznie. Zuzanna upija łyk zbyt gorącej kawy, ledwie unosząc szklanekę w wiklinowym koszyczku, za dużym i zbyt ażurowym, przez co

szklanka ślizga się wewnątrz, a palce nie są wystarczająco izolowane od szkła. Tyle razy miała wymienić albo koszyczki, albo szklanki. Ale szukać nowych, stać w kolejkach, dobierać jedno do drugiego...

– Włączę grzejnik, może trochę się podsuszy pana... ubranie. Proszę powiesić koszulkę na krześle – mówi, zastanawiając się, dlaczego wciąż wydaje mu komendy i polecenia, jakby złożenie delikatniejszych i bardziej rozbudowanych zdań było niebezpieczne, demaskujące czy też groziło przekroczeniem jakiejś granicy, którą chciała bardzo wyraźnie dla niego wytyczyć. Nie, chyba bardziej dla siebie.

Zuzanna ściska w dłoni kubek ze zbyt gorącą herbatą. Miała wystygnąć, ale teraz kubek posłużył za przedmiot do zaciśnięcia palców, kiedy w drzwiach pojawiła się Patrycja z rodzicami.

– Chcieliśmy się pożegnać... – szczebiocze radośnie mama Patrycji.

Zuzanna podnosi się z fotela, odstawia kubek na stolik. Wychodząc z gabinetu Jeremiego, dostrzega kątem oka wypraną z emocji twarz Patrycji. Nieruchomą, z bezwładnymi powiekami. Na sekundę ich spojrzenia się spotykają. Oczy Patrycji są puste. Zuzanna zamierzała pójść do siebie, ale gdy dotyka klamki, zmienia zdanie i cichutko wchodzi do mniejszego gabinetu, nie domykając drzwi.

– No, powiedz panu ordynatorowi, jak dobrze się czujesz – zachęca mama Patrycji.

– Byłam chora – mówi drewnianym głosem Patrycja – a teraz jestem już zdrowa dzięki panu ordynatorowi i pani doktor Kazimierskiej...

– Cieszę się, Patrycjo, że wychodzisz ze szpitala. Chciałbym, żebyś pamiętała, że zawsze chętnie z tobą porozmawiam, gdybyś tylko chciała – mówi Jeremi.

Zuzanna przymyka oczy. No nie, ona na pewno nie przyjdzie do mężczyzny wyglądającego jak jej ojciec.

– Ależ dziękujemy za troskę, to naprawdę nie będzie potrzebne. Przecież jest lepiej, całkiem dobrze. Patrycja już nie krzyczy tak strasznie, już się uspokoiła, można się z nią dogadać – wtrąca mama.

– Ja zapraszam Patrycję do odwiedzin. Może przyjdź tu, może przyjdź do poradni, może przyjdź do mnie, może przyjdź do doktor Kazimierskiej... Może nawet lepiej do niej – dodaje Jeremi, jakby usłyszał myśli Zuzanny. – Tak, lepiej do niej. Na pewno.

– Z tym nie ma żadnego problemu. Zapiszę państwu telefon do poradni, trzeba tam umówić wizytę... – mówi ciepło Maria. – Zapraszam, Patrycjo.

– Ja... dziękuję. – Głos Patrycji wydaje się nieco mocniejszy i żywszy.

– To ona jest taka chora? Musi teraz już całe życie się leczyć? – pyta z lękiem, nieprawdą, z nadzieją, mama Patrycji. – Ja tak właśnie od dłuższego czasu myślę, że ona jest bardzo chora. Takie rzeczy czasem mówi...

– Osoba tak młoda – przerywa jej Jeremi – zależna jest od rodziny z racji wieku i sytuacji. Terapię rodzinną bym rozważył...

– Jak to rodzinną? Z naszą rodziną jest wszystko w porządku – wtrąca ojciec.

– Ważna jest rodzina obecna, ale i relacje w rodzinach wcześniej, tak w poprzek i w pionie, można powiedzieć... – płacze się Jeremi.

– Pan coś sugeruje? No proszę bardzo, mów pan, o co chodzi! – zaczepnie mówi ojciec Patrycji.

I wtedy Zuzanna czuje pod skórą mroźny podmuch, bo w tonie tego głosu słyszy swego ojca. Nie użyłby takich słów, ale ten agresywny sposób mówienia jest identyczny. Jeremi milczy i Zuzanna domyśla się, że patrzy teraz na ojca Patrycji i zastanawia się, czy podejrzenia Zuzanny mogą być prawdziwe. No przecież tak, Jeremi, przecież tak. Ja to wiem. I kiedy Jeremi znów się odzywa, mówi bardzo powoli, stanowczo, z pewnością bez uśmiechu:

– A co pan ma na myśli?

Za ścianą zapada cisza. Musi być ciężka. I wtedy odzywa się Patrycja, jeszcze bardziej drewnianie:

– W mojej rodzinie jest bardzo dobrze i bardzo ją kocham, to znaczy i mamę, i... tatę.

– No to my już się pożegnamy. Jeszcze raz bardzo dziękujemy za pomoc i opiekę – szczebiocze mama Patrycji.

Podnoszą się, chyba bardzo szybko, z niespodziewanym łoskotem. Pewnie coś spadło. Przecież tam jest tyle rzeczy, które mogą spaść, aż dziw, że spadają tak rzadko.

Każde z nich, wychodząc, musi spojrzeć na Zuzannę siedzącą w ciasnym pokoiku obok. Zuzanna nie chowa się, z każdym krzyżuje spojrzenie. Patrycja odwraca jeszcze głowę i trochę dłużej koncentruje wzrok na twarzy Zuzanny, która próbuje się uśmiechnąć. Wychodzi też Maria, posyłając Zuzannie smutny, zatroskany uśmiech. Zapada cisza, w której rozlega się spokojny głos Jeremiego:

– Być może masz rację, Zuzka.

– Skąd wiedziałeś, że nie wyszłam?

– Widziałem, że wchodzisz do klitki. Nie przyszłaby do mnie, prawda? Uświadomiłem to sobie, gdy spojrzałem na jej ojca.

Pacjentka w burym szlafroku siada w fotelu i całe jej ciało, przed chwilą jeszcze jakoś skoordynowane i realizujące ogólne zadanie polegające na przejściu od drzwi do krzesła, zaczyna żyć innym życiem, rozedrganym wewnątrz w każdej ze swoich części, które chybotliwie próbują podążyć w różnych kierunkach. Spada historia choroby pacjentki z biurka, potrącona jej drgającymi rękami. Igor szybko schyla się i podnosi teczkę.

– Przeczytał pan? – sucho pyta Zuzanna.

– Ależ oczywiście, zgodnie z rozkazem. – Uśmiecha się ironicznie.

Zuzanna jest pewna, że ironicznie, kpiąco. Rozumie go w zasadzie, bo co to za kaprałskie formy komunikacji znów się jej przyplątały? Sądziła, że jakoś opanowała swój strach i niepokój związany z jego obecnością, ale jednak nie, znów przekształciły się w ten karcący, nieprzyjemny ton.

Zimno. Igor zapiął kurtkę, wygląda na zmarzniętego. Tylko pacjentka w rozchełstany szlafroku jest obojętna na temperaturę otoczenia, ogrzewana wewnętrznym ogniem.

– Tu zawsze jest zimno – mówi Zuzanna, próbując uśmiechnąć się do Igora. – Tylko latem ta klitka nadaje się do użytku, bo wtedy tu jest najchłodniej. Ale teraz jest jesień i jest zimno, a później będzie zima i jeszcze... zimnej. – Znów chyba nie wyszło tak, jak chciała. On zapewne zauważył, że już jest jesień, a i trzydzieści jesieni, które przeżył, nauczyły go, że wtedy bywa zimno i że później następuje jeszcze zimniejsza zima. Zuzanna postanawia już nie ryzykować. Łatwiej będzie skoncentrować się na pacjentce. Chyba.

– Czy pani nie jest zimno, pani Konarska?

– Nie – odpowiada pacjentka w przestrzeń, nie wiadomo do kogo, matowym, kulejącym głosem.

Aż dziwne, że odpowiedziała na pytanie, bo wydawała się zanurzona całkowicie w swoim świecie. Bo chyba była to odpowiedź na zadane przez Zuzannę pytanie i może ta odpowiedź jest nawet zgodna z tym, co pani Konarska czuje.

– Pani Basiu, który raz jest pani w szpitalu?

– A ja wiem? Dużo razy byłam...

– A co się stało, że panią przywieźli do szpitala teraz?

– A ja wiem, co tam było?...

– Ale coś było?

– A coś... że niby chcieli coś ode mnie... coś tam... nie wiem...

– Coś złego chcieli pani zrobić?

– Ano ja nie wiem... coś tam... niby, jakoś...

– Podobno pani z siekierą biegła po domu, a wszyscy uciekali...

– Ja? Tak? A nie wiem...

– Do czego ta siekiera była potrzebna?

– Siekiera... nie wiem... Tak. Siekiera? – pyta na jednym tonie, wciąż matowo, ale z odrobiną większego zainteresowania, jakby gdzieś tam ta informacja nieznacznie jednak poruszyła jej umysł. Ale tylko na sekundę, znów zapada się w swojej głowie, rozedrganym ciele, szybciutkim szeptaniu, w którym można usłyszeć powtarzane pytania Zuzanny, powtarzane odpowiedzi na te pytania. – Ja chcę zapalić. – Porzuca na chwilę swoje szepty i koncentruje spojrzenie na twarzy Zuzanny.

– Tu nie można.

– Ja chcę zapalić – powtarza monotonicznie.

Próbuje wyjąć coś z kieszeni szlafroka, ale pięści są zaciśnięte, więc jest to trudne. Siłuje się chwilę, w końcu wyciąga obie ręce do Zuzanny.

– Potrzyмай mi paznokcie.

– A co się z nimi stało?

– Wyleciały.

Zuzanna wyciąga dłoń, a Basia wsypuje do niej wypadnięte paznokcie.

– Pani Basiu, przecież paznokcie ma pani na palcach – włącza się Igor.

Basia przez ułamek chwili patrzy na niego z namysłem.

– Nie – stwierdza pokiereszowanym głosem, nie próbując wcale go przekonać, po prostu obwieszcza swoje zdanie. – Nie mam. – Wyciąga z kieszeni szlafroka zmiętą paczkę papierosów, szuka zapalek, ale nie znajduje.

– Daj zapalki – zwraca się do Igora, który odruchowo wkłada rękę do kieszeni.

– Tutaj nie może pani palić.

– Daj zapalki.

– Zaraz skończymy rozmawiać i pójdzie pani zapalić – dodaje otuchy Zuzanna.

Basia patrzy żrenicami jak szpilki i analizuje zdanie, które usłyszała.

– Nie, chcę teraz – stwierdza krótko.

– Zaraz pójdzie pani zapalić, pani Basiu. Proszę tylko powiedzieć, co się stało z tymi paznokciami.

– No, wypadły.

– A dlaczego?

– A nie wiem... Coś tam mówili, że niby ja cała się rozsypuję, że niby jak proch jakiś czy co...

– Kto mówił?

– A głosy.

– Dużo było tych głosów?

– Nie wiem... Tak... Daj zapalki.

– Zaraz. Co to za głosy były, czyje?

– A nie wiem... Diabły chyba... czy jakieś tam inne.

– A co one chcą od pani?

– A nie wiem... do piekła czy coś...

– To ta siekiera była na te diabły?

– A tak – ucieszyła się leciutko, że sprawa siekiery wyjaśniła się wreszcie. – No, może tak, na te diabły czy coś...

– A co tam jeszcze było?

– A ja nie wiem... zapalić chcę... zapalki daj...

– Bała się pani tych diabłów?

– A ja wiem? Zabrać mnie chcieli, a ja nie chciałam nigdzie iść, mnie dobrze w domu. Po co mi iść z tymi diabłami... Zapalić chcę...

Basia wstaje z fotela, przeciska się między biurkiem a ścianą, potykając się o nogi Igora, który patrzy na Zuzannę pytająco.

– Odprowadzimy panią. Nie pogadamy za bardzo, niestety.

Igor wstaje z krzesła, starając się niczego nie potrącić i dosięgnąć drzwi, aby je otworzyć przed zastygniętą teraz Basią.

– A paznokcie? – pyta, jakby informował o pozostawionej torebce.

– Paznokcie – przypomina sobie Basia i odwraca się do Zuzanny, wyciągając rękę.

Zuzanna wysypuje ze zmarzniętej dłoni paznokcie, których nie ma. Basia zamyka swoją dłoń i wychodzi otwartymi przez Igora drzwiami, który informuje, że odprowadzi pacjentkę.

Zuzanna robi w głowie szybki przegląd pacjentek, decyduje się na Helenkę. Czeka na Igora, aby nie mijać się z nim zbyt blisko, i kiedy on wchodzi w drzwi i siada na krześle, podaje mu kartkę, którą podzieliła linią na pół.

– Mam nadzieję, że z następną panią pójdzie nam lepiej. Prosiłabym, aby po jednej stronie wypisywał pan urojenia, po drugiej halucynacje pacjentki, dobrze? – Uśmiecha się ciepło, a przynajmniej taką ma nadzieję.

Igor też się uśmiecha, chwilę patrzą na siebie, może za długo. Zuzanna szybko wychodzi, zmieszana. Zbiega po schodach na oddział, z ulgą chowa się za ciężkimi drzwiami bez klamki. Przebywająca na ogół w swoim świecie Lonia przygląda się jej nad wyraz przenikliwie, uśmiecha się nawet po chwili.

– Co słyhać, pani Loniu? – pyta odruchowo Zuzanna.

– Śnieg – odpowiada z uśmiechem Lonia, zapatrzona w okno.

Zuzanna odwraca się, ale nie widzi śniegu. Jest wyjątkowo chłodno jak na wczesną jesień, ale jednak śnieg nie pada. Na szczęście, myśli, przecież nie mam butów na zimę. Tych starych chyba już nic nie uratuje. Trzeba będzie pobiegać po sklepach, może coś się upoluje. Ale zaraz, jest śnieg, to znaczy biały puch, podniesiony teraz wiatrem, a po chwili opadający na parapety, drzewa, trawę. Skąd ten puch, zastanawia się, jakaś rozpruta poduszka czy kołdra, ale kto...

– Śnieg... – powtarza z uśmiechem Lonia, zapatrzona we fruujące białe kłaczkki.

Po chwili Zuzanna zauważa okno w budynku naprzeciw, z którego sypie się pierze – dostojnie, powoli, w rytmie może walca, ale zaraz wkrada się zaburzenie tego systematycznego ruchu, bo postać w oknie zaczyna szamotać się z kimś, kto usiłuje ściągnąć ją na dół, w rejony chłodnej, wilgotnej, ale bezśnieżnej pogody.

– Przestało padać... pewnie teraz wszystko stopnieje... – martwi się Lonia, zastygła przed oknem z resztkami nieprawdziwej śnieżycy.

Zuzanna odwraca się od okna, by przejść w głąb oddziału, i na wysokości swojej twarzy napotyka głęboko osadzone, pałające oczy pod skrzydlatymi czarnymi brwiami.

– Zabiję cię, zabiję cię... – grozi monotonnie Hanna Zejman z twarzą sennego drapieźnika; w oczach, które nie chcą poddać się żadnym lekom ani elektrowstrząsom, wciąż przelewa się lawa wybuchających wulkanów.

Zuzanna wskazuje okno i mówi:

– Śnieg.

– Zabiją mnie, zabiją mnie... – szepcze teraz Hanna Zejman, była, a może wciąż aktualna prokurator.

Milknie i spogląda we wskazanym kierunku rozpalonymi oczami, co pewnie i śnieg by roztopiły, gdyby był. Zuzanna szybko prześlizguje się obok niezauważona, a przynajmniej już nie tak ważna.

Andrzejek jest wysoki i bardzo szczupły. Ma delikatną dziewczęcą twarz z jasną cerą. Ta twarz zwraca uwagę, przykuwa wzrok pięknem, zachęca i obiecuje. Oczy są nieżywe. Świat nie odbija się w nich, a jeśli już, to nieruchomieje zaraz po wpłynięciu do źrenic. Zamarza. Pusty wzrok Andrzejka przesuwają się po Zuzannie, nie wyróżniając jej z tła ściany, na którym jest przecież widoczna. A może nie?

Pielęgniarka dociska delikatnie ramiona Andrzejka, sugerując mu w ten sposób, aby usiadł na krześle przy stoliku. Oczy Andrzejka z obszaru nad lamperią, na którym zawiesiły się wcześniej, teraz spęzły niżej, z takim samym zainteresowaniem czy raczej jego brakiem, jak wtedy, gdy na linii spojrzenia pojawiła się Zuzanna. Nieruchoma twarz nie wyraża absolutnie nic. Ściana i Zuzanna są dla Andrzejka tym samym. Zręcznie wsunięty do jego ust przez pielęgniarkę kawałek chleba pewnie też. Po chwili, potrzebnej, by bodźce z języka dotarły do mózgu, Andrzejek zaczyna żuć. Nieporadnie, powoli, co chwila zapominając o tej czynności – wtedy jedzenie wymyka się z ust i spada.

– Zawsze więcej ma na ubraniu niż w żołądku... – mruczy pielęgniarka, zbierając nasiąknięte śliną kawałki chleba. – Nie wiem, jak można żyć, nie jedząc prawie nic. Przecież na podtrzymanie podstawowych procesów życiowych też trzeba trochę energii.

Andrzejek z twarzą anioła wciąż przebija wzrokiem ścianę. Ogromne, czarne, z rzęsami jak ciężkie firanki, fascynujące oczy. A w nich kosmiczna pustka. Zuzanna zrobiła kilka kroków w jego stronę, tak aby stanąć na linii jego spojrzenia. Ciekawa była reakcji. Nic z tego. Reakcji nie ma, żadnej. To może jednak jej nie ma? Skoro on nie reaguje na jej postać? A może to wszystko przez te czarne firanki zawieszane w oczach? Zbyt czarne i zbyt ciężkie. Nie powinno się wieszać w oknach takich firan, niebezpiecznie zmieniają świat.

– Teraz to całkiem tłuściutki i zadbany facet – mówi Zuzanna, zerkając dyskretnie na swoje ręce, czy aby na pewno są.

Andrzejek podnosi do twarzy swoją dłoń. Obwąchuje ją długo, bardzo długo w bezgranicznym zdumieniu, z otwartymi ustami. Pielęgniarka natychmiast wciska mu do ust kolejny kawałek chleba.

– Własne ręce są chyba jego całym światem. Wydaje mi się, że najżywiej na nie reaguje. I to chyba na ich zapach. Ja celowo zmieniam ten zapach, myję mu ręce w różnych mydłach, skrapiam pachnącymi wodami. Bo chciałbym, żeby ten świat był dla niego jak najbardziej różnorodny. Jeśli już ogranicza się do rąk, do ich zapachu, to przynajmniej niech różnie pachną. A może on w tej swojej pięknej głowie rozwija te zapachy w jakieś... no nie wiem, krajobrazy, a może w muzykę albo w coś, czego my zupełnie nie znamy, bo jesteśmy nie w tym świecie. Nieraz tak siedzę z nim i zastanawiam się, jak on to wszystko przeżywa. Co jest w tej głowie? I jak tam dotrzeć? Wczoraj lekko uściśnął mi dłoń. Bo ja się zawsze z nim witam, kiedy przychodzi. Podaję mu rękę. I wczoraj po raz pierwszy jego ręka nie była bezwładna. A witamy się od roku. Czy to ma sens?

– Pewnie, że ma.

– Bo może jemu i czas inaczej płynie niż nam?

– No, chociażby. Dwa lata temu tylko tkwił w łóżku. Teraz funkcjonuje poza łóżkiem. Za dwa lata pewnie jeszcze coś będzie innego.

– Zacznie mówić?

– Chyba nie zacznie, ale próbować trzeba. Co my w końcu wiemy o jego świecie i możliwościach. Trzeba porównywać z tym, co się zmieniło u niego, a nie z innymi ludźmi. Dla niego te poszczególne etapy to pewnie odpowiednik ukończenia jednej klasy czy szkoły, później matury lub studiów. Jakoś chyba tak.

– Ogromny wysiłek.

Zuzanna zostawia Andrzejka i jego przyjaciela, spokojna o nich obu. Otwiera kluczem drzwi Obserwacji, starając się przypomnieć sobie nazwisko pacjenta. Znajduje w kieszeni fartucha zabazgraną

kartkę, odcyfrowuje nazwisko, ma nadzieję, że właściwe. Kiedy pyta o niego pielęgniarkę, ta otwiera szeroko oczy, zdziwiona czy przestraszona, w każdym razie poruszona gotowością Zuzanny do rozmowy. A po co z nim rozmawiać, dopytuje się, powiesić go powinni, a nie chować w szpitalu. Pani wie, co on zrobił? Potwór jeden.

Zuzanna wie. Po chwili przygląda się niewysokiemu, szczupłemu mężczyźnie z twarzą zastygłą w bólu i smutku. Cały jest boleśnie zastygły, zasupłany. Pewnie w środku jest podobnie, myśli Zuzanna. Albo gorzej, bo ciało stawia mimo wszystko jakiś opór, myśl nie zna granic, co zawsze najlepiej jest widoczne w gadaniu filozofów i rewolucjonistów, jak mawia Jeremi. A jeśli chciał się z nią podroczyć, dodawał: i psychologów, to taka odmiana filozofów. Rzeczywiście, przecież studiowała na wydziale filozoficzno-historycznym. Przedstawia się, przez chwilę szuka odpowiednich słów i zaczyna:

– Doktor mówił, że pan się zastanawia nad rozmową z psychologiem. Ja jestem właśnie... Jeśli chce pan, to ja od tego jestem, żeby...

Zuzanna czuje jakąś trudność i uświadamia sobie, że nie może zebrać myśli, by sklecić jakiś rozsądny wstęp do ewentualnej rozmowy. Coś jej ucieka, miesza się i rozłązi, ledwie usiadła naprzeciw tego człowieka, który zatrzasnął się w sobie i wrzucił klucz do najgłębszej wody. W dzisiejszym zabieganiu nie przemyślała tego spotkania, a powinna po tym, co usłyszała wcześniej od Adama.

Milczenie. Wreszcie spojrzenie świdrujących oczu wprost w oczy Zuzanny. Z zasupłanej twarzy nic nie da się wyczytać.

– Po co? – pyta spokojnie mężczyzna.

Zuzanna nie odpowiada, patrzy jednak odważnie w jego oczy, starając się wytrzymać świdrujące spojrzenie. Nie żeby z nim wygrać, lecz by pokazać, że ma dość siły.

– Ludzie mają różne cele, jeśli chcą ze mną rozmawiać. Jedni chcą po prostu spędzić z kimś czas, bo im się nudzi. Inni chcą o coś zapytać, na przykład, która godzina albo co będzie dziś na obiad, choć ja i tak tego nie wiem, to znaczy w sprawie obiadu, bo godzinę na ogół znam. Jeszcze inni chcą o czymś opowiedzieć, a nie mają akurat słuchacza, chcą się po prostu wygadać, mówią, że ciężar chcą zrzucić z pleców czy z serca. Różnie to nazywają.

Mężczyzna wciąż patrzy nieruchomo. Jakby dawał sobie czas na zastanowienie. I decyzja, którą Zuzanna czyta w jego oczach, że jednak nie. Zuzanna zastanawia się, czy mogłaby jeszcze coś powiedzieć, a przede wszystkim analizuje to, co powiedziała dotąd, bo może jednak to było sensowne. Chyba jednak nie. Ma wrażenie, że ta twarz jeszcze bardziej zamknęła się przed nią. A więc zrobiła coś źle. Nie wie, co powiedzieć teraz. Na wszelki wypadek uśmiecha się, ale on nie reaguje. Wpatruje się w nią jeszcze intensywniej, czuje jego spojrzenie jak palce ślepcy przesuwające się systematycznie po jej twarzy, by wyobrazić sobie jej kształt. Zuzanna dochodzi do wniosku, że czas się zbierać. Zamyka notes.

– Nic z tych rzeczy mnie nie dotyczy – kłamie szybko mężczyzna.

Zuzanna kiwa głową ze zrozumieniem. Teraz już wie, że ma zostać. Więc zostaje. I patrzą na siebie, ale Zuzanna już rozumie jego spojrzenie, więc jest spokojna. Stara się nie patrzeć na niego tak przenikliwie jak on na nią. Uśmiecha się bardzo delikatnie.

– Chyba nie jest łatwo na tym oddziale? Jest bardzo duży, budynek nieremontowany od lat, pacjenci często skarżą się na trudne warunki tutaj.

– Mnie jest dobrze. Ja szybko się przystosowuję. I niewiele mi potrzeba.

Zuzanna kiwa głową. Gdyby liczyć słowa, to z każdą wypowiedzią jest ich więcej, myśli.

Mężczyzna powolnym ruchem sięga pod kurtkę i wyjmuje spod pachy pomiętą, przybrudzoną zeszyt. Wydaje jej się, że czuje zapach jego potu, który pewnie wsiąkł w papier zeszytu, skoro tam był przechowywany. No trudno.

– Może pani to przeczytać. Tu jest wszystko. O mnie i mojej rodzinie. Tak głupio to zatytułowałem, bo

nie miałem lepszego pomysłu.

Zuzanna bierze zeszyt z jego zniszczonych, czerwonych dłoni z brudnymi paznokciami.

– Tylko niech pani nie zgubi. I nikomu nie pokazuje. I najlepiej, jakby pani przeczytała teraz, tutaj, i żeby pani nie wносиła tego z oddziału, dobrze? To tylko kilka kartek. A później pani przyjdzie, jak pani już przeczyta, i powie mi pani, co pani o tym myśli, dobrze?

– Dobrze. – Zuzanna się uśmiecha. – Tylko znajdę sobie inne miejsce, żeby spokojnie poczytać. I jak skończę, to wrócę do pana.

Wychodzi z Obserwacji w poszukiwaniu tego spokojnego miejsca. Puka do gabinetu Adama i nic nie słyszy po drugiej stronie drzwi, więc otwiera je klamką, a później sadowi się w całkiem nowym, ogromnym fotelu, nie wiadomo jak zdobytym przez Adama. A to spryciarz, myśli, moszcząc się wygodnie. Otwiera zeszyt.

O mnie

Moje małżeństwo zaczęło się katastrofą, a później, jak u Hitchcocka, napięcie rośnie. Ślub był standardowy, choć bałem się piekielnie, że się pomylę, i dlatego tak wolno mówiłem, a nie cedziłem złościwie przez zęby, jak wmawiała mi to później moja żona. Po ślubie pojechaliśmy do domu weselnego, gdzie w progu powitano nas chlebem i solą. Wzruszyłem się, czułem podniosłość tej niezwykłej chwili, jej wyjątkowość. Chciałem nasycić się nią i zapamiętać. Trwało to nieco przydługo, moja żona zaczęła coś do mnie syczeć i ciągnąć za łokieć do tego chleba, co wtedy jeszcze wyrozumiale traktowałem jako jej niecierpliwy temperament. Schyliłem się, aby pocałować chleb. Niestety, nie trafiłem w niego, bo za mną ruszyła wielka fala. Ludzi. To znaczy gości naszych. Ruszyli do zastawionego stołu widocznego w głębi, potracając nas i odrzucając aż pod ścianę. Chleb i sól upadły na podłogę, zostały wdeptane w ziemię. Moje ślubne buty, na które wydałem tyle pieniędzy, były podeptane. Co za chamy, powiedziałem do żony, a ona spojrzała na mnie, jakby chciała mnie zabić, i powiedziała, nienawidzę cię, chamy to są w twojej rodzinie, nie w mojej. I odeszła. Ja dopiero teraz rozejrzałem się wokół i zauważyłem, że ten rozszalały tłum to była rodzina mojej żony. Moja stała zbита w gromadkę nieopodal, tacy jakby zagubieni, nieśmiali. Jak ja dobrze ich znam, pomyślałem. A więc tym bardziej miałem rację, tylko chamy biegną tak do stołu, a kulturalni ludzie zachowują się tak jak moja rodzina. Taka jest prawda. Ale co z tego, skoro moja żona mi uciekła. Wstyd. Szukałem jej i w końcu znalazłem zapłakaną. Wysłałem za człowiekiem, który obraża moją rodzinę, ledwo poczuł się silny, mówiła. Przepraszałem ją. Wtedy po raz pierwszy. I pomyślałem nawet, że jest tak bardzo wrażliwa i tak bardzo zdenerwowana ślubem i weselem. Całą noc siedziała taka naburmuszona, niezadowolona, prawie się do mnie nie odzywała, ale najgorsze, że nie odzywała się do nikogo z mojej rodziny. Mama pytała mnie, synku, o co chodzi, że Renia tak się zachowuje. Mnie jest przykro. Czy ja coś zrobiłam? Więc ja jej próbuję coś bez sensu tłumaczyć, wije się jak piskorz. Więc moja rodzina wyszła wcześniej, a to chamstwo zostało do rana i na poprawiny jeszcze przyjechało i chlało bez opamiętania. Ja siedziałem nieruchomo obok mojej żony, nic nie jadłem ani nie piłem, i patrzyłem na to wszystko. Jak oni wchłaniają moje pieniądze, a później one wylatują z nich w ubikacji, która bardzo szybko się tym wszystkim zapchała i nie dało się w ogóle do niej wejść, lub pod parkanem, gdzie rzygali moją wódką. I tak to miało już

zostać. To znaczy z tymi moimi pieniędzmi. I jeszcze jak poszliśmy spać, ja z moją świeżo poślubioną żoną, to odbyło się to tak, że nawet się pocałować nie pozwoliła. Moja żona. W noc poślubną. Nie tak sobie to wszystko wyobrażałem. O co ci chodzi, pytałem i pytałem. Przepraszałem. Choć za co, właściwie? Ale niech będzie. To wtedy chyba zaczęły się moje problemy ze zdrowiem i ze wszystkim. Na moim weselu, za moje ciężko zarobione pieniądze, które ona wydawała tak lekko.

Nie mieliśmy mieszkania i zamieszkaliśmy najpierw u rodziców Reni, tak jak wcześniej umawialiśmy się z nimi i o dziwo, wtedy, przed zrealizowaniem tego pomysłu, nie wydawał się on nonsensowny. To miało być na pół roku, do czasu, aż wyremontuję stary dom moich rodziców, domeczek właściwie, z czasów tuż powojennych, taki biedniutki, ale kochany. Pomysł stracił sens, gdy tylko przekroczyłem próg ich domu jako świeżo poślubiony mąż ich córki. Przede wszystkim wrócił tam niespodziewanie brat mojej żony wraz ze swoją żoną i z dwojgiem małych dzieci. Wrócili, bo popadli w długi i musieli sprzedać swoje mieszkanie. Mafia ich ganiała czy inne gangsterstwo. Ja nie wnिकam. Wolę nie wiedzieć. Zenek zawsze wchodził w dziwne interesy.

W mieszkaniu moich teściów jest sporo miejsca, trzy pokoje. Miało być dosyć przestronnie, ale gdy Zenek wrócił, z tymi swoimi bachorami, zrobił się kołchoz nie do wytrzymania. My byliśmy w jednym pokoju, oni w drugim, teściowie w trzecim. Jedna łazienka. Jedna kuchnia. Jedno szaleństwo. Oni wszyscy czuli się tu u siebie, oprócz mnie. Wciąż dawali mi to odczuć, na różne sposoby.

Przez pewną chwilę miałem wrażenie, że los się do mnie uśmiechnął – dziadek Reni mieszkający naprzeciw, dosłownie drzwi w drzwi, zmarł miesiąc po naszym ślubie. Zwolnił dwupokojowe mieszkanie z kuchnią. Należało się ono Reni, bo dziadek tylko ją uważał z całej rodziny. Pozostałych nienawidził. Nie dziwię mu się. A Renia omotała go po prostu tak samo jak mnie. Ale o tym dowiedziałem się później. Wtedy jeszcze inaczej patrzyłem na to wszystko, jeszcze nie odkryto przede mną wszystkiego.

Nie będę ukrywał, że ucieszyłem się ze śmierci dziadka. Stary już był. Rzuciłem się jak szalony do remontu. Plan powstał w ciągu wieczoru, co zrobić, jak, czym. Byłem pewien, że my się tam przeniesiemy, gdy skończę. Przecież ani Zenek, ani teść nie włożyli tam zbyt wiele energii. Tylko oglądali i narzekali, czasem coś tam porobili. Ja myślałem, że pomagają mnie. Później się dowiedziałem, że to ja pomagałem im, i tylko dlatego, że bardzo o to prosiłem, a oni i tak poradziliby sobie beze mnie. Mało tego, dowiedziałem się, że właściwie to im tylko przeszkadzałem! Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz! Okazało się, że Zenek tam się przeprowadził ze swoją głupią żoną i z koszmarnymi dziećmi. Gdy wyraziłem swoją złość, krzywdę i rozczarowanie, teściowie dodali, że tak czy inaczej im się to bardziej należy, bo oni mają dzieci, a ja nie. I moja pyskata Renia grzecznie przytaknęła, choć mieszkanie było formalnie jej. Zawsze dla niej wszyscy, a szczególnie jej rodzina, byli ważniejsi niż ja! Wciąż mi udowadniała, że każdy, absolutnie każdy facet jest lepszy pod każdym względem ode mnie. A do jej tatusia czy brata to po prostu nie powinienem nawet próbować się porównywać. Oni są niemal doskonali, są ponad całą hołotę, w której to hołocie ja zajmuję ostatnie miejsce. Wszyscy inni mężowie jej koleżanek byli bystrzejsi i bardziej zapobiegliwi. Wszyscy spikerzy z telewizji stawiani mi za wzór elegancji i kultury. Aktorzy – za wzór męskości. Piosenkarze – za głos, bo mojego nie chciała słuchać nawet wtedy, gdy śpiewaliśmy kolędy na Wigilii. Moja żona wciąż powtarzała mi, że ogromne szczęście mnie spotkało, gdy wżeniłem się w jej rodzinę, taki

nieporadny, goły i pod każdym względem nieudany.

Dzieci Zenka to dwa potwory. Rozwrzeszczane, rozbrykane, nieznające żadnych granic i zasad. Zawsze było ich pełno w całym mieszkaniu, przesiadywali u teściów na okrągło albo w wyremontowanym przeze mnie mieszkaniu. Ja nawet nie chciałem tam wchodzić, bo bolało mnie serce, gdy widziałem, ile mojego trudu poszło na marne. Naraziłem się oczywiście na zarzut chama niewychowanego, gdy na przykład odmawiałem pójścia na imieniny itp., ale nie ustępowałem. Nie mogłem tam przebywać. A to gówniarstwo krążyło swobodnie cały dzień w jedną i drugą stronę, wszędzie czując się u siebie, podczas gdy ja – nigdzie. Nienawidziłem ich coraz bardziej. Ich wrzaski doprowadzały mnie do szału. Ledwie się hamowałem, żeby któregoś nie zdzielić przez łeb. Musiałem jednak udawać zachwyty. Więc udawałem, aż nagle moja żona też miała dość tych wrzasków i zaczęła mi szeptać, że oni są okropni. Przytaknąłem skwapliwie, dodałem swoje obserwacje, szczęśliwy, że zgadzamy się wreszcie w jednym przynajmniej i że może ją odzyskuję dla siebie. Popatrzyła na mnie jakoś tak, wtedy nie wiedziałem jak... Wyszła. A po pewnym czasie wpadła wściekła teściowa, krzycząc, żebym się odpieprzył od jej wnuków, że takie zero jak ja nie ma żadnego prawa wypowiadać się o chłopcach. Po kilku dniach wszystkie koleżanki żony i cała jej rodzina współczuli jej, za jaką to miernotę i chama ona wyszła. Jak musi znosić moje fochy. Jaki jestem niewdzięczny dla jej całej rodziny, która mnie przygarnęła, gołodupca i fajtlapę. To wtedy zacząłem się orientować, że o naszych sprawach wiedzą praktycznie wszyscy. Rodzina żony, koleżanki. Ona mówi im o wszystkim. A właściwie mówi im jeszcze więcej – sporo dodaje od siebie. To wracało do mnie co jakiś czas, rykoszetem. Jej rodzina i jej koleżanki coraz częściej przejmowały jej szyderczy, prześmiewczy ton. A ich spojrzenia. Ich uśmiechy i szepty. Jakże mogłoby być inaczej, kiedy Renia coraz częściej lubowała się w pokazywaniu swojej władzy nade mną w obecności innych. Posprzątaj, rozkazywała, wskazując odkurzacz, podczas gdy teść czytał gazetę, a teściowa wgapiła się w telewizor, a ona sama wychodziła na spotkanie z koleżankami. Pozmywaj, mówiła i wychodziła z kuchni razem z teściami po posiłkach. Pocałuj mnie tu – podstawiała mi pod nos swoją stopę, a koleżanki śmiały się, wstawione tak jak ona, po „babskim spotkaniu”. Kochaj mnie, rozkazywała, najczęściej, gdy była pijana i używała mnie jak wibratora czy gumową lalkę rodzaju męskiego. To ostatnie było dla mnie pełne sprzeczności, bo z jednej strony czułem się upokorzony, a z drugiej seksu mi tak bardzo brakowało. Więcej kochaliśmy się przed ślubem niż po nim. A miało być odwrotnie. A ona seks wydzielala mi skąpo i kapryśnie, kierując się wyłącznie swoimi wytycznymi, najchętniej traktując seks jako karę lub nagrodę. Coraz częściej karę. To znaczy brak seksu był karą, oczywiście. Choć już sam nie wiem, czy jego uprawianie również nie było karą. Brak seksu był jednak bardziej dolegliwy. Onanizm nie zastąpił wszystkiego. A kara w postaci szlabanu na seks była za wszystko – ociągałem się ze zmywaniem naczyń mimo jej rozkazu – kara. Nie śmiałem się wystarczająco głośno z dowcipu teścia – kara. Ziewnąłem w czasie wizyty u ciotki Lucyny – kara. Na ogół trzy, cztery tygodnie. Ona sama ustalała taryfikator, czyli czas trwania kary. I jeszcze musiałem przeprosić. A byłem taki czujny i uważny, aby nie popełnić kolejnego występku. Renia jednak zaskakiwała mnie wciąż i wciąż. To, co wczoraj uchodziło mi płazem, dziś okazywało się nie do wybaczenia. Nie wiem, czym ona się kierowała. Wiele razy próbowałem to rozwikłać, ale bezskutecznie.

Urodziły się nam bliźniaki, dwaj śliczni chłopcy. Wyrównaliśmy liczebność z Zenkami,

pomyślałem. Tak bardzo cieszyłem się, że będę miał dziecko. A gdy okazało się, że dwoje, cieszyłem się podwójnie. A gdy widziałem, że i moja żona się cieszy, cieszyłem się jeszcze bardziej. Była dumna z powodu tej ciąży, a więc chyba i ze mnie, choć troszkę, myślałem. I wybaczyłem jej wszystkie wcześniejsze sprawy. Oczywiście, że przedwcześnie. To nie to, żeby ona kłamała. Chyba nie. Ona po prostu była dumna z dzieci, jak się okazało, ale jakoś tak, jakbym ja nie miał w tym swojego udziału. Jakbym to nie ja je spłodził. Wiatropylna czy Maria Dziewica, czy jeszcze co innego myślała o sobie... Nie wiem.

Pieniądzy, których na ogół jakoś nam starczało, szczególnie że na siebie nie wydawałem prawie nic, teraz zaczęło brakować. Wciąż wysłuchiwałem jej narzekań. Wciąż porównywała nas z Zenkami, którzy radzili sobie w tym czasie nieźle. Zenek jeździł do Azji, handlował ciuchami. Spróbowałem i ja - sprzedałem samochód i postawiłem wszystko na jedną kartę. Bo oni już zaczęli budować ogromny dom. A my wciąż u tych teściów. Na remont domu moich rodziców nadal nie było pieniędzy. Mama umarła. Ta chatynka nie nadawała się tak naprawdę do zamieszkania. Niszczała, nikt nie chciał jej kupić.

Zacząłem jeździć do dalekiej Azji, handel jakoś szedł. Jak teraz to wspominam, to niewiele pamiętam. Tylko zaduch, strach, brud i nic mi niemówiące twarze żółtków. Nie szło mi jakoś tam fantastycznie, ale dopiero się rozwijałem, dopiero zaczynałem. Moje życie ograniczało się do wyjazdów, a następnie wystawiania na rynku i sprzedaży przywiezionego towaru. Mróz czy upał, wszystko jedno. Ja musiałem. Czułem się jak zwierzę. Wracalem do domu i w progu żona na powitanie wyjmowała mi z kieszeni portfel z zarobionymi pieniędzmi. Wyciągała je bez słowa, chyba że było za mało. Przekładała do swojej torebki i szła spać. A ja musiałem zrobić sobie jedzenie, jeśli miałem siłę. Rano wstawałem o czwartej lub piątej, a ona i dzieci smacznie spali. Czasem patrzyłem na nich chwilę, jacy są śliczni, i pędziłem do tej harówki, łykając w biegu śniadanie, czasem w postaci suchej bułki.

To prawda, że to ja miałem pomysł, żeby zainwestować wszystkie pieniądze w towar, ale po pierwsze, pojawił się chętny na dom moich rodziców, to znaczy bardziej na działkę, bo dom zamierzał zburzyć. Więc sprzedałem, może zbyt pośpiesznie, to prawda, może dałoby się jeszcze wynegocjować parę złotych. Ale mnie się spieszyło. Te pieniądze to jakby dali mi rodzice, musi mi się udać z ich błogostawieństwem, myślałem. A poza tym już znalazłem dobre kontakty w tej Azji, czułem, że mam dobry towar na oku. Lepszy niż Zenka. Więc zabrałem wszystko, żeby zainwestować. Miałem to przemyślane. Trochę pożyczylem od teściów, obiecując im złoty interes, kolejna część to było to, co zarobiłem dotąd, kolejna część to pieniądze ze sprzedaży domu rodziców. To było prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Całkiem sporo papierków. W samolocie snułem marzenia, co zrobię z kasą, którą miałem okazję zarobić, mnożąc to razy cztery, bo tak miałem to wtedy opracowane. Wszystko byłoby dobrze. Wszystko by się udało. Tylko Bangkok. Mój grób. Tam mnie okradli, co do centa, a ja nawet nie wiem, kiedy i gdzie, bo obudziłem się po kilku dniach od przylotu na jakimś cholernym targu, w jakimś niemal zwierzęcym legowisku. Bez grosza. Miałem wtedy taką myśl, żeby nie wracać. Zostać tam, bo i tak mnie czeka zatracenie. Ale też tęskniłem, strasznie. Więc wróciłem. Pomógł mi pewien nieznajomy, który bardzo się przejął moim losem. Żona natomiast wcale. Gdy zobaczyła mnie w drzwiach, nie powiedziała nic, tylko patrzyła z coraz większym wyrzutem, bo od razu domyśliła się po moim żebraczym wyglądzie, że to koniec. Nie odezwała się słowem.

Przeniosła wszystkie rzeczy dzieci i swoje do pokoju rodziców. A ja zostałem, jak ten głupi, w pustym pokoju. Dzieciom nawet nie pozwalała ze mną rozmawiać, choć bardzo chciały i płakały za mną. Ona była nieugięta. Nie i nie. Po dwóch dniach wycedziła przez zęby, że miała nadzieję, że mnie już tu nie będzie. Gdzie mam iść, zapytałem. Nawet nie mam już domu moich rodziców. Rudery, nie domu, warknęła. I że nie obchodzi jej, co ze sobą zrobię. Ale mam się wynieść z jej domu. Błagałem, żeby mnie nie wyrzucała.

Moje aniołki. Tak o nich mówiłem. Ale tylko w myślach, tylko gdy byłem sam, gdy wspominałem moich synków w śmierdzących hotelach Turcji, Sri Lanki czy Ukrainy, gdzie zapadałem w stan odrętwienia. Inni używali ile wlezie z miejscowymi kurwami, godzącymi się na wszystko za butelkę coca-coli, a ja zapadałem w półsen, nie jadłem niemal, nie wychodziłem nigdzie, bo nie interesowało mnie nic poza jak najszybszym powrotem do domu. A podobno byłem nawet w ciekawych miejscach. Jak patrzę na mapę, nie mogę się nadziwić, że aż w tyłu i w tak różnych. Tylko że ja ich nie znam. Ja tylko handlowałem i wyjeżdżałem jak najszybciej. Pamiętam tylko hotele i lotniska. Albo bezdroża, bo tam łatwiej się ukryć przed miejscową policją. I place targowe, brudne, śmierdzące i niebezpieczne. Mój przewodnik po świecie, gdybym go napisał, zniechęcałby do wszelkich podróży.

Pamiętam jednego Ukraińca, któremu opowiedziałem to wszystko przy wódce, bo mróz był trzaskający i żeby nie zamarznąć, trzeba było się napić. Opowiedziałem o moim małżeństwie, o tym, co mam w domu, a on popatrzył na mnie, pomyślał i powiedział: durak, ty w domu masz największy brud tego świata i najgorsze ścierwo, gdzie ty się rwiesz? Zdziwiłem się wtedy. No, niby on ma rację. Ale to nie jest do końca tak. Tam przecież jest mój dom. Żona i dzieci. Moje aniołki.

Więc moje dzieci. W ich identycznych twarzach widziałem moją twarz i jej twarz, ale czyste, łagodne, wymyte ze złości i z nienawiści, walki na śmierć i życie, która zatruwa oczy. Mogłem godzinami przyglądać się im, gdy spały. Co ty, pedofil jaki czy co, drwiła ze mnie żona. Przez chwilę sam się tego przestraszyłem. Ale przecież nie, to był tylko zachwyty nad Bogiem, który potrafi wszystko co dobre wydobyć z nas i wymieszać w jedno, żeby przekazać dalej, jak najcenniejszy skarb. Daje w ten sposób szansę na zastąpienie zła dobrem. Ja chciałem skorzystać z tej szansy. Ona nie. I pewnego dnia zobaczyłem w błękitnych oczach moich synów chłód nienawiści i pragnienie zemsty. To ona zamieniła łagodny błękit na chłodną stal. Miała ich dla siebie. Patrzyła na mnie z triumfem, gdy obrażali mnie, drwili ze mnie, poniżali. Jak ona. Teraz sama nie musiała już nic mówić, robili to za nią oni. Bolało bardziej niż wcześniej. Ja już nie miałem nic. Handlowałem na rynku czym popadnie, za grosze. Moje marzenia o rozkręceniu wielkiego interesu legły w gruzach po tamtej kradzieży. Z trudem wiązałem koniec z końcem. Zenki funkcjonowały świetnie, bo on zajął się giełdą – czysto, sucho, z kawką w dłoni zarabiał pieniądze. Ja byłem nędzarzem z najbliższymi mi ludźmi ślącymi błękitnym spojrzeniem wyrok śmierci. Zaprzepaściłem nawet dorobek życia moich rodziców, ich dom. Nie miałem nic. Jakoś nie umiałem spojrzeć na to tak, jak radził mi ten Ukrainiec, gdy rozgrzewaliśmy się wódką w trzaskające mrozy. Masz przecież cały świat, mówił. Możesz jechać wszędzie, robić, co chcesz. Jesteś wolny. Nie. Ja nie miałem świata ani wolności, ewentualnie mój świat był tu, przy niej i dzieciach. Albo przy marzeniu o nich, bezustannym marzeniu, którego nie mogę się pozbyć.

Najbardziej boli to, co robią dzieci. W milczeniu obserwują mnie i notują w notesikach

to, co mówię lub robię. Kiedyś podkradłem taki notesik i zdębiałem. Przypomniałem sobie zdarzenia, które miały miejsce i które zostały opisane w notesie. Kiedyś rozżłościłem się na nich, bo zrobili straszny bałagan i nie chcieli sprzątać, krzyknąłem, żeby nie doprowadzali mnie do ostateczności, bo zrobię wreszcie z nimi porządek - „tata grozi, że nas zabije”, napisali. Kiedyś szarpnąłem za rękę Jarka, bo mazał ziemniakami ścianę w kuchni - „tata uderzył mnie pięć razy w głowę”, było zapisane. Kiedyś zabroniłem im wyjść z domu, lał deszcz, była godzina 23, nie chciałem, żeby coś im się stało - „tata przetrzymuje nas w zamkniętym pokoju przez cały dzień bez jedzenia i picia”, zapisał Czarek pod tą datą. A gdy raz wróciłem po dwóch piwach wypitych po udanej transakcji na rynku, „tata znów upił się do nieprzytomności”, zapisali. Kogo mam winić za nienawiść i niesprawiedliwe wypowiedzi swoich dzieci?

Z seksem to było tak, że ja bardzo go lubiłem, a żona mnie nim karała, to znaczy jego wydzielaniami. Choć może później rzeczywiście się mnie brzydziła, gdy dostałem tej skórnej choroby. Ale przecież zanim jej dostałem, to i tak miałem zakaz. Choć na samiusieńkim początku wyglądało to nie najgorzej. Co prawda to ja zawsze inicjowałem kontakt seksualny, na różne sposoby próbowałem to robić, byłem bardzo uważny na jej potrzeby. Nie jestem takim mężczyzną, który myśli tylko o swojej przyjemności, nie zważając na przeżycia kobiety, o nie. Ja dbałem jak żaden o jej orgazm, który zawsze miała. Później mówiła, że tylko udawała. Nie wierzę. Chciała mnie w ten sposób upokorzyć. Przecież nie da się udawać orgazmu, to jest zupełnie niemożliwe.

Ona była coraz mniej chętna. Coraz więcej wymówek, że śpiąca, że zmęczona. A ja myślę, że to był jej kolejny sposób na dręczenie mnie. Niby kary żadnej nie ma, a i tak nie kochamy się przez długi czas. Kiedy się złościłem, bo nie zawsze udawało mi się zachować zimną krew, to prawda... Kiedy się złościłem... ale ja nie mogłem żyć bez seksu i to dlatego. Nie mogę wytrzymać bez seksu nawet tygodnia. Wal konia, mówiła mi żona. Kiedy zwracałem jej uwagę, że nieładnie do mnie się odzywa, mówiła: brandzłuj się w takim razie. Rzeczywiście musiałem to robić. Ja nie potrafię żyć bez seksu. Więc zamykałem się w łazience i marząc o niej, waliłem konia, jak mi kazała. A z kurwami nie mogłem. Raz, że szkoda mi było każdego grosza, a po drugie, bałem się jakiegoś choróbka. Ja jestem ten przypadek, że chciałem kochać się tylko z własną żoną. Jakoś tak bezgranicznie w niej zakochany, na zawsze i wtedy nie widzi się innych kobiet, nie interesują w żaden sposób. No, raz spróbowałem z inną, ale nie wyszło, bo była... jakaś taka... nie w moim typie.

Jej krew była słonawa, ciało bardziej słodkie, niż myślałem. Najpierw ta krew leciała mocno, później coraz słabiej, a wraz z tym i ona uspokajała się i łagodniała. Pierwszy raz to ciało odkryło przede mną swoją słodycz, tak głęboko ukrytą, i nie musiałem wdzierać się do jej cukrzanego wnętrza siłą. Nie chciała użyczyć mi swojej słodyczy wcześniej, może nie mogła, może umiejętnie podsycala moje pragnienie, zrobiła to teraz, łagodna i cicha, przyzwalająca na wszystko i akceptująca mnie bez żadnych pretensji i wątpliwości. Taką ją kochałem, taką chciałem mieć przy sobie zawsze. I miałem. Moją najukochańszą, najmiłszą, najdelikatniejszą żonę. Taka łagodna twarz, taka delikatna, przecież zawsze przeczuwałem, że taka jest i na samym początku naszej znajomości ta właśnie łagodność przemykała po jej twarzy i to mnie najbardziej ujęło. Łagodność. Ciche milczenie. Zamyślenie. Wyrozumiałość kryjąca się w oczach. To dopiero później zmieniło się w swoje przeciwieństwa. Więc ja tylko przywróciłem ją do prawdy, której ona sama

chciała zaprzeczyć, może nie chcąc być jakoś tak naga i bezbronna, w końcu lepiej być uzbrojonym, choćby w ostre słowa, wiadomo. Może mnie testowała, czy ja wytrzymam to wszystko, zanim do prawdy o niej ją przywrócę. Może stopniowała swój przerażający, harpiowski sposób bycia, chcąc mnie zachęcić, zmusić do zerwania tej maski i zniszczenia jej na zawsze. Może. Teraz wszystko, co robiła, wydaje mi się dużo bardziej celowe i przemyślane z jej strony, sensowne i jak najbardziej mądre.

A więc mogłem przyjrzeć się jej wreszcie, pozwoliła na to po tylu latach, pewnie wiedząc doskonale, jak moja ochota na to rosła, aż do eksplozji. Więc jej delikatne włosy, zawsze myślałem, że blond, po ślubie przekonałem się, że farbowane, ale niech tam, przecież farbowała je dla mnie, dla mojej przyjemności, tłumaczyłem sobie. Taka blada buzia z szeroko otwartymi oczami, które już nie mrużą się złośliwie, lecz wpatrują się we mnie, zachęcając do mówienia i obiecując uważne wysłuchanie. Nosek, który już nie marszczy się na każde moje słowo, na każde moje spojrzenie i dotknięcie. Usta, zapraszające do pocałunku, były podobne teraz do tych, które poznałem na samym początku, a później zmieniły się w zaciśniętą kreskę, która teraz znów złagodniała. Maleńkie piersi jak u dojrzewającej dopiero dziewczyny, ledwie rozkwitnięte, mimo że to już matka. Wąziutka talia, niemal dłońmi można ją objąć, jak pokazują to na dziewiętnastowiecznych rycinach. Szczuplutkie nogi, też tak rozkosznie obiecujące, niewymierzające już swoich testujących mnie kopniaków. Zakamarki między nogami dostępne bez przeszkód, bez tego jej „daj spokój, przecież i tak nie poradzisz sobie, przecież i tak nie wiesz, o co w tym chodzi”. Naucz mnie, prosiłem, powiedz tylko, jak cię pieścić, a zrobię to najlepiej. Nie masz szans, mówiła, a ja umierałem z rozpacz. A jednak umiem. Sama widzisz. Wystarczy mi pozwolić.

Jej dziecięcość na granicy kobiecości czy kobiecość na granicy dziecięcości, taka obiecująca i urzekająca. Jej zapach, szczególnie ten intymny, ukryty przed wszystkimi oprócz mnie, miałem nadzieję, choć przecież przede mną też, tak rzadko pozwalała mi się powąchać i zachwycić. Więc niedawno jeszcze w rozpacz i głódzie tego zapachu wachałem ukradkiem jej wkładki higieniczne, które wyrzucała do kosza w łazience na koniec dnia, a nawet podpaski w czasie okresu i właśnie te z wchłoniętą jej krwią ukazywały mojej świadomości jej najgłębsze tajemnice ukryte nawet przed nią samą, pachnące ostro, ciemnoczerwono, niemal czarno.

Więc spotkaliśmy się. Jednak. Mimo tylu przeszkód. Mimo tylu złych czy tylko niepotrzebnych ludzi, którzy przeszkadzali i burzyli kruchą naszą miłość, złośliwie utrudniali nam dojście do siebie i zanurzenie się w naszym szczęściu.

Dzieci umarły szybko i bezgłośnie. To dobrze, że tak. Gdyby zaczęły krzyczeć i szarpać się pod tymi poduszkami, pewnie nie zniósłbym tego. Ale umarły bez słowa. Choć raz zrobiły bez protestu to, o co poprosiłem. Zawsze wierzyłem, że to dobre i posłuszne dzieci, tylko trzeba znaleźć właściwą drogę do ich serc...

Drzwi otwierają się gwałtownie. Zuzanna podnosi głowę i widzi Zenobię Kohnke wpływającą tanecznym krokiem do gabinetu. Rozwiane włosy trzymają się na metalowym spinaczu, który pewnie zaraz odpadnie. Nadmiernie czerwone usta i chyba tą samą szminką pomalowane policzki, do tego namazane czarną kredką, a może czymś innym obwódki wokół oczu. Zenobia podśpiewuje, ale jak na nią całkiem cicho, piosenkę o walcu ambaras, nie bardzo jednak mogąc zgrać się z rytmem. Jakoś tak ciało sobie, a piosenka sobie, co przecież dokładnie oddaje deteriorację jej psychiki.

– Umówiiiłam się tu z niiiiim. Ty teeeeż? – pyta śpiewnie, mniej więcej w rytmie walca ambaras.

– Z kim, Zeniu?

– Jak to, z kiiiim? Z Adaaameem. Będzie mnie prosił o ręęękęęęę la la la la la la... ten walc...

ambaraaaas – podśpiewuje coraz głośniej.

Przez otwarte drzwi zagląda jakiś pacjent i uśmiecha się do walczącej zamasyście Zenobii.

Zuzanna wstaje z fotela i podchodzi do drzwi, chce je zamknąć. Stojącego w nich pacjenta prosi, żeby wyszedł na korytarz. Ten uśmiecha się, podryguje, próbuje bez sukcesu odnaleźć rytm walca, ale idzie mu to jeszcze gorzej niż Zenobii. Nie zwraca uwagi na Zuzannę. W końcu głośne „obiad” od strony jadalni wywabia go na korytarz. A Zenobia tańczy w gabinecie, co jakiś czas przykładając dłonie do policzków płonących dziewczym rumieńcem. Zuzanna stoi bezradnie pośród coraz większego huraganu, zastanawiając się, co robić.

– Zeniu, ja wyjdę na chwilę – mówi w końcu.

– A iiiidź – odpowiada śpiewnie doktor Kohnke.

Zuzanna szybkim krokiem idzie do dyżurki.

– Doktor Kohnke ma problemy – informuje pielęgniarkę.

– Nie rozdwoję się – mruczy pielęgniarka. – Pośpiewa, potańczy i akurat wrócą ze szkolenia. Sama jej przecież nie spacyfikuję. Coś szybko ją rąbnęło teraz. – Z wielką wprawą wrzuca do kieliszków tabletki zgodnie z wytycznymi z kart zleceń.

Zuzanna wraca do gabinetu. Przynajmniej będzie mieć Zenobię na oku.

Zenobia wciąż tańczy, wiruje, czasem tylko objając się o sprzęty.

– Zeniu, nie zakreći ci się w głowie? – pyta z troską Zuzanna.

– Nie – informuje krótko Zenobia. Przystaje nagle przed Zuzanną, wbija w nią roziskrzona oczy. – Ale ty też na niego czekasz?

– Nie – mówi Zuzanna.

– No to idź sobie. Bo jak będziesz, to mi się nie oświadczy. Może się wstydzić. On jest uroczo wrażliwy.

– No jest, rzeczywiście...

Zenobia dowalcowuje do parapetu, chwytając leżące na nim kartki i zaczyna owijać sobie nimi szyję.

– Zeniu, nie! – krzyczy Zuzanna.

Próbuje odebrać kartki, ale nie chcąc ich podrzeć, robi to mało skutecznie. Sięga potężnej Zeni do ramienia, z pewnością nie ma żadnych szans. Kiedy jednak Zenia wymyka jej się i chwytając zeszyt powierzony przez pacjenta, dopada do niej jednym skokiem i szybkim ruchem wyrywa zeszyt z jej rąk.

– Przestań wreszcie szaleć i zatrzymaj się! – krzyczy Zuzanna; kątem oka zauważa Adama stojącego w drzwiach.

Ku jej zdziwieniu Zenia zatrzymuje się, niemal zastyga na pointach. Adam kręci z niedowierzaniem głową.

– Powtórzysz to kiedyś? Mam na Obserwacji paru lekoopornych... – mówi z tłumionym śmiechem, podczas gdy Zenia balansuje, próbując utrzymać równowagę, zakłeta w statuetkę baletnicy nieostrożnymi słowami Zuzanny, która obrzuca Adama wściekłym spojrzeniem, jakby to on był winny zamieszaniu.

– Muszę już iść. Diabelnie wygodny fotel – mamrocze Zuzanna.

– To wpadaj częściej – zachęca z uśmiechem Adam.

Adres rzeczywiście okazał się nietrudny do odnalezienia. Spieszyła się tak bardzo, że była godzinę za wcześnie. Gdy naciskała dzwonek, pomyślała jeszcze, że pewnie go nie ma i to lepiej. Ochłonie i przyjdzie później. Albo wcale. Drzwi jednak otworzyły się szybko i widok jego twarzy kompletnie zbił

ją z tropu.

– Cześć – szepnęła.

– Cześć, zapraszam. – Przesunął się bliżej ściany, robiąc jej miejsce.

Każdy krok, który zrobiła, wchodząc do niedużego przedpokoju, wydawał się opóźniony, jak w zwolnionym filmie. Czowała na swoich plecach jego spojrzenie i bała się odwrócić; doszła do drzwi pokoju i zatrzymała się w progu, bez sensu. Igor stał za nią, czekając pewnie na jej decyzję. Pomyślała, że raczej nie będzie uciekać, a w ogóle to przyszła porozmawiać o pisanej przez niego pracy magisterskiej. Posiedzą, pogadają, wypiją herbatę.

Weszła do pokoiku trochę większego od przedpokoju i usiadła w fotelu.

– Przyszłam na chwilę, zaraz muszę iść. Tylko przejrzymy to, co napisałeś – powiedziała bardzo szybko i bardzo głośno, bojąc się, że może głos jej zdrzży.

Igor usiadł w fotelu naprzeciw i skinął głową.

– Rozumiem. Zdążymy napić się herbaty?

– Nie wiem...

– Ale kurtkę może jednak zdejmij, jest cała przemoczona. Powieszę ją przy kaloryferze, to trochę podeschnie, zanim wyjdiesz, choćbyś miała wyjść za piętnaście minut... czy pięć.

– Dziwne Wszystkich Świętych w tym roku, deszcz i błoto. Kojarzą mi się z inną pogodą.

– Ze śniegiem?

– No właśnie, choć pamiętam, że bywało też nieraz dosyć ciepło. To chyba deszcz nie pasuje do tego dnia. Lampki w ogóle nie chcą się palić, obwarzanki rozmakają...

– Byłem kiedyś w Meksyku w czasie Wszystkich Świętych. Mówiono mi, że tam to święto jest też ważne. Rzeczywiście było ważne, tylko że zupełnie inaczej obchodzone, radośnie. Taka fiesta, trwa trzy dni, nazywa się to Dias de los Muertos. Byłem też kiedyś w Gwatemali, tam się wysyła w niebo latawce z wiadomościami dla zmarłych. Też było radośnie. Pogoda oczywiście inna, tradycja inna.

– No tak, tutaj, w tym depresyjnym kraju trzeba się smucić. Może taka fiesta byłaby lepszym rozwiązaniem? Tylko ta pogoda... fiesta nie udałaby się przy tej pogodzie.

– Tak, nie powinno padać. Ale fiesta możliwa jest przy każdej pogodzie. Od nas zależy, czy jest radośnie, czy nie. Mogę wziąć od ciebie tę kurtkę? Jest cała mokra.

Jeśli miała zaraz wyjść, jak zapowiedziała, to nie musi zdejmować kurtki. Ale rzeczywiście była przemoczona i czuła nieprzyjemny chłód. Może dlatego tak drżała. Wstała i zaczęła rozpinać kurtkę z zatrasków, a następnie szarpnęła zamek błyskawiczny. Zaciął się. Jak zawsze, kiedy postępowała z nim zbyt gwałtownie. Rozzłościło ją to i speszyło tak, że szarpnęła po raz drugi. I trzeci. Bała się spojrzeć na Igora, bo pewnie odczytałby to jako zachętę do pomocy.

– Złośliwość przedmiotów martwych... – szepnęła i szarpnęła brzegi kurtki, chcąc je rozsunąć.

– Zepsujesz. Mogę ci pomóc? Jestem specem od zamków błyskawicznych.

Popatrzyła na niego nieufnie. Siedział w fotelu i czekał na jej odpowiedź.

– No dobrze, spróbuj.

Jego głowa znalazła się na wysokości jej piersi, gdy manewrował przy zamku.

– Te chińskie kurtki, niestety, takie są. Wyjątkowo złośliwe. Chodź bliżej lampy. No widzisz, brzeg materiału wciął się w ząbki. Trzeba to powoli wyciągnąć.

Czuła, że serce uspokaja się po szaleńczym biegu, drzenie ciała znika. Może to tembr jego głosu, a może to, co mówił w nieodległym tle wypowiedzianych słów, bo już dawno to, co snuło się pod nimi, stało się ważniejsze. Poczowała się zupełnie spokojna, gdy położyła dłonie na jego ramionach, a on spojrzał w górę i po chwili wyprostował się, przykrywając jednocześnie jej dłonie swoimi, jakby się bał, że odfruną. Po chwili już chyba uwierzył, że dłonie Zuzanny pozostaną, bo objął ją, przytulił; dotykał

delikatnie palcami jej twarzy, jakby uczył się jej na pamięć. Patrzył przy tym w jej oczy, a po chwili całował je, odgarniając z jej czoła wilgotne od deszczu włosy. Ona dotknęła ostrożnie jego policzka i przesunęła delikatnie palce brzegiem jego ust, realizując pragnienie, które pojawiło się już wtedy, gdy pierwszy raz do niej przyszedł. Tamten dzień był tak samo deszczowy jak dzisiejszy, pomyślała, i chciała mu to powiedzieć, ale tylko uniosła do góry ręce, jak Kubuś, kiedy wracał do domu i stawał w przedpokoju: „Rozbierz mnie, mamusiu, bo nie mam siły”. Igor schylił się i przesuwał dłonie od jej ud w górę, wraz z kurtką i wciąż strajkującym zamkiem, coraz wyżej. Oprócz kurtki zdjął jeszcze pancerz, który dotąd nosiła. Tylko dziś, tylko te dłonie mogły go usunąć i tylko w tym miejscu, i tylko w taki sposób. I tylko dlatego, że bardzo tego chciała. Bo gdyby wciąż był, uniemożliwiłby przytulenie się do tego mężczyzny, który z cichym westchnieniem szeptał jej do ucha, że czekał na nią tak długo i że teraz zostanie na zawsze. Pomyślała, że zawsze może trwać do końca życia lub do jutra, ale że to nie ma żadnego znaczenia, bo zawsze jest dokładnie teraz. Więc dzieli te sekundy na jeszcze mniejsze części, aby chłonąć je tym intensywniej. Aby nic nie przeszkadzało w nasycaniu się zawsze skoncentrowanym w teraz. Pomyślała jeszcze, że to nie jest dobry dzień na pierwszą randkę, na żadną randkę, ale stało się. Tak całkiem na przekór temu dniu, na przekór śmierci. I czy czasem nie wyzywają śmierci, a może bardziej Śmierci, na jakiś dziwny pojedynek lub nie naśmiewają się z niej i co ona, ta śmierć, ta Śmierć, teraz robi? Przemknęło jej też przez głowę, że są tacy nieostrożni i bezczelni, i jednocześnie dziecięco radośni i czuli dla siebie. Wprost proszą się o karę za swoją fiestę w tak ponury dzień.

Musi wspiąć się na palce, by dotknąć ustami jego ust, których smak i zapach próbowała wcześniej sobie wyobrazić. A gdy wsuwa dłonie pod jego koszulę, pospiesznie rozpiętą, dłonie mdleją z zachwyty nad ciałem, które przeczuwała przecież pod cienkimi zaporami ubrań. Pociągnęła go na podłogę. Jej nogi były zbyt słabe, by udźwignąć ciężar, jaki pojawił się w jej ciele. To chyba wtedy ukazało się lawendowe morze, kołyszące ich łagodnie. Gdzieś pod skórą jej brzucha, właściwie głębiej niż pod skórą, narastało delikatne napięcie, przesuwaną się coraz intensywniej wszcz i wzdłuż jej ciała. Czują to już wiele razy. Z innymi. Ale wtedy to było bardziej muśnięcie, które zniknęło, ledwie się pojawiło. Teraz trwało, zwielokrotnione, aż pomyślała z lękiem, że zaraz zniknie, a ona tego nie znieśli.

- Poczekasz jeszcze trochę? – szepnęła.
- Jak długo będziesz chciała.
- Tylko chwilkę, moment...
- Jak długo będziesz chciała.

Ktoś już przecież to obiecywał, z pewnością więcej niż raz słyszała podobną kwestię. Nigdy jednak żaden z nich nie dotrzymał słowa, zawsze kłamał lub się mylił. A teraz... Może to pewność w jego głosie sprawiła, że ona również nie miała wątpliwości. Może trochę zbyt pospiesznie zamknęła oczy, nie będąc pewna, czy nie utonie i jak to będzie, gdy zabraknie jej tchu. Chciała odpocząć chwilę, zebrać siły przed dalszą podróżą i wtedy kolejna fala ruszyła z gorącego epicentrum i dotknęła serca, później rozlała się do niezajętych wcześniej zakamarków, a następnie uderzyła z powrotem w dół, aż do palców nóg, i znów wróciła do skroni. Cicha nawałnica, która przetoczyła się w niej, zabrała wszystkie siły i teraz najdrobniejszy ruch palca czy powieki wydawał się niemożliwy. Wszystkie myśli i uczucia zniknęły. Spleceni ze sobą płyną przez ciemne powietrze pachnące woskiem i dymem, ponad rozgwieżdżoną ziemią, pod rozgwieżdżonym niebem, które zamieniają się miejscami. A może maluje ich Chagall, w zamyśleniu rozsnuwający po niebie kółka szarego dymu z papierosa wetkniętego w kącik ust.

– Pewnie o trudnym dzieciństwie słyszała pani nieraz, moje więc wyda się pani standardowe i, nie daj

Bóg, nudnawe, ale mimo to powiem parę słów, żeby pani wiedziała, skąd we mnie wzięło się to wszystko. Nie ma dwóch identycznych życiorysów i pani to wie najlepiej, a być może też dlatego została pani psychologiem, bo panią ten, jak to się mówi, materiał ludzki ciekawi czy nawet fascynuje. Tak słyszałem od jednej psycholożki. Pani lubi, jak mówią na panią psycholożka, czy nie bardzo? No, ale do rzeczy. Cały czas myślę, dlaczego ja jestem taki nieszczęśliwy. I mógłbym powiedzieć, jak w takim jednym horrorze, o ogniu krocącym za mną, choć ten ogień jest przede mną, wokół mnie, a może najbardziej we mnie. Głupi nie jestem, zawsze dużo czytałem, to był jedyny ratunek w koszmarnej rzeczywistości, w jakiej żyłem. Najpierw z matką prostytutką... później ucząc się życia ulicy, jej okrucieństwa, praw dżungli. Chociaż dżungla to pewnie przy tym mały pikuś. Pani nic nie wie, nie zna pani tego świata, pani jest z kosmosu dla mnie, a ja dla pani też z kosmosu. Jesteśmy takie dwa odległe kosmosy. – Patrzy na nią z ukosa, być może poszukując w jej twarzy efektu swojej elokwencji. – Pani z lepszego, prostszego, ładniejszego świata, ja z koślawego, powykręcane go jak na torturach. Ojca nie znałem. Pewnie jakiś klient matki. Ona nie miała pojęcia, kto to mógł być, ale podobno chciała mieć dziecko i skończyć z tym wszystkim. Dziecko miała, ale nie skończyła. – Śmieje się chropowato. – Gdzie ona zarobiłaby lepiej, bez wykształcenia, bez żadnych umiejętności. Kiedy się zestarzała, zapłała się na śmierć. Ja nawet próbowałem jakoś jej pomagać, pilnować, żeby nie piła. Ale poszło jak pożar, szybko się wykończyła. Nie chciała żyć. Zawsze była głupia. Nic nie kumała z tego świata. Wszyscy nią pomiatali, tym cholernym materacem, jaki z siebie zrobiła. Tak, nie chciała żyć. Może i lepiej. A ja chciałem. Miałem nadzieję, że wyrwę się z tego zaklętego kręgu. Chciałem się uczyć, byłem zdolny, tak mówili nauczyciele, tylko leniwy. To taka belferska formułka. Tak czy inaczej w szkole, gdybym tylko chciał, miałbym dobre... co ja mówię, świetne stopnie i mógłbym iść na studia, gdyby tylko chciało mi się skończyć tę szkołę. Zaczynałem kilka razy. Mówię o liceum, bo podstawówkę skończyłem, choć pod koniec już też mi się nie chciało. Liceum nigdy nie skończyłem. Im byłem starszy, tym bardziej nudziło mnie wszystko, co tam się działo, i bardzo szybko, niestety, wynajdowałem odpowiednich, to znaczy bardzo nieodpowiednich kolegów i to był koniec nauki. Mieliśmy tyle szybciej dających satysfakcję spraw. Oczywiście, nie pochwaliliby pani tego, co robiłem, więc nie będę opowiadał, a pani i tak się domyśla, co to mogło być. W wojsku nie byłem, pracy na etacie to właściwie mam może w sumie ze cztery lata, bo w pracy też się nie utrzymywałem. Za mało płacili. Szybko, jak to się mówi, wszedłem na drogę przestępstwa. To było ciekawsze. Była adrenalina, było bogate życie, były kobiety. Chociaż pogardzałem tymi kobietami, które wiązały się ze mną. Najpierw je zdobywałem i już wtedy myślałem: nie rób tego, dziewczyno. Ale one wszystkie bardzo szybko, natychmiast, jakby tylko na to czekały, były moje. I wtedy pojawiała się pogarda. Od razu traciły wartość. Odchodziły od fajnych facetów, żeby związać się ze mną. Idiotki. Porządni faceci, którzy je kochali i szanowali, przestawali być ważni. Dzieci przestawały być ważne. Ja byłem ważny, obwieszony złotem, miałem koleśki, z którymi chlałem wodę albo wciągałem to i owo. A one były zachwycone. Jedna mi powiedziała: „Kiedy cię tylko zobaczyłam, to od razu majtki mi się mokre zrobiły”. Zsiusiałaś się chyba, powiedziałem, choć wiedziałem oczywiście, o co jej chodzi. Już dla mnie nie istniała. Już miałem jej dosyć. Inna uciekała z domu przez okno, żeby tylko ze mną się zabawić, a tam małe dziecko zostawało bez opieki. Jak mi to powiedziała, uderzyłem ją w twarz i wyrzuciłem za drzwi. Inną znalazłem na wycieracze skuloną jak psiaka, rano, bo nie mogła beze mnie jednej nocy przeżyć, uciekała z domu i przyszła. Słyszałem wtedy, że ktoś dzwonił do drzwi, ale byłem zbyt nachlany, żeby otwierać. Wszystko by zrobiła, żeby zostać. Wypieprzyłem oczywiście na zbitą mordę. Nie chciałem jej. A poza tym byłem skacowany. Nie wiem, jak można było chcieć być ze mną. Ja bym nie chciał. I wie pani, to nie chodzi o to, że ja się chwalam podbojami, że taki jestem cudowny. Nie o to chodzi. To one były dziwki, w dodatku głupie dziwki, że włąziły mi do łóżka oślepięone tą siłą bandziora, no i złotymi bransoletami, i harmonią pieniędzy, co z tego, że kradzione.

Kobieta chyba potrzebuje być poniewierana. Im gorzej ją się traktuje, tym bardziej kocha czy pożąda, to właściwie to samo. Cały świat jest gówniany, a ludzie na tym świecie szczególnie. Wszyscy mają za uszami. Policjanci, co tylko brali łapówki. Sądy, co nie potrafiły udowodnić winy w sprawach tak oczywistych, że nie trzeba być prawnikiem, żeby wydać wyrok skazujący. Ale oni nie chcieli. Nikt nie chciał. Jak można pozwolić takiemu bandziorowi, jak ja wtedy, chodzić z giwerą po ulicach, jeździć bez prawa jazdy samochodem, z piwem na siedzeniu obok. Jak można nie znaleźć go w jego własnym mieszkaniu, w którym mieszka od lat. To trzeba bardzo nie chcieć. I oni nie chcieli. Co prawda trochę to mnie kosztowało, żeby nie chcieli. I jak to się mówi, pyrrusowe zwycięstwo. No, trochę się czytało... – Robi pauzę i uśmiecha się, czekając na choćby śladową reakcję ze strony Zuzanny. – Bo zostawiając mnie na wolności, przyczyniali się do mojego zdemoralizowania. Państwo musi szanować i egzekwować prawo, które samo ustanawia. Policja musi wykonywać choćby minimum swojej pracy. Sądy też. A kobiety powinny się szanować. To oni mnie rozbastwili, hodowali potwora, który niczego się nie boi. Ale płaczę w duszy nad tym, co zostało stworzone. Nad własną wewnętrzną brzydotą i brzydotą świata, przede wszystkim ludzi. A kobiet w szczególności. Płakałem i rozbastwiałem się coraz bardziej. – Znów ukośne spojrzenie na Zuzannę, sprawdzające, czy aby na pewno słyszy jego opowieść. Nie doczekawszy się potwierdzenia, kontynuuje lekko zniecierpliwiony czy rozczarowany: – Jedna z ostatnich moich zdobyczy to była psycholog. Z litości dla niej nie opowiem szczegółów. Ona mówiła, kiedy jeszcze patrzyła na mnie w miarę trzeźwo, choć właściwie, czy ona kiedykolwiek patrzyła na mnie trzeźwo... Ja widzę ten moment, gdy kobieta traci głowę. To widać w jej oczach, twarzy. Najbardziej w oczach. Kobiety mają oczy bardziej wymowne niż mężczyźni. Bardziej czytelne. Coś takiego dzieje się z ich oczami, wzrok jakby mięknie czy bardziej się rozmywa, nie potrafię tego nawet opisać, ale to widzę. – Patrzy na nią uważnie. – Pani nie zdążyłaby nacisnąć tego dzwonnka alarmowego, gdybym postanowił... jakby to elegancko powiedzieć, zacisnąć dłonie na pani szyi...

Zuzanna przygląda się jego przystojnej, niebudzącej zaufania twarzy, bystrym, zbyt odważnym oczom, dużym, budzącym zaufanie, wypielęgnowanym dłoniom z lekko błyszczącymi paznokciami. Chyba niemożliwe, żeby malował paznokcie lakierem bezbarwnym, pewnie są wypolerowane. Ciekawe, jak szybko zrobiłby to, co obiecuje lub czym straszy; nieważne intencje, ważny efekt. Po sekundzie porzuca swoje nieodpowiedzialne myśli i notuje na kartce, z premedytacją powoli, jego słowa.

– Oczywiście głupi, bardzo niestosowny żart – spieszy z wyjaśnieniem, spoglądając na jej kartkę zapełniającą się wyraźnym, bardzo czytelnym tekstem złożonym głównie z cytatów jego wypowiedzi. Patrzy na nią czujnie. – Zastanawiałem się, czy jest jakaś ścieżka dostępu do pani. Mój urok osobisty, jak widzę, nie działa. Nie wiem, czy się tak zestarzałem, czy... – Uśmiecha się kokieteryjnie. – Głupio i pyszałkowato pomyślałem, czy pani się mnie przynajmniej przestraszy. Ktoś mi mówił, że jestem narcystyczny. Tamta psycholog, o której wspominałem. Może i tak, sporo czytałem waszych książek, ale te psychologiczne bzdety... Przepraszam, jeśli uraziłem, są często bełkotliwe, mało strasne jak dla mnie. A przecież głupi nie jestem, prawda? – Uśmiecha się jak dziecko domagające się pochwały i pogłaskania po głowie.

Nie doczekawszy się reakcji, lekko krzywi usta, milczy chwilę, pewnie dając Zuzannie czas, z którego ona nie zamierza skorzystać. Jego usta ściągają się w grymasie.

– Chciałem wywołać jakąkolwiek reakcję. A tu nic. – Wciąż przemierza jej twarz w poszukiwaniu znanych ścieżek. – Dodam tylko, że w pani oczach pojawiło się przed chwilą coś, co mnie niepokoi. Po tych moich durnych słowach o zaciskaniu dłoni na pani szyi. Ale może mi się zdawało. Jednak to chyba niemożliwe, żeby pani się w ogóle nie przestraszyła, tak nic a nic... – Cień uśmiechu przemyka przez jego twarz. – Ale ja wiem, dlaczego pani nie reaguje na mnie. – Jego oczy momentalnie tracą oszukańczy, cieplejszy blask, ujawniając wrodzony, szarawy chłód. – Tu jest taki jeden, który panią zna. I mówi, że

coś się stało z pani córką... – Patrzy na nią z triumfem, dzielonym na małe fragmenty perwersyjnej radości, jakby wrywał kolejnej musze skrzydła, napawając się jej bezgłośnym cierpieniem i zwielokrotnioną bezbronnością. – Zachorowała czy coś... – rozciąga ostatnie słowo, przyklejając źrenice do jej oczu jak chłodne przyłgi. – To dlatego. Może by pani zareagowała, gdyby nie to. Bo mnie podobno nie można się oprzeć. Kobiety z miłości i fascynacji, a mężczyźni ze strachu. Bo ja byłem gangster całą gębą. Dużo znaczyłem wtedy. No, ale skończyło się. Zabiłem jednego psa, pani wie, chodzi o policjanta. Nie ma go co żałować, to był kawał... no... mniejsza z tym. Zasłużył. Zabijasz jakiegoś... mniejsza z tym, a siedzisz za zabójstwo człowieka. Tak to jest wymyślone. Wrobili mnie kumple. Wie pani, taka normalna walka w stadzie wilków. Świetnie to wymyślili. Nie spodziewałem się, że na tych grubych karkach znajdują się jakieś choćby lekko pofałdowane mózgi. A tu taka niespodzianka. Pomyśleli. Oni pomyśleli, pokombinowali, wymyślili! – Podnosi głos, twarz zalewa się purpurową krwią, płynącą wewnątrz naczyń krwionośnych zbyt intensywnie, niebezpiecznie, ale życiodajnie. – Ale ja mam czas. Bardzo dużo czasu. Nadmiar czasu – szepcze bardziej do siebie niż do niej, przebijając brudną ścianę twardym spojrzeniem. – Cholernie dużo czasu.

Jeremi powoli rozkręca pióro i nabiera atramentu z buteleczki, delektując się każdą czynnością. Zuzanna opiera głowę na dłoni i obserwuje z uśmiechem jego rytuał. Jak on kocha te swoje cygarowate zabawki. Tyle pieszczot, tajemnych zwyczajów i intymnych zdarzeń, tak bliska zażyłość.

Franciszka znów zapada się w siebie, niezrażona nagłą przerwą w rozmowie, właściwie chyba zadowolona, a może jest jej to po prostu najzupełniej obojętne. Milczenie i mówienie są takimi samymi czynnościami, takimi samymi stanami czy procesami, wydaje się informować jej nieruchoma twarz. O co tyle zachodu? Żeby wrywać ją z łóżka i ciągnąć aż tu, do tego gabinetu.

Jeremi zakręcił pióro, schował buteleczkę z atramentem do szuflady biurka. Wytarł stalówkę dyżurną chusteczką, spojrział pod światło, czy nie zaczepił się jakiś włoszek albo paproch, ułożył pióro w dłoni, bacząc na komfort obydwu, i spojrział na Zuzannę obserwującą go znad dłoni, w którą wtuliła policzek. Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Zerknął do historii choroby Franciszki, którą to historię zamierzał zapełnić świeżymi informacjami o stanie zdrowia pacjentki.

– A więc, pani Franiu, jaka dziś data?

Franciszka uśmiechnęła się swoim dziecięcym uśmiechem, ukazując dwa czarne ząbki, dwa wydłużone trójkąci w górnej szczęce, nadające jej twarzy borsuczy wyraz. Właściwie dlaczego borsuczy, zastanawia się Zuzanna. Przecież nawet nie wiem, jak wygląda borsuk. Ale wszyscy mówią na Franciszkę Borsuczek i nikt nie ma wątpliwości, więc widać widzieli borsuki.

– Wiem, wiem... – Franciszka zastanowiła się chwilę. – Osiemdziesiąty dziewiąty!

– A dokładniej, pani Franiu?

– Dwunastego lutego dwa tysiące osiemdziesiątego dziewiątego – wyrecytowała.

Jeremi uniosł nieznacznie brwi i popatrzył na Zuzannę, która wzruszyła ramionami i upiła łyk herbaty. Luty się zgadza, pomyślała. Ciekawe, czy to przypadek, czy rzeczywiście wie, że jest luty. W końcu jest śnieg za oknem. Tylko że ona chyba w ogóle nie patrzy za okno.

– Oj, chyba nie, pani Franiu – stwierdza z westchnieniem Jeremi, notując podaną datę w historii choroby.

Franciszka uniosła brwi, ścigając w dziubek usta.

– No jasne, pomyliłam się. Osiemdziesiąty...

– To znaczy? – mruknął czujnie Jeremi.

– Co znaczy?

– Który dokładnie rok?

Frانيا wzruszyła ramionami.

– Dwa tysiące osiemdziesiąty.

Zuzanna upiła herbaty, coraz zimniejszej. Przecież tego nie da się nawet dobrze zapisać. Jak ludzie poradzą sobie z takimi datami? Urodziłem się w dwa tysiące pięćdziesiątym drugim... Poznałem ją w dwa tysiące osiemdziesiątym trzecim... Nie, to strasznie nieporęczne. To się nie przyjmie. Takie daty nie są możliwe do wymówienia i pisania. A to już tak niedługo ma nastąpić. Taka rewolucja w datach. Przecież ona się nie przyzwyczai do pisania tej dwójki. Jeszcze gorzej z wymawianiem. A później jeszcze trójka na początku, później czwórka i piątka. Biedni ludzie. A dziesięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć? A jedenaście tysięcy... Na pewno będą to skracać. O ile dziesięciotysięczny w ogóle nastąpi. Świat z tej przyszłości jest nie do wyobrażenia, ale gdzieś tam, nawet tak daleko, będą jej potomkowie. Chyba. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to znaczy, jeśli łańcuch pokoleń będzie się pracowicie budował, ogniwo po ogniwo...

– Pani Franiu, mamy tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty – pospieszył z dobrą nowiną Jeremi.

– Nie... Jest czterdziesty.

– Dwa tysiące czterdziesty?

– No co ty, tysiąc dziewięćset czterdziesty. Przecież Niemcy byli wczoraj tutaj. Głowę mi zmiażdżyli, ta umarła, ale druga żyje.

Klucz zachrobotał w drzwiach. Zuzanna odwróciła głowę. Igor. Zuzanna poczuła, że się czerwieni.

– Mogę? – zapytał niepewnie od drzwi.

– Ależ oczywiście, zapraszamy. – Jeremi uśmiechnął się szeroko.

Igor usiadł w fotelu obok Zuzanny. Lawenda. Fioletowo. Oczy same, stęsknione, przesuwały się po jego szyi uwolnionej z zamotanego szalika. Więc lawenda, o której Zuzanna doskonale wie, że jest jej tam tyle i że to miejsce tak bardzo się nadaje do zlizywania lawendy.

– Mówi pani, że Niemcy wczoraj byli i zmiażdżyli jedną pani głowę, która umarła.

– Tak. Zmiażdżyli. I palce mi wyrwali, o. – Franciszka wystawiła dłonie z czarnymi, brudnymi paznokciami. – I język mi wyrwali. – Wysunęła wyrwany język na całą długość, omiatając usta wokół.

Jeremi zanotował.

Borsuczek uśmiechnęła się przepaszająco do Igora, który odpowiedział uśmiechem. Zuzanna pije zimną herbatę, starając się delektować każdym jej obrzydliwym łykiem, żeby przynajmniej tak wypełnić przestrzeń, odciąć się od Igora, skoncentrować na zdeintegrowanej psychice Borsuczka. Ale właściwie co ją obchodzi ta chora kobieta? Niech przebywa w swoim świecie, jeśli już tam się zatrzasnęła. Nic jej dotąd nie pomogło, pewnie jest skazana na wieczne trwanie w tamtych rejonach. Przecież Zuzanna pracuje już tyle lat, że nauczyła się pokory wobec królowej Schizofrenii, która jeśli wydała wyrok, to prawie zawsze na zawsze. Prawie zawsze. A więc lepiej utonąć w lawendowym obłoku, niż przemierzać borsucze labirynty bez wyjścia, bez nadziei.

– Więc jak z tą datą? – Draży dalej Jeremi, a Zuzanna myśli, że przecież już wiadomo, że Borsuczek całkiem zagubiła się w czasie i nie ma sensu dalej jej męczyć.

– Już mówiłam, trzydziesty dziewiąty, wojna. – Borsuczek odwróciła głowę do drzwi, nasłuchując. – Niemcy idą. Już tu są, zaraz wejdą.

– Rozumiem – stwierdził Jeremi i zanotował wszystko swoim nowym piórem. – Czy ma pan – odwrócił się do Igora – jakieś pytanie do pani Franciszki?

– Tak. Czy pani się nie boi, pani Franiu? Takie straszne rzeczy się stały... Ta głowa... Paznokcie wyrwane... i język.

– Tobie nic nie zrobią...

– Ale ja boję się o panią. Czy pani też boi się o siebie?

Borsuczek zastanawia się. Nie odpowiada, marszczy czoło i po chwili, po drobnej luce w swojej nierzeczywistości wraca do niej, bez zdziwienia, bez wątpliwości, nie zauważając omsknięcia wywołanego pytaniem Igora. Powoli odwraca głowę w stronę drzwi.

– Idą po mnie...

Pogrzeb Jeremiego kończył się, pokryty wiązankami grób stanowił już tylko niekształtny kolorowy pagórek. Ceremonia była długa, zbyt długa i zbyt podniosła; Zuzanna już w połowie pomyślała, że on sam raczej wykpiłby ją, niż się zachwycił. Te przemowy wielu ważnych osób, które za jego życia wcale mu nie sprzyjały, nawet go nie lubiły z powodu ciętego języka. Nie słuchała zbyt uważnie – wyszukiwała w pamięci jego gesty, miny, śmiech i wartkie rzeki słów. Tyle tych słów, tak zręcznie przez niego stworzonych, tak lekko, bez wysiłku. Strasznie będzie go brakować. Już go strasznie brakuje.

Smukła kobieta w eleganckim kostiumie i kapelusiku z woalką zakrywającą twarz to pewnie jego żona, Ewelina, o której tyle mówił z zachwytem i miłością. Często radził się Zuzanny w sprawie prezentów dla niej, niespodzianek, przepisów kulinarnych. Chyba kiedyś widziała ją w teatrze czy filharmonii, nie więcej jak trzy, może cztery razy, z daleka. I zawsze wtedy podziwiała jej królewski sposób bycia, z tym niewymuszonym czymś w stylu ubierania się i zachowaniu, co nie ginie nawet w czasie rewolucji czy wojen.

Przesuwając się powoli w długiej kolejce i starając się nie stracić równowagi na śliskim gruncie między grobami, Zuzanna nie może nadziwić się inwencji tych wszystkich ważnych ludzi, składających kwieciste kondolencje wdowie ukrytej pod woalką.

Kiedy sama staje wreszcie przed wdową, mówi, że bardzo jej przykro, że będzie o nim pamiętać, i od razu ta myśl, że ktoś, kto słyszy to, stojąc z boku, też może sądzić, że to tylko okolicznościowa formułka. No trudno. Wdowa dziękuje, a po chwili pyta, czy może prosić o rozmowę.

– Pani Zuzanna, psycholog z oddziału, tak? – upewnia się jeszcze. – Będę bardzo wdzięczna, jeśli pani poświęci mi chwilę.

Zuzanna staje więc z boku i czeka cierpliwie. Kiedy już większość żałobników powoli się rozchodzi, Ewelina szepcze jeszcze przez chwilę z kilkoma osobami z najbliższej zapewne rodziny, po czym podchodzi do Zuzanny. Dziękuje jej za cierpliwość, podnosi woalkę i Zuzanna natychmiast przypomina sobie tę twarz, widzianą kiedyś w przelocie i tak jak wtedy nie może od niej oderwać oczu. Twarz piękna urodą dawnych aktorek, coś między Avą Gardner a księżną Monako, i może jeszcze jedną, której nazwisko Zuzannie umknęło, ale kojarzy filmy, w jakich grała ta aktorka, może nie tyle dobrze, ile ozdabiając sobą poszczególne kadry. Na cześć Eweliny powinno się pisać patetyczne wiersze, sceny pocałunku w filmach z jej udziałem powinny zgrabnie przechodzić w obrazy morza tym bardziej rozhuśtanego, im większą namiętność przeżywają osoby całujące się na ekranie. A nagie ciało mogłoby się ukazywać jedynie w artystycznych, bardziej ze starożytnej Grecji niż współczesnych pozach.

Kiedy siadają naprzeciw siebie przy mikroskopijnym kawiarnianym stolczku, Zuzanna uśmiecha się do tej wytwornej kobiety popijającej drobnymi łyżkami gorącą kawę, myśląc o Jeremim, który patrzył jeszcze niedawno z zachwytem na swoją piękną żonę i taki jej obraz zabrał pod powiekami. Pewnie było mu strasznie żal.

– Umarł na moich rękach – mówi Ewelina, odstawiając filiżankę. – To było straszne. Nie mogę się z tym pogodzić i właściwie gdyby nie ten pogrzeb, choć i tak nie byłam pewna, czy to Jeremi jest chowany, rodzina wciąż musiała mi to przypominać... – urywa, zapatrzona ponad głową Zuzanny dalej niż na ścianę za jej plecami. Ociera niewidoczną łzę gestem znanym z wielkich melodramatów. – Gdyby nie ten pogrzeb i zapewnienia rodziny, to myślałabym, że to wszystko nieprawda...

Zuzanna myśli o fazach żałoby; oczywiście Ewelina jest w fazie zaprzeczania, pewnie i w dysocjacji od zbyt trudnych emocji, stąd to poczucie nierealności.

– Kiedy umierał, miał erekcję.

Taśma z melodramatem zatrzymała się ze zgrzytem. Vivien Leigh spojrzała na Zuzannę z niesmakiem. Rudolf Valentino zmarszczył brwi i odsunął się jak najdalej. Gary Grant udał, że w ogóle go tu nie ma. Tylko bracia Marx roześmiali się jak na komendę.

Zuzanna dotyka swojego czoła, upewniając się, że głowa jest tutaj wraz z nią.

– Nie mógł już mówić, tylko patrzył na mnie z uśmiechem w oczach. Tak bardzo chciał mi to dać i udało mu się. To było dla niego bardzo ważne. Jednak czuł się niepełny i kaleki, mimo cudownej osobowości i mądrości, czuł się wybrakowany. Mimo że zaspokajał mnie seksualnie, bo przecież do tego wcale nie jest potrzebny penis, pani rozumie... – Zawiesza wzrok na oniemiałej Zuzannie, czującej w ustach kawę, której zapomniała przełknąć. – Zawsze jednak miał poczucie winy i sądził, że nie jestem z nim szczęśliwa. A moje szczęście było dla niego najważniejsze, tak bardzo mnie kochał. I ja jego tak kochałam. Mimo tego wybrakowanego nieco penisa.

– Ach tak... – mamrocze Zuzanna, myśląc w popłochu: Jeremi? Penisa? Jakiego penisa? Ale to jak, nie miał penisa? No, raczej miał. A nawet na pewno.

– ...więc chciałam porozmawiać z panią o tym wszystkim. Mogę, prawda? – Ewelina marszczy brwi i uważnie przygląda się Zuzannie, najwyraźniej nieradzącej sobie z tematem.

– No, tak... – znów niezbyt mądrze odzywa się Zuzanna.

– Nie chce pani ze mną o tym mówić? – W głosie Eweliny słychać zdziwienie, a także pewien ton rozkapryszenia, jak u dziecka, które nie dostało tego, co chce.

– Rzeczywiście, czuję się niezręcznie.

– Zależałoby mi bardzo, żeby pani mnie wysłuchała, bo nie mam z kim porozmawiać na ten temat, a chciałabym się z tym wreszcie uporać. Pomyślałam o pani, to wydawało mi się zupełnie naturalne, bo przecież jest pani... była pani tak bliska Jeremiemu. On często powoływał się na panią. Bo wcale nie jest łatwo, mimo takiej bliskości, jaka między nami była, o wszystkim mówić. Rozumie pani?

– Ale co? – kompromituje się po raz kolejny Zuzanna i widzi w oczach tej kobiety zniecierpliwienie.

– Pani Zuzanna, psycholog z Cztery A, tak? – pyta Ewelina, przyglądając się podejrzliwie Zuzannie.

– No... tak.

– Jeremi mówił, że dużo ze sobą rozmawialiście... – powtarza jak zakłęcie Ewelina, może spodziewając się, że zakłęcie wreszcie podziała i mułowata żaba zamieni się w księżniczkę skrzacej konwersacji. – No tak... – Zrezygnowana i niezadowolona przygląda się Zuzannie, odymając piękne usta; otwiera mikroskopijną torebkę i wyciąga z niej batystową chusteczkę, którą dotyka ust.

– Rozmawialiśmy, ale nie o tak intymnych sprawach. – Zbiera siły Zuzanna. – To był taki szczególny rodzaj przyjaźni, szpitalnej czy jak to nazwać. Przecież myśmy widzieli się właściwie tylko w szpitalu. Bardzo rzadko poza nim. Przecież nie bywaliśmy u siebie nawzajem, najlepszy dowód, że my się nie znamy, widziałyśmy się chyba w teatrze kiedyś. Nie pamiętam, ile razy widziałam się z Jeremim poza szpitalem i sądami, ale będzie tego niewiele. Z Anną i Marią, to znaczy z lekarkami z oddziału tak, bo blisko siebie mieszkamy, ale z Jeremim właściwie nie. I ja nic nie wiedziałam o jego kłopotach z erekcją. – Zuzanna czuje, że się czerwieni i świadomość tego ją paraliżuje. Wie jednak, że musi brnąć dalej w tej rozmowie, jeśli nie chce doznać totalnej porażki. – Obawiam się, że niewiele mam tu do powiedzenia...

– Tak? – Ewelina przekazuje swoje rozczarowanie mimiką dziewczynki niezadowolonej z obrotu sprawy. – Ale przecież rozmawialiście o problemach seksualnych bardzo dużo, tak mówił. Dużo, swobodnie – patrzy na Zuzannę kpiąco czy karcąco – i często.

– W szpitalu, na psychiatrii, wciąż się rozmawia o takich problemach. To nasza praca. Dużo jest opinii

sądowych, tam przewijają się różne wątki, również seksualne. Bo na oddziale mamy kobiety...

– No tak, możliwe – godzi się pospiesznie Ewelina. – To może ja przyjdę do pani na terapię? Nie radzę sobie z tym wszystkim.

– Terapia u mnie jest z góry skazana na porażkę, bo znałam pani męża, jestem w to wszystko... jakby to powiedzieć... zaangażowana emocjonalnie. Skieruję panią do kolegi, który nie pracował nigdy w szpitalu, nie zna... nie znał Jeremiego ani pani.

– Kto to jest?

– Marek Zatorski, psycholog...

Na twarzy Eweliny pojawia się krzywy uśmiech.

– Niestety, pani Zuzanno, znam go bardzo dobrze. To mój kochanek.

Zuzanna czuje jeszcze większe oszołomienie; pojawia się w niej przekonanie, że za chwilę obudzi się z tego dziwnego snu. Ale nie, Ewelina jest realna, patrzy na nią pięknymi oczami, brwi są uniesione, w lewym kąciku ust osiadła odrobina kawy, szminka nieco się rozmazała, ciemny cień na górnych powiekach osiadł w ich załamaniu nieregularnym wałeczkiem, tracąc swój pierwotny kształt. Zuzanna myśli o tym, że ona też ma zawsze kłopot z cieniami na powiekach, bo smaruje je kremem, aby były odpowiednio nawilżone, a to nie sprzyja trwałości makijażu. Musi jednak wrócić do rzeczywistości, wpatrywanie się w makijaż Eweliny nic nie da.

– Po co pani mi to wszystko mówi?

– Ale dlaczego pani tak reaguje? Takie jest życie, pani Zuzanno, takie rzeczy dzieją się w życiu dorosłych ludzi. – Ewelina otwiera szeroko swoje piękne oczy, w których kiedyś utonął Jeremi, poprawia włosy królewskim gestem. – To Jeremi kilka lat temu skierował mnie do Marka, żeby spróbować oprócz leków również takiej formy, to znaczy psychoterapii.

– Leków?

– No tak. Leczę się od lat z powodu problemów maniakalno-depresyjnych. To znaczy choroby afektywnej dwubiegunowej, tak teraz raczej się mówi. Tak trafiłam do Jeremiego, byłam jego pacjentką. No, a później jakoś tak wyszło. Podobno trudno mi się oprzeć. Tak mówił Jeremi, Marek zresztą też, i mieli straszne wyrzuty sumienia z tego powodu. Mówiło tak też paru innych, niezwiązanych z psychiatrią czy psychologią, ale ci byli wyłącznie zadowoleni z powodu tego, że nie mogli mi się oprzeć. Psychiatrzy i psycholodzy mają jednak trudniej, bo to nie wolno z pacjentką, tak? Głupie to, ale jak nie wolno, to nie. Tylko kłopot większy dla takich ludzi, więcej oporów muszą pokonać w sobie. Dla mnie to jest ciekawsze, bardziej ekscytujące, ta ich walka. Pewnie dlatego było dla mnie takie... wyjątkowe. Mówię o Jeremim i Marku. A że jestem piękna, to ja wiem, kiedy jestem w fazie maniakalnej, w depresji jest inaczej...

– A czy teraz, przepraszam, że pytam, nie jest pani trochę... no...

– Że górka niby? Bez przesady. Dobrze się czuję. Mam jeszcze leki od Jeremiego, trochę nieregularnie je ostatnio brałam z powodu tego wszystkiego. Chyba nie są mi tak bardzo potrzebne, poradziłam sobie bez nich przecież.

Zuzanna patrzy na zegarek. Już późno. Bardzo późno, powinna dawno być w zupełnie innym miejscu.

– Nie ma pani czasu, pani Zuzanno droga? – pyta Ewelina przeciągle, kusząco, uwodząco, tajemniczo. – Pani jest bardzo sympatyczną i ładną kobietą...

No nie, to nie jest możliwe, to się nie dzieje – myśli w panice Zuzanna. Ewelina dotyka jej dłoni, przesuwa po niej palcem wskazującym, właściwie paznokciem; Zuzanna czuje dreszcz.

– Nie jestem wybredna co do płci – szepcze Ewelina, uśmiechając się do cofającej w popłochu dłoń Zuzanny. – Dobrze, że są tylko dwie... Mówmy sobie po imieniu, co?

Ewelina wybucha śmiechem, ciemnym i zmysłowym. Z jej twarzy i ciała znikają spokój

i dystyngowana elegancja, pojawia się podskórne rozedrganie, coś na kształt nagłej gorączki.

– Pani Ewelino, wydaje mi się, że psychiatra jednak jest tu konieczny. Może ja zawiozę panią do szpitala? Myślę, że to niezły pomysł w tej całej sytuacji...

– Tak jak mówił Jeremi, jest pani subtelna i delikatna. Ale szpital nie jest mi potrzebny. Ja muszę wreszcie odetchnąć po tych chorych dniach, beznadziejnych i smutnych.

I wtedy Zuzanna zauważa Marka, który powoli podchodzi do ich stolika; wcześniej niewątpliwie musiał być gdzieś niedaleko i obserwować je, bo nie szedł wcale od strony drzwi wejściowych. Stał tuż obok, mamrocząc coś pod nosem; patrzy z ukosa, wcale nie chcąc widzieć, na Zuzannę, która zrywa się gwałtownie, potrącając krzesło.

– Państwo chyba się znają? – Ewelina śmieje się gardłowo. – Nie muszę przedstawiać, prawda?

– Prawda. Ty odwieziesz panią do szpitala czy ja mam to zrobić? – Zuzanna stara się mówić bez emocji, stara się zapomnieć wszystko, co wcześniej mówiła jej Ewelina.

– Ja – stwierdza Marek nadspodziewanie stanowczo.

Delikatnie obejmuje Ewelinę i podnosi ją z krzesła, zbierając jednocześnie jej rozsypane rzeczy.

– Pójdziemy do ciebie, dobrze, Marco? – kusi Ewelina głosem, jakiemu trudno się pewnie oprzeć.

– Nie, pojedziemy poszukać odpowiedniej pomocy dla ciebie. Za dużo się wydarzyło ostatnio – szepcze Marek.

– Ty też delikatny i subtelny. Zaráżacie się od siebie czy co?

– Pojedziemy do szpitala, musisz wziąć leki – wyraźnie i stanowczo mówi Marek.

Zuzanna i Marek patrzą na siebie bez słowa. Chyba oboje nie wiedzą, co powiedzieć. W tle szczebiocze Ewelina i to musi wystarczyć za wszystko. Marek mocniej obejmuje Ewelinę i wychodzą.

Sala jest już niemal pełna. Zuzanna rozgląda się za wolnym miejscem, wyłapując znajome twarze. Widzi jedno, z brzegu. To dobrze, bo gdyby chciała wyjść, nie będzie musiała się przeciskać przez rzędy krzesel.

– Wolne? – pyta Dorotę, która zawzięcie piłuje paznokcie.

– Jasne. Złamałam sobie paznokieć, ledwie tu przyszłam. Drzwiami.

– Ale jak? – pyta Zuzanna, choć nie jest zainteresowana tym zdarzeniem.

– Alina. – Wskazuje pilnikiem jak wściekła wróżka czarodziejską różdżką. – To przez nią, bo puściła drzwi do ubikacji, jakby była sama, jakby nikt nie miał prawa znaleźć się za nią. I chciałam złapać te drzwi, żeby nie uderzyły mnie w twarz...

– No tak, byłoby znacznie gorzej. – Zuzanna uśmiecha się uprzejmie, szukając w torbie długopisu i notatnika, bo oczywiście gdzieś się ukryły.

– Leciałam z nim niedawno do Rzymu, na tę ostatnią konferencję – Dorota wskazuje niezbyt dyskretnie podbródkiem Aleksandra zwanego Wielkim; wiecznie napuszony, zapatrzony w siebie Aleksander ze swoją świtą zajął niemal cały rząd – i nie wiem, czy aby na pewno żartował, kiedy powiedział: „Jak myślisz, czy Bóg wie, że jest teraz bliżej mnie?”. – Dorota chichocze. – A słyszałaś to? Spotyka się dwóch psychologów i jeden z nich mówi do drugiego: „Powiedz mi, co u mnie, bo co u ciebie, to wiem!”.

Z pewnością później, rozmawiając z Aleksandrem, przybierze inną pozę i minę. Będzie czujnie wpatrywać się w jego twarz, by zareagować natychmiast na każde drgnięcie kącika ust czy powiek. Lekko pochyli głowę, by patrzeć na niego trochę z dołu, jak przystoi na zachwyconego ucznia. Na szkoleniach, a także w prywatnych sytuacjach będzie notować bon moty mistrza, by później nauczyć się ich na pamięć i powtórzyć w stosownej sytuacji kolegom, studentom czy kursantom. Czujna i wierna w pobliżu wodza – wykpi go za plecami, zażartuje uszczypliwie lub opowie jakąś podpatrzoną scenkę

sugerującą jego mniejszą boskość.

– Nieraz się zastanawiam, czy on nie zmyśla tych swoich sukcesów? Miałam pacjentów po nim, mówię ci, w ogóle nie było efektu tych jego fantastycznych działań. Wszystko musiałam zrobić sama, od początku do końca, pacjenci jakby nietknięci psychoterapią, wyobrażasz sobie – syczy Dorota. – A Jadźce już drugi pacjent popełnił samobójstwo, słyszałaś? Byli pod jej opieką po kilka miesięcy, w terapii niby. A tu masz, samobój. – Dorota wskazuje kiwnięciem głowy koleżankę, która przecież jest chyba nawet jej przyjaciółką, ale to widać nie stanowi żadnego problemu dla niej. I nawet obecność Zuzanny, która szybko ucieka spojrzeniem w bok, nie jest dla Doroty ważna, choć jakby na sekundę zamilkła, przyjrzała się Zuzannie, coś jakby zaskoczenie przemknęło przez jej rozbiegane oczy. Ale już jest gdzie indziej, mamrotnęła coś do Zuzanny i nie interesując się nią więcej, pobiegła do pierwszego rzędu, bliżej Aleksandra, bliżej jego wyznawców, bliżej Śri coś tam, który już, już ma się pojawić.

– Cześć, Zuzka. Wolne?

Zdyszana Aga rzuca na krzesło wielką torbę, odwija się z szalików i swetra. Nurkuje w torbie i wyławia z jej głębin dużo sprawniej niż chwilę temu Zuzanna notes i długopis, po czym sadowi się na krzesło, jakby była tu już od godziny. Dłoń zawisa nad notesem.

– Nie spóźniłam się? Nie było go jeszcze? – pyta z równym już oddechem.

– Nie – mówi Zuzanna, przyglądając się jej nowej fryzurze. – Świetnie wyglądasz. Zmieniłaś fryzjera?

– No tak, wreszcie, po tylu latach. Dobrze?

– Bardzo dobrze. Musisz mi dać adres. Jak to jest, kiedyś wchodziłam do pierwszego lepszego fryzjera i zawsze wyglądałam dobrze, teraz chodzę do jakichś sław i nigdy nie jestem zadowolona.

– No coś ty, zawsze fajnie wyglądasz. Masz świetne włosy. I kolor, i w ogóle. Farbujesz?

– Muszę, byłabym całkiem siwa.

– No tak. Ja też... O, idzie ten Śri...

Postać w długiej szacie z godnością przesuwają się od drzwi, powoli, w skupieniu, rozdając delikatne uśmiechy na prawo i lewo. Po co ja tu przyszłam, zastanawia się znów Zuzanna, rozdrażniona tym biblijnym niemal obrazem przeniesionym do auli uniwersytetu, w której zapada cisza.

– Fajne ma wdzianko, nie? – szepcze Aga.

– Dobrze, Aga, że wpadłaś, przynajmniej mam szansę na przeżycie.

Po chwili chichoczą obie, co nie uchodzi uwagi Śri, który omiata je przenikliwym spojrzeniem i śle uśmiech w ich stronę. Obie poważnieją. Zuzanna stara się nie patrzeć na Agę, ale czuje przez skórę jej radosną energię.

– Chwyćmy się za ręce, wstańmy z krzeseł, odsuńmy je jak najdalej, by nie blokowały naszej energii i dziecięcej radości, którą w sobie nosimy – komenderuje z ekstatycznym uśmiechem tłumaczka, wpatrzona w Śri coś tam.

Zuzanna wciąż nie może zapamiętać jego skomplikowanego nazwiska. Nawet odczytanie go z broszurki wydaje się zbyt trudne ze względu na dziwne zbitki liter oraz jakieś kreseczki i kropki pod nimi, nie do wypowiedzenia.

– Nie jestem tym ciałem, nie jestem Hindusem, wy nie przynależycie do tego kraju i religii, jesteśmy wszyscy bytami i duszami... Nie jestem Bogiem, jestem sługą Boga... – przekonuje Śri i krok za nim tłumaczka. – Dodam od siebie, że nasz mistrz jest prawdziwie świętym człowiekiem – wdzięczy się tłumaczka, potem przekłada swój tekst mistrzowi, który mruży oczy z zadowoleniem.

– Pewnie śpią ze sobą – mówi Aga. – Ona przecież z nim flirtuje na naszych oczach, skubana. Mogłaby dać sobie spokój przynajmniej teraz. – Aga śmieje się, znów zwracając na siebie uwagę Śri.

– Skąd tyle radości w tobie? – pyta, zbity z tropu.

Zdezorientowana tłumaczka tłumaczy.

– Jestem w ekstazie – odpowiada swobodnie Aga, bezczelna i niezrażona.

Zuzanna bardzo się stara, aby zachować nieruchomą twarz.

– Mantruj Hare Kriszna, bądź w ekstazie – mówi rozpromieniony Śri, tłumaczy rozpromieniona tłumaczka, możliwe, że kochanka.

Aga z dużym wysiłkiem utrzymuje twarz w mniej więcej neutralnej mimice, przynajmniej dopóki Śri i tłumaczka patrzą w ich kierunku. Zuzanna niemal słyszy jej wewnętrzny chichot. Czuje się jak w szkole i bawi ją to, Agę podobnie, bo mruży oczy z zadowoleniem.

– Jestem tu, aby wyjaśnić, czym jest świadomość Kriszny, który mówi: niech twój umysł będzie zawsze we mnie pogrążony, myśl o mnie nieustannie, czcij mnie, uwielbiaj, ofiaruj mi swoje pokłony, myśl o mnie zawsze. Każdy powinien intonować święte imię Kriszny, a będzie w nas tyle radości, co w niej... – wskazuje na Agę, która uśmiecha się słodko do wszystkich i trzepocze rzęsami jak niewinna dziewczynka.

Jednostajny szum mrużanej i szeptanej mantry, zaintonowanej przez Śri coś tam, wprawia w odrętwienie, delikatnie ogłusza, ale po pewnym czasie zamiast uspokajać i wyciszać, wprowadza Zuzannę w rozdrażnienie; zerka niecierpliwie na zegarek. Nie słucha już Śri, nie obchodzą jej napuszone słowa. Nie o to jej chodziło.

– Nie wystarczy samo studiowanie *Ved*, aby dojść do najwłaściwszej ścieżki pozwalającej zrozumieć zasady religijne, bo prawda o nich ukryta jest w głębi serca człowieka, który pragnie się zrealizować. Mantra wedyjska mówi nam, że do prawdy absolutnej nie zbliżysz się przez samą logikę, bo rozum jest ograniczony. Zmysły też są niedoskonałe. Filozofowie mają przeróżne teorie, najlepiej więc podążać drogą tych, którzy osiągnęli sukcesy i są mistrzami. Wtedy nie musimy się bać, że gdzieś się zgubimy po drodze.

Zuzanna jest coraz bardziej zmęczona słuchaniem mędrca, który z podejrzanym ciepłym uśmiechem i uwodzająco śpiewnym głosem przedstawia swoją prostą filozofię, oczekując tylko podporządkowania się, poddania, bezgranicznego zaufania. A Zuzanna nie ufa. Od bardzo dawna nie ufa. Możliwe, że właściwie nigdy za bardzo nie ufała.

Przerwa. Wreszcie. Zuzanna wychodzi do holu, gdzie naszykowano adekwatne do tematu spotkania potrawy, serwowane przez malowniczo ubranych wyznawców Kriszny. Z takimi samymi jak u mistrza przyklejonymi uśmiechami, rozjaśnionymi twarzami, dziecięco łagodnymi oczami zachęcają, częstują, opowiadają o potrawach, które przygotowali. Po ataku wygłodniałego tłumu nie ma już o czym mówić. Całkiem smaczne, myśli Zuzanna, której udało się spróbować kilku potraw. Na szczęście jest też jak najbardziej normalna kawa.

Z dalekiego krańca holu biegnie Joasia, machając do niej, i gdy jest blisko, przemyka przez tłumek jak baletnica na pointach, co rozśmiesza i wzrusza Zuzannę, ale okazuje tylko to drugie, gdy Joasia rzuca się jej na szyję, a właściwie zagarnia ją, niemal unosząc w powietrzu. Joasia przypomina postawą bramkarza hokeistę, wbita jest w obcisłą sukienkę z fioletowej dzianiny, podkreślając zwały tłuszczu we wszystkich możliwych miejscach. Na Boga, Joasiu, dlaczego taka obcisła kiecka i dlaczego dzianina? Nie powinnaś tak się ubrać i dlaczego ja ci tego nie powiem, myśli w popłochu Zuzanna.

– Świetnie wyglądasz – zachwyca się Joasia. – Ja o siebie też dbam, cały czas joga, naprawdę, czuję się świetnie i wreszcie czuję, że chudnę. – Dotyka z radosną czułością swojego ogromnego brzucha. – Mówię ci, tylko joga. Jaki ja mam teraz kontakt z nieświadomością, nigdy takiego nie miałam. Kładę się spać wieczorem i pytam siebie o coś, jakiś ważny problem próbuję rozwiązać, więc zadaję mojej nieświadomości pytanie, i co?

– I co?

– No i budzę się z gotową odpowiedzią!

– Ojej... – próbuje zachwycić się Zuzanna. – To dopiero...

– No, sama widzisz. I tak poradzę sobie stopniowo ze wszystkim. Odchudzanie na przykład, nareszcie mam efekty, a tyle lat katowałam się dietami, zresztą bezskutecznie.

– Niesamowite...

– Tylko nieświadomość, Zuza, tylko to ma sens. Założyłam sobie dziesięć kilo, no tak w ciągu trzech miesięcy. Sama nie wiem, może powinnam o więcej się potargować z moją nieświadomością? No, ale więcej to niezdrowo by było, lepiej nie szaleć za bardzo...

– Możliwe...

– I zobacz, dotykam bez problemu stóp, jakbym znów miała dwadzieścia lat! – Mimo kilku prób nie dotknęła. – No, prawie, muszę jeszcze poćwiczyć... – Niezrażona, śmieje się perliście. – Ale gwiazdę to zrobię na pewno! – Rozpędza się nieco i próbuje, opierając ręce na podłodze, przetrząsnąć swoje pulchne ciało górą, ale bez sukcesu. – Tu też muszę jeszcze poćwiczyć – oznajmia bez cienia zażenowania, wciąż roześmiana, mimo ciekawskich oczu obserwujących jej zmagania z grawitacją. – Tak rozglądam się po ludziach i widzę, że wszyscy w transie, co do jednego. Jak on panuje nad salą, niebywałe. Sama widzisz, wszechobecna nieświadomość i trans. Ja się tu czuję jak ryba w wodzie. Fajnie cię widzieć. Może gdzieś na kawę wyskoczmy w tej długiej przerwie? O, Rysia, biegnę do Rysi, jej też nie widziałam kawał czasu... – Macha do Rysi. – Ale bądźmy w kontakcie – mówi jeszcze i oddala się tanecznym krokiem.

– Będziemy... – Zuzanna odprowadza wzrokiem ogromne, fioletowe biodra z wyraźnie zaznaczonymi za ciasnymi majtkami.

– Cześć, Zuza... – Słaby głos Romki wypłynął niespodziewanie, zawisł na chwilę w powietrzu, już w połowie drogi zbyt zmęczony, na skraju omdlenia.

– No cześć, dawno cię nie widziałam. Co słyhać?

– Beznadziejnie, beznadziejnie. Nie mam siły już tak pracować. Nienawidzę tego zawodu. Dwanaście godzin dziennie rozmawiam z ludźmi. Kiedy przyjeżdżam do domu, chce mi się wyc i płakać ze zmęczenia. To wszystko jest nie do wytrzymania.

– Dlaczego aż tyle pracujesz?

– Karol mnie zostawił. – Oczy Romki zasnuwają się łzami. – I to tak banalnie, dla dziewczuchy młodszej o trzydzieści lat. Blondyneczka w kusej spódnicy i różowym sweterku z odsłoniętym pępkiem. Jak z dowcipu o blondynce.

Zuzanna nie wie, co odpowiedzieć, przytula Romkę, która pochlipuje w jej ramionach.

– No nie, nie będę robiła przedstawienia. – Romka poprawia posiwiące, byle jak ufarbowane włosy, przeciera dyskretnie zamglone oczy bez makijażu.

Jej uroda zdecydowanie traci z upływem czasu, znika. Pewnie ogromny kontrast z apetyczną, dziecięcą delikatną blondynką, którą Romka była trzydzieści lat temu. Właściwie Karol jest jej bardzo wierny, myśli Zuzanna, odnalazł jej kopię w nowej dziewczynie, bo kocha Romkę tak bardzo, że nie mógł bez niej żyć i poszukał klonu.

– A ja zostałam z kredytem, ze studiami dzieci. Jego nic nie interesuje. Gabinet zamknął, nie wiem, z czego żyje. Powiedział, że teraz chce być wreszcie wolny od wszystkiego. No dobrze, ale w końcu musi wrócić do pracy. Pieniądze się skończą. Zresztą w dużej części wspólne, ale sobie przywłaszczył. Zamieszkali w jakimś wynajętym mieszkaniu, nie kontaktuje się z nami. Dzieci cierpią, ja cierpię. No i pracuję na okrągło. Szpital, poradnia, gabinet. To jest nie do wytrzymania. Mam tak strasznie dość tych wszystkich ludzi, którzy do mnie przyłazą i pieprzą, pieprzą o sobie w nieskończoność, a ja w myślach mówię im najgorsze rzeczy, wyśmiewam się z nich, wyzywam od palantów i dupków, i co tam mi jeszcze do głowy przyjdzie. W ogóle mnie nie interesuje, co oni gadają. Nudzi mnie to. Patrzą na zegarek, który stoi na stoliku, i popędzam wskazówki, odliczam czas do końca sesji, prawie obgryzając paznokcie.

A gdy wychodzą, mówię im, w swojej głowie oczywiście, spieprzaj i nie wracaj. Ale oni wracają. Teraz właśnie wracają i mam najmniej drop outów. Pewnie dlatego, że prawie się nie odzywam na sesjach, im się wydaje, że słucham, a ja myślę o swoich sprawach, przeliczam pieniądze we wszystkie strony, czy mi wystarczy w tym miesiącu, czy nie. Myślę o swoim przetrwanym życiu. O idiocie Karolu, jak się zemścić na nim, i tej podfruwajce. Ledwie jednym uchem słucham, o czym jeden z drugim gada. Coś tam mruknę pod nosem, ale na ogół to prawie nic. I o to chodzi, okazuje się, tego właśnie im potrzeba. Wracają jak jakieś pieprzone bumerangi. A kiedyś, jak się starałam dla nich, na rzesach stawałam, byli dla mnie najważniejsi, to mnie olewali. Pacjenci to idioci. Nie warto starać się dla nich. Im gorzej ich traktujesz, tym są ci wierniejsi. W ogóle coraz bardziej nienawidzę ludzi, a nas w szczególności...

– Czyli kogo? – ostrożnie pyta zdezorientowana Zuzanna.

– Czyli nas, cholernych psychologów. Jesteśmy do niczego. Ten zawód jest do niczego. Jedno wielkie oszustwo. Przypomina mi się kot, którego zamęczyliśmy na fizjologii. Pamiętasz? Wwiercili mu w głowę elektrody, żeby pokazać nam, że jak będą podrażniać odpowiednie miejsca w mózgu, to wywołają agresję. Staliśmy tam całą grupą i patrzyliśmy, jak zamęczają niewinne zwierzę. Pamiętasz?

– Pamiętam – szepcze Zuzanna.

– Nikt z nas wtedy, wielkich psychologów...

– Studentów...

– No to przyszłych wielkich psychologów, słowa nie powiedział. Ani jednego protestu. Do dziś pamiętam oczy tamtego kota. Chyba nawet coraz wyraźniej je pamiętam. Gęby pełne frazesów, a jak co do czego, to stado baranów.

– Tak, sto procent Zimbardo. To było straszne. Im więcej czasu upływa, tym wydaje mi się straszniejsze.

– A mówiłam wtedy Karolowi: zrobmy coś, nie pozwólmy. A on powiedział, że to doświadczenie jak każde inne, o co mi chodzi. Idiota, już wtedy było widać, że ma zerową empatię. Pieprzony psycholog. A pamiętasz żabę?

– Pamiętam, niestety.

– Po cholere było wypreparowywać jej ten kręgosłup? Przecież to jakiś koszmar, te łapki z kręgosłupem, ta pozostałość żaby, ten preparat właściwie, który reaguje i siada na blacie, unosząc te resztki siebie do góry. Boże, po co było ją tak męczyć. Po co to wszystko. Same zbrodnie. – Łzy toczą się po policzkach Romki, oplakującej wszystko hurtem, swoje życie, życie zamęczonych zwierząt, stracone nadzieje. – Ja jestem tym kotem, tą żabą, to znaczy jej resztką, tym jej kręgosłupem, co reaguje sam, bez mózgu, który został wyrzucony, bo nie był potrzebny. – Romka ociera łzy. – Wiem, świruję. Ale trochę mi lepiej, jak to z siebie wyrzuciłam. Tylko gapią się na nas, jakby było na co. Jakby nikt przy nich nie płakał na sesjach. Myślałby kto. I jak zwykle nie wiedzą, co robić, gdy coś naprawdę się dzieje. Niczym się nie różnimy od ludzkiej masy. Jest taki dowcip: dwóch studentów psychologii widzi, jak przechodząca dziewczyna przewraca się, a na podłodze rozsypują się książki, które niosła. Nie reagujemy, to pewnie znowu jakiś eksperyment psychologiczny, mówią. Tego nas nauczyli. No, ale dosyć tej hysterii. Jak mnie zwolnią, a szykuje się redukcja w szpitalu, to pewnie będę prosić wszystkich o pomoc. Więc pamiętaj o mnie i jakbyś coś wiedziała o jakimś kawałku etatu czy kontrakcie, daj znać.

– Dobrze, będę się rozglądać.

– Wybacz, ale pójde się przymilać do Pawła Zarzyckiego, on otworzył NZOZ niedawno, kto wie.

Cmoknęła Zuzannę w policzek i podreptała w głąb korytarza – zregenerowana, oczyszczona. Teraz Zuzanna mierzy się z kotem i żabą. Tak nie można, Romka, myśli bezradnie. Nie powinnaś mi tego robić.

– Widzę, że czołg Romka przejechał po tobie przed chwilą. – Wojtek przytula Zuzannę mocno. – I jak tu nie rozumieć Karola. Przecież ona zawsze była chwiejna emocjonalnie, ile imprez zepsuła swoimi

napadami wściekłości, ile razy Karol u mnie nocował, bo podejrzewała zdradę, wyrzucała go z domu. No i w końcu zrobił tak, jak mu wmawiała od lat. Ja jej nie żałuję, należało jej się. Karol jest szczęśliwy. A ty się nie przejmuj tym, co ci nagadała. Zawsze gada we wszystkie cztery światy strony. Powiedz mi lepiej, dlaczego już nie przychodzicie na moje imieniny?

– Rzeczywiście... tak wychodzi... jakoś... – płacze się zmieszana Zuzanna. – Przeprowadziliśmy się...

– To już nie mieszkanie na Lipowej?

– Już nie, wynieśliśmy się za miasto. Mieszkanie zostawiliśmy Kubie.

– Tak lubiłem to mieszkanie... Gdybyś kiedyś chciała je sprzedać, pamiętaj o mnie.

– Ono nie jest na sprzedaż. Teraz jest dla Kuby, później, mam nadzieję, dla jego dziecka.

– Kuba? A ile on ma lat? Jest przynajmniej pełnoletni?

– Dawno go nie widziałeś. Dwadzieścia dwa. Wynajmował ze swoją dziewczyną małe mieszkanie za ciężkie pieniądze. Teraz, w tym dużym, może wreszcie zdecydują się na ślub i dzieci. Zapraszam cię do naszego nowego domu, a jeśli ty w tym roku nas zaprosisz na swoje sławne imieniny, to będziemy. – Uśmiecha się, choć nie jest pewna, czy tego chce. Coraz trudniej jej znaleźć sensowne wyjaśnienie unikania spotkań towarzyskich. A może Adam pójdzie sam... No przecież wie, że nie.

– Jasne, już was zapraszam. Powiedz Adamowi, że tym razem będzie pigwówka, może tym was skuszę, skoro mój czar to za mało. A teraz wybieramy się do knajpy, Ewa, Jurek i Marcin, no i ja oczywiście. No to musisz iść z nami. Chyba że chcesz dalej słuchać tego Szri, jak on się dalej, cholera, nazywa...

– Świetnie – kłamie Zuzanna. – A gdzie ty teraz pracujesz?

– Tylko prywatnie.

– I jak?

– Ciężko i jak by to powiedzieć... samotnie. Ale wreszcie jestem wolny.

– Tak chciałeś.

– No właśnie. Wszystko ci opowiem. Gdzie masz paltocik? I zaczęliśmy rozważać ważny temat, chcemy nad tym się zastanowić przy drinku: Wiewiór z *Epoki lodowcowej* jako przykład przewlekłej frustracji przy regresywnej niezdolności do modyfikacji programu działania i antycypowania jego wyników.

– Ciągle jest w mojej głowie ten skurwiel... To znaczy, przepraszam, że tak nieładnie mówię... Mój ojciec, chciałem powiedzieć.

Zuzanna uśmiecha się do chłopięcej twarzy z niespokojnymi oczami wypełnionymi rozświetloną, błękitną wodą. Oczy są nietknięte, myśli Zuzanna. Tak porażająco niewinne. Może wystarczyłoby je ucałować, aby odpoczęły wreszcie, bo nie jest im łatwo wchłaniać w siebie raniący świat. Może pocałunki ukończyły tę przejrzystą wodę broniącą cennego wnętrza jak fosa. Dlaczego jego matka wciąż tego nie robi? Dlaczego nie dba o te oczy jak o najcenniejsze diamenty?

– Proszę nawet nie liczyć, ile razy próbowałem.

Horacjusz śle wraz z cieniem uśmiechu przeprosiny, że znów zawraca jej głowę. Jej i całemu szpitalowi. Właściwie całemu światu.

Zuzannie się wydaje, że to mógł być czternasty raz. A może piętnasty albo dwudziesty, taki jubileuszowy. To nie ma większego znaczenia. Zabić się raz nie jest łatwo, ale zabijać się tyle razy? Zabijać się tak jak Horacjusz, na śmierć, i mimo wszystko żyć. Może on jednak bardziej potrafi żyć, niż umierać, i może bardziej tego chce. Może sam się zagubił w tym labiryncie i nie wie, czego chce naprawdę, a może życie i śmierć splątały mu się w jedną gmatwaninę, którą trudno rozplątać, i nawet ostre cięcia w postaci kilku prób samobójczych nie rozwiązują tego dylematu.

Drzwi gabinetu uchylają się gwałtownie i wsuwa się przez nie rozczochrana głowa Ciepluchy.

– Ty, Heniek, już jesteś na wolnej stronie? – pyta. – Bo ja jestem przewodniczący samorządu teraz – stwierdza dumnie, odrzucając dłonią zmierzwiłone włosy z czoła.

– Nie, jeszcze nie... – znów przeprosza uśmiechem Horacjusz.

– Bo ja pamiętam, że ty ładnie piszesz, nie? A kronikę trzeba uzupełnić...

– Panie Sławku, pan przeszkadza w rozmowie – niecierpliwi się Zuzanna.

– Ja tylko tak... Bo widziałem, jak wchodzicie do szefa, i sobie przypominałem, że on ma ładne pismo, nie? Już powinni go przerzucić do nas, za długo trzymają go na Obserwacji. Pani powie szefowi... – wydaje dyspozycje Cieplucha, przewodniczący samorządu pacjentów przecież, poganiany przez swoją wulkaniczną energię, każącą zapominać o normach, hierarchiach, zwyczajach i wszystkim, co tylko może się kojarzyć ze sztywnymi strukturami przewidywalnego świata. Cieplucha czeka chwilę na reakcję Zuzanny lub Horacjusza; nie doczekawszy się, wychodzi burzyć dalej świat.

– Nie mogą się doczekać. Jest im pan potrzebny. – Zuzanna przygląda się uważnie reakcji Horacjusza, ale nie zauważa w nim zmiany, żadnej radości z powodu wyczekiwania na jego osobę.

– Ja jeszcze nie chcę być z nimi... Jeszcze chcę być w zamknięciu... – szepcze Horacjusz przeproszająco.

– Nikt nie będzie pana przecież na siłę wyrzucał z Obserwacji. Tylko rzeczywiście długo już pan tam jest. Może warto pomyśleć o powrocie do świata?

Horacjusz powoli kręci głową.

– Jeszcze nie.

– Panie Horacjusz... panie Heńku – poprawia się szybko Zuzanna, karcąc siebie w myślach za gapiostwo w sprawie imienia. Horacjusz nie chce być Horacjuszem. Bardzo nie chce nim być. Krzywi się, jeśli słyszy swoje zniechęcające imię. – Nikt pana na siłę nie wyrzuci, ja tylko przypominam, że istnieje też druga strona oddziału.

– Tak jak druga strona medalu. Na razie zapomnijmy o niej. Mnie trudno było przyjść do tego gabinetu, dalej nie pójdę...

– Dobrze.

– Druga strona medalu czy oddziału to przecież wciąż ten sam medal i oddział. Wcale tak dużo się nie zmienia.

– Chyba trochę jednak tak?

– No dobra, odrobinę. – Uśmiecha się niemal łobuzersko, czym rozczuliła Zuzannę. – A kronikę to przecież mogę im pisać, czy jestem po tej, czy drugiej stronie.

– No jasne. Powiem Cieplusze, jak będę wychodziła.

– Ale on znowu zaczyna świrować, pani wie, taki wielkościowy się robi. Nie da pani rady nic mu wytłumaczyć. No to ja wolę być na Obserwacji. Ja potrzebuję ciszy i spokoju. Muszę odpocząć, wciąż jeszcze wszystko mnie boli. I dźwięki, i obrazy, i dotyk. Wszystko mnie kłuje, szczypie, boli, przeszkadza. Czasem chce mi się krzyżeć. Świat znów stał się jakiś kolczasty i szorstki, nie potrafię w nim na razie być. Jak wszystko złagodnieje, to ja wyjdę z Obserwacji sam.

– Dlaczego tym razem to trwa tak długo?

Horacjusz zamyśla się. Przyczesał palcami rozwichrzone jasne włosy, przesuwał dłonie po twarzy.

– Jakbym powiedział, że chyba jestem coraz słabszy, to będzie to miało jakiś sens? No to myślę, że chyba dlatego. Ja myślałem, że z wiekiem się uodpornię na to wszystko, ale tak nie jest. Nawet powiedziałbym, że wszystko uraża mnie coraz bardziej. Może to dlatego, że wiem, że już na pewno nie ma nadziei na zmianę tego wszystkiego, a może po prostu moja psychika już nie wytrzymuje tego obciążenia. Nigdy nie wytrzymała, ale teraz nie wytrzymuje jakby bardziej. Lata lecą. Zużyła się.

Zawsze działała w ekstremalnym obciążeniu, wcale się jej nie dziwię, że już nie wyrabia. Powinna dostać jakąś rentę czy coś, za pracę w warunkach szkodliwych. – Śmieje się. – I końca nie widać. Ja jej współczuję. Pechowo trafiła, akurat na mnie, na mój dom. Dziwię się, że nie uciekła zaraz, jak zorientowała się, że to kanał. Za to ją lubię. Bo może mimo tego, co zobaczyła, postanowiła zostać ze mną. Może doszła do wniosku, że bez niej byłbym już tak samotny, że drugiego takiego samotnego na świecie nie ma. Może więc to z przyjaźni i współczucia, z jakiegoś takiego braterstwa jakby. No to muszę o nią dbać, nie nadużywać, oszczędzać muszę, bo jeszcze nie wytrzyma i odejdzie. Nie poradzę sobie bez niej. Ja widzę tu wielu ludzi, których psychika związała. Oni są w najgłębszej otchłani. Nie chcę być taki jak oni. Wolałem się zabić i zabrać ją ze sobą czy może bardziej uwolnić od siebie, bo ona beze mnie sobie poradzi, ja bez niej na pewno nie. Jak ja umrę, to ona sobie znajdzie kogoś innego i w głowie tego innego zamieszka, i życzę jej, żeby tym razem trafiła lepiej. Żeby sobie odpoczywała, regenerowała się, leniła przez kilkadziesiąt lat, bo należy jej się po tylu latach ze mną. Za każdym razem, gdy się okazuje, że znów mi nie wyszło, przepraszam ją, że jestem taki nieudolny, i nawet zabić się nie potrafię. Ma pecha, najwyraźniej ma pecha. Choć kiedy czuję się lepiej, to czasem myślę, a może ona już przywykła do mnie i nie ma pretensji. Może przyzwyczaiła się do mnie jak do starych kapci, które są okropne, brzydkie i cuchnące, ale znane i wygodne. Ja mam takie kapcie w domu, więc wiem, co mówię. Nawet powiedziałbym, że te kapcie to jest to, co ja w tym domu lubię najbardziej i za czym tęsknię. One też pomagają mi to wszystko przetrwać. Bez nich nie dałbym rady. No to wychodzi, że mam dwoje przyjaciół na śmierć i życie, moje kapcie i moją psychikę.

Horacjusz śmieje się, świetliste oczy ozywają drobnymi iskierkami, o których Zuzanna wie, że szybko znikają.

– Ja nie wiem, dlaczego nie udaje mi się umrzeć. Zawsze wszystko robię dobrze, staram się przynajmniej, ale później okazuje się, że wcale nie. Jak próbuję skoczyć z dachu, to zaczepiam dzinsami o coś i wiszę tak bez sensu. Facet wychyla się przez okno i ryzykując własne życie, wciąga mnie do mieszkania. Ja się szarpie z nim, bronię się, mówię, człowieku, zepchnij mnie, puść mnie, bo sam spadniesz, a on jak bulterier. Dzinsy robią teraz strasznie mocne. Jak wezmę tabletki, to albo za małą dawkę, albo mało szkodliwe, albo w ogóle. Raz pomyliłem się i wziąłem witaminy. Czekałem na śmierć i czekałem, nie wiedząc, że łyknąłem multiwitaminę, bo nie założyłem okularów, gdy wyskubywałem tabletki z blistrów. Na izbie przyjęć tutaj już mnie znają wszyscy. Wznoszą oczy do nieba, gdy znów mnie pogotowie przywozi po kolejnym nieudanym eksperymencie. A próbuję różnych substancji, bardzo niesmacznych, no i nieskutecznych, jak się okazuje. Z podcinaniem żył mam problem, bo to jest bardzo dziwne uczucie i tu faktycznie robię to za słabo, nie w tym miejscu. Ale to cięcie skóry jakoś mnie brzydzi. I ta krew. No, i nigdy nie mogę tej skóry wystarczająco przebić. Kiedy chciałem otruć się gazem i wsadziłem głowę do piekarnika, okazało się, że już nie ma trującego gazu, może co najwyżej wybuchnąć. No, ale nie będę przecież krzywdził ludzi. Mama zastała mnie z głową w tym piekarniku, bo zasnąłem, i jak to ona – otworzyła okno, zakręciła gaz, zrobiła sobie kawy i wyszła do pokoju. „Gaz od dawna nie jest trujący, synu”, poinformowała mnie swoim uprzejmym głosem. Kiedy usiłuję się powiesić, urywa się sznur czy pasek, bo próbowałem już różnych wersji. Lód na stawie pode mną nie chce w ogóle pęknąć, a tylu ludzi topi się, spacerując po lodzie. Jednego nawet wyciągałem, bo pod nim się zarwał i facet omal nie utonął. Chciałem wrócić w to miejsce, ale zrobiło się takie zamieszanie, wszyscy mi dziękowali, podziwiali, policja odwiozła mnie zaraz do domu, bo byłem cały przemoczony. To jakieś przekleństwo czy co? Przez pewien czas łąziłem nocą po mieście, po tych niedawnych morderstwach, i nic. Facet w dresie mnie odprowadził do domu, prawie niósł na własnych plecach, kiedy przewróciłem się i zwichnąłem nogę. Powiedział, że nie zostawi mnie, bo tu jest niebezpiecznie, ktoś może mnie pobić. Co to ma być? Zostałem zaklęty w nieśmiertelnego rycerza jakiegoś czy już sam

nie wiem co... – Przeciera oczy. W zmęczonym zamyśleniu nad życiem, które nie chce go opuścić, wpiło się w niego jak pozbawiona rozumu pijawka właczająca, a nie wysysająca, życiodajną krew, której on wcale nie chce. Ale pijawka karmi go na siłę, nie zważa na protesty. – Chyba muszę się już położyć. Strasznie słaby jednak wciąż jestem. Jutro pani do mnie przyjdzie?

W ostatniej chwili zauważyła jasną głowę Małgosi znikającej w drzwiach wieżowca. Choć trwało to ułamek sekundy, była pewna, że ta głowa i niebieska kurtka należą do jej córki. Z tą nadzieją przebiega jezdnię tuż przed samochodem, którego kierowca częstuje ją wiązką przekleństw, ale ona nie poświęca mu nawet ułamka spojrzenia. Jest coraz bardziej ciężko i gorąco, wcześniej zdjęła już czapkę i szalik, dobiegając do drzwi wieżowca, ściąga kurtkę, domyślając się, że wewnątrz będzie jej bardzo przeszkadzać. Czuje coraz większy opór ciała, ale wie, że je pokona. Od momentu, gdy Małgosia odpięła pasy w samochodzie i wyskoczyła z niego prawie w biegu, minęło może dwadzieścia minut. Powinam to przewidzieć, myśli Zuzanna, powinienam przewidzieć. Może jednak Igor tu przyjedzie, może jest to możliwe, żeby nie była taka samotna i bezradna. I przerażona. Może robi to, mimo że nie umiała mu powiedzieć dokładnie, gdzie jest. Krzyczała do telefonu w takiej panice, przerażeniu i chaosie. Więc nie, on jej nie znajdzie.

Wciąż widzi nieobecną, obcą twarz Małgosi i oczy, jakie tyle razy widziała u innych, szalonych ludzi. W głowie kołacze jej myśl, że Małgosia byłaby najbezpieczniejsza, gdyby była związana, a nie biegła gdzieś, posłuszna głosom bardziej niż kiedykolwiek sobie.

Wbiega w korytarz pełen ludzi, którzy milkną na jej widok. To jakiś urząd pełen interesantów zaaferowanych sprawami odległymi od Zuzanny bardziej niż ostatnia planeta Układu Słonecznego.

– Czy biegła tędy dziewczyna, taka młoda blondynka w niebieskiej kurtce? – charczy w twarz najbliższej stojącej kobiety, która mruga gwałtownie niebieskimi powiekami i otwiera szerzej karminowe usta, po czym odsuwa się i wbija wzrok w ścianę, udając, że Zuzanny tu w ogóle nie ma.

– Ona jest chora psychicznie, boję się, że coś jej się stanie, muszę ją dogonić, zanim będzie za późno... – szepcze bezradnie Zuzanna, usiłując nawiązać kontakt wzrokowy z kimkolwiek z tego spłoszonego tłumu.

– Co się stało? – dopytują się ci z tyłu.

– Dziewczyna... w niebieskiej kurtce... – powtarza Zuzanna – ona jest chora...

– W niebieskiej kurtce, blondynka, co mówi do siebie!? – przekrzykuje innych przejęty męski głos z tyłu.

– Tak!

– Poszła schodami w prawo. Ona jest chora, tak? A co jej...

– Bardzo chora – szepcze Zuzanna i wbiega na wskazane schody.

Już po przebiegnięciu kilku stopni podejmuje decyzję, że pobiegnie od razu na ostatnie piętro, bo Małgosia nie wybrałaby czegoś tak zwyczajnego jak piętra poniżej najwyższego. Biegnie z trudem. Jeśli dobrze liczyła, pięter było dziesięć. Dociera na ostatnie i widzi, że drzwi prowadzące na korytarz są uchylone.

Ciemny, zagracony różnymi sprzętami korytarz. Przez wielkie brudne okno na jego krańcu wpada szare światło. W jego szklistej poświacie stoi Małgosia. Na dźwięk kroków odwraca się i uśmiecha.

– Już jesteś, mamu, a ja już wszystko wiem.

Zuzanna chce się uśmiechnąć, ale twarz stężała ze zmęczenia i strachu. Już dobrze. Wszystko dobrze. Znalazła ją, zaraz pójdą do domu i tam zamknie drzwi na klucz, na wszystkie zamki i będzie z nią tak długo, aż ostra faza minie. Już wszystko dobrze.

– Widziałas, mamusiu, jak pięknie wszystko wygląda z tej wysokości? Wszystko jest białe. I ona cały

czas mi powtarza: „Białe idzie do białego, białe idzie do białego”.

– Białe idzie do białego... Ciekawe, o co jej chodzi. Może o to, żebyś położyła się do łóżka, do bielutkiej pościeli. To bardzo dobry pomysł.

– Nie, nie, mamusiu, nie o to...

– Porozmawiamy o tym w domu, kochanie, dobrze? – mówi chłodnym głosem Zuzanna. – Obie jesteśmy bardzo zmęczone.

– Ja nie, mamusiu, ja wcale nie...

Zuzanna wyciąga rękę do Małgosi, która patrzy na wyciągniętą dłoń z zaciekawieniem i namysłem. Może próbuje dopasować ją do swojej układanki, ale widać nie znalazła dla niej tam miejsca, bo zdejmuje z niej wzrok. Omijając Zuzannę, podchodzi do stosu krzesel. Wyciąga jedno z nich i wraca pod okno, ciągnąc krzesło za sobą.

– Po co ci to krzesło, kochanie? Zostaw je, idziemy do domu... – Zuzanna wyciąga rękę jak żebrak.

– Białe idzie do białego... – Małgosia uśmiecha się nieprawdziwym, zamarznętym uśmiechem.

Patrzy chwilę na Zuzannę, która przymyka oczy, nie mogąc znieść tego, co widzi w twarzy swojej córki. Ale już w następnej części sekundy wie, że nie może zostawić jej samej, że musi próbować, mimo że umiera razem z nią. Nie wie, co zrobić, stoi bezradna wobec swojego dziecka, wobec wszystkiego, co dotąd wydarzyło się w jej życiu i teraz gwałtownie zsumowało w jedną przerażającą chwilę.

Małgosia podnosi bez wysiłku ciężkie krzesło i uderza w szklaną tafłę, która trzeszczy cicho.

Zuzanna krzyczy i łapie Małgosię obiema rękami, ale ta strząsa z siebie jej dłonie, które ześlizgują się po gładkiej kurtce. Zuzanna próbuje jeszcze raz ją chwycić, z tym samym efektem. Małgosia odwraca do niej głowę, twarz ma skurczoną, zęby odsłonięte w zwierzęcym grymasie.

– Mówiła mi, że będziesz mi przeszkadzać! – krzyczy. – Jesteś wstrętna, nienawidzę cię, jesteś podła! Ja jestem bielsza od ciebie, odczep się, to wszystko jest dla mnie! – Odpycha Zuzannę z siłą, jakiej ta się nie spodziewała, a następnie uderza trzymanym w rękach krzesłem. – Wszystko mi pozmieniałaś, wszystko! Teraz musiałam sobie ułożyć to na nowo i ona mi pomogła! Nie ty! – Małgosia unosi krzesło, celując najwyraźniej w głowę Zuzanny.

Zuzanna cofa się, upada, zasłaniając się ręką, krzesło omija głowę i trafia w ramię. Zaboląło. Małgosia patrzy wściekle, mamrocze coś do siebie.

– Poczekaj! – krzyczy Zuzanna.

Chce wyciągnąć rękę, ale ta po uderzeniu krzesłem jest bezwładna. Wspiera się na lewym ramieniu i powoli podnosi się z podłogi, myśląc z przerażeniem, że nie poradzi sobie jedną ręką, w dodatku lewą, jeśli i obie to za mało.

– Poczekaj... – zaczyna znów i czuje w głowie przerażającą pustkę. – Ona mi mówiła... Ona mi mówiła...

– Co ci mówiła?! – krzyczy wściekle Małgosia. – Nic ci nie mogła mówić, bo ja jestem bielsza. Ona tylko ze mną rozmawia. Ty kłamiesz!

– Nie, zaraz... Ona mówiła...

Małgosia odstawia krzesło, patrzy z politowaniem. Po chwili podnosi rękę i puka palcami drugiej w tarczę zegarka gestem „pospiesz się, czas się kończy”. Tak często robił Piotr i ten gest funkcjonował w domu jako żart, kiedy jeszcze można było żartować. Później był tylko ostrzeżeniem. Przez chwilę Małgosia wydaje się nawet łagodnie uśmiechnięta i przytomna. Chwilka dla dawnej Małgosi, chwilka, która pewnie zaraz zniknie. Zuzanna zapatrzyła się w obrazy, które przefrunęły przed jej oczami. A więc oczy Małgosi. Położna podniosła maleństwo, które dopiero co wydostało się na świat, a ono spojrzało na Zuzannę fiołkowo i tak przenikliwie, jakby w macicy spędziło co najmniej kilka lat. Zuzanna poczuła ból w piersiach. Ukłucie. Dotknęła dłonią lewej piersi i ból zniknął, nawet nie była pewna, czy wcześniej

w ogóle się pojawił. Wstrzymała oddech i zatopiła się w tych zbyt mądrych oczach, za chwilę zasłoniętych napuchniętymi powiekami, a położna zmarszczyła brwi, powiedziała: „Myślicielem jakimś zostanie czy co?”. I wtedy Małgosia zapłakała, jakby informowała: jestem tylko noworodkiem, nie przesadzaj. Kiedy położna zabrała Małgosię i niosła ją na rękach coraz dalej, tym zbyt szybkim krokiem, budzącym strach, że upuści dziecko, Zuzanna patrzyła na maleńką główkę, czekając, aż Małgosia odwróci się i spojrzy jeszcze raz. A ona wtedy znów cichutko zapłakała. I później maleńkie stópki, wtulone bezradnie w siebie, gdy rozwinęła ją z pieluch i kocyka. No przecież maleństwo, po prostu maleństwo, tłumaczyła sobie. Spokojny oddech, który muskał twarz, gdy przytulała ją śpiącą cichutko. A później znów jej przenikliwe oczy wpatrzone, obserwujące, gdy karmiła ją butelką. Bo nie miała pokarmu. I coraz bielsze włosy, nazywane przez ludzi anielskimi. I uśmiech, często taki skupiony, bardziej dla siebie samego niż dla świata czy Zuzanny. A jeszcze później zatroskana buzia z oczami patrzącymi z wyrzutem, gdy kłótnie z Piotrem wymykały się spod kontroli. I wszystko teraz zniknęło, tylko wrócił tamten ból w sercu, który pewnie postanowił dokończyć piętnaście lat wcześniej zapowiedziany czy rozpoczęty proces, zatrzymany wtedy zbyt łatwo, pospiesznie, bez uszanowania przyczyn, bez pytania, jak zakneblowanie ledwie co urodzonego zdania. Więc teraz wraca, pewny swojej siły. Nie pomoże już dotknięcie bolącego miejsca, Zuzanna to wie i nawet nie próbuje. I wie, że przegrała.

Małgosia opuszcza rękę, już nieważną, jakby zapomniiała, o co chodzi z tym zegarkiem, lub zmieniała zdanie. Jej twarz znów jest pusta, znów nie ma się czego uchwycić w spojrzeniu niewidzących oczu.

Zuzanna wyciąga lewą rękę do Małgosi.

– Chodź do domu, kochanie... – szepcze bezradnie.

Małgosia zbliża się do niej i gwałtownie popycha. Zuzanna przewraca się, upada na bolącą rękę, próbuje się podnieść. Małgosia chwyta krzesło i uderza nim w tafłę szkła, jeszcze odwraca się do szarpiącej ją Zuzanny, aby znów ją odepchnąć na bezpieczniejszą odległość, po chwili jeszcze dalej i jeszcze dalej, aż rzuca nią o ścianę. Zuzanna czuje krew wewnątrz ust i to doznanie jest jedynym realnym i wyraźnym, bo ciało gdzieś odpływa, zabierając ze sobą resztę. Małgosia podbiega z krzykiem do okna. Uderza krzesłem. Tafla szkła stęka cicho, później dźwięczy głośniejsze i zmieniwszy stan skupienia, spływa z brzękiem w dół. Wiatr porusza białe włosy Małgosi, która odwraca się jeszcze do Zuzanny biegnącej z krzykiem w jej kierunku i uśmiecha się do niej delikatnie. Patrzy spojrzeniem, którego sekret Zuzanna wreszcie pojęła, po czym przekracza granicę między życiem a śmiercią tak lekko, jakby wychodziła na balkon.

Zuzanna potyka się o coś i znów upada, co chroni ją od wypadnięcia na zewnątrz. Podczołguje się na krawędź niebytu, ale boi się spojrzeć w dół, boi się zobaczyć to, co tam się stało. Patrzy przez łyżę w dal, na rozległą biel śniegu, który wchłonął Małgosię. Śnieg najeżony kolcami, pełen ostrych kawałków lodu, pełen tnących jak nóż kantów, niedający szans, czy też miękki i wygodny, aby ciało zapadło się w nim chętnie i na zawsze. Może to właśnie skusiło Małgosię.

Igor nie zdążył. Choć pewnie próbował. Ale to już nie ma żadnego znaczenia. Oboje nie zdążyli i już nigdy nie zdążą.

– Czy przychodzą do pani kobiety, które nie lubią, czasem nienawidzą swojej matki, choć ta matka, wydawałoby się na pierwszy rzut oka, jest w porządku? Wie pani, jak podają w telewizji czy piszą w gazetach: to była spokojna rodzina. Sąsiedzi są zdziwieni, że doszło do zbrodni. Szok. A moja matka wychowała dwoje dzieci, mnie i brata, ale oboje jesteśmy bardzo nieszczęśliwi. On właściwie nie był nigdy w żadnym związku, poza jakąś nieudolną próbą. Ja niby jestem, ale zawsze w jakichś koślawych związkach. A conam matka zrobiła? To tak trudno wytłumaczyć. Jest strasznie głupia, tak zwyczajnie nieinteligentna, i myślę, że zawsze chciała to ukryć naszym kosztem. Bardzo szybko się okazało, że jest

głupia, ale kiedy to wychodziło na jaw, złościła się na nas, na tatę, zapierała się w żywe oczy, że to my nie mamy racji. Że to my jesteśmy głupi. Do dziś tak jest. Na przykład robi sernik na zimno w starej, przerdzewiałej blasze. Mówię: nie rób tak, podłóż folię czy coś, kupię ci nową formę. Ona się wścieka, ale sił ma już za mało, żeby się drzeć, więc zostaje tylko tekst: „A co ty tam wiesz, co ty gadasz, no, myślałby kto, jaka czyściocha, forma jej nie pasuje, że struje się niby, ja cię nie struję, nie martw się tak o siebie”. A przecież struła. Na całe życie. Nawet ojciec nie potrafił się bronić przed takim naporem głupoty i bzdur mówionych pewnym tonem. On zawsze był zbyt delikatny i wrażliwy, żeby się przeciwstawić tej wściekłej, prymitywnej, niszczącej kobiecie. Zniszczyła nas troje. On nie żyje już, a tak głupio żył, taki był nieszczęśliwy. Jak ja. A przez długi czas ja, napuszczona przez nią, walczyłam z nim i uważałam, że to on jest winny całemu temu chaosowi w domu, tej wściekłości i nienawiści, które wychodziły z każdego kąta. Ona mnie podpuszczała. Zrozumiałam to dopiero, gdy on umarł. Za późno. Jakby nie była taka głupia i nie marnowała całej energii na udowadnianie światu, że jest inaczej, to może zauważyłaby swoje dzieci, ucieszyłaby się z ich inteligencji, z ich postępów, a nie wyśmiewała i krytykowała. Ten jej męczący zwyczaj mówienia, że wszyscy są lepsi, i jakaś pretensja w głosie, że niby jej dzieci gorsze, nie takie. Ja późno dosyć zorientowałam się, że mówi bzdury, że to nieprawda, że ona z jakichś nieistotnych, nieważnych elementów tworzy swój obraz i wychodzi jej, że ktoś jest świetny, bo na przykład ma niebieski samochód. Mówię: mam, ale ten samochód ma jakieś piętnaście lat i to jest fiat, moja trzyletnia mazda jest lepsza. Nie, odpowie z pewną miną, tamten jest lepszy, przecież widzę, jest lepszy, niebieski. Wie pani, jak szybko można stracić pewność tego, co się widzi, czuje, myśli? Żadnego oparcia w sobie, żadnego z zewnątrz. Bo kontakt z ludźmi budzi strach, a sobie ufać nie można, bo zostało to zdruzgotane bardzo wcześnie. Zniszczyła moją kobiecość tym prostackim wstydem i nieudolnością w sprawach fizyczności, seksu. To się miesza z polskim katolicyzmem, choć muszę przyznać, że nie była jakoś nadmiernie rozmodlona, na szczęście. Ale ten duszny katolicyzm przesącza się do głowy, tworzy taką przybrudzoną mieszankę wstydu i głupoty. Kiedy byłam nastolatką, dużo czytałam pism kobiecych, które pojawiły się w komunistycznej Polsce, na nich uczyłam się o swojej fizyczności, pielęgnacji urody i tak dalej. Kiedyś przyszła sąsiadka i rozmawiała z matką o różnych sprawach, między innymi o swoich problemach z nietrzymaniem moczu, że grozi jej operacja. Żadna z nich nie wypowiedziała słowa pochwa. Ja pospieszyłam z pomocą, tak sądziłam, i wtrąciłam się w rozmowę ze świeżo przeczytanymi informacjami na ten temat – że przyczyną jest wypadanie pochwy i można powstrzymać to ćwiczeniami, na przykład można w czasie, jak to się elegancko mówi, defekacji, naciskać miejsce między pochwą a odbytem, przez co chronimy pochwę, bo nie działamy na nią siłą, nie wypychamy jej. Matka i sąsiadka zdrętwiały, przy czym matka dużo bardziej. Widziałam, jak się zapada, słysząc takie, jak powiedziała, świństwa. Sąsiadka też była oszołomiona, ale jakoś oprzytomniała i otrząsnęła się z szoku, nawet podziękowała za informację. Matka natomiast nie mogła dojść do siebie przez parę dni. Jak ja mogłam takie rzeczy opowiadać, wrzeszczała na mnie. Co ja sobie powymyślałam. O czym ja naopowiadałam. O pochwie, powiedziałam odważnie i nawet chyba jakoś buntowniczo, bo wypowiedziałam przecież wyraz zabroniony. Zamarła z oburzenia. No tak, pomyślałam, mam matkę bez macicy i pochwy. Ten obszar nie istnieje. Jest wstydlivy, zły, nieznany, pomijany. Ale ten obszar to kobiecość i ja widziałam, jak ona przez tyle lat próbowała mnie wysterylizować. Udało się, nigdy nie miałam orgazmu. Nigdy nie czułam się w seksie swobodna, nie rozpląnęłam się, nie zapomniałam. Orgazm nie jest w takich warunkach możliwy, bo wszystkie narządy potrzebne do niego zostały dawno wycięte – i pochwa, i łechtaczka, wszystko. Nie mam ich, matka mnie okaleczyła. Mój brat, myślę, tak się przestraszył kobiet, że nawet nie próbował. Ja się miotałam i miotam nadal. Oboje jesteśmy zwichni. Tylko niech pani mi nie mówi, że ona mnie na swój sposób kocha, bo już tak jeden psycholog do mnie mówił. Mam w dupie taką miłość. To ona była dorosła, gdy ja byłam dzieckiem. To ona zrobiła mi

krzywdę, nie ja jej. Nie mam o czym z nią rozmawiać. Nie mam po co do niej jeździć. To smutne. I wie pani co? Uwielbiam Weaver, jak jej tam, Signour, czy tak jakoś, tę aktorkę, która grała Ripley w *Obcym*. Zna pani pewnie? No, więc w którejś części *Obcy* jest samicą, a Ripley mówi do niej *mother*. Do tego potwora. To było dla mnie wstrząsające, bo tak bliskie, znane. *Mother*. Do potwora, mordercy. *Mother – murderer* czy *murderess*, jak to kiedyś mówiono. Bo ona mnie zamordowała już dawno temu. Mnie, brata, tatę. Gdyby była obcą kobietą, to można by wysłuchać tych głupot, uśmiechnąć się lub zdziwić, fuknąć z oburzenia i tyle. Ale nie w wypadku matki, niestety, która w wiecznych pretensjach, wyimaginowanych chorobach, a teraz coraz większej bezradności z powodu autentycznych chorób wymaga pomocy i wiecznej obecności. Widać, jak mózg coraz bardziej odmawia jej posłuszeństwa, jak do jej typowej głupoty dochodzi skleroza i to daje efekt nieprawdopodobny, który może by mnie przerażał czy przynajmniej wzruszał, gdyby nasza relacja była lepsza, a tak to złość się na nią, odruchowo prowokuję, aby brnęła w te swoje bzdury, choć jednocześnie nie mam sił wysłuchiwać tych bredni. Niedawno wzięła pół tabletki antybiotyku, bo miała katar, była przeziębiona i kiedy mówiłam jej, co ma wziąć, to uznała, że to będzie zbyt silny środek. Nawiasem mówiąc, gripex. No i wzięła kawałek antybiotyku. „Nie wzięłam całego, bo pewnie byłoby za mocne”, stwierdziła dumna z siebie. Jakby brała aspirynę. Nic nie rozumiała z tego, co mówiłam o zasadach brania antybiotyku. Obraziła się. Albo wczoraj – spotkała moją koleżankę ze szkoły. I zachwyca się, jak ona pięknie wygląda, jaka szczupła. Ty nie możesz schudnąć, mówi z satysfakcją, a ona taka szczupłutka, bo na basen chodzi. Ja nie mam czasu, warczę. Powinnaś leżeć w wodzie w wannie, jak nie masz czasu na basen, powiedziała. Jak długo, pytam, a wszystko gotuje się we mnie, po pierwsze, że nie mogę schudnąć, po drugie, słuchając tych bzdur. Pół godziny, mówi. Pół godziny. Mam leżeć w tej wannie i co, pytam. Nic. Woda wyciąga, informuje mnie, kretynka. A ja przyglądam się jej i zastanawiam, czy ona to mówi z tej głupoty, którą znam od dziecka, czy też coraz bardziej niewydolny mózg tworzy takie bzdury. I wie pani, ja wiem, że jak ona umrze, to nie będzie mi lepiej. Pewnie nawet poczuję się winna. Nie ma dla mnie ratunku. Każde rozwiązanie jest złe. I tak zostanie.

Twarz Piotra jest niemal nieruchoma. Tylko drobne skrzywienie ust, samego kącika, co mogłoby łatwo umknąć niejednej osobie. Tylko zmrużenie oczu. Jak u jego matki. Kiedy to się zrobiło? – zastanawia się Zuzanna. Przecież nie było tego kiedyś. Ale jest. Zuzanna umiała śledzić najdrobniejsze zmiany w tej twarzy. Musiała nauczyć się czytać z niej biegle, żeby niczego nie przegapić.

– Gdybyś rzuciła tę nikomu niepotrzebną pracę, to może mięso byłoby bardziej dopieczone... – mówi Piotr zaczepnym tonem.

Zuzanna domyśla się, że nie jest głodny. Pewnie jadł obiad z jakimś klientem. I coś chyba wypił w trakcie tego obiadu. Próbuje ocenić, ile tego mogło być i co, analizując zbornosć jego gestów i potoczysność mowy. Wyszło, że nie wypił zbyt dużo, stąd poziom buńczuczności jest najwyżej średni. Nie jest więc bardzo źle. Nie musi bardzo uważać, tylko trochę. Ale i to jest za dużo przy jej dzisiejszym zmęczeniu.

– Nie obchodzą mnie twoje kretyńskie spostrzeżenia – syczy, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. – Nie musisz jeść w domu. Będę miała więcej czasu na swoją nikomu niepotrzebną pracę. No i więcej będziesz poza domem, a ja nie będę cię widzieć tak często.

Piotr mierzy ją wzrokiem. Zuzanna zastanawia się, czy spróbuje ją uderzyć, czy szarpnąć, jak kiedyś. Niech to robi. Niech w końcu to robi. Niech wreszcie wszystko będzie jasne i bez odwrotu. I wie już, że to będzie rosło z roku na rok. Będzie szła przez miasto, którego budynki umierają, przewracają się w sterty gruzów, kiedy tylko je mija. Każdy krok niesie ruinę. Za nią już tylko zgliszcza. I jak to jest, zienawidzić wszystko w człowieku? I odbierać każdy sygnał z nim związany jako odpychający.

Wszystko jak w miłości, tylko na odwrót, całkiem na odwrót, tak bardzo na odwrót, że boli. Bo czasem przypomina sobie – gest, ramiona, półprofil... Ale wszystko już jest nieważne, odczarowane, straciło moc.

– Powinnaś przynajmniej pracować w poradni dla dzieci, w oświacie. Mało godzin, wakacje. Wtedy zdążyłabyś ze wszystkim. Przecież tak pracują Elka, Bożena, Baśka – próbuje Piotr bardziej pojednawczo, ale już jest za późno o minuty, dni, lata świetlne.

– Nienawidzę oświaty. I może nie organizuj mi pracy. Sama wiem, co chcę robić, a ty mówisz o rzeczach, na których się nie znasz.

Piotr gwałtownie wstaje, talerz z jedzeniem wrzuca do kosza, patrząc Zuzannie w oczy. Ona nie reaguje, wie, że gdyby był całkiem trzeźwy, nie zdobyłby się na taki gest. Jest zbyt zmęczona, żeby walczyć teraz z nim w taki czy jakikolwiek inny sposób. Niech idzie, niech zniknie, niech nie wraca już nigdy. Niech przepadnie.

W drzwiach kuchni pojawia się Małgosia.

– Nie kłóćcie się... – prosi po dziecięcemu, nie zdając sobie sprawy, wobec jakich sił staje. – Tatusiu, gdzie idziesz? – Łapie Piotra za rękaw.

Czy jest wystarczająco duża, by udźwignąć nienawiść swoich rodziców? Czy kiedykolwiek będzie na tyle duża, żeby sobie z tym poradzić? Zuzanna wie, że nie.

– Idę do pracy, kochanie. Wrócę późno – kłamie Piotr.

– Ale, tatusiu, już jest wieczór. Dlaczego ty pracujesz wieczorem?

– Ktoś musi zarabiać pieniądze, kochanie.

Wychodzi, mierząc Zuzannę wzrokiem pełnym nienawiści.

– Tatuś idzie do kolegi – mówi Zuzanna; nie udaje się jej utrzymać złości na smyczy i teraz sama jest przerażona tym, że jej się wymknęła.

– To tatuś kłamie? – pyta bezradnie Małgosia.

Zuzanna przytula Małgosię; czuje się winna i bezradna.

– Pokłóciliśmy się, kochanie. To się zdarza ludziom i dużym, i małym.

– Pogodzicie się, prawda?

– Tak, oczywiście – kłamie Zuzanna.

Tatuś niedługo wróci. Wszystko będzie dobrze.

– Ale ty zostajesz, mamusiu? Nigdzie nie wychodzisz?

– Tak, kochanie, ja zostaję.

Zuzanna sięga do stolika i wyjmuje z paczki papierosa. Chce wstać, żeby przejść na balkon i tam zaciągnąć się dymem.

– Mamusiu, ale ty miałaś nie palić! Obiecałaś mi przecież! – krzyczy Małgosia.

– Ach, no właśnie, oczywiście, że tak. Nie ma palenia! – Zuzanna chowa papierosa z powrotem do paczki, ostrożnie, żeby przypadkiem nie złamać.

Stara się uśmiechać, podając Małgosi obiad, pyta o szkołę, ale nie słucha odpowiedzi, są one za mgłą, daleko. Dobrze, że Małgosia nie sprawdza, czy jest słuchana i rozumiana. Ale może kiedyś sprawdzi hurtem.

Zuzanna zastanawia się cały czas nad strategią. W końcu łapie się pierwszej myśli.

– Wiesz co, kochanie, wejdę na chwilę do cioci Grażynki, odniosę jej ten cukier, który ostatnio pożyczałyśmy do ciasta. – Zuzanna słyszy nieprawdziwą radość swojego głosu.

Mogłaby ostatecznie zapalić w łazience i wydmuchiwać dym do wentylacji, ale Małgosia ostatnio podgląda i triumfalnie obwieszcza kłamstwo. Wyjdzie więc do Grażyny, a jeśli jej nie będzie, zapali na schodach na ostatnim piętrze. Albo pojedzie gdzieś, gdzie nikt nie będzie jej gadał o szkodliwości

palenia. Czuje się tak bardzo zmęczona. I tak bardzo żal jej Małgosi, wciąż widzi jej buzię, zapłakaną i smutną.

Psie oczy kota nie przymykają się sennie. Pospiesznie mrugają, dziwnie nieokrągłe, nie tak wyraziste, jak u kota być powinny. Schowane w kolorowej sierści rosnącej wokół nich też jakoś nie po kocie. I jeszcze rzadko spotykany kolor tej sierści, ta wielokolorowość, kolory wymieszane ze sobą mało starannie, w nierównych proporcjach, co dopełnia niezwykłości zwierzęcej postaci siedzącej naprzeciw Zuzanny.

– Skąd ty wzięłaś takie dziwne stworzenie?

– Jak zwykle, znalazłam. – Maria wzrusza ramionami. – Był tak brudny i wychudzony, prawie bez sierści. Nie widziałam, co ratuję. Wszystko okazało się dopiero później, kiedy doszedł do siebie. Dziwny, faktycznie, taki kotopies czy bardziej psokot. Ale osobowość jak najbardziej kocia.

Wyciąga rękę do nietypowego stworzenia, które teraz mruczy, przytulając pyszczek do dłoni Marii i wreszcie mruży, jak należy, oczy.

– Faktycznie, kot – przyznaje Zuzanna. – Anka się odezwała. Może wróci z tych Stanów, nie wyszło jej tam za bardzo.

– Dzwoniła do ciebie?

– Nie, znalazła mnie w sieci.

– W internecie?

– Tak. Wciąż nie dasz się przekonać?

– Nie. Nie jest mi to potrzebne.

– Coś mi się zdaje, że się mylisz.

– Trudno. Niech tak zostanie. Wystarczy mi telefon. I tak prawie do nikogo nie dzwonię. Nie mam do kogo. Do ciebie, do Iwony, Julki... I to właściwie wszystko. Przecież u mnie wszyscy umarli – szepcze i wstaje z fotela, podnosi psokota i przytula do siebie chyba za mocno, bo cichutko miauknął. – Jeszcze są zwierzęta. Ale do nich nie dzwonię. – Uśmiecha się filuternie dawnym, bardzo dawnym uśmiechem. – Takiego dziwadła chyba nie uda mi się wydać. – Przygląda się z bliska kotu, całuje go. – To i lepiej, zostanie ze mną. Ostatnio umarły Dziunia i Fruzia, wiesz?

– Ile ich masz teraz?

– Jego, dwie kociczki i dwa psy. Nie jest źle. Wszystko, co znajdowałam ostatnio na ulicy, udało mi się wydać. Ale jego nie wydam. Jest prawie takim dziwadłem jak ja. Ewentualnie tobie mogę go dać, bo masz tolerancję na dziwadła.

– Dwa koty i pies muszą mi wystarczyć. Adam jednak jest uczulony, ale tak dziwnie, raz reaguje, raz nie. W testach wyszło, że tak. W rzeczywistości różnie.

Maria milczy, głaszcząc psokota.

– To dobrze, że po tym wszystkim... że ci się udało... jakoś... z Adamem, tak całkiem dobrze... ci się udało...

– Anka cię pozdrawia – mówi szybko Zuzanna i sięga po ciasto, które upiekła Maria. Pięć zegarów tyka nierównomiernie, każdy w swoim rytmie, w swoim czasie, wskazując swoje godziny. Psy przyglądają się z zainteresowaniem. Koty z senną niby nieuwagą. – Bardzo dobre. Musisz mi dać przepis.

– To co u tej Anki?

– Ameryka nie była dla niej zbyt łaskawa. Ten facet, pamiętasz, z którym wyjechała, szybko ją zostawił...

– Nie pamiętam, kto to był. Zresztą nieważne, jakaś świnia.

– No tak. Zabrał, to znaczy ukradł jej pieniądze i zniknął. Musiała sobie radzić. Chyba za dobrze jej to

nie wyszło. Tam jakoś nie miała szczęścia do facetów. Jeśli chcesz, możemy się umówić, przyjedziesz do mnie i pogadasz z nią na Skypie. Powinnaś mieć to wszystko w domu i rozmawiać, ile chcesz.

– Niby tak, ale powiem ci... już rozmawiałam kilka razy przez tego Skype'a, u ciotki, z moimi chrześniakami. Nie spodobało mi się. Te twarze często się rozsypują, jakby nagle, w przyspieszonym tempie umierały, jakby następował rozpad tkanki i... Nie mogłam na to patrzeć. U ciebie też tak się robi?

– No tak... czasem są zakłócenia... – szepcze Zuzanna; znów widzi rozpadającą się twarz Anki na ekranie i zastanawia się, czy jej twarz też tak wygląda po drugiej stronie; wcale nie chciałyby oglądać tego złowieszczonego obrazu, tej zbyt konkretnej wróżby czy przestrogi.

Maria upija łyk herbaty. Patrzy w przestrzeń, a Zuzanna przygląda się jej tak ładnej kiedyś twarzy, teraz wychudzonej, pomarszczonej, niebywale smutnej. Maria ożywia się niespodziewanie, podchodzi do stolika z gazetami i zbiera rozsypane tam fotografie, pokazując po chwili ich plik Zuzannie. Wyciąga zdjęcie po zdjęciu, jak z talii zaczarowanych kart.

– Pamiętasz? Imieniny Jeremiego w osiemdziesiątym, ty tuż po studiach, świeżynka po prostu. Pamiętam, jak pilnie uczyłaś się wszystkiego... A tu Boże Narodzenie... W którym to? Chyba osiemdziesiątym siódmym... A tu po remoncie oddziału, osiemdziesiąty trzeci chyba... A tu dziewięćdziesiąty pierwszy, imieniny Teresy...

Zuzanna, nagle przerzucona w tamten czas, czuje się zdezorientowana. Większość tych sytuacji pamięta. Słowa, śmiech, szorstki sweter Marii, zrobiony przez nią na drutach, do którego przytula się na tym zdjęciu. Zapach Anki wtulonej z kolei w nią, aby zmieścić się w kadrze. Co to było wtedy, White Linen? I ten jasny, mięciutki sweterek Anki, z angory. I zielone drzewa za oknem, kiedy pozwali do następnego zdjęcia. I śmiech, szczególnie śmiech Jeremiego, donośny i zaraźliwy. Dźwięki z korytarza, pospieszne kroki, głosy przekrzykujące się, informujące o czymś wtedy ważnym, ciche szepty pacjentów zawieszonych w swoich wychłodzonych lub rozpalonych kosmosach. I może jakaś muzyka, czyjś krzyk lub śmiech, a może monotonne wycie do księżyca, gdy wszyscy ludzie zawiedli.

– A tutaj... o, zobacz, kulig, pamiętasz, po alejkach jechał z dziećmi, o, zobacz, Kubuś i... – Maria milknie i kończy bez uśmiechu, szeptem: – Małgosia...

Zuzanna przez sekundę widzi fotografię dokumentującą kulig dla dzieci w szpitalu psychiatrycznym, zdarzenie chyba bardzo rzadkie i ryzykowne. Odsuwa zdjęcie. Maria smutnieje.

– No tak. Nie pomyślałam. Minęło tyle czasu, Zuza. Ona była chora... nie obwiniaj się...

– Raczej była ofiarą dysfunkcyjnej rodziny – mówi Zuzanna.

Maria szybko mruga kilka razy, jakby trzepoczące powieki miały zatrzymać te słowa w bezpiecznej odległości od oczu i mózgu.

Zuzanna upija łyk herbaty, mając nadzieję, że ucisk w gardle zniknie. Podchodzi do półki z książkami.

– Marysiu, to nowe książki...

– No przecież mogę czytać wciąż to, co mnie interesuje.

– Ale to nowa *Psychiatria*. I nowe *Zaburzenia osobowości* i *Biegły psychiatra*. Wciąż się uczysz, dziewczyno. Jesteś na bieżąco.

– To tak tylko, dla przyjemności. Trzeba iść z duchem czasu. Sporo się zmieniło w porównaniu z tamtymi latami.

– Tak, bardzo dużo. Inny świat. Nowa wiedza, nowe podejście. Teraz jest inaczej, chyba lepiej. Wtedy jednak mniej wiedzieliśmy. I nozologia była jakaś koślawa. Ale czasy były dobre. I my... młodzi.

– Tęsknisz? – pyta Maria.

– Tak, czasem.

– Ja tęsknię nieustająco. To był najlepszy okres w moim życiu. Właściwie to ciągle jestem tam. Oddałabym resztę życia za kilka dni w tamtej przeszłości. Jakie jesteśmy śliczne na tych zdjęciach. No

i jest Jeremi. I przecież są moi rodzice. Gdzieś tam są, choć nie ma ich na zdjęciach i nawet nie byli w pobliżu. Nikt z nas wtedy nie wiedział, co się później wydarzy. Drzewo złych wiadomości dopiero rosło.

– Już było pokryte kwiatami, które za chwilę zamieniły się w owoce – szepcze Zuzanna i pochodzi do okna, za którym pada ulewny deszcz. – Pogoda też się zmieniła. Chyba na gorszą. Ulewy, tornada. Bez sensu. Kiedyś ten klimat był łagodniejszy. Chyba, albo gadam już jak stara baba... A zdjęcia super. Naprawdę.

– Chcesz zrobić odbitki?

– Nie.

Maria przygląda się Zuzannie, ale nic nie mówi.

– Znalazłam je niedawno, kiedy zaczęłam sprzątać. Wciąż na nie patrzę. Pomagają mi żyć. I tyle sobie przypominam. Pamiętasz Lechoniową, która zabiła swojego męża? Ja teraz myślę, że ona symulowała. Przeanalizowałam to teraz...

– Znalazłaś opinię?

– Nie, w głowie. I dochodzę do wniosku, że symulowała. A pamiętasz...

– Maryś, to jakaś niebezpieczna ścieżka. Lechoniową badałyśmy chyba w połowie lat osiemdziesiątych, jakieś trzydzieści lat temu...

– Ja wiem. Pamiętasz Karskiego, tego lekarza z Siódemki, u którego latami mieszkali pacjenci, bo miał duży dom? On to robił na zasadzie prostego odruchu. Nie mają gdzie mieszkać, to niech przyjdą do niego. Tak po prostu. Wyobrażasz sobie dzisiaj takiego lekarza, taką sytuację? A Kohnke pamiętasz? Jej cudowne szaleństwo? Komu to wtedy przeszkadzało, raz była lekarzem, raz pacjentem. No, może czasem przeszkadzało, ale nikt z tego afery nie robił. Zresztą, kiedy wracała do przytomności, była naprawdę dobrym lekarzem.

– Marysiu, tamten czas minął.

– Ale ja nie chcę na to pozwolić. Ja tamten czas zatrzymuję. Wypełniam go wspomnieniami jak tlenem, więc jakbym go reanimowała. A pamiętasz Lechosława Polaka? Ja go znalazłam nieżywego w łóżku, zawsze leżał zwinięty jak embrion pod kocem. Lechu Embrion na niego mówili, pamiętasz? Nikt się nim nie interesował i taki nieżywy leżał prawdopodobnie wtedy od rana, dopiero na moim dyżurze popołudniowym, kiedy odchyliłam koc, bo nic nie odpowiadał, okazało się, że nie żyje. Biedny Lechosław...

Zuzanna przymyka oczy i opiera się mocno plecami, żeby wyraźnie poczuć twarde oparcie krzesła, na którym usiadła.

– Ja wiem – mówi cicho Maria – to są moje trzy kroki w szaleństwo. A może więcej niż trzy. Zapadłam się. Nie powinnam odchodzić na emeryturę. Ale już miałam dość, te procedury, ten NFZ, te wszystkie głupoty. I ci nowi lekarze, tacy poukładani, papierowi, bez polotu. Wszystko takie przystrzyżone. I wszyscy myślą o pieniądzach. Myśmy żyli bez pieniędzy i byliśmy szczęśliwsi, prawda?

– Prawda. Może jednak wyszłabyś trochę z domu? Może zaczeć się w jakiejś poradni na kawałek etatu albo kontrakt? Będiesz z ludźmi. Nie musisz się z nimi zaprzyjaźniać. Po prostu pracuj...

– No tak, wiem. Ty będziesz pracować do sześćdziesięciu siedmiu?

– Nie, trochę ponad rok dłużej niż przed reformą. Ale ja nie chciałam przejść na wcześniejszą. Zresztą od dawna dużo pracuję prywatnie. W szpitalu mam niecały etat.

– Pomyślę. Może ty masz rację z tą pracą... A może ja poszłabym na psychoterapię?

– Dobry pomysł.

– Ty jak długo byłaś w terapii?

– Pięć, prawie sześć lat.

– To strasznie długo...

Zuzanna dopija resztki słabej herbaty i podnosi się z fotela, gotowa do codziennego rytuału obchodu.

– Nie, Zuza, ty już nie wchodzisz na oddział – mówi Jeremi.

– Że co? – pyta zdziwiona.

– Nie możesz ryzykować.

– No, to co ja mam robić?

– Oprzyj nogi o biurko i odpoczywaj – mówi Anka.

– Spokojnie zjedz śniadanie – dodaje Maria.

– Przejrzyj gazetę, ale same dobre wiadomości, później nam opowiesz. No i będziesz nam bardzo teraz przydatna, będziemy cię ustawiać w kolejkach. – Jeremi uśmiecha się łobuzersko. Zamyka drzwi, ale widać coś mu się jeszcze przypomniało, bo otwiera je z powrotem i dodaje: – Najbardziej malowniczo będziesz wyglądała w kolejce po wódkę. Sam widziałem taką kolejkę, przysięgam.

– Pewnie na chrzciny się przygotowywały – mówi Zuzanna.

Tak będzie lepiej, nie będzie wdychać tego zapachu, od którego miała mdłości. Ale cały szpital coraz bardziej śmierdzi, jej nadwrażliwość na zapachy staje się nie do wytrzymania. Chyba pójdzie na zwolnienie. Namawiają ją tu wszyscy, a przede wszystkim Jeremi, który tłumaczy wciąż, że dziecko jest najważniejsze, zbliża się zima i on nie pozwoli, żeby Zuzanna marzła na przystankach. On chyba ma rację. Brzuch jest coraz bardziej widoczny, ciało coraz bardziej niewygodne, coraz bardziej niepodległe, autonomicznie podejmuje decyzje. Jak tu żyć z takim ciałem? Nie wiedziała, że tak będzie. Obserwowała koleżanki zachodzące w ciążę jedna po drugiej i one chyba radziły sobie z tym lepiej. Może gdyby Zuzanna się nie bała. Bo się boi od momentu, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży. Strach połaskotał w gardle, kiedy lekarz ogłosił to radośnie, licząc przynajmniej na jej uśmiech, jeśli nie wybuch radości. Nie doczekał się i jego uśmiech ześlizgnął się z twarzy po cichutku.

– No przecież ma pani męża. To chyba jest się z czego cieszyć?

– Tak – wykrztusiła, bo teraz wszystkie wcześniejsze przecucia i zaledwie intuicje stały się tak bardzo konkretne, nieodwracalne i tarnosiły ją za rękawy, domagając się jej uwagi.

– Dlaczego pani się nie cieszy?

Dlaczego ja mogłabym się nie cieszyć, myśli pospiesznie Zuzanna; trzeba rzucić coś temu lekarzowi, żeby przestał wpatrywać się w nią karcąco.

– Bo nie mamy za bardzo gdzie mieszkać – mówi w końcu.

– No, ale teraz gdzieś mieszkacie?

– No tak.

– To dziecko jakoś się zmieści. Wszyscy teraz mieszkają na kupie, bo nie ma gdzie. A ma pani książeczkę mieszkaniową?

– Książeczkę? A, oczywiście...

– To może, za parę lat... dostanie pani.

– Pewnie tak. Jakoś sobie poradzę. Pomyślałam teraz, że będzie dobrze z tym mieszkaniem, po babci jest mieszkanie, jakieś siedemdziesiąt metrów, to sobie wyremontujemy – szczebiocze radośnie Zuzanna.

– Ile? Siedemdziesiąt? Na trzy osoby? Sam bym chciał takie mieć...

– No właśnie. Będzie dobrze. To co dalej mam robić?

– Tu są recepty na witaminy... tu skierowanie na badania... – wypisywał odpowiednie druczki kompletnie nieczytelnym pismem – i za miesiąc zgłosi się pani. To już będzie pani sama wiedziała, że jest w ciąży. Bo teraz to pani jeszcze tego tak nie czuje, prawda? Nie wymiotuje pani ani nic?

– No, tak. Nic nie czuję. Nawet mdłości...

Poczuła, ledwie wyszła od lekarza. Musiała biec do ubikacji, gdzie nad śmierdzącą muszlą wymiotowała całe śniadanie. Jakby dziecko, nie będąc zadowolone z jej myśli, a może przerażone nimi, zadrżało wewnątrz jej ciała. No, daj spokój, będzie dobrze, nie bój się, damy radę, szepcze do siebie, a może do dziecka. Myje twarz, płucze usta i na chwilę musi oprzeć się o ścianę, bo świat niebezpiecznie odplywa. O tak, teraz czuje, że jest w ciąży. Już nie sposób tego pominąć. Już wiem, szepcze, więc już przestań. Kładzie delikatnie dłonie na swoim brzuchu, jakby coś chciała sprawdzić czy powstrzymać, czy...

Nie mówi Piotrowi przez tydzień. Dziecko jest bezpieczne, jego to nie dotyczy, to sprawa między nią a Piotrem. Małe chyba uwierzyło w te zapewnienia, bo już nie zmusza do wymiotów i Zuzanna znów niewiele czuje, ale przecież już wie. Więc leżąc nocą obok chrapiącego Piotra, rozważa, wciąż nie mogąc ustalić sama ze sobą, czy ma zostać, czy odejść. Za dużo się wydarzyło, żeby ufać Piotrowi. Już zajrzała w jego oczy do dna i przestraszyła się tego, co tam zobaczyła. I czy to było coś podobnego do gwałtu, te trzy miesiące temu, gdy powiedziała mu, że rozważa odejście, że kolejny raz ją zawiódł, upił się. Jego oczy, te oczy, w których kiedyś tak lubiła się przeglądać, ściemniały i gdy szarpnął ją na kanapę, sycząc do ucha, żeby wybiła sobie z głowy takie pomysły, zdrętwiała. Sekundy później już szeptał przeprosiny do ucha, już całował miękkimi ustami i dłonie stały się delikatne i uwodzące. Ale jej ciało już wiedziało.

Za trudne to wszystko, nie poradzę sobie, myślała wtedy w popłochu, czując w swoim niepowiększonym jeszcze brzuchu coś, czego wcześniej nie było. Ani to wyraźny ucisk, ani ciężar, ani napięcie. Po prostu delikatne, niepewne istnienie dziecka. Tak bardzo chciała, żeby nie miało wątpliwości, że na nie czeka, i tak się bała, że nie będzie umiała go kochać. Ale jeśli Kocham je już teraz, to może wszystko będzie jednak dobrze, przekonywała samą siebie. I później te maleńkie ubranka, maleńkie kocyki, czapeczki, butki. Przebiegając puste sklepy, wyławiała wszystko, co mogło się przydać dla dziecka, nie zajmując się już za bardzo sobą. No może czasem jakiś namiot, w którym jako tako wyglądała. Starła się gromadzić mleko w proszku i kaszki, i pieluchy, i pierwsze zabawki. Piotr poszukiwał łóżeczka i wózka, dumny z siebie i wzruszony, gdy mu w końcu powiedziała. Następnego dnia pobiegł do swojej matki, ale nie poinformował Zuzanny o jej reakcji. Świat zwolnił i przycichł, a może to Zuzanna była senna i coraz bardziej zmęczona, zapatrzona do wewnątrz. A może była zrezygnowana. A może szczęśliwa z powodu swojego macierzyństwa.

– Kiedy jechałam do pani, zastanawiałam się cały czas, jak zacząć. Co właściwie mam powiedzieć, po co ja właściwie do pani jadę? No i wymyśliłam tytuł tej mojej opowieści: „Siedemnaście milionów lat bez seksu”. To był tytuł artykułu w „Wyborczej” dotyczącego ewolucji. O tym, jak późno organizmy zaczęły wykorzystywać seks do rozmnażania, czyli dopiero po tak długim okresie innych sposobów, ale pasuje do mnie, bo ja nie uprawiam seksu od ośmiu lat. A wcześniej tak, był ważny, choć nie powiedziałabym, że z odpowiednimi facetami, a szczególnie chodzi o mojego męża. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu sześciu lat, mamy dwoje dorosłych dzieci, od czterech lat mieszkamy znowu sami w nowym domu, ale seks z nim mnie nie interesuje, a ponieważ nie mam czasu na znalezienie kogoś innego, to seks w ogóle jest bardzo daleko. Zdradziłam go parę razy i zawsze były to porażki. Ci faceci znaczy. Nic sensownego nie wychodziło, jakieś pojedyncze, beznadziejne próby, żenujące. Może ja nigdy już nie znajdę nikogo. Może tak już zostanie. Mam prawie pięćdziesiąt lat, ale wyglądam młodziej, wiem. Dbam o siebie, no i często myślę, że mniejsza ilość zmarszczek to głównie wynik tego, że od lat już się nie śmieję, więc mimika moja jest dosyć zredukowana. Rzeczywiście, jestem smutna, choć na ogół tego nie pokazuję. Ludzie mówią z podziwem: jesteś spokojna, opanowana, stonowana. A ja noszę w środku smutek. Może to nie jest jakiś straszny ból, ale coś ćmiącego, co przesłania świat, który wydaje mi się

bolesny i przykry, ale tak już na stałe, na zawsze. Od lat ten świat mnie boli, takim nieustannym, podskórnym bólem, od którego już się nie krzyczy, tylko się go czuje i cały czas uwaga jest na nim skoncentrowana, on zawsze jest na obrzeżu percepcji. I ten ból to głównie rozczarowanie, że tak to wszystko jest. I z tym seksem tak jest, i ze wszystkim innym też. Jakbym doszła do końca wszystkiego, jakby seks się wyczerpał i świat się wyczerpał. I ja doszłam do tabliczki z napisem koniec. Choć mam sny erotyczne, z orgazmem... Uwielbiam to, budzić się w orgazmie, całe ciało jest wtedy ciepłe, rozluźnione, radosne, bo wszystko jest jeszcze dalekie, ledwie zarysowane. Może więc to nie tak, że jestem poza tym obszarem. Może jestem wciąż w nim. Może tabliczka jest postawiona przez pomyłkę albo drobnymi literkami jest dopisane: ostatnie ostrzeżenie. Może tylko jestem rozczarowana, niezadowolona i dlatego śpię na poddaszu mojego pięknego domu, a mąż na dole. Mam piękną sypialnię, swoje łóżko, do którego z ogromną przyjemnością się kładę wieczorem, na ogół strasznie zmęczona. Często w środku takiego trudnego dnia myślę o moim łóżku, jak się w nim położę i zasnę, odpocznę. Bardzo je lubię. A najbardziej otworzyć latem okno na całą szerokość i zasnąć w cudownym powietrzu z mojego ogrodu. Rano budzę się jakby lekko napęczniała pod skórą, jakby tam ktoś wstrzyknął jakiś magiczny eliksir, całe ciało jest czymś cudownym wypełnione, czymś pachnącym, wilgotnym i ciepłym. A jeśli do tego dojdzie orgazm w czasie snu, to wstaję z ciałem, które jest obmyte od środka i na zewnątrz, czuję to jeszcze długo, każdy ruch jest niezwykle przyjemny, każdy ruch czuję jakby w delikatnym jeszcze zaspaniu, ale już rozbudzaniu się. To jest piękne, uwielbiam to. Gdyby jeszcze był seks w mojej sypialni przy tym otwartym oknie, to ja nie wiem, co czułabym rano. Pewnie jakiś kosmos. Więc jednak ciało jest w porządku, gotowe, nawet bardziej niż kiedyś, bo wszystko w nim tak dobrze funkcjonuje i ja je lubię. Tylko ci faceci są beznadziejni. Czy ja mam jakiegoś pecha? Czy oni wszyscy tacy są? Jak już domyty, z lekka przynajmniej zadbany, to kretyn. Jak ciekawy intelekt i osobowość, to ciało zapomniane, żałosne. A mój mąż... Wyszłam za niego głównie z powodu ciąży, miałam dwadzieścia lat i właśnie zamierzałam zakończyć tę znajomość. Dobry człowiek, ale bez polotu, ja zarabiam więcej od niego i ja pracuję więcej. Ja jestem facetem, który poszukuje, kombinuje, oszukuje urząd skarbowy i czasem delikatnie klienta, żeby zarobić, żeby ten dom dokończyć, bo w połowie okazało się, że pieniędzy, które mój mąż przeznaczył na to przedsięwzięcie, to nie wystarczy. Pamiętam jego żalną minę, kiedy ta informacja do niego dotarła i bezradnie wpatrywał się we mnie, szukając ratunku. W sumie żałuję, że nie podjęłam wtedy decyzji o sprzedaży tego w takim stanie, jak było. Bo okazało się, że to ja umiem sobie poradzić i pewnie sama zbudowałabym sobie dom, mniejszy, ale też piękny i z ogrodem, który wytwarza to ratunkowe powietrze. A teraz mam kretyna w tym domu, pracuję jak szalona, a on strzyże trawnik, podlewa rośliny i uśmiecha się debilnie. I że fajne auto sobie kupiłam, mówi. Żałosne. Osiem lat temu, kiedy znów w ten swój żenujący sposób próbował mnie zachęcić do seksu, wrzasnęłam: Nie! – i żeby się odpieprzył. Przestraszył się i już nie próbuje. Bo ta usługa jest niedostępna. Zarabiam, zarządzam, sprzątam, gotuję, zapraszam znajomych, pielęgnuję ogród z powodów estetycznych – to są usługi, które wykonuję. Ale seks – nie. No i dobrze, bo seks z nim to była bardziej masturbacja. Teraz, jako dojrzała kobieta, wiem, czego chcę. Bardzo dużo czasu mi to zajęło. Więc nie jest pewne, że ta wiedza to coś pozytywnego, może raczej nadmierny ciężar. Na przykład wiem, że seks będzie dobry, kiedy w czasie stosunku będę patrzyła w oczy mężczyźnie, z którym się kocham. Nigdy to się dotąd nie zdarzyło. Z moim mężem też – każde spojrzenie na niego to był odpływ ochoty na kontynuowanie seksu. Już lepiej było wyobrazić sobie kogoś innego albo zamykając szczelnie oczy, wykorzystać jego ciało jak narzędzie do zaspokojenia siebie, choć nigdy moje przeżycia z nim nie były nawet w połowie takie, jakie potrafię zapewnić sobie sama. A najbardziej lubiłam seks oralny, to znaczy, kiedy on zaspokajał mnie, bo nie widziałam jego twarzy. Chyba jestem zbyt szczerą? Ale w sprawie seksu tu przyszłam. No, więc teraz wiem, czego chcę, ale czy ja mam jakąkolwiek szansę to zrealizować? Zasypałam się tą pracą, tym

domem, moją firmą, która ze mnie wysysa wszystko. Więc teraz już wiem, ale szanse są niewielkie. Może zacznę wynajmować męską prostytutkę? Tak myślę, że mogłabym to zrobić. Tylko że to niebezpieczne, wyłącznie tego się boję. I doszłam już do tego, że życzę mu śmierci. Żeby coś mu się stało, żeby umarł, to wtedy przynajmniej jedna sprawa będzie załatwiona. I z tym też do pani przyszłam. To mnie zaniepokoiło, to życzenie śmierci. Bo zaczęłam zdawać sobie sprawę, że rozumiem, co to jest tak bardzo chcieć, żeby ktoś zniknął z naszego życia i nie mieć siły tego zrobić, a tak nienawidzić. Uświadomiłam to sobie, oglądając ostatnio *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*. Doskonale czułam ich emocje. A swoją drogą scena erotyczna w tym filmie to mistrzostwo świata. Każdy szczegół, łącznie z pończochami i widocznymi majtkami. Ale do rzeczy. Mój mąż jest miękki jak plastelina. Choć ja mówię: jak gówno. Jak plastelina mówiłam, kiedy jeszcze miałam dla niego jakieś cieplejsze uczucia, jak gówno mówię od czasu, gdy patrzeć już na niego nie mogę, gdy moja złość i niechęć do niego sięgnęły zenitu. Nie można być z kimś, komu życzy się śmierci. Kiedy on wyjeżdża z domu, szczególnie gdzieś dalej, ja wtedy kombinuję – zawsze może zdarzyć się wypadek, zawsze jest szansa, że on nie wróci. I widzi pani, większość kobiet modli się, żeby mąż wrócił, żeby nic mu się nie stało, a ja całkiem odwrotnie. I już układam sobie w głowie, jak to będzie, gdy on nie wróci. Jak przemebluję dom, co zrobię w ogrodzie, co zrobię ze sobą, jakie zmiany wprowadzę w swoim życiu. Miękki jak plastelina czy gówno... To chyba było na początku dla mnie nawet dobre – odpoczywałam przy nim, bo jakoś tak był tylko tłem, cieniem. Swoją nijakością, a jednocześnie umiejętnością nieskomplikowanego bycia w świecie uspokajał mnie. Teraz myślę, że to śmieszne – ja wtedy myślałam, że to facet fantastycznie nawiązujący kontakty. A przecież on tego nie potrafi! Ja załatwiam sprawy z ludźmi, rozmawiam, konwersuję; on jest w tym żaloszny, zatrzymał się na etapie szczeniackich tekstów z czasu studiów, wspartych wódką i brakiem samokrytycyzmu. Ja mozolnie, wychodząc ze skrajnie niskiego poczucia własnej wartości, budowałam w sobie wszystko krocze po krocze. No i zbudowałam. Nawet nieźle to wyszło. On nic nie budował, bo nie ma w nim refleksji na swój temat. Więc nie ma rozwoju. I teraz jest jak wrzód na dupie. Mam dość. I wie pani, co mnie jeszcze wkurza? Obsrane ręczniki. Czasem myślę, że on używa ich jako papieru toaletowego. Na początku to ja się tego wstydziałam, szybko zmieniałam ręcznik lub zapierałam, jeśli plama była nieduża, i myślałam, każdemu się zdarzy. I na początku to nawet sobie z tego żartowałam, że to chyba nowe płótna Pollocka, co parę dni nowy wzór, ale szybko przestało mnie to bawić. Demonstracyjnie wieszałam ręcznik, eksponując obsraną stronę, lub mówiłam, na przykład, żeby, broń Boże, nie brał mojego ręcznika, ale on nie rozumiał, o co chodzi. Jak się kochać z facetem, który robi takie rzeczy z ręcznikami? Dla niego to nie ma większego znaczenia. Zero wrażliwości estetycznej. I tak jest do dziś. Żaloszne. Może powinnam zatytułować moją opowieść „Historia z obsranymi ręcznikami”? Zabrakło mi dziesięciu, a najlepiej piętnastu lub dwudziestu lat, żeby zdążyć. Żeby zdążyć ze sobą, to znaczy ze swoim życiem. Chodzi o to, że dopiero teraz jestem gotowa do życia. Tyle że mój czas już minął. Nie zauważyłam, że mija, jakoś wciąż wydawało mi się, że jest go dużo. A mój ginekolog mówi mi: „Musimy zmienić hormony na inne, bo panią już trzeba wyciszać, już musimy się wycofywać z estrogeneru, on nie jest już pani potrzebny”. Jak to niepotrzebny? Przecież ja muszę znaleźć wreszcie kogoś dla siebie, teraz już wiem, kto to ma być. A tu – wyciszać? Wycofywać? No to co ja będę robić? Z mężem idiotą w wielkim domu, z pracą, co mnie pożera, ze świadomością końca? Starość przychodzi niepostrzeżenie i nagle ją widzisz, że jest, choć była od dawna, tak sobie siedziała w kącie i czekała grzecznie, aż ją zauważysz. Nawet co jakiś czas machała ręką, dając znak, że jest. I doszło do mnie, że z moim ciałem dzieją się rzeczy nieodwracalne, ostateczne, jakieś takie nie do cofnięcia. Nic nie da się oszukać. Żadnego wyjścia. Wszystkie furtki zatrzaśnięte. Więc czuję żal. Krzywdę. Złość, jeśli już pani pyta. Ja nawet nie miałam czasu pojeździć po świecie i ucieszyć się nim. Zrobię to teraz, jasne, tylko że na pięknej plaży na Hawajach już nie spotkam królewicza, który się we mnie zakocha. A tak miało być.

Ale związałam się z idiotą, o którym długi czas myślałam, że jest mądrzejszy ode mnie. Tak mnie wychowano, że jestem nikim, najgłupsza w rodzinie, taka dziewczyneczka myśląca o niebieskich migdałach, którą trzeba prowadzić za rączkę. Tylko okazało się, że ci inni zatrzymali się na poziomie robotników, a ja skończyłam studia i prowadzę dobrze prosperującą firmę. Fajne. I proste się okazało. Gorzej ze sferą relacji, uczuć. Zostałam z niczym. Z jakąś cholerną pustką. W dodatku ginekolog powiedział mi, że jeszcze trochę, a macica wyleci ze mnie, bo mięśnie dna miednicy mam słabe. I że on mnie skieruje na operację. O nie, żadnych rzeźnickich interwencji w moim ciele, pomyślałam. Jakie mają być te mięśnie, jeśli nie uprawiam seksu od milionów lat, mówiłam przecież, tak? Ale znalazłam sposób – kupiłam sobie wibrator, kulki, no i jeszcze płytę z ćwiczeniami. I wieczorem idę do siebie na górę i ćwiczę z wibratorem. A wie pani, co jest najgorsze? Że coraz bardziej mi się nie chce. Coraz mniej czuję. Może jednak umarłam dużo wcześniej. Może moje krocze jest martwe. Wibrator stał się przyrządem do nudnych ćwiczeń. Nie rozpala. To znaczy, pewnie spełniałby swoją funkcję, gdybym miała więcej hormonów czy czegoś jeszcze. Może gdybym była żywa, po prostu. Gdybym żyła w swoich emocjach, gdybym czuła w sobie energię życiową. A nie czuję. W klimakterium zmienia się zapach, tak zwany intymny zapach. Bez estrogenu pachnie się inaczej. Nie to, że brzydko – inaczej. Estrogen dawał taki ciepły, mleczny zapach, no i śluz oczywiście, przez co komfort ciała był zdecydowanie większy. Ja zawsze miałam dużo śluzu, nawet mi to przeszkadzało. A teraz jest zbyt sucho. Nie mogę się przyzwyczaić. I nie chodzi mi o śluz w trakcie seksu, bo jak pani wie od kilku... kilkunastu milionów lat go nie ma, ale o śluz... no, taki codzienny, który nawilża i chroni krocze, przez co nie czuje się go, bo jest jak naoliwiona maszyna, bezszmerowa. A teraz właśnie tego nie ma. To był błąd, wyjść za tego człowieka. Owszem, miłego, ale tak nieudolnego, ograniczonego, nierozwijającego się, nierozumiejącego mnie. Bo zaszłam w ciążę z nim. I zostałam dla dziecka, dla dzieci. Gdyby nie ta ciąża, odeszłabym, z pewnością. Ale zostałam. Co by było, gdyby nie ta ciąża? Byłoby pewnie inaczej, nie wiem, czy lepiej. Teraz wydaje mi się, że byłoby lepiej, bo może dostałabym coś więcej od życia. Ale może nie byłoby tak. Nie wiem. Chcę być wściekła na niego, bo może ta złość pozwoli mi wszystko to zmienić. Wie pani, w czym się najbardziej pomyliłam? W ocenie jego motywacji. To znaczy przez lata myślałam, że on coś robi ze sobą. Znajdzie dobrze płatną pracę, będzie miał jakieś zainteresowania, pasję, jakąś koncepcję na siebie i swoje życie. Często zresztą robił takie wrażenie, że właśnie już za chwilę, już wszystko jest tuż-tuż, zaraz wystartuje i pięknym lotem wzniesie się wysoko. Ja chyba załapywałam się na to koncertowo. Później jakoś tak wszystko się rozwiewało. Nie wiadomo, dlaczego nic mu się nie udawało. Dopiero teraz wiem – to jest wieczny niewolnik. Zawsze osiągający minimum. Nie oczekuje więcej. Nie marzy. Nie ma koncepcji. Tkwi w miejscu. A ja ciągle biegnę, choć czasami się czołgam. Marzenia mam ja. Ale też nigdy nie jestem w miejscu, w którym mogłabym czuć się dobrze i mieć poczucie spełnienia. On ma je zawsze. To ja nie mam komfortu. On ma zawsze. I wydaje mi się, że głosował na PiS. Gdybym żyła sto pięćdziesiąt, dwieście lat, to udałoby mi się w końcu znaleźć moje miejsce, być w nim stabilnie i komfortowo. Ale ja musiałam układać to wszystko kawałeczek po kawałeczku. Takie małe kawałki. Taka trudna układanka. I wie pani, co mnie wkurza? Myśl, że coś mi się stanie, umrę, a on zostanie w tym wypieszczonym domu z ogrodem, weźmie jak swoje i tak za friko zostanie obdarowany efektem mojej ciężkiej harówki. To mnie tak wkurza, że jest to najważniejszy powód, żeby żyć. A mogło to być takie dobre, udane życie. Ale nie będzie. Opowiem pani jeszcze coś, sen, jaki miałam dzisiaj. Śniło mi się, że mojemu mężowi wyrósł przy uchu penis. A właściwie podobny twór, to znaczy coś między pypciem a penisem; jak na pypeć za duże, bo wielkości męskiego palca, jak na penis za małe. Choć właściwie – od razu tak pomyślałam, w tym śnie – jeśli chodzi o fiuta mojego męża, to wielkością się nie różniło za bardzo. I w tym śnie zaczęłam krzyczeć na niego, czy był z tym u lekarza, co z tym chce zrobić i w ogóle, co to jest. A krzycząc, czułam i wstyd, że on teraz będzie paradował z tym pypciem-fiutkiem,

i wściekłość, że tak głupio wygląda, i rozpacz, że mój mąż, mój mężczyzna niby, ma tego fiuta przy uchu. A on zaczął się cofać przede mną, z takim zaszczutym wyrazem twarzy, jaki widziałam u niego, gdy jeszcze na niego krzyczałam z bezsilnej wściekłości. Bo od dawna nawet tego mi się nie chce. I widziałam kątem oka, że ktoś tam jest jeszcze i zaraz się odwróci, zobaczy tego idiotę z fiutkiem przy uchu i to będzie moja totalna kompromitacja. Bo ten facet jest moją totalną kompromitacją. No, więc tyle chciałam powiedzieć na początek.

– Czy już mówiłem, jak bardzo cię kocham? – Zmęczył się i musi odpoczywać, oparty o poduszki, z ciężkim oddechem, z kroplami potu spływającymi po policzkach.

Zuzanna delikatnie dotyka jego ust wilgotną chusteczką.

– Adasiu, kochanie, nie męcz się.

– Będę powtarzał wiele razy, bo chcę, żebyś zapamiętała i przypominała sobie... później. A to przecież już za chwilę. – Uśmiecha się, ale wychudzona twarz uśmiech zmienia od razu w grymas i tylko oczy odrobinę pojaśniały. Chyba. A może tylko ona bardzo chce, żeby tak się stało. – I obiecaj mi, że zrobisz wszystkie badania, jakie kazali. I jeśli zdecydują, że operacja będzie konieczna, to się zgodzisz. To w końcu jest serce, Zuzku. Trzeba o nie dbać. Obiecaj...

– Oczywiście, tak zrobię.

Adam przymyka oczy, a Zuzanna z przerażeniem uświadamia sobie, że coraz krótszy jest czas między jednym przymknięciem zmęczonych oczu a kolejnym. Między jedną drzemką a drugą. Jego energia gdzieś wyparowuje, rozplywa się, znika. Jego cierpienie obezwładnia. Zuzanna nie odzywa się już, aby nie płakać przy nim. Rzeczywiście, może już za chwilę.

Boi się tak bardzo i jest jej tak strasznie żal Adama. Nie powie mu, a ponieważ nie powiedziała dotąd, to już się nie wydarzy, że najpierw chciała się na nim tylko wesprzeć. Nie powie mu, że jest pusta w środku od tylu lat. Możliwe nawet, że od dawna już nie żyje. Chyba jednak nie tak. Żyje, niestety żyje, co rozpoznawała długi czas tylko po tym, że czuła ból i przerażającą pustkę. I że samotność wydawała się wtedy zbyt ciężka, kosmicznie ciężka, że pewnie zakończyłaby ją, gdyby nie Kuba.

Z Adamem nigdy nie zamierzała być tak blisko, bo zawsze brakowało kilku elementów, których nie potrafiła odnaleźć, by dołączyć do pustych miejsc, jak to bywa z zagubionymi kawałkami puzzli. Czuje się jednak winna, bo może oszukała go, wykorzystwała, bojąc się o siebie. Bo strach był coraz trudniejszy – strach przed pustym światem, pustym własnym wnętrzem, pustym czasem. Bo przekonała się, że samotność kiełkuje w nocy z najczarniejszego ziarenka fasoli zgubionego pod łóżkiem. Oplata mocniej z minuty na minutę, z godziny na godzinę, zaciska się na całym ciele, a rano pozostają ciemne pręgi, które boją, widać je później cały dzień, aż do następnej nocy, gdy wykiełkuje kolejne czarne ziarenko. Więc... z tego strachu przed czernią. Czy gdyby on wiedział to wszystko, chciałby z nią być? Nigdy się tego nie dowie. Tak czy inaczej, ona chce być z nim teraz, choć to bardzo boli, ale cóż to za ból w porównaniu z jego bólem. Czy z przyjaźni, czy z miłości, będzie z nim. Nie powie mu też nigdy, że dwa słowa wypowiada dokładnie tak jak Igor, i za te ułamki sekund była mu wdzięczna, choć on takiej wdzięczności nie chciałby z pewnością. On dał jej miłość, ona jemu może bardziej przyjaźń, ale czasem to się przecież przeplata i miesza. Przyjaźń może nawet jest ważniejsza, bo trwalsza i solidniejsza, dużo bardziej konkretna i uchwytana. Tylko że ta jej solidna przyjaźń zostawia zbyt duże przestrzenie, które chyba można nazwać... no właśnie... samotnością? Jednak samotnością, tylko trochę stępioną czy rozwodnioną – i dobrze, że przynajmniej tyle udało się zrobić.

Ich dom, który tak bardzo lubiła. Inaczej niż mieszkanie na Lipowej, pełne wspomnień, obrazów i słów, pełne dobrych i złych zdarzeń, nasycone treścią już pierwszego dnia, gdy tam weszła. Dom dopiero przygotował pierwszą kartkę do wypełnienia niewiadomą przyszłością.

Przymyka oczy i widzi Adama przede wszystkim w ogrodzie, który wspólnie tworzyli i pielęgowali. I jaki to przecież zawsze był i jest piękny ogród. I piękny dom. Jak bardzo Adam się starał, żeby to był najpiękniejszy dom na świecie, jak bardzo wierzył, że jest to możliwe. Bez Adama nie da się już nawet udawać, że jest życie w tym domu. Czasem, gdy czuła się wyjątkowo źle, przytłoczona wspomnieniami i górą smutku, bała się, że ten dom jest prawie martwy, dom zombi. Dla zombi i sam w sobie zombi, ni umarli, ni żywy. Piękne dekoracje, starannie dobrane, gładkie lub szorstkie w dotyku, ciepłe, chłodne lub gorące, w zależności od miejsca. Obce. Później góra przesuwiała się za horyzont, obraz nieco jaśniał i nabierał barw, dom obejmował ją delikatnie i utulał bez pretensji do snu. Rozświetlony poranek na tarasie znów przenikał przez skórę i oczy do wnętrza jej ciała i prawie nieodczuwalne już było to coś, ten mikroskopijny fragmencik, może okruszek lustra z bajki Andersena, może maleńkie, zagubione ziarenko tej czarnej fasoli, którego wciąż nie mogą dosięgnąć zbawcze promienie słońca. Bo jakoś za głęboko, zbyt zimne od samego momentu powstania, jak bryłka lodu. Nie mogło, nie chciało lub nie umiało wchłonąć w siebie słońca. Ale Adamowi nigdy tego nie powie.

Może z zamkniętymi oczami wskazać precyzyjnie na mapie swojego życia moment, gdy czas się zatrzymał. Ten moment wracał w snach, z których budziła się zapłakana, z przenikliwym bólem tęsknoty za Małgosią. Każdy dzień, który nastąpił później, był pokiereszowany, kaleki. Teraz dni będą jeszcze bardziej okaleczone. Wyobrażała sobie ciszę i bezruch tego domu, w którym miała zostać sama, martwożą zwielokrotnioną, bez możliwości ucieczki. Będzie musiała to sprzedać razem z wypieszczonymi różami, rododendronami, magnoliami. Będzie musiała sprzedać razem z tym martwym życiem. Ale przecież w nowe miejsce, w którym przyjdzie jej martwo żyć, zabierze wszystko ze sobą.

– Nie oszczędzaj już tej porcelany Estery, pij z niej codziennie herbatę. Obiecujesz? – Otworzył oczy.

Patrząc w nie, wiedziała, że ból będzie za chwilę większy. Za niedługi czas będzie musiała pójść po pielęgniarkę.

– Tak, kochanie, oczywiście. Kiedy wrócisz do domu, wypijemy z niej najdziwniejszą herbatę, jaką znajdę w sklepie.

– Ja już nie wrócę do domu. Boję się tylko tego, czy sobie poradzisz. Pamiętaj o kupieniu drewna do kominka, pamiętaj o zabezpieczeniu róż na zimę, pamiętaj o naprawieniu odśnieżarki... – Zaczął kasłać i Zuzanna przeraziła się, że gwałtowność tego kaszlu sprawi mu jeszcze większy ból.

Podniosła go z rozmachem za ramiona, zdając sobie sprawę, że źle wymierzyła, on jest o wiele lżejszy, niż miała to w pamięci sprzed dwóch dni i przez to bardziej go szarpnęła, niż podniosła. I że to się tak zmieniło w ciągu tych dwóch dni, kiedy jej przy nim nie było.

– Przepraszam – szepnęła. Nie musiała nic mówić, nie chciała nic mówić. Bała się spojrzeć mu w oczy. Poprawiła poduszkę, starając się nie czuć jego zapachu, który też przez te dwa dni stał się bardziej nieprzyjemny. – Wiesz co, przestań mi to wszystko mówić, ja pamiętam, a poza tym ty mi przypominasz, jakby co... – Starła się mówić naturalnie, on jednak zbyt był wyczulony na nieprawdę w głosie.

– Nie musisz aż tak się starać i udawać. Ja naprawdę wiem, że umieram.

Dotknął jej policzka, po którym potoczyła się łza.

– Mimo wszystko chyba nie było ci ze mną bardzo źle, mam nadzieję...

– Domagasz się pieśni na swoją cześć czy co?

– Nie, chciałbym wiedzieć. W końcu sporo lat spędziliśmy razem. Byłaś ze mną dłużej niż z którymkolwiek z nich. Z tym, że z nimi byłaś z miłości. Ze mną z innych powodów... – Spojrzał prosto w jej oczy. – Ale najdłużej. W sumie powinienem być zadowolony, ale wiesz co, jestem zazdrosny o nich. Zawsze byłem. Szczególnie o Igora. Wciąż go kochasz, prawda?

– Nie, nie kocham – zaprzeczyła bardzo gwałtownie, niepotrzebnie aż tak.

Miłość... Widziała ją ostatnio, kiedy wyskakiwała z dziesiątego piętra, trzymając Małgosię za rękę. Powinna wyskoczyć sama.

Patrzył na nią zbyt długo, by udało jej się wymknąć niepostrzeżenie. Bała się uczynić jakikolwiek ruch, gest, bała się o swoją zdradliwą mimikę. A on patrzył przesywającymi oczami, które niejedno kłamstwo potrafiły wyłapać z najlżejszego potknięcia szybko mrugających powiek, niemal niewidocznego drgnięcia najmniejszego włókienka mięśni szczęk, niespodziewanego rozszerzenia źrenic lub nadmiernego zwężenia naczynka krwionośnego przebiegającego przez policzek. Tylu podsądnych, tylu kłamliwych morderców.

Zamknął wyczerpane uważnym patrzeniem oczy, leżał chwilę bez słowa. Zuzanna nie pytała o nic. Po chwili znów rozkasłał się boleśnie i męcząco.

– A jak tam Lucky?

– Tęskni za tobą bardzo – szepcze Zuzanna.

Nieprawda, nawet nie zauważył, że cię nie ma. Jak zwykle je, wydała, śpi i bawi się na przemian. Nie myli się w sumiennym odtwarzaniu tej kolejności.

– Róże są teraz najpiękniejsze... – Adam przymyka oczy i pewnie widzi pod powiekami wszystkie te kolory kwiatów, które dobierali starannie, żeby kwitły w różnym czasie i jeszcze żeby pięknie pachniały. To nie było łatwe, ale się udało. Taki dobry czas z nim w tym domu, w tym ogrodzie, przy niedalekim lesie. Spokojne lata, takie poukładane, wygodne. Mogły być takie. Mogłyby być. Powinny być takie.

Od początku było wiadomo, że nie będą.

– Tak, kochanie, są piękne...

– A Susan zakwitła po raz drugi, prawda?

– Tak, kochanie, zakwitła, ma dużo kwiatów. Wygląda zupełnie jak wiosną, tylko ma liście...

– Tak... Chciałbym właśnie ją mieć przy swoim grobie.

– Jest jakaś niesprawiedliwość, a może właśnie odwrotnie, może to bardzo sprawiedliwie, że psychologowie mają tak utrudniony dostęp do psychoterapii. Przecież ja przejechałam przez pół Polski, żeby jak najdalej być od swojego miasta. Tam wszystkich znam, nigdy nie odważyłabym się mówić o swoich intymnych sprawach terapeutce stamtąd. Jadąc do pani, zastanawiałam się, no dobrze, będę u pani na terapii, ale przecież możemy się spotkać na jakichś szkoleniach, warsztatach czy gdzieś tam. I co wtedy? Jak ja się będę czuła? A jak pani? Co my obie z tym zrobimy, co ja zwłaszcza z tym zrobię? Ale trudno, muszę podjąć to ryzyko, potrzebna mi terapia i to taka naprawdę, nie powierzchowna, kłamliwa i na odczepnego, jak do certyfikatu. Nie była to prawdziwa terapia, bo była oparta na nieprawdzie. Wtedy kontrolowałam się i starannie unikałam szczerego mówienia o sobie. Lubię ten wyraz – starannie – możliwe, że często będę go używać. Zrobiłam ten certyfikat, ale zawsze miałam poczucie, że on mi się wcale nie należy. Że to jakaś ściema, nieprawda, że ja się nie nadaję do tej pracy. Kłamałam w tamtej terapii, a może właściwsze byłoby: nie ujawniłam prawdy o sobie. W ogóle siebie nie ujawniłam. A prawda jest taka, że pracuję wyłącznie dla własnych celów, wykorzystuję moich pacjentów. Są mi potrzebni. Pracuję po to, żeby oni wypełniali moje życie. Mało powiedziane – oni są moim życiem. Moje prawdziwe życie nie istnieje. Jestem samotna. Zdziwi się pani, ale jestem dziewicą. Mam prawie pięćdziesiąt lat, a nigdy nie spałam z facetem. Nigdy nie byłam w związku. Za bardzo się boję. Zawsze byłam grzeczną, wyizolowaną, wystraszoną, właściwie przerażoną dziewczyną. Mój dom rodzinny, oczywiście, zbudował to we mnie. Oboje rodzice pracowali naukowo, mama matematyk, ojciec fizyk. Dosyć straszne, prawda? W moim domu nie było dźwięku, nie istniał, dźwięk pozostawał za ścianami domu, odbijał się od nich i nie przedostawał do środka. Oni cały czas czytali. Tylko czytali. Nie rozmawiali, nie byli w żadnym kontakcie. Takie duchy, zastygłe w pozach czytaczy. Ojciec najczęściej

czytał, leżąc na kanapie, mama natomiast na ogół siedziała przy biurku. Każde w swoim pokoju, bo dom był duży, po dziadkach. Kiedy już coś powiedzieli do siebie, to szeptem lub bardzo cichym głosem. A ja... Jakbym przeszła wtedy w inny wymiar, tak teraz to widzę. Ja gdzieś tam siedziałam cichutko, chyba nieruchomo, i budowałam w głowie światy. Przeróżne. Odzwyczaiałam się od realnego świata i bardzo szybko zaczął mi przeszkadzać – za głośny, zbyt napierający na mnie, zbyt jaskrawy, atakujący wszystkimi bodźcami. Więc jakbym się zdysocjowała bardzo wcześnie, rozdwoiła, powierzchownie żyjąc w rzeczywistości, ale naprawdę w tworzonych przeze mnie krainach. I kiedy zaczęłam pracować jako terapeuta, te moje światy zaczęły wypełniać pacjenci. Mężczyźni, których nigdy nie miałam. Ile miłości, ile romansów przeżyłam ze swoimi pacjentami. W wyobraźni oczywiście. To się kwalifikuje jako złamanie kodeksu etycznego czy nie? Tak myślę, że nawet nie byłabym w stanie w realu zbliżyć się do nich, bo mój strach mi to skutecznie uniemożliwia. Ale wyobraźnia, proszę bardzo. Tam wszystko się dzieje. Dla mnie dzieje się bardziej niż w rzeczywistości. No to romansuję z nimi czy nie? Moim zdaniem nieustannie. Karmię się nimi. Żyję dzięki nim. Pracuję po to wyłącznie, żeby być z nimi, żeby te relacje nierelacje, trwały. Na szczęście coraz więcej mężczyzn przychodzi na terapię indywidualnie, ale kiedy przychodzili z żonami czy partnerkami, na małżeńską czy rodzinną terapię, też z nimi romansowałam, co było bardzo ekscytujące, bo przecież żona mogła się zorientować. Ale nigdy żadna z tych kobiet niczego nie wyczuła, choć wiadomo, że to kobiety mają dużo lepsze wyczucie emocji, intuicję, ale ja w swoim rozdwojeniu świetnie sobie radziłam, jednocześnie i równolegle funkcjonując w obu obszarach – w jednym trwa terapia, jestem neutralna, wszystko widzę i rozumiem, w drugim jestem w związku z tym mężczyzną, budujemy burzliwy romans oparty na grach słów, subtelnym porozumieniu i szczególnej komunikacji. Znowu chce mi się wtedy żyć, idę do fryzjera, odchudzam się, chodzę na fitness i tak dalej, jak to kobiety w standardzie mają. Budzę się wcześniej tego dnia, gdy jest sesja z tym mężczyzną, i przez godzinę starannie wybieram ubranie, jakie włożę. Myślę o nim cały czas, rozmawiam z nim, śmiejemy się z jego czy moich żartów, opowiadamy sobie, co nas spotkało tego dnia, mówimy sobie, co działo się w pracy, co dzieje się w polityce, na świecie, co o tym myślimy. Jest cudownie. A kiedy romans się kończy, z różnych powodów, czasem z powodu zakończenia tej realnej relacji, czyli terapii, czasem z powodu drop outu, ja cierpię. Tęsknię. Umieram. Pamięta pani taki wiersz, chyba Pawlikowskiej: „moje życie wstawione w cień więdnie bez światła dziennego. Codziennie odpada z niego jeden, pożółkły dzień”. Jakoś tak. Możliwe, że coś przeinaczyłam, ale sens jest taki. Więc dni odpadają pożółkłe, aż pojawi się następny kochanek. Wtedy ja rozkwitam. Wychodzę z cienia i rozkwitam. Czuję ciepłe słońce na twarzy, odrastają mi włosy i paznokcie, które w cieniu obgryzam. Paznokcie znaczy. Skóra odzyskuje koloryt. Żyję. Znowu mam z kim rozmawiać, mam kogo uwodzić, mam kogoś, kto wypełnia mi czas i puste miejsca w życiu. Zanim zasnę, rozwijam w głowie barwne scenariusze ze starannie konstruowaną fabułą, mogę godzinami je snuć i przeglądać klatka po klatce. Bardzo starannie oczywiście. I znowu fitness, zakupy, kosmetyczka. Radość. Patrę na mężczyznę siedzącego naprzeciw mnie w fotelu, w gabinecie i mówię mu: oto jesteś. Jak cudownie, że jesteś. Tęskniłam. Czekałam. Chorowałam w samotności z samotności na samotność, ale doczekałam się, mam cię tutaj, wyłącznie dla mnie jesteś. Widzę cię, twoją twarz, ramiona, dłonie. Buduję wiedzę o tobie z twoich słów, gestów, czasem łez, ale też ubrań, które i jak nosisz, z tego, czy przychodzisz punktualnie na sesję, czy też się spóźniasz, z tego, jak wchodzisz w drzwi, jak siadasz i gdzie, jak wychodzisz z gabinetu, jak czekasz na korytarzu na sesję. No i jak na mnie patrzysz, jak reagujesz. I po krótkim czasie wiem o nim wszystko. Jestem tak blisko niego, jestem z nim. A on jest ze mną. Jesteśmy ze sobą, po prostu. Dla Wiktora, cudownego biznesmana z lękami panicznymi zakładałam stringi. Nosiła pani kiedyś stringi? Pewnie tak. Sama pieszczota, permanentne pobudzenie, świadomość nagości. Układaliśmy plan radzenia sobie z paniką, całą procedurę, krok po kroku, naukę oddechu, a ja cały czas czułam te stringi i mówiłam mu

w myślach: jestem naga pod sukienką, jestem dla ciebie. Szkoda, że tak szybko opanował oddech. Był też Rafał, przychodził z żoną. Wciąż się kłócili, bez przerwy niemal, a ja obserwowałam kropelki potu na jego czole, nabrzmiące, ach, jak bardzo, żyły na skroniach i czułam najprawdziwszy orgazm rozlewający się po moim ciele cichuteńko, delikatnie, aż do najgłębszego oddechu, którego nie było słychać w ich podniesionych głosach. Ponieważ wciąż milczałam, zajęta kontemplacją jego ciała, a także swojego ciała, dostali przestrzeń, która pozwoliła im wyklócić się do końca, i bardzo szczęśliwi odeszli. Szkoda. Tęskniłam za nim. Snułam się po centrach handlowych z tysiącami scenariuszy w głowie, jak się zobaczymy, jak on się uśmiechnie, podejdzie, zaproponuje kawę, ja oczywiście odmówię, bo powiem, nasza relacja wyklucza wspólne picie kawy. On odpowie, że od początku chciał tę relację zmienić, tylko nie śmiał, ale teraz, widząc mnie po tak długim czasie, uświadomił sobie, jak jestem dla niego ważna, i poświęci wszystko, aby być ze mną i tak dalej. Scenariusz z centrum handlowego z różnymi zmianami budowałam miliony razy, łąząc tam tylko po to, by dać szansę komuś się spełnić. Kilka razy spotkałam pacjentki, jednak baby chętniej chodzą na zakupy. Żaden pacjent nie przyszedł. To znaczy ja nie widziałam. Może któryś z nich mnie widział, ale był zbyt onieśmielony, żeby podejść, jak pani myśli? No dobrze, znów odjechałam. No to powiem tylko jeszcze o Maćku z twarzą Hansa Klossa, o Sylwku, który bał się czekolady, o Mariuszu, który kompulsywnie się onanizował, i z nim wszystko było zbyt dosłowne i pozbawione tajemnicy, nudził mnie. Może jeszcze o Ryśku, wiadomo, że wszystkie Ryśki to fajne chłopaki, a ten szczególnie. I może o Marku, bogatym i przystojnym, i jeszcze inteligentnym. Straszne, tyle zalet. Bardzo go kochałam, bardzo później za nim tęskniłam. Przyglądałam się mu, dotykając żenicami jego pięknych ubrań, jego ciała. Wślizgiwałam się oczami pod rozpięty kołnierzyk, pod mankiety jego koszul, a raz nawet zdarzył się niedopięty guzik na brzuchu. Przebijały się ciemne włoski, doprowadzając mnie niemal do szaleństwa. Bardzo lubię owłosionych facetów. Dla Marka zakładałam najpiękniejszą bieliznę, którą czułam cały czas, pamiętając, jak bardzo jest seksowna. Kiedy wychodził, wołałam do jego pleców znikających w drzwiach: „Nie odchodź” – a później dotykałam fotela, w którym siedział, by poczuć ciepło jego ciała, chwilę temu tam zagnieżdżonego, i piękny zapach drogich perfum, jaki zostawiał na pożegnanie. Tak, Marek był najcudowniejszy z nich wszystkich. Przemierzyliśmy cały świat, zakochani w sobie i wciąż sobą zachwyceni. W mojej głowie oczywiście. Śni mi się do dziś, choć upłynęło jakieś dziesięć lat. A moi rodzice... bez zmian. Mieszkamy razem, nie widzę powodu, aby się z nimi rozstawać. Oni się nie zmienili, to znaczy w sensie nawyków, sposobu życia, tak samo zaczytani, nieobecni. Czasem nie jestem pewna, czy jedli cokolwiek danego dnia. Przemykają przez mieszkanie jak duchy, bezszelestnie. Jakieś trzynaście lat temu minęłam się z tatą w przedpokoju. „Co słychać? – spytał mnie. – Jak w szkole?”. Dobrze – powiedziałam. Miałam wtedy trzydzieści pięć lat, tytuł doktora psychologii, pracowałam na uczelni i miałam od dawna swój gabinet, a on pyta, jak w szkole. Nie wiem, dlaczego nie powiedziałam mu wtedy, że pomylił mu się całkiem czas. Chyba chciałam go ochronić przed czymś, może przed koniecznością zaistnienia w rzeczywistości, w której nie potrafił funkcjonować. Nie wiem. Z taką łatwością przemierzał najbardziej zawile teorie fizyki, ale pogubił się w sprawie swojego dziecka, które już dawno dorosło, ale on tego nie zauważył czy o tym zapomniał. Co prawda jest tylko powierzchownie przystosowane do rzeczywistości, ale jedną nogą w niej jest. I chciałam powiedzieć jeszcze o jednym z moich pacjentów, o Zbyszku, który...

– Mężczyznom zdarza się wypić. Nie porównuj mi tu Piotra z alkoholikami, w rynsztoku nie leży, wina patykiem pisanego nie pije. Jak śmiesz w ogóle tak go nazywać? Domem się zajmij, mężem, dziećmi. Ale nie, ty zajęłaś się jakąś durną pracą, zamiast być żoną i matką. Co z ciebie za matka? Dzieci biegają z kluczem na szyi, obiady jedzą w garkuchniach, bo wielkiej pani magister w domu się nie chce siedzieć, tylko lata gdzieś, nie wiadomo po co. Rodziną się zajmij, a nie męża obrażać, takiego porządnego męża,

co zarabia na dom i haruje całe dni. Myślisz, że ja bym nie wiedziała, gdyby z nim coś złego się działo? Serce matki wszystko wie, powiedziałaoby mi, ostrzegło. Pan Bóg by mnie ostrzegł. Zmarnować mi chcesz syna. Tyle wiem i widzę. – Mama Piotra patrzy na Zuzannę z nienawiścią.

– Chciałam tylko mamę... panią... – Wcale nie chce, aby ta kobieta była jej matką. Wystarczy jej ta rodzona, z którą nie jest łatwo. Wystarczy. Do tej kobiety może dwa, trzy razy powiedziała „mamo”, jakoś tak przez nieuwagę, jak teraz. – Chciałam tylko panią poinformować, że Piotr pije. Za dużo. Alkoholizm jest procesem, rozwija się powoli, przez lata i...

– Ty nie mów do mnie jak do jakiejś szumowiny z tego twojego wariatkova.

– Czy mówi pani o pacjentach w szpitalu, w którym pracuję? – pyta chłodno Zuzanna.

– Już ty mnie uczyć nie będziesz. Mądra taka, myślałby kto.

Patrzą na siebie twardo.

Dobrze, że nie usiadłam. Byłabym teraz za nisko, ona miałaby przewagę nie dość, że swojego mieszkania, to jeszcze byłaby wyżej, myśli mechanicznie Zuzanna.

– Przychodzenie tutaj nie ma sensu... – mówi. – Pani nawet nie chce usłyszeć o tym, co się dzieje. Pani się boi. I tak go pani wychowała, w nieprawdzie i strachu. I teraz on taki właśnie jest...

– Wyjdź stąd!

– Właśnie miałam to zrobić.

Kiedy Zuzanna schodzi powoli po schodach, słyszy za sobą trzaśnięcie drzwi w mieszkaniu matki Piotra, czyli w byłym mieszkaniu Piotra. On tam się wychowywał, na tych czyszczonych w nieskończoność dywanach, w tych tapetach, obok tych zdjęć tworzących kłamliwą historię przeciwko niewygodnej rzeczywistości, którą trzeba było wciąż upiększać i kreować dla świata. Przecież nikt nie mógł wiedzieć, że pan sędzia pije i bije. Choć wszyscy pewnie wiedzieli, jak to zwykle bywa. Piotr bardzo musiał się napracować jako dziecko, by przystosować się do tych wymagań; dzięki swoim umiejętnościom przeżył. I oto jestem, mógłby powiedzieć radośnie i z dumą, oto jestem, idealny produkt tego procesu. Zawsze byłem zdolny i pojętny. Nauczyłem się zadowalać moją matkę, którą kochałem ponad życie. Ty nie wiesz, jak to było zobaczyć jej oczy nad swoją twarzą, gdy karmiła mnie piersią. Co prawda gdybym obserwował to z boku, mając tę wiedzę co dziś, powiedziałbym, że patrzyła na mnie dosyć pustym wzrokiem, ale wtedy nie znałem innego spojrzenia, innych oczu. Jej oczy były całym światem. Szybko nauczyłem się, co trzeba zrobić, żeby nie ciemniały i nie odwracały się ode mnie. Co zrobić, by patrzyły na mnie i uśmiechały się. Bardzo szybko nauczyłem się tak postępować z moją matką, by jej twarz była radosna, zadowolona. Ojciec był dalej, ledwie go widziałem, ona oddzielała mnie od niego. A ja bałem się ją odsunąć z pola widzenia, bo jego nie znałem tak dobrze, nie wiedziałem, co mnie przy nim czeka. Nie chciałem ryzykować. Bałem się. Wolałem stracić jego, bo nie wiedziałem, co tracę, i czy w ogóle tracę, byleby nie stracić jej, czyli tego, co już wiedziałem, że jest, a nie wiedziałem, że takie koślawe. Ale okazało się, że bez niego też nie mogłem żyć. On domagał się mnie tak samo jak ona. Znalazłem się w pułapce. Więc musiałem po cichu być taki jak on. Żeby powiedzieć mu w ten sposób, że jest tak samo ważny, że ja jestem jego. Tylko ona nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy. Widzisz zresztą, jak bardzo się staram. Gdyby się dowiedziała, pomyślałaby, że ją zdradziłem dla niego. Mogłaby tego nie przeżyć, a wtedy ja bym tego nie przeżył. Więc kiedy mnie poznałaś, byłem taki, jakiego ona chciała mieć, ale też taki, jakiego ty chciałaś mieć. Tak naprawdę bardziej byłem dla niej. Dla ciebie udawałem. To jej oczy były pierwsze, od tego nie mogłem się oderwać żadną miarą, o nią musiałem zadbać najpierw. Ale kiedy minęło trochę czasu, okazałem się taki jak ojciec, więc to było również czy wyłącznie dla niego. Ale ja o tym też nie mogę wiedzieć; gdybym tego wszystkiego się dowiedział, mógłbym nie poradzić sobie z tym zagmatwaniem. Może więc nie próbuj burzyć tego, co zbudowałem. Trzymam to całym sobą, żeby się nie rozsypało, nie upadło. Zbieram rozproszone fragmenty każdego dnia

na nowo, składam w tamtą całość i obejmuję mocno rękami, ale wciąż rozsypuje mi się i wymyka. Ale nie chcę innej budowli. Musiałbym tyle zrobić, na przykład przejść przez ogień. To pewnie boli...

– Z tym jedzeniem to jest tak, że wciąż muszę uważać. Liczę, kombinuję, ile tych kalorii mogę zjeść, i najlepiej się czuję, kiedy upilnuję siebie. A jak już nie mogę się oprzeć, bo jestem głodna jak wilk i wpieprzam wszystko, co znajdę, to wymiotuję. Przyjemnie jest wymiotować. Wyrzucać z siebie cały ten syf. Chociaż to coraz trudniejsze, bo wszystko mnie boli od tego rzygania, przełyk mnie boli, język. To od tych kwasów z żołądka. I zęby sobie niszczę. Z zębami jest coraz gorzej. Więc usta wciąż płuczę i pastami różnymi myję. Ale rzyganie jest przyjemne. Oczyszczam się, znów jestem lekka i nie czuję się winna, że się obżarłam jak świnia, i nie jestem wściekła na siebie za to obżarstwo.

Kiedy wchodzę do tego szpitala przez bramę, czuję panikę. Nie mogę się tego pozbyć. Wciąż wracają tamte wspomnienia. Bo ten szpital wygląda jak tamten. Więc zaraz odtwarza mi się, jak mnie przywozili do szpitala, jak się szarpałam, chciałam uciekać, nikt nie chciał mi pomóc. Matka zawsze uruchamiała tę lawinę, kiedy miała nowego faceta i chciała z nim być sama. Zawsze wtedy mówiła, że coś się ze mną dzieje, że zaczynam świrować. A ja po prostu się z nią kłóciłam. O tego kolejnego kochasia, o to, że nie ma pieniędzy, a ja muszę kupić książki i zeszyty, o to, że piła i ćpała i tak dalej. Czy na kłótnię z matką daje się psychotropy? Wszyscy musieliby je zjeść. Pamiętam, jak siedzę na izbie przyjęć w kaftanie, naprzeciw mnie lekarz, niech mu będzie R., jak w jakimś komunikacie policyjnym w prasie czy telewizji. Gada z mamą i patrzy na mnie z obleśnym uśmiechem, bo znów dostanie mnie w swoje łapy. Będzie faszerować lekami i straszyć elektrowstrząsami. Ja siedzę tam, dygoczę z przerażenia, a moja matka gada, jak to źle ze mną, jaka jestem chora psychicznie, bo trzaskam drzwiami. Ja krzyczę, co ty gadasz, to nie jest choroba, a on patrzy na mnie z takim czymś w oczach, że wiem: nie ma dla mnie ratunku. Ja wciąż się trzęsę ze strachu przed jego łapami, pamiętam, jak wieczorami przyłąził do nas i obmacywał dziewczyny, mnie też, gdy byliśmy w kompletnym odlocie, nafaszerowane psychotropami. Tylko ja nie byłam pewna przez długi czas, czy mnie się nie zdaje to wszystko, co on robi, bo leki mieszały mi w głowie. Ale bałam się go potwornie. Dopiero gdy byłam przytomna, bo nauczyłam się wypluwać ten syf, widziałam to wszystko i z jednej strony poczułam ulgę, że jednak nie były to moje halucynacje, a z drugiej strony przerażenie, że to się działo naprawdę. A później został pobity. Trafił na mocnego chłopaka, nie na takie chuchro jak ja. Więc kiedy dobierał się do niego, oberwał. Bo jemu było wszystko jedno, chłopak czy dziewczyna, byle młode i bezbronne. No to mu się należało. Cieszę się, że Michał go załatwił. Pamiętam, jak taka półprzytomna usiłowałam powiedzieć na obchodzie, co się dzieje, ten cholerny... R., niech mu tak będzie, stoi naprzeciw mnie, w kółeczku tych cholernych lekarzy, ja płaczę się i chaotycznie mówię, co on robi, oni patrzą na mnie, kiwają głowami, a on ma w oczach kpinę... Efekt jest taki, że dokładają mi leków. Nikt mi nie uwierzył, nikt nie sprawdził tego, co mówię, bo świr. Więc dobrze, że go Michał pobił. Bardzo go pobił. Został kaleką na wózku. Michał był maltretowany przez ojca i wykorzystywany seksualnie. Dużo rozmawialiśmy, jak nauczyłam go wypluwać leki, bo jego też faszerowali bez sensu, choć on akurat wolał być taki skołowany. Ale mówiłam mu, że siebie niszczy w ten sposób, że może przecież wydostać się z tego gówna, ale lepiej, żeby był przytomny. I nie wiem, czy dobrze mu doradziłam, bo może gdyby był skutym lekami, to nawet by tego pierdolonego... R. nie zarejestrował umysłem, a tak, to go załatwił. On nie był chory, jego ojciec był chory. Michał lubił być w szpitalu i często udawał chorobę, żeby go przywieźli, miał wtedy wytchnienie od ojca. Ten... R. się naciął. Myślał, że Michał jest skutym. A tu niespodzianka. Wiem, że Michała uniewinnili, przecież chory, pomogło mu to udawanie, niby że był niepoczytalny. I dobrze. Dlatego nie powiem, gdzie to się działo, żeby pani czasem nie przyszło do głowy wydać Michała, który zresztą nie nazywa się wcale Michał. A ja, zanim nauczyłam się oszukiwać przy lekach, byłam przez nie całkiem skołowana. Nieprzytomna. Świat był

daleko, był albo nie był, to nie miało znaczenia. Siedziałam jak worek kartofli i nie bardzo wiedziałam, co się dzieje ze mną, wokół mnie. Jak o tym myślę, jak chcę sobie coś z tego przypomnieć, to przypominam sobie taką mgłę, smołę... Jakbym była pod wodą. I kiedyś były nowe pielęgniarki i wszystko pomyliły. To były takie młode dziewczyny, uczyły się dopiero, miały jakieś praktyki czy coś. Pomyliły mnie z dziewczyną, która miała takie samo nazwisko, tylko inne imię. Przez kilka dni nie dostałam psychotropów i wtedy zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Świat wrócił do mnie, ja wróciłam do świata. Oni się połapali i znów dali mi ten syf w kieliszku, ale ja już wiedziałam, że tego nie przełknę. Wyrzucałam. I czułam się coraz lepiej. Zaczęłam myśleć, kojarzyć i bardzo uważać, żeby czymś się nie narazić. Chcieli mnie wtedy szybko wypisać, tak się poprawił mój stan, bardzo byli zadowoleni z siebie ci durni lekarze, ale matka nie chciała mnie zabrać, no bo za krótko byłam poza domem, ona jeszcze nie zdążyła się nacieszyć swoim nowym facetem. Wymyślała, kombinowała, ale ja już umiałam grać, już nie dawałam się wyprowadzić z równowagi, co zawsze traktowali jako ataki agresji i skuwali mnie wtedy lekami. Byłam grzeczna, uprzejma, uśmiechnięta, no po prostu okaz zdrowia psychicznego. Wymyśliłam, że zamieszkać u babci. O dziwo, zgodziła się, mama zachwycona. Babcia co prawda nie taka znowu cudowna, nie lubiliśmy się za bardzo, ale akurat zmarł dziadek i czuła się samotna. Ja chciałam za wszelką cenę wyrwać się z domu, więc byłam grzeczna jak aniołek, skończyłam szkołę. Kiedy nie brałam syfu, to moja głowa pracowała normalnie, czułam się bardzo dobrze. Matka w ogóle się mną nie interesowała, na szczęście. Babcia tyle o ile. Więc zrobiłam maturę, później wyprowadziłam się. Już wcześniej pracowałam – sprzątałam po domach, pilnowałam dzieci, dawałam korepetycje – i miałam trochę odłożonych pieniędzy. Mojej mamie nigdy nie udało się tego zrobić, nigdy nawet złotówki nie odłożyła, a ja tak. Więc kiedy wyprowadziłam się, to byłam dobrze do tego przygotowana. Miałam pieniądze, miałam koleżankę, z którą zamieszkałam, miałam pracę. I po roku wyjechałam, jak najdalej, nawet im nie mówiłam, gdzie jadę, tylko że jadę. Nikogo to zresztą nie zainteresowało. Dobrze mi z daleka od nich. Tylko to rzyganie. Z tym muszę sobie poradzić, bo jest coraz gorzej.

– Ty myślisz, że ja miałam łatwo? Cała ta wojna, tylko ja z mamą, z małym Ryśkiem, dziadek zaginął. Ale ty miałeś dobrze, bardzo dobrze. Chciałam cię wychować na porządnego człowieka. – Patrzy na Zuzannę z pewnością i wiarą w swoje słowa. – O niebo, co ja mówię, o trzy nieba miałeś lepiej, żyłaś spokojnie. Ja tak chciałam, żeby tak u mnie było. I męża masz takiego zdolnego, i dzieci udane. Ty masz tyle szczęścia, że ja nie mogłam nawet marzyć. – Zuzanna widzi jej drżące dłonie, niespokojne, i o ile pamięta, szorstkie, często z zapachem cebuli albo surowych ziemniaków, albo mąki lub mięsa. No i jeszcze papierosów, to palce prawej dłoni. – No i dlaczego sobie wtedy poszłaś z domu, jakby on nie był dla ciebie? – Zuzanna wstrzymuje oddech, ale mama już nie patrzy na nią, choć przed sekundą wpatrywała się uważnie. – Ja to nie miałam spokojnego domu, nic nie miałam. Całe dzieciństwo takie pokręcone, ale ty... – Po policzku mamy płynie łza. – Zapalę sobie, co? Pójdę na balkon...

– Chodźmy, ja też zapalę.

Kiedy stoją na balkonie, zapatrzone przed siebie, oparte plecami o rozgrzaną od słońca ścianę, nic nie mówią. Bo właściwie nie ma o czym. Chyba to stanie tutaj jest wszystkim, co można zrobić. Dym snuje się w słonecznym powietrzu, słychać samochody i tramwaje hałasujące na jezdni, niedaleko. I zupełnie niespodziewanie w drzwiach balkonu pojawia się Małgosia z zatroskaną miną, chmurna, poważna.

– Miałyście nie palić! – rzuca karcącym tonem.

Mama i Zuzanna pospiesznie i bez protestu gaszą papierosy w popielniczce stojącej na parapecie. Mama uśmiecha się przepaszająco do Małgosi, a Zuzanna myśli, że nie zna takiego jej uśmiechu. I że mama nigdy nie patrzyła na nią takimi oczami.

– Idę do szkoły na angielski – informuje Małgosia. – Dasz mi pieniądze? Bo jeszcze nie zapłaciłam.

– Jasne.

Zuzanna i mama wchodzą do mieszkania, mama wraca na swoje miejsce w fotelu, dopija herbatę, Zuzanna liczy pieniądze w portmonetce. Poprawia jeszcze podwinięty kołnierzyk kurtki Małgosi, dopina guzik, całuje ją w białe włosy i otwiera drzwi. Małgosia zatrzymuje się jeszcze na chwilę.

– Jak wrócę, to upieczemy ciasto drożdżowe, dobrze? – uśmiecha się do Zuzanny.

– Dobrze. Zrobię zaczyn.

– A może ciasto będzie już, jak wrócę?

– Chciałabyś?

– Może tak, bo późno wrócę, to zanim je upieczemy...

– Dobrze, kochanie. Będzie na ciebie czekać.

– I będzie pachnieć już na klatce... – mówi Małgosia.

Po chwili słysząc tupot jej butów na schodach, a później Zuzanna widzi ją z okna w kuchni, idącą ulicą.

Kiedy zaczyn ciasta drożdżowego jest gotowy, wychodzą znów na balkon, aby zapalić.

– Widziałam ojca wczoraj... Nie, w poniedziałek – mówi mama.

– No i co z nim?

– Schlany, jak zawsze. Nawet nie wiem, gdzie on teraz mieszka.

– No tak...

Milczą.

– Z dziadkiem co się stało?

– Pojęcia nie mam. – Mama wzrusza ramionami. – Wyszedł z domu i już nie wrócił. Jakoś tak to się mówi.

– Nikt go nie szukał?

– No przecież wojna była. Kto miał go szukać? Pewnie zginął. Nie zostawiłby nas przecież, prawda?

– Tak, na pewno...

Mama wyciąga kolejnego papierosa, podpała zapalniczką, która nie chce się zapalić. Zuzanna widzi, jak bardzo drżą jej ręce. Wyjmuje z nich zapalniczkę, bez problemu udaje się jej wykrzesać chybotliwy płomyk, podsuwa go matce, ale ta nie może trafić papierosem w płomień. Zuzanna delikatnie wyjmuje go z ust matki i wkłada do swoich, uświadamiając sobie, że to prawie jak pocałunek. Przecież Kubuś i Małgosia lubili całować Zuzannę, ona też to kochała, ich pachnące buzie, wilgotne usta, tak czyste i świeże, jak tylko dzieciom jest dane. Kiedy właściwie pocałowała matkę lub matka ją? Nawet witając się, nie dotykają się wcale. Podpała papierosa, przedłużając tę chwilę bardziej, niż było to konieczne.

– A dlaczego ty wtedy uciekałeś z domu? – kontynuuje matka. – Ojciec, jak się kiedyś schlał, powiedział, że to przez niego. Tak było? – Mama patrzy z ukosa, bokiem, chcąc coś ominąć w Zuzannie, która czuje ten nieprzyjemny ciężar, o którym myślała, że zapomniała już dawno.

– Stare dzieje, zostawmy to – rzuca szybko i mama oddycha z ulgą, a jej twarz, wcześniej napięta, rozluźnia się.

Zuzanna czuje, jak ciężar spływa z ramion do palców dłoni, stamtąd wydostaje się na zewnątrz.

– I przez to wszystko nawet nie zobaczyłam twoich dzieci małych, tylko dopiero wtedy, gdy podrosły. I to nie jest dobrze, że tak się stało. Że tak późno. Ale dobrze, że w końcu do mnie przyjechałaś... – kończy mama łamiącym się głosem, ze łzami w oczach. – A co się stało z tą blizną, którą miałaś na policzku? To znaczy, co ja cię zadrapałam kiedyś... wtedy... paznokciem, niechcący, przez nieuwagę, przypadkiem tak jakoś... wtedy – wyjaśnia pospiesznie. – Wiesz, kiedy, prawda? – kończy zawstydzona.

– Ta blizna zniknęła. – Zuzanna uświadamia sobie, że rzeczywiście od dawna już nie ma blizny zrobionej przez matkę. Przez nieuwagę. Przypadkiem. Niechcący. – Nawet nie pamiętam, kiedy zniknęła.

Na pewno kilka lat temu.

– To dobrze.

Matka oddycha z ulgą. Uśmiecha się zaszklonymi oczami.

Dwutysięczny jednak się pojawił. Sam pomysł, aby uruchamiać tak dziwne liczenie czasu, powinien zostać zweryfikowany. Może jeszcze jest czas, żeby się z tego wycofać. Może jeszcze da się to odwołać i zacząć wszystko po staremu, to znaczy od nowa, czyli od jakiegoś umownego 1. Albo cofnąć się do 1940 czy 1950, bo to się jeszcze w miarę sprawnie wymawia. Nie, żeby powtarzać tamto hitlerowsko-stalinowskie szaleństwo, tylko żeby liczyć po staremu. No to przynajmniej do 1970 czy 1980, już trochę łatwiej było żyć, choć wciąż biednie. Psychologicznie to były dobre czasy. Wspólny wróg, mocniejsze więzi w społeczeństwie, ludzie jeszcze potrzebowali siebie nawzajem, by przeżyć. I chyba zbrodnie, te prywatne, bo o masowych nie ma co mówić, nie były tak wyuzdane jak teraz, myśli Zuzanna, patrząc na drobną twarz chłopaka, który zabił. I teraz uśmiecha się butnie, próbując przeniknąć twarz Zuzanny, by znaleźć w niej wskazówki, potrzebne jak drogowskazy, którymi mógłby się kierować. Nawet tu, na oddziale psychiatrii więziennej, facet żeluje włosy, w tej za dużej piżamie, z oddechem śmierdzącym papierosami, z brudnymi paznokciami, pod którymi jeszcze niedawno był naskórek tego chłopaka, którego zakatował z kolegami. Pod paznokciami tamtego był naskórek Nażelowanego, pewnie z tej długiej, świeżej blizny, która przebiega przez jego twarz jak znak zrobiony przez ofiarę, jak szkarłatna plama na czole Balladyny. „Bo koleś podskakiwał”, zeznał policjantom w pierwszych słowach, chyba zaskoczony tym, że tak szybko go dopadli. Koleś walczył o życie, co ich wszystkich zdziwiło. Myśleli, że zabić jest łatwo, że to tak pstryk, jak na filmach, które szczelnie wypełniały im głowy. Zuzanna ma już dość tych krótkich, niemal identycznych życiorysów młodocianych zabójców, ich buty, ich nieporadności, wyjaśnień, braku poczucia winy, przerażającej płytkości myśli i uczuć.

– Ma pani papierosa? – pyta niezrażony młodociany, zalotnie zaglądając jej w oczy.

– Nie palę – informuje sucho Zuzanna; układa sobie kartki, oddzielając zapisane od czystych, które jeszcze będą jej potrzebne.

– Kurna, a ja już nie mam co palić. Może pani mi kupi i przyniesie następną razą?

– Nie będzie następnej razy.

– Nie? To już pani wszystko o mnie wie? – Znow uśmiecha się żółtawymi zębami z ukruszoną jedynką.

– Tak, wszystko wiem.

– A co niby pani się dowiedziała?

Zuzanna patrzy na niego przez chwilę. W twarz, w której dziecięce rysy nawet nie przechodzą w rysy człowieka młodego czy dojrzałego, ale od razu starzeją się, jak w tej rzadkiej chorobie genetycznej, której nazwę zapomniała. Co ma powiedzieć komuś, kto popełnił zbrodnię tak straszną i nie czuje z tego powodu nic? Czy gdyby teraz uderzyła go w tę bezczelną twarz, zrozumiałby cokolwiek?

– Wiem, że jest pan...

– Pani mi mówi po imieniu, jaki tam pan – nieoczekiwanie ucłowiecza się, nagle zawstydzony, chłopięcy, nieśmiały.

– ...bardzo słabym człowiekiem, tak słabym, że musiałeś zabić, bo nie możesz ze sobą wytrzymać – kończy Zuzanna, omijając jego bezradną dziecięcość, ujawnioną niespodziewanie, niepotrzebnie, bo ona wcale nie chce jej widzieć.

– Zaraz, jakie zabić, jakie zabić? Ja go nie zabiłem!

– Przyznałeś się w czasie pierwszego przesłuchania.

– Bo mnie policjanci bili. Później przecież wszystko odwołałem.

– Poinstruowali cię kolesie w więzieniu. Ale to nie ma znaczenia. Wszystkie dowody są jednoznaczne.

Sąd nie będzie miał kłopotu, żeby cię skazać – kontynuuje Zuzanna, obserwując jego oczy.

Uśmiech znika z dziecięco-starej twarzy.

– Więc dowiedziałam się o tobie, że jesteś nikim, że sam siebie nie szanujesz, że ciebie nie szanują.

Takie chodzące nic.

Szczęki chłopaka zaczynają drgać. Jego oczy są wąskie i zimne. Chciałby ją uderzyć, może nawet zabić, jak tamtego.

– Myślę, że twoje życie było i będzie żałosne. Nigdzie nie byłeś, nic nie widziałeś, nic już nie zobaczysz, bo cię skazą na bardzo długo. Takie marne, nic niewarte życie. – Zuzanna obserwuje jego dłonie, które zaciskają się w pięści.

Zastanawia się, czy zdąży nacisnąć dzwonek alarmowy. I jak szybko pojawią się strażnicy z korytarza. Dobrze, że są tam jeszcze ci dwaj potężni policjanci, którzy przywieźli kolejnego mordercę na badanie i teraz czekają znudzeni, a Zuzanna słyszy przez drzwi ich ciężki śmiech.

– Wszystko w porządku, pani doktor?

Głowa strażnika pojawia się w uchylonych przez niego drzwiach, z bezbłędnym, choć nieuświadomionym przez niego przecuciem.

– Tak, tak, w porządku – zapewnia go, widząc, że dłonie Nażelowanego rozplatają się.

Przez uśmiechniętą twarz strażnika przesuwają się cienie zaniepokojenia, gdy wpatruje się badawczo w plecy Nażelowanego, znów intuicyjnie wyczuwając, że jednak coś się dzieje, choć nie bardzo jeszcze wie co.

– Na pewno, pani doktor?

– Tak, dziękuję.

– Jakby co, to jestem w pobliżu.

– Dobrze, dziękuję za pamięć.

Strażnik wycofuje się, a Zuzanna patrzy na Nażelowanego, który zagryza usta.

– Gdybyś jeszcze był ciekawy, czego się dowiedziałam o tobie, to myślę też, że twoje pożałowania godne życie w zasadzie już się skończyło. I dobrze. Nie było nikomu potrzebne.

Nażelowany wstaje gwałtownie.

Zuzanna opiera palec w pobliżu dzwonka.

– Tego Konrada, którego zabiłeś, ludzie pamiętają jak bohatera, płaczą po nim. Ciebie nikt nie będzie opłakiwał, nikt za tobą nie zatęskni.

– Moja matka będzie tęsknić – zapewnia ją i siebie Nażelowany łamiącym się, drżącym głosem.

– Twoja matka nie wytrzeźwiała jeszcze od sylwestra, kiedy cię zgarnęli. Nawet nie zauważyła, że cię nie ma. Nie jest zainteresowana twoją osobą. Nikt nie jest zainteresowany. Nie ma osoby, dla której byłbyś choć trochę ważny.

Nażelowany wstaje, idzie w kierunku drzwi, zatrzymuje się na chwilę. Może chciałby coś zrobić, ale rezygnuje. Może dlatego, że Zuzanna znów dotyka dzwonka, choć go nie naciska.

– Pani mnie wypuści.

– I jeszcze coś ci powiem, chłopczyku: jesteś zdrowy psychicznie. Co prawda mało inteligentny, ale nie na tyle, żeby sąd miał podstawy do złagodzenia kary. I beznadziejnie udajesz chorobę psychiczną. Nie masz o tym zielonego pojęcia.

Kiedy zabójca wychodzi, Zuzanna uświadamia sobie, że bardzo drżą jej dłonie. Przygląda się im prawie bez zainteresowania. Tak przecież musiało być, skoro postanowiła być tak wymowna. Gdzieś w środku czuje narastający dygot. Coraz bardziej. Próbuje znaleźć w torbie papierosy, które wczoraj kupiła. Wyszła z domu do kiosku i kupiła w trakcie czytania akt tej zbrodni. A przecież już niemal nie paliła. Zaciąga się głęboko, tak, żeby zabolalo. Przymyka oczy i przeciera je mocno, czując gałki oczne

pod palcami, ignorując makijaż, który będzie musiała zaraz poprawiać, choć wie, że w tym pomieszczeniu nie ma umywalki. Co to miało być? Co to dało, ta jej rozpaczliwa próba wymierzenia sprawiedliwości? Tego o matce jednak nie powinna mówić.

Od trzech lat, które upłynęły od śmierci Małgosi, czuje się jak rozpruta lalka, której wnętrze wypełnione trocinami wysypuje się coraz bardziej. I każde mocniejsze dotknięcie powoduje coraz większy strumień trocin. Jeśli nie uda się zaszyć tego rozdartego miejsca, nie będzie mogła pracować. Wysypie się z niej wszystko.

Podchodzi do okratowanego okna, którego nie da się całkiem otworzyć. Za oknem zima, brudnawe mury, kraty, nudzący się na wieżyczce strażnik. Powinien być czujny, ale jak to zrobić w miejscu pozbawionym punktów oparcia dla psychiki i wzroku. Właściwie wszyscy tu powinni zwariować od takiego widoku, łącznie ze mną, myśli Zuzanna. Ale przecież większość z nich nie widzi nawet tego, zakapani żywcem próbują oddychać pod ziemią, wodą, lodem.

Strajk MPK chyba nigdy się nie skończy. Zuzanna stara się iść, a jednocześnie co jakiś czas oglądać się do tyłu, sprawdzając, czy nie dogania jej szpitalna nyska dowożąca pracowników w tym nerwowym, rozedrganym czasie. Jest już zmęczona pieszymi wędrówkami do szpitala i z powrotem. Choć z powrotem jest jednak łatwiej, kilka osób jeździ samochodami, można się skrzykiwać i wracać grupą. Niby rano też są umówione godziny odjazdu w miejscach przystanków tramwajowych, ale to rzadko się sprawdza. Zuzanna nieraz czekała i czekała, a kiedy zniechęcona odeszła, rozklekotana nyska mijala ją w rzeźącym pędzie i wtedy mogła jedynie liczyć na to, że ktoś wewnątrz ją jednak zauważy i zatrzyma mknący pojazd. Ze dwa razy tak właśnie było. Raz podwiózł ją samorzutnie młody mężczyzna, zapewniający, że zna ją ze szkoły. Zuzanna czuła się niepewnie, jadąc z nim, bo przyglądał się bardziej jej niż jezdni. I zupełnie nie mogła go sobie przypomnieć. Wcale też nie chciała poznawać na nowo. Obiecała sobie, że już nie wsiądzie do tego samochodu. Dzisiaj jednak zrobiłaby to – chlapał deszcz, a ona ubrała się w bawełnianą sukienkę z krótkim rękawem, która zaraz nasiąknie wodą i zacznie oblepiać nogi. O czym dzisiaj myślała, ubierając się? Dlaczego nie spojrzała w okno? Ależ patrzyła. Pogoda wydawała się ładna. Może jednak zawrócić?

Nyska zatrzymuje się z piskiem opon kilka metrów przed nią. Dobrze, że ją zauważyli. Zuzanna biegnie przez trawnik, klnąc sandały, które założyła dziś równie nierozsądnie jak sukienkę. W drzwiach nyski widzi męską dłoń, której przytrzymuje się, wsiadając. Żeby tylko nie spadła, myśli gorączkowo. Udaje jej się znaleźć skrawek miejsca wewnątrz rozklekotanego samochodu. Jest zadowolona i spokojna, że udało się jej schronić przed deszczem. Jest ciepło, bezpiecznie.

Wszyscy rozmawiają albo o sytuacji w kraju, albo o pacjentach. Jak zwykle, dwa podstawowe tematy w nysce. Najważniejsze to jechać.

Postanawia kupić w sklepiku coś do jedzenia, przecież nie zdążyła nawet zjeść śniadania. Wszystko teraz jest nieprzewidywalne, jeszcze bardziej zagmatwane niż zwykle. Kolejki przed sklepami niebotyczne, bo teraz już zupełnie nie wiadomo, co przywiozą i kiedy.

Staje w kolejce z pacjentami w znoszonych, przybrudzonych piżamach. Zna wiele tych twarzy, wiele życiorysów, a przecież pracuje tu od niedawna. Przy okazji przegląda książki wystawione do sprzedaży, zastanawia się nad kupieniem *Pogody dla bogaczy* na prezent imieninowy dla Marii, ale cena – 400 zł – skutecznie ją powstrzymuje. Poczeka do zebrania, na którym pewnie będą książki do kupienia, choć może to nie będzie zbyt elegancko kupić na prezent książkę z podziemnego wydawnictwa, wydaną pośpiesznie i byle jak. Chociaż Maria chyba ucieszyłaby się, myśli Zuzanna, wracając na oddział w słonecznej teraz, ciepłej pogodzie.

W gabinecie Jeremiego zmieściło się chyba z dziesięć osób; siedzą na wszystkim, co nadaje się do

siedzenia, łącznie z podłogą. Jakoś nie ma za bardzo czasu na pracę, wszyscy gadają, piją hektolitry płynów, palą mnóstwo papierosów, przekazują sobie informacje z Wolnej Europy lub Głosu Ameryki.

– Wolna Europa jest ciekawsza – mówi ktoś. – I są lepiej poinformowani. Ten Głos Ameryki jest za daleko, nie mają takich fajnych audycji...

Natychmiast powstają dwa obozy, wszyscy teraz udowadniają sobie wyższość jednej rozgłośni nad drugą. Zuzanna wychodzi, zmęczona kolejną niekończącą się dyskusją. W drugim, mikroskopijnym gabinecie, widzi Annę, niedawno zatrudnioną lekarzkę, spokojnie nakładającą na twarz kolejne warstwy makijażu. Zuzannę fascynują jej precyzja i pewność ręki. Wchodzi do małego gabinetu, gdzie panuje inny świat, inne potrzeby, inne problemy. Obiecuje sobie nie gapić się na poczynania Anki z miną niedorozwiniętego dziecka.

– Będą tak głądzić przez cały czas – mówi Anka, krzywiąc się znad lusterka. – Nudziarze. Przez te cholerne strajki buty sobie zdarłam do reszty. Wszędzie pieszo. Cała upocona jestem i zmęczona. Szlag by ich trafił. Akurat nie mam faceta z samochodem, żeby mnie podwoził. Co za pech. Zobacz, jaką fajną spódnicę kupiłam wczoraj w Modzie Polskiej.

Anka podnosi swoją nieforemną sylwetkę zza biurka i prezentuje zachwyconej Zuzannie piękną spódnicę, jak zwykle wyjątkową i jak zwykle bardzo podkreślającą niedostatki figury Anki, która nie zwraca uwagi na takie drobiazgi. A może nikt jej nigdy nie śmiał powiedzieć, że ma figurę wieloryba, to znaczy część figury. Może wszyscy są zbyt delikatni. I może ona po prostu nie wie, że jej biodra i uda wyglądają jak za duży odwłok doczepiony do wąziutkiej talii i dziecięcych ramion. I może dlatego wciąż szuka potwierdzenia swojej urody u tyłu mężczyzn, może właśnie przeczuwa, że coś jest nie tak i sprawdza to i sprawdza, ale pewnie nie chce usłyszeć prawdy i dlatego zmienia tych mężczyzn za każdym razem, gdy są już tak oswojeni, że w końcu tę prawdę mogliby jej powiedzieć.

– Ciebie to wszystko nie obchodzi – trochę pyta, trochę stwierdza Zuzanna, nie mogąc się zdecydować, czy podziwia, czy też potępia Ankę.

– No a co w tym interesującego? Nudni faceci bez kasy, mało przystojni, zaniedbani. Nie, rewolucjoniści nie są interesujący... Ani ten Wałęsa, ani pozostali. Tylko wyobraź sobie, jak oni wszyscy śmierdzą po tyłu dniach bez łazienki, bez zmiany ubrania. I tylko palą jak smoki. Obrzydliwe. – Otrząsa się z niechęcią. – Po co mi taki facet? Takemu trzeba gotować, pracować, dzieci rodzić i biegać do więzienia z paczkami. Pieniądzy nie ma... Nie, to nie dla mnie. A okulary fajne? Też w Modzie kupiłam.

– Fajne. Jak ty to robisz? Nic nie ma, a ty zawsze coś takiego ładnego znajdziesz...

– Bo mi zależy. I wiem, gdzie szukać. A druga sprawa, wypisuję recepty tym babom w sklepach, to one mi zostawiają.

– A, no właśnie, to jest przecież najważniejsze! – odkrywa tajemnicę Zuzanna. – Mogłabyś o mnie też czasem pamiętać.

Anka przygląda się jej z uśmiechem.

– Ale dlaczego miałabym robić sobie konkurencję? Ja chcę wyglądać najlepiej.

Zuzanna jest oszołomiona niezafałszowaną uczciwością tej wypowiedzi.

– Dzięki za szczerść.

– Nie ma za co.

– Zuzanna, idziesz na zebranie?! – krzyczy Jeremi.

– Tak! – odkrzykuje Zuzanna. – Idziesz? – pyta Anki, która posyła jej spojrzenie mówiące więcej niż karcące słowa.

Zuzanna wstaje z chybliwego krzesła i podchodzi do drzwi, przy których za chwilę jest już Jeremi.

– To ja popracuję – rzuca Anka, zgarniając do kosmetyczki swój kramik.

– O, świetnie, dwie nowe pacjentki trzeba by zbadać... – łasi się delikatnie Jeremi.

– Ja to zrobię – mówi Anka i Zuzanna wie, że tak będzie.

Tak jak biodra i uda nie pasują do reszty ciała, tak umiejętności lekarskie Anki nie pasują do reszty jej osobowości. Jest uważna, cierpliwa, przenikliwa. Jej rozmowy z pacjentkami to mistrzostwo świata. Nawet Jeremi chętnie poddaje się Ance i ufa jej coraz bardziej, pyta ją o zdanie na temat trudniejszych pacjentek, co rzadko mu się zdarza. Przecież na ogół wie. Ale Anka jest bardzo czujna i logiczna, a zarazem intuicyjna w swoich diagnozach, które okazują się najczęściej trafne.

Sala jest nieduża, duszna, przesiąknięta dymem papierosów mimo otwartych szeroko okien. Zuzanna przygląda się wchodzącym ludziom, machinalnie segregując ich w różne kategorie – najpierw więc znani i nieznan, lubiani i nie lubiani, kobiety i mężczyźni, ci ostatni z kolei: przystojni lub nie, interesujący lub nie. Więcej jest znanych, kobiet lub nieinteresujących mężczyzn. Zastanawia się nad kategorią „lubiani” i gubi się w lubianych zawsze, lubianych czasem, lubianych incydentalnie, lubianych kiedyś... Nie, to zbyt męczące. Skoncentruje się na kategoriach „mężczyzna” i „przystojny”, bo tych jest ledwie kilku. Choć może powinna uważnie słuchać. Obiekt z ostatniej kategorii odczytuje właśnie ze zmiętych kartek projekt statutu Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych z Gdańska. Obserwuje jego piękne dłonie, eksponowane z nonszalancją na tle pomiętych kartek. Lewa dłoń unosi się co jakiś czas do ust, podając im żarzącego się papierosa i Zuzanna wie, że to mocny, zniewalający gauloise, specjalnie na takie właśnie, pełne ludzi, sytuacje. Zuzanna wie też, że w pudełeczku często nie ma gauloise’ów, tylko swojskie extra mocne. Obiekt, niezrażony, tłumaczy to faktem, że samo pudełeczko jest trwałe i ładne i szkoda tak od razu je wyrzucić. Zuzanna wybacza tę kokieterię, bo dym gauloise’ów pachnie ładnie, inaczej niż dym reprezentowanych tu licznie klubowych czy carmenów. Dym płynie w jej stronę, potem dalej, za okno, w gorące sierpniowe powietrze zawieszony na zielonych, szeleszczących drzewach, ocieniających ten chyba najstarszy budynek szpitala. Dyskusja staje się męcząca i mało zrozumiała. Myśli Zuzanny chętnie wychylają się za okno, zawieszają na dostojnych drzewach. Kiedyś te drzewa były małe, kruche, pospiesznie powołane do życia i od razu wydane na pastwę nieznanego. Ale przetrwały obie wojny i inne zawieruchy razem z tym budynkiem, stabilnym sąsiadem. To, co dzieje się od pewnego czasu w szpitalu, to pewnie dla nich ledwie zefirek. Drzewa tak szybko muszą dorastać, męźnieć, ich skóra natychmiast musi stwardnieć, więc szybko odnajdują właściwe proporcje świata. Śledzą pewnie od niechcienia to, co się tu dzieje, tych ludzi schodzących się licznie od pewnego czasu. Gadają, palą, coś czytają – nic wielkiego. Kiedyś to były wydarzenia – przetaczały się wojska, ranni leżeli pod drzewami, opierając się często o ich pnie, przytulając się nawet do nich, jakby resztką sił szukali w nich właśnie ratunku przed przerażającymi ludźmi. Byli inni od tutejszych ludzi, pacjentów tego szpitala, przepełnionych tajemną energią, w którą drzewa od początku lubiły się wsłuchiwać.

Zuzanna próbuje słuchać czytanego z namaszczeniem statutu, ale nie może się skoncentrować. Bałagan narasta. Co chwila ktoś przerywa czytającemu pytaniami albo komentarzami. Jeremi stoi niedaleko, prawie się nie odzywa, słucha uważnie, skoncentrowany, co chwila coś notuje swoim nowym piórem w niedużym notesie. Na pewno mi wytłumaczy, przekonuje siebie Zuzanna, pewnie wszystko zapamiętał, jak zwykle, myśli, przyglądając się jego potężnej sylwetce opartej o kolumnę podtrzymującą sufit.

Kiedy wszystko już zostało powiedziane, Robert sięga do sporej torby stojącej obok jego krzesła na podłodze i wyciąga plik gazetek.

Zuzanna niepokoi się, czy dla niej wystarczy. Wystarczy. Ścisła w dłoniach cieniutkie kartki z pozamazywanym w wielu miejscach, słabo odbitym drukiem. Wszyscy wstają, gromadzą się w rozgadane grupki. Zuzanna podchodzi do Roberta zapalającego kolejnego gauloise’a gestem filmowego amanta, z gatunku umierających prędko i młodo.

– Masz jakąś literaturę?

Robert schyla się do swojej pojemnej torby i wyciąga przybrudzoną książeczkę, którą Zuzanna po

chwili przegląda z zainteresowaniem.

– *Zniewolony umysł*, Czesław Miłosz, świetne – rekomenduje jak rasowy sprzedawca.

– Może coś jeszcze znajdziesz? – Zuzanna uśmiecha się do Roberta, który przesyła jej uwodzicielskie spojrzenie i znów zanurza rękę w torbie.

Wyciąga kolejne powielaczowe książki, ale nie ma nic nowego, wszystko Zuzanna kupiła już wcześniej.

– W przyszłym tygodniu będą nowe rzeczy. Zostawię ci.

Tłumek, widząc książki, rzuca się w ich kierunku. Zuzanna, odepchnięta od Roberta, przesuwa się w kierunku Jeremiego, stojącego na uboczu z gazetką w dłoni.

– A poza tym to się głupio zakochałam, w mężczyźnie młodszym o sześć lat. Pani sobie wyobraża? Ja niedługo będę miała sześćdziesiąt, a on nie ma jeszcze pięćdziesięciu. I po raz pierwszy w moim życiu miłość zaczęła się bólem. Kiedy go poznałam, a zaczęło się od tego, że po prostu zatrudniłam go u siebie, świetne kwalifikacje, tak na marginesie... I kiedy po raz pierwszy z nim rozmawiałam, poczułam wstyd i strach. Wstyd za to, jak wyglądam, że jestem stara. Strach, że nie mam żadnych szans. Tego samego dnia przestałam jeść. Prawie, to znaczy nie chciało mi się jeść, bo postanowiłam schudnąć, najlepiej od razu piętnaście kilo. Oczywiście, nieraz tak chciałam, ale po raz pierwszy pojawiło się takie dziwne zjawisko, że przestałam niemal czuć głód. Ograniczyłam jedzenie z dnia na dzień o więcej niż połowę. Bez żadnego wysiłku. I najpierw zaczęłam chorować, to znaczy bolały mnie gardło, brzuch, głowa, kości, nie mogłam wyjść z infekcji, a wcześniej przez chyba pięć lat nie miałam nawet kataru. Tak jakby ciało najpierw zabolowało, jakby najpierw musiał być ból. Bo kiedy jest się bardzo zmarzniętym i podejdzie się do źródła ciepła, to najpierw boli. Tak to sobie tłumaczyłam. Tak to czułam. Poszłam na fitness i regularnie dwa razy w tygodniu ćwiczę. I zaraz też poszłam do gabinetu medycyny estetycznej na botoks i kwas hialuronowy. Efekt, jak pani widzi, jest bardzo dobry. Wszyscy mi mówią, że wyglądam rewelacyjnie. Siedzę więc w fotelu naprzeciw niego w firmie i staram się chłonąć ten ból i radość, jakie on daje mi jednocześnie. Nie przeżyłam nigdy czegoś takiego. To jest niezwykle. Rozmawiamy ze sobą i on patrzy na mnie z zainteresowaniem, choć to jest zainteresowanie chyba bardziej mną jako ciekawą rozmówczynią. Dobrze nam się rozmawia, chyba że mówi o swojej pięknej żonie, rozbijając mi serce na kawałki, których nie mogę później pozbierać. Jest w niej zakochany po uszy. Nienawidzę jej, oczywiście. Umieram za każdym razem, gdy o niej mówi. Jak to wyjechali gdzieś tam, i on poleca, bo fajne miejsce i żona też była zachwycona, powiedziała, że coś tam i tak dalej. I co mógłby jej kupić z powodu święta takiego czy innego, pyta. Czy mogę mu doradzić, bo zawsze świetnie doradzałam. Oczywiście, bo się staram świetnie doradzić, żeby tę panią uszczęśliwić najnowszym trendem perfum, biżuterii czy czegoś tam jeszcze, bo on jest wtedy szczęśliwy. I oczy mu jaśnieją, gdy mówi o jej radości z kolejnego trafionego prezentu dla niej, poleconego przeze mnie. Ja uśmiecham się powiększonymi subtelnie przez mojego lekarza ustami i wpytyuję o szczegóły ich kolejnej wyprawy w ciekawe miejsce, o zdanie żony w różnych sprawach, bo wtedy lepiej ją poznam i będę mogła lepiej doradzić, mówię, a wpytyuję sama nie wiem po co, wbijając sobie nóż w serce, przekręcając go jeszcze kilka razy. Widzę krew ściekającą po mojej starannie dobranej bluzce oraz starannie dobranym staniku, którego nie widać, ale lubię go czuć na sobie. Więc on opowiada. I później z tym swoim chłopięcym uśmiechem, co go jeszcze odmładza o dziesięć lat, mówi o tysiącu rzeczy, ja mówię o tysiącu rzeczy i gadamy, gadamy. Ostatnio o kobiecym orgazmie, nieźle, prawda? *Killing me softly with his song* czy jakoś tak. Może nawet nie *softly*. Więc uśmiecham się i rozmawiamy dalej, o sprawach firmowych i nie tylko, i nagle wylewa się na moje obolałe, pokawałkowane serce ciepły miód, gdy on wychodzi, otwiera drzwi i z ręką na klamce odwraca się do mnie, jakiś taki zadziwiony, trochę zdezorientowany, i mówi niby do mnie, niby do siebie: „Nie

wiedziałem, że przegadaliśmy godzinę. Chyba się uzależniam od tych rozmów z panią”. Ja się śmieję, mówię coś żartobliwego, bo taki mamy styl tych naszych rozmów. I oczywiście znów wszystko splata się boleśnie i słodko, bo przekroczenie granicy fizyczności znów uruchomiłoby mój wstyd, strach, ból, niepewność, ale też pewnie cudowne doznania. Jestem pewna, że jest dobrym, pomysłowym, uważnym kochankiem. Umarłabym, mając świadomość jego dłoni na swoim ciele, porównujących mnie z tą piękną żoną. Przez ten prawie rok staliśmy się takimi kumplami, którzy rozumieją się w pół zdania. On mnie lubi. Nie wiem, skąd wiem. Może jestem taka durna. Ale jakoś mam wrażenie, że on mówi prawdę. I myślę sobie, oczywiście nic z tego nie będzie, ale nie zrezygnuję z tego wszystkiego, co sobie aplikuję, żeby wyglądać jak najlepiej, bo taką siebie chcę mu pokazać, spaliłabym się ze wstydu, gdyby zobaczył moje zmarszczki, które pewnie widział w czasie pierwszego naszego spotkania, ale może jednak wtedy nie zauważył. Albo zapomniał? Wszyscy mówią, świetnie wyglądasz, schudłaś i coś jeszcze zmieniło się w tobie, ale nie wiedzą co. Że szminka inna, fryzura inna. Nie widzą tej delikatnej pracy lekarza medycyny estetycznej, bo tak chciałam, żeby odzyskać swoją dawną twarz, i tyle. I kiedy zobaczyłam jego takie lekko ukośne spojrzenia w moim kierunku, takie samo, jakie kiedyś ślali mi faceci, poczułam ulgę. Jeśli tyle, to niech będzie tyle. Żeby tylko odrobinę zainteresowania, żeby tylko nie odstraszyć. Żeby jeszcze złapać taki promyk spojrzenia. Jednocześnie poczułam ulgę i potworny smutek. Czuję się jednocześnie szczęśliwa i żałosna. I zabija mnie to wszystko, i zmartwychwstaję dzięki temu. Zakładam wyższe niż wcześniej buty, nie to, że szpilki, bo takich nie noszę, tylko wyższe i czuję się jak Syrenka z bajki Andersena. Pamięta pani? Ona zakochała się w człowieku, czyli kimś z innego świata. Chciała z nim być, to znaczy tylko zbliżyć się do niego. Poszła, to znaczy popłynęła, do jakiejś czarownicy, możliwe, że syreniej, a przynajmniej morskiej, i przehandlowała swój rybi ogon czy włosy, za nogi, które jej w zamian wyrosły, wiedząc, że każdy krok na tych nogach będzie strasznym bólem. I jeśli dobrze pamiętam, nie mogła wypowiedzieć ani słowa. Miała chyba ściśle określony czas na to, żeby ten mężczyzna w niej się zakochał. I zdaje mi się, że jej się nie udało... No tak, teraz sobie przypominam, nie udało jej się, on się nie zakochał, a ona zamieniła się chyba w morską pianę. Teraz sobie przypomniałam ten smutny koniec beznadziejnie zakochanej Syrenki, a wcześniej myślałam, że chodzi o buty. Bo zawsze chodziłam na płaskich obcasach, chodzenie na trochę tylko wyższych to dla mnie dyskomfort. Ale robię to, zakładam czarne rajstopy i krótszą spódnicę i nagrodą jest dla mnie jego ukradkowe spojrzenie, a także spojrzenia innych mężczyzn, choć te traktuję testowo. No tak... Syrence się nie udało. Mnie też się nie uda. Prawie na pewno. Ale, jak ona, boleśnie próbuję. Więc te buty, rajstopy, spódnica wąska i dosyć krótka. No i jeszcze dekolt, znów, jak to u mnie, nieprzesadnie, ale żeby lekko zaznaczyć, że mam wciąż niezły biust i całkiem niezłą skórę nad biustem, wspomóżoną mezoterapią oczywiście. Ale biust mam wciąż swój i tego nie zmienię, a wygląda on zadziwiająco dobrze. Zawsze o niego dbałam. Myślę, że spodobałby się mu. Choć nie jestem pewna. Widzę, że kobiety, nawet młode, mają biust dużo gorszy. Zawsze przyglądałam się na fitnessie, kiedy się rozbierają i wchodzi pod prysznic. I widzi pani, Japonia się zatrzęsa, tysiące ludzi zginęło, Tusk z Kaczyńskim się ścigają, oczywiście kibicuję Tuskowi, tylko że to wszystko jest gdzieś w tle. Przestałam oglądać telewizję, prawie nie czytam gazet, przez cały dzień mam włączone Chilli Zet, to taka stacja z delikatną muzyką. Kiedyś słuchałam Tok FM, oglądałam kilka dzienników i nagle jakbym to zgarnęła ręką z blatu stołu, jak niepotrzebne już przedmioty. I została muzyka, szczególnie ta, gdzie są słowa mówiące o miłości, o spotkaniach dwojga ludzi, o ich uczuciu i niepewności z tym związanej i tak dalej. I te najprostsze, durne słowa z przewagą *love* czy innych czułości kołyszają mnie i upajają, jakbym miała dwadzieścia lat. Miłość jest chyba zawsze taka sama, niezależnie od wieku. Nagle dotyczą cię głupiutkie piosenki o miłości i poezja, i bzy, i akacje, i co tam jeszcze, byle delikatne i czułe. A kiedy myślę o ewentualnym byciu z nim, to sama nie wiem, czy taka perspektywa mnie cieszy i uwodzi, czy przeraża. Ile ja bym musiała zmienić, ile musiałabym zrobić i jak

bardzo byłabym niepewna i przerażona. Przyzwyczaiałam się do komfortu samotności, to rozleniwia. Łażenie w rozciągniętych majtkach, z niewydepilowanymi nogami, w rozmemłanych kapciach, tysiące innych równie nieestetycznych rzeczy. Niby więc dobrze, a jednak nie. Niby z tym zadbaniem o siebie dobrze, a jednak też nie. Nigdzie nie jest dobrze. Z niczym. Tak bardzo trzeba się starać, żeby wznieść się na wyżyny jakiegoś sensownego funkcjonowania i wyglądu, który kiedyś przychodził bez wysiłku. I myślę z przerażeniem, że przecież nie pójdę z nim w góry ani nie popłynę żaglówką przez Mazury, co on tak lubi. Boję się po prostu, tak bez makijażu. A przecież nigdy wcześniej nie malowałam się na wakacjach czy wyjazdach. I płynęłam parę razy przez Mazury, absolutnie bez makijażu, ale to było tak dawno temu. Boję się, że wyglądam źle, panicznie się boję. To jest nowe, bo spadło na mnie jakoś niespodziewanie w czasie, gdy już rezygnowałam z siebie, a poza tym kiedyś nie zwracałam uwagi aż tak na to wszystko, bo byłam po prostu ładna bez żadnego wysiłku. Przeraża mnie to, pozbawia swobody, wciąż myślę o tym, jak wyglądam, przeglądam się w lusterku, w szybach okien, w szklanych drzwiach, wciąż nie wiedząc, jaka ja właściwie teraz jestem.

A kiedyś coś mnie zirytowało w nim, nie bardzo wiem dlaczego. Może miał zły dzień. Jakoś tak w sposobie mówienia, nawet w uśmiechu nie było czegoś, co było wcześniej. A może to ja miałam zły dzień, nie wiem. Ale na pewien czas czar prysł, choć może przesada, stracił połowę mocy. No, druga połowa została. I wie pani co? Wszystko się odczarowało. Na to pół dnia i noc. Wróciłam do domu i zjadłam bułkę, nawet dwie bułki, pierwsze pieczywo od miesiący. Poczulałam głód, nie za duży, ale zawsze. A już go przecież nie czułam. Wrócił. I wie pani, przestraszyłam się. Usiłowałam przypomnieć sobie jego zaczarowanego czy też czarującego, czy też mnie zaczarowaną. Musiałam zrobić pewien wysiłek, żeby wrócił on taki, w jakim się zakochałam. A razem z nim miałam wrócić ja taka, jaka się sobie podobałam z ostatnich miesiący. Nie wiem sama, czy to wszystko jest bardziej dla mnie, czy dla niego. Ale to nie ma znaczenia. Przestałam nawet obgryzać skórki przy paznokciach, a nie mogłam się tego pozbyć całe lata. No to nawet dla tych pięknych paznokci warto. Lubię na nie patrzeć, z lakierem, oczywiście delikatnym, najchętniej *frenche*, takie kształtne paznokcie, delikatne dłonie, oczywiście wspomóżone sculptrą. No ale chodzi o to, że czar na chwilę prysł czy zmniejszył swoją moc. I nie było mi z tym dobrze. Było mi fatalnie. Tak bardzo chciałam nosić te lekko zniekształcające okulary. A tak à propos, zamiast okularów zaczęłam nosić soczewki... Duża zmiana. No, ale znów odbiegam.. Chodzi o to, że właśnie dlatego przyszłam do pani. Bo uświadomiłam sobie, że te okulary, te różowe czy jak je tam nazwać, spadną kiedyś z mojej twarzy. I co wtedy? Co ja zrobię? Jak mi się uda wrócić do poprzedniego życia kobiety znikającej ze świata, wycofującej się w niebyt, w nieistnienie? Jakoś nie sądzę, żebym była z tym facetem. Chcę i nie chcę jednocześnie. I wiem, że to możliwe i niemożliwe jednocześnie. Tak naprawdę to się bardzo boję.

Kotek miał najwyżej pół roku, ale już sporo wiedział o świecie i swoim ciałku, które wabiło oczy patrzącego niebywałą sprawnością i wdziękiem. Czarny, chyba całkiem, może jakaś biała plamka gdzieś na pyszczku, ale chyba jednak nie. Płynął z rozłożonymi łapkami, rozcapierzonymi pazurkami. Płynął, jakby skakał, to przecież niewielka różnica. I działo się to w wielkim akwarium czy też w morzu. W każdym razie jakaś głęboka i raczej naturalna woda z wodorostami, rybkami. Była jednocześnie na brzegu tej wody i w niej, może spacerowała po dnie. Mimo że nic złego się nie działo kociakowi, postanowiła go wyciągnąć. Może dlatego, że zawsze bała się o zwierzęta, o koty jakoś szczególnie. Choć w tej sytuacji chyba niepotrzebnie. Płynął sprawnie, z wyrazem bardziej radosnego zdziwienia na czarnym, być może z białą plamką pyszczku. Mimo to zdecydowała się go wyciągnąć, choć przemknęła jeszcze myśl, czy on będzie mógł żyć poza wodą, czy będzie umiał oddychać, skoro tak sprawnie pływa pod wodą. Bo to przecież wodny kot. Pewnie powinna najpierw znaleźć odpowiedź na to pytanie, ale

ono jakoś odsunęło się, choć przecież wyraźne czuła jego wagę. Wyciągnęła ręce i chwyciła kota, choć on wcale nie chciał. Bronił się dosyć stanowczo, ale jednocześnie delikatnie. Mimo to wyciągnęła go i trzymając ociekającego wodą na wysokości swojej twarzy, uśmiechała się, czując i widząc, że on wcale nie jest zadowolony. Pyszczek miał zmarszczony i cicho prychał. Przytuliła go, nie zważając na to, że się opiera. Kociak wbił pazurki w jej usta, ostre, maleńkie pazurki, które nie powodowały wielkiego bólu, czuła je jak rzep zbyt mocno przyklejony nie wiadomo po co do jej warg. Bardziej ją to bawiło, niż bolało. Bo przecież lubi małe koty. A wodne to już szczególnie. Coś jednak było nie tak. Zapach tej wody czy kota. Ależ to obrzydliwy zapach alkoholu. Pijany wodny kot, pomyślała jeszcze i wtedy całkiem się obudziła, usiadła gwałtownie na łóżku.

Oczy Piotra uśmiechają się, ale Zuzanna od razu widzi, że są rozmazane, zmętniałe. Piotr wyciąga do niej dłoń z bukietem pomiętych kwiatków.

– To przecież nasza rocznica – bełkocze.

Zuzanna zrywa się i próbuje włożyć szlafrok, który wieczorem położyła na fotelu obok. Szarpie się z nim, nagle obszernym jak namiot, nagle bez rękawów. Kiedy w końcu udaje jej się go włożyć, wychodzi bez słowa z sypialni. Piotr idzie za nią, coś jeszcze tłumacząc. Że przeprasza, zasiedział się wczoraj, nie zadzwonił. Ale załatwił ten wielki kontrakt, o którym jej ostatnio opowiadał. Chyba cieszysz się, nie? Próbował zaglądać jej w oczy. Weszła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi, przekreśliła klucz. Umyła się, wklepała krem i uczesała włosy, starając się nie widzieć swojej twarzy w lustrze. On stał pod drzwiami i wciąż gadał, mimo że próbowała zagłuszyć go lejącą się wodą. Wyszła w końcu, ubrana we wczorajszą bieliznę i wczorajsze ubranie, pozostawione do prania, ale teraz przydało się, nie musiała wychodzić po nowe, nie musiała przechodzić dwa razy obok niego. Przeszła tylko raz, wciąż słysząc jego pijany głos. Weszła do kuchni. Miała jeszcze nadzieję, że on pójdzie spać, ona zje śniadanie, przebierze się w czyste ubranie i coś wymyśli na resztę tej skrajnie źle rozpoczętej niedzieli. W kuchni próbuje nalać wody do czajnika, włączyć, otworzyć lodówkę, otworzyć szafkę. Przesuwa popielniczkę, którą Piotr ostentacyjnie postawił na blacie i prowokująco patrząc jej w oczy, zgasił papierosa, wypuszczając krążki dymu, co kiedyś ją bawiło i całkiem rozbijało. Bardzo kiedyś, bardzo dawno kiedyś. A może tylko jej się zdawało, że to takie zabawne, bo co ciekawego jest w puszczaniu kółek z dymu? Całkiem nieśmieszne. Głupie nawet.

Wypija łyk wody z kranu, wyłącza niepotrzebny czajnik. Pozostanie tu, z nim, nie jest możliwe. Machinalnie oblicza dni do powrotu dzieci z obozu. Zapach papierosów i tego wszystkiego wywietrzeje. On wytrzeźwieje. Ona będzie trzymała się myśli, że kolejna taka sytuacja będzie może za pół roku. Choć teraz minęło mniej czasu, uświadamia sobie. To nie było pół roku.

Wychodzi do przedpokoju i musi przejść obok niego, odtrącając jego wyciągniętą rękę. Musi wejść do pokoju po torebkę i kluczyki do samochodu i jak zwykle nie wie, gdzie ta torebka jest. Zawsze ginie, zawsze musi jej chwilę szukać. Znajduje ją wciśniętą w fotel, ulubiony fotel Estery, i czuje ogromny smutek, i może nawet wstyd, ale też żal, że nie uchroniła tego mieszkania, które jej powierzono w takim zaufaniu.

Zapach jego potu i alkoholu wydaje się teraz wyraźniejszy i Zuzanna domyśla się, że on przysunął się bliżej. Dobrze wie, że teraz wejdzie w fazę seksualnego podniecenia, szarpnie za rękę lub popchnie na łóżko, jak już się zdarzyło, ale wścieknie się, bo nie będzie miał erekcji i Zuzanna znów będzie leżeć z tamtym, który w zapachu i niektórych słowach i gestach przypomni się tak dokładnie.

Obserwując go kątem oka, wymyka się w momencie, gdy on rusza do niej chwiejnym krokiem. Wyciąga jeszcze rękę, by ją zatrzymać, ale robi to tak wolno, że Zuzanna omija go bez problemu. Zbiega po schodach, tak jak powinna wtedy to zrobić, ale jej się nie udało. Tym razem tak. Jednak uciekła. Wtedy nie i później wiele razy też nie. Ale teraz tak. I ten deszcz jest bardzo przyjemny, łagodnie obmywa

twarz, łez nie widać, w ogóle nic nie widać. Na ulicy jest pusto. Wsiada szybko do samochodu, opiera dłoń na kierownicy i czeka chwilę, zbiera myśli, zastanawia się, gdzie jechać. Deszcz leje coraz mocniej. Wodny kot przepływa obok, przebierając dziarsko łapkami, zadowolony, bo dostała za swoje. Niepotrzebnie mu przeszkadzała. Może to było nawet dręczenie zwierzęcia. Takie rzeczy nie mogą przecież ujść bezkarnie.

Akta piętrzą się na parapecie, zapowiadając ciężką pracę. Leżą tak tydzień i przez cały ten czas czaiły się złowieszczo, złośliwie, nieubłagane swoją wielotomowością. Zuzanna omijała je wzrokiem skutecznie, no, ale doczekały się, wystarczy czekać, wystarczy być, wystarczy trwać. Tak jak radził Jeremi, spięła kartki ze zdjęciami z masakry i krwawo, choć beznamiętnie opisanego przez lekarza ciała, żeby nie widzieć tego wszystkiego, nie przerazić się, nie mieć w głowie tych obrazów i słów. Ale jedno zdjęcie wypadło na podłogę i w mgnieniu mniejszym niż sekunda Zuzanna, podnosząc je, zobaczyła tę posiniaczoną rękę z wytatuowanym napisem „Lenny”. W zmasakrowanej twarzy nie dało się niczego rozpoznać. Resztki włosów mężczyzny nie przypominały tamtych, ale po tylu latach to z pewnością były inne włosy. Może gdyby miał otwarte oczy, i w dodatku żywe, poznałaby go. Ale nie. Oczy są zamknięte i martwe. Tylko to „Lenny”... Jeśli to był Majka, to ta śmierć była dla niego zbyt okrutna.

„Bicie rękami w twarz, uderzanie głową o ścianę, kopanie w klatkę piersiową, twarz, uderzanie kamieniem w różne części ciała, w tym w lewą skroń, oraz podpalenie palącą się mieszkanką powietrzno-alkoholową spowodowały u ww. obrażenia ciała w postaci: rozległych otarć skóry i krwiaków głowy oraz klatki piersiowej, oparzenia II stopnia głowy, otarcia skóry podudzia lewego, masywne stłuczenia powłok miękkich głowy z pęknięciem i stłuczeniem lewej gałki ocznej, masywne krwiaki podtwardówkowe i podpajęczynówkowe, głównie nad lewą półkulą mózgu, rozsiane stłuczenia półkul mózgu, pnia mózgu i mózdzku z obrzękiem mózgu dużego stopnia, stłuczenia tkanek miękkich szyi, stłuczenia powłok miękkich brzucha, stłuczenia krezki jelita grubego i torebek tłuszczowych nerek, złamania zamkniętego żeber po stronie lewej od VI do IX, co spowodowało zgon Mariana Romantowskiego, tj. o przestępstwo z art. 148 par. 1 kk...”.

Złowrogie akta były bardziej złowrogie, niż myślała. Marian był gejem, wynikało z akt. I. Z pewnością karni chłopcy z ogolonymi głowami, bijąc go tak potwornie, zabijali w sobie na śmierć wątpliwości, które ich samych przerażały, ale przecież nie powiedzą o tym nikomu. Zrobią natomiast wszystko, żeby nigdy nie ujrzały światła dziennego, żeby nikt nigdy nie pomyślał o nich, że oni pomyśleli, że im się nasunęło, skojarzyło, przemknęło, przeszło ich ciała niepokojącym dreszczem. To trzeba było wbić światu do głowy, zabijając Mariana, geja, który, jeśli był Majką, świetnie się do tego nadawał – prowokujący, dumny, bezczelny. No przecież sam się o to prosił.

Łzy płynące po twarzy Zuzanny skapnęły na krwawe kartki i fotografię. Dotknęła delikatnie, żeby nie sprawić mu jeszcze większego bólu, bezbronnej ręki z tatuażem, utrwalonej na policyjnym zdjęciu. Kiedy przymknęła oczy, przypomniała sobie jego śmiech, jego zmienny głos, jego fascynujące oczy, które wtedy były całe, radosne, dotykane łagodnie tylko pocałunkami jego chłopaków. A teraz ona ma wydać opinie na temat trzech morderców Majki – znów trzech. Czy ich zawsze musi być trzech? Czy zawsze chodzą trójkami, ci młodociani mordercy? Może rzeczywiście *Boh trojcu liubit...* Wolałaby napisać opinie o Majce, którego prawie nie знаła, ale wiedziała o nim tyle dobrych rzeczy. Napisałaby o jego czułości, opiekuńczości, odwadze, radości, zادیorności, szczodrości.

Właściwie nie musi badać tych trzech, żeby napisać opinie. Poprzedni młodociani mordercy opowiedzieli jej wszystko, więc już wie, bez badania, jakie ci mieli dzieciństwo. Jacy byli ich rodzice, jakie były domy, jacy rówieśnicy, co działo się w szkole. Jakie oglądali filmy, jakich książek nie czytali, jakich słów nie usłyszeli, a jakie niestety tak. Czego nie zaznali prawie wcale, a co w nadmiarze. Wie,

czego szukali w paramilitarnej organizacji z twardymi regułami, hierarchią, podporządkowaniem. Wszystko może opisać teraz na kartce, a później sprawdzić poziom trafności. Tylko co mają dać takie eksperymenty? Może wykazać, że już ma dość. Że wystarczy. Że klawiatura komputera ocieka krwią, która niedługo zacznie spływać na podłogę, później przesączy się pod drzwiami i popłynie dalej, rozleje się na cały świat.

Majka, przecież jestem ci winna pieniądze. Tak długo leżały w kopercie, czekały. Czasem ratowały po raz kolejny, choć nie tak dramatycznie jak wtedy. Taka kasa zapomogowo-pożyczkowa Majki. Co się z nimi właściwie stało? Pewnie wydałam w końcu, myśli Zuzanna. Wartość pieniędzy ciągle się zmieniała. Początkowo próbowała za tym nadążyć, korygując sumę w kopercie, później dała spokój. Gdyby policzyć odsetki, to może nawet spora suma by się uzbierała. Ale jak to liczyć? Jak zamieniać te pieniądze z jednych na drugie, aż dojdzie się do tych aktualnych? Ile razy musiałam się przystosować do zmian, myśli Zuzanna z podziwem dla siebie samej. Ile tych zmian – w pieniądzach, w systemach, w zwyczajach, w tempie życia i pracy, w standardach życia i pracy, w jedzeniu, w ubraniu, podróżowaniu, w...

Twarz kobiety, wyczyszczona z najdrobniejszych drobin makijażu niekończącymi się potokami łez, a może umyta szorstkim mydłem, jest zaczerwieniona i podrażniona. Pewnie szczypie i swędzi, szczególnie przy obrzmiałym nosie i na zapuchniętych powiekach. Kobieta z trudem wydobywa z siebie głos, który wyczołguje się ze ściśniętego gardła i wypełza na usta zbyt pokiereszowany, aby rozbrzmiewać czysto i mocno.

– Ja ją znajdę, na pewno, tylko muszę wreszcie pojechać do Szczecina, ona tam jest, ja to wiem. Nie może wrócić, bo skończyły się jej pieniądze.

– Dzwoniła do pani w tej sprawie? Prosiła o pieniądze? – pyta Lucyna.

– Nie, ona nie ma czasu, jest zajęta, to zawsze była... jest... bardzo żywa... żywa... żywa dziewczyna. No, bo dlaczego nie wraca? Zabrakło jej na bilet, już kiedyś tak było. Wtedy wysyłałam jej pieniądze.

– Ale teraz jest inaczej, bo ona nie dzwoni, prawda? – dopytuje się Lucyna.

Kobieta przygląda się Lucynie. Po jej policzku toczy się łza.

– No tak, mówili mi, że może coś się jej stało. Ale co się mogło stać? Tak mnie straszili tylko, tacy ludzie bez serca są, pani doktor. Ja tam nie wierzę. Ale mi ciężko. Bo tak myślę, gdyby tak było, jak niektórzy mówią, to... Nawet pani nie wie, jak to jest dotykać jej ubrań, dotykać wszystkiego, czego jeszcze niedawno ona dotykała, czuć jej zapach, najbardziej, gdy wtulić twarz w te ubrania. I tak wtedy myślę, że zapach to przecież taka maciupka cząstka ciała, a więc ona naprawdę tu jest. Może trochę jak mgiełka albo taka gęściejsza fotografia, ale jest. Na razie tak, a jak wróci, to będzie normalnie. A co będzie, kiedy zapach wywietrzeje? To jak ja mam ten zapach ocalić? Myślę cały czas, co ja mogę zrobić, żeby w tych najmniejszych drobinkach on ze mną został.

Zuzanna znów, bardzo wyraźnie, widzi oczy Małgosi, tamto pierwsze spojrzenie, kiedy zobaczyła ją po urodzeniu. Klucie w sercu narasta, przenikliwe, powoli przesuwa się do krtani, ust, uszu. I jeszcze do brzucha, do macicy, gdzie przecież też było miejsce Małgosi, jej pierwsze schronienie. Mogła tam pozostać. Zuzanna dotykałaby jej przez skórę na warstwie tłuszczu okrywającego szczelnie to miejsce, mówiłaby do niej, głaskałaby i kołysała do snu każdego wieczoru, spokojna, że Małgosia jest bezpieczna. Tak byłoby dobrze. Może więc w tym jej spojrzeniu tuż po urodzeniu był przede wszystkim żal, że nie mogła dłużej zostać w kryjówce, że Zuzanna jej tam nie zatrzymała, nie ukryła, tylko wypchnęła z siebie na zbyt trudny świat. I przecież od momentu śmierci Małgosi wraca wciąż, w nieskończoność, do najdrobniejszych szczegółów z nią związanych, do jej gestów, słów, uśmiechu i czasem płaczu, który teraz odczuwa dużo boleśniej, niż kiedy miał miejsce w rzeczywistości, obwiniając siebie, że pozwoliła,

by w ogóle się pojawił.

– Boję się panicznie dnia, gdy ten zapach zniknie – szepcze przez wymęczone gardło kobieta. – Bo to tak, jakby ona umarła. Ktoś mówił, że bardzo chora czy umarła, już nie pamiętam... Ale ludzie to mówią takie rzeczy, takie głupoty.

– A pani co myśli? Jak nie ma z nią kontaktu od pół roku, to żyje czy umarła? – pyta Lucyna.

W gabinecie zalega cisza, słychać tylko zegar stojący na parapecie, mozolnie odmierzający lepki czas. Zuzanna nie może się poruszyć. Nie chce patrzeć na Lucynę. Nie wie, gdzie ma patrzeć, bo na tę kobietę też nie chce.

– Muszę ją odnaleźć, zanim ten zapach wywietrzeje. Chyba pani rozumie, bo jak nie zdążę, to ona mi się zgubi całkiem w świecie. – Kobieta ignoruje pytanie Lucyny, jakby go nie było lub nie było ważne. Albo okazało się zbyt ważne. – Jak ubrania nie będą miały jej zapachu ani dom nie będzie miał jej zapachu, to ja może jej nie rozpoznam, gdy przyjedzie? I wtedy jej naprawdę nie będzie. I powiedzą: wyrodna matka, nie szukała córki, której zabrakło parę groszy na bilet powrotny, zostawiła ją na pastwę losu. Albo powiedzą: córka wróciła do matki, ale ta zapomniała, jak ona pachnie, i nie rozpoznała jej, głupia matka. Tak na pewno powiedzą wtedy w telewizji. Teraz jest mnóstwo takich różnych programów, gdzie pokazują głupich ludzi. Albo złych ludzi. O mnie będzie, że głupia. I będą mieli rację. No to trzeba ją odnaleźć, zanim ten zapach wywietrzeje. Bo tam jakiś wypadek był czy coś, tak? Ktoś tak mówił, ja się boję o nią, jak słyszę takie rzeczy, żeby jej się też nic takiego nie przytrafiło, bo wtedy nie przeżyłabym tego. Gdyby jej... coś...

Łzy wysychają, ledwie pojawią się w kącikach oczu, jak strumień wsiąkający w spaloną, pustynną ziemię. Woda umiera bezgłośnie w wypalającej wszystko suszy. Zniknęły rośliny, zwierzęta i prawie wszyscy ludzie. I prawie cała woda, została jedna kropla. To znaczy tyle zostało Zuzannie. Powinna wyjść, ale nie potrafi tego zrobić. Tak jak to bywa we śnie, gdy się wie, że trzeba uciekać, ale nogi nie chcą się poruszyć, gdy się wie, że się krzyczy, ale głos nie wydobywa się z krtani.

– Ale kiedy się wreszcie spotkamy – rześko kontynuuje kobieta – gdy już ona wróci, to zrobię jej najlepszy obiad na świecie. Bo ona będzie głodna, prawda? Jak nie ma na bilet, to nie ma i na jedzenie. Ona bardzo lubiła... lubi barszcz ukraiński i pierogi z serem. To ja wciąż robię barszcz i te pierogi, bo jakby przyszła... bo jak przyjdzie, to będzie to wszystko gorące na nią czekać. Tylko tu nie mogę tego robić. Musicie mnie wypuścić z tego szpitala, ja tu jestem niepotrzebnie. Bo to jest szpital, tak? Ale dziwny jakiś. Jakieś dziwne te kobiety tu są, dogadać się nie można...

– A dlaczego pani ubiera się na czarno? – drąży dalej Lucyna.

Kobieta patrzy na nią, jakby ta powiedziała coś bardzo niestosownego, może głupiego czy niegrzecznego. Po chwili twarz kobiety rozsypuje się na kawałki, łzy pokonują pustynię jednym niepowstrzymanym strumieniem.

– To pani chce mi powiedzieć, że ona nie żyje, tak? Że ona umarła i już jej nie zobaczę? To chce mi pani powiedzieć? – Kobieta zanosi się płaczem.

– Mąż mówił, że była pani na pogrzebie.

– Ja nie wiem, czy to był pogrzeb. Przyjechała rodzina i chodziliśmy po parku – szepcze.

– Czy to na pewno był park? – nie ustępuje Lucyna.

– Tak, tak, na pewno, drzewa, kwiaty, wszystko było jak trzeba. Ptaki śpiewały, wiewiórki biegały po tych, no, alejkach.

– A było coś dziwnego w tym parku?

– Czy ja wiem... Nie, nic.

– A nie było tam grobów?

– W parku nie ma grobów! – pospiesznie wyjaśnia kobieta, jakby chciała uprzedzić kolejne pytania

i wątpliwości Lucyny.

– Czy już pani dziękujemy, czy chcesz jeszcze o coś zapytać? – zwraca się Lucyna do Zuzanny.

– Nie.

Lucyna dzwoni po pielęgniarkę, a kobieta odwraca do Zuzanny głowę, marszczy brwi, przygląda się uważnie, zagryza usta i po chwili szepcze:

– Pani mało mówi, tylko pani się wsłuchuje... Ja pani powiem, jak to jest: nic nie wiemy. Coś się dzieje codziennie, różne zdarzenia, i dopiero potem one okazują się ważne, jak je wspominamy, bo kiedy się dzieją, to wcale nie. I ja tak teraz mam, że przypominam sobie jakieś drobiazgi, zupełnie nieważne rzeczy związane z moją córką, i tak ryję w tej pamięci i ryję, i każde jej spojrzenie, uśmiech, każde słowo i gest sobie odtwarzam, aż do tych pierwszych słów, które wypowiedziała. U niej to było tata, nie mama. – Uśmiecha się czule. – To moje jedyne pożywienie, musi mi wystarczyć, aż ją odnajdę. Wtedy znów się najem. A na razie to jem to, co dostałam od niej wcześniej. No to muszę ją odnaleźć, bo inaczej umrę z głodu – kończy cichutko.

Lucyna przygląda się nieruchomej Zuzannie, ale przecież za krótko tu pracuje, żeby wiedzieć o Zuzannie coś więcej niż to, jaką herbatę pije i co je na śniadanie, co czyta i co widziała ostatnio w kinie. Bezpieczna wiedza i Zuzanna nie zamierzała poza jej krąg wychodzić, bo sposób bycia Lucyny, jej ogromna pewność siebie w tak młodym jak na lekarza wieku, jej prokuratorskie niemal zacięcie, widoczne przy badaniu pacjentów, jej chłodna satysfakcja przy rozwikływaniu zagadek poplątanych umysłów nie zachęcały do bliższego kontaktu.

Wchodzi pielęgniarka, ale pacjentka zastyga w fotelu, wpatrzona daleko w przestrzeń i czas. Dopiero po kilku chwilach próbuje wstać, z trudem, nieporadnie. Wydaje się wyżęta do ostatniej kropli energii, niemal zawisa na wątej pielęgniarce, która dzielnie ją podtrzymuje. Wychodzą pod rękę, jak dobre przyjaciółki.

– No i co myślisz, jest psychotyczna?

– Myślę, że to dysocjacja – mówi Zuzanna i wychodzi z gabinetu, odprowadzana zdziwionym spojrzeniem Lucyny, która o coś jeszcze pyta, ale Zuzanna już jej nie słucha.

Wędruje swoją pustynią, wyschniętą do białości, bez szans na ostatnią kroplę wody, wypaloną po ostatni kryształek rozżarzonego piasku.

Kończy pospiesznie śniadanie, próbując ułożyć plan na dzisiejszą sobotę, ale za każdym razem wychodzi jej, że nie zdąży swojego planu zrealizować. Posprzątać musi, to jest najważniejsze, czuje ten bałagan i brudek podłogi i kanap, kurz osiadły na meblach. Czuje skórą, głównie skórą, czuje całą sobą, wtedy stara się nie być w mieszkaniu zbyt rozłożyste, próbuje trochę skulić się, wessać do środka i przeczekać. Ale już się nie da. A więc na razie nie założy bielizny, bo i tak jeszcze raz wykąpie się, kiedy posprząta. Zresztą lubi w domu chodzić bez bielizny, czuje się wtedy swobodnie, nic nie uciska, nie przeszkadza. Jej nadwrażliwe ciało domaga się ubrań z bawełny, rezygnacji z pasków i gumek, żąda odcinania metek. Ta luźna spódnica i bezkształtny podkoszulek są w sam raz.

Kiedy słyszy dzwonek do drzwi, zastanawia się chwilę, czy otworzyć w samym środku zamieszania. Idąc do drzwi, sprawdza jeszcze, czy na pewno nie widać, że jest bez majtek, by nie gorszyć tego kogoś za drzwiami, kto dzwoni jeszcze raz, dosyć natarczywie. Pewnie sąsiadka, myśli i otwiera drzwi.

Za nimi stoi ksiądz i pyta:

– Przyjmujecie księdza?

Nie powinna go wpuścić. Nie chciała go wpuścić. Nie wiedziała, czy bardziej nie chce, czy bardziej nie powinna. Ale, po pierwsze, spytał tak łagodnie, nienapastliwie, po prostu spytał, uśmiechając się nieśmiało, może nawet trochę zawstydzony. Pomyślała, że nie wysyłając przodem tych młodocianych,

których na ogół księża po kolędzie wysyłają, naraża się na odmowę, którą zamierza odważnie przyjąć. Z iloma się zmierzył? I gdy spojrzała w jego twarz, w oczy, znów, choć nie chciała, mogła opowiedzieć mu jego historię, zanim cokolwiek on powiedział. To nie musiała być najprawdziwsza historia, ale przez tych parę sekund, gdy patrzyła w jego oczy, była.

– Tak, oczywiście – kłamie.

Ksiądz przeciska się obok niej w przedpokoju i w tym momencie Zuzannę paraliżuje świadomość, że nie ma bielizny. Jeszcze raz sprawdza, czy nic nie prześwituje i myśli, że ksiądz nie mógł wybrać gorszego momentu na swoją kolędę. Czy mogłoby być jeszcze gorzej? Może, ale i tak jest wystarczająco źle.

– Pewnie mnie pani widziała już na mszach. To ja jestem nowym księdzem po śmierci księdza Ryszarda...

– Oczywiście – powtarza, choć ani o księdzu Ryszardzie, ani tym bardziej o jego śmierci nic nie wie, ale pewnie szkoda księdza Ryszarda.

– To ja przyszedłem po kolędzie zamiast księdza Ryszarda, który już przebywa w tym lepszym świecie...

– No tak... – godzi się bez sprzeciwu Zuzanna i zazdrości księdzu wiary w lepszy świat.

– To może usiądziemy... gdzieś... i porozmawiamy... Tak poznaję powoli parafian...

Ksiądz zawiesza głos i przygląda się jej uważnie, czym wprawia Zuzannę w panikę – jednak domyślił się, zauważył czy w inny sposób przeniknął jej ubranie i wie, że ona nie ma majtek ani stanika, a może też chce jej wytknąć bałagan w mieszkaniu. Czeka więc na to, co usłyszy, coraz bardziej poirytowana gościem, który wprosił się niespodziewanie, w bardzo nieodpowiednim momencie, a przecież powinna znaleźć w sobie więcej pokory, bo cokolwiek powie jej ten mężczyzna w czarnej sukni, będzie miał rację. Chyba. Nie przyjmuje się gości bez bielizny, sprząta się w mieszkaniu regularnie, nie dopuszczając do takiego bałaganu. Starając się więc nie stawać pod światło wpadające z okien, Zuzanna podnosi odkurzacz i ciągnąc za sobą splątany sznur, bo nie chce się schylać, wynosi go do łazienki. Przesuwa fotele, zamyka balkon.

– To może usiądźmy przy stole.

– To najpierw się pomódlmy – komenderuje ksiądz. – Pokój temu domowi... – Rozgląda się. – Nie ma żadnego świętego obrazka – stwierdza karcąco.

– No tak... – Zuzanna zastanawia się, czy będzie kontynuował ten wątek, ale na szczęście nie robi tego.

Pokój temu domowi, powtarza w duchu słowa, które przed chwilą padły i rozgląda się wkoło, jakby chciała sprawdzić, czy dotarły do każdego kąta. Czuje wzruszenie i nie chciałaby odrywać się od tych słów, które mają w sobie tyle prostej dobroci i spokoju. A może gdyby to ukochane mieszkanie słyszało je każdego roku, byłoby chronione przed złymi mocami i nie wydarzyłyby się niedobre rzeczy. Może jednak źle zrobiła, rezygnując z takich wizyt.

Ksiądz zaczyna modlitwę, co jakiś czas ścisza głos, żeby, jak sądzi Zuzanna, sprawdzić, czy ona w ogóle umie się modlić. O dziwo umie i słowa zapamiętane w dzieciństwie bez wysiłku pojawiają się i wydobywają na świat z zakamarków pamięci z łatwością, jakiej wcale się nie spodziewała.

– Może usiądźmy... – Zuzanna wskazuje na krzesła i stół, bo tam jest najczyściej, a poza tym w końcu schowa się za czymś i może będzie mogła myśleć przytomniej, jaśniej, w ogóle myśleć, bo jak dotąd czuła w głowie sieczkę.

Siadają naprzeciw siebie, przyglądając się sobie bardzo uważnie.

– Może zrobię herbaty?

– Nie, dziękuję, zaraz pójdę. – Ksiądz wzdycha, a Zuzanna, czując prawie nagimi pośladkami krzesło, na którym siedzi, myśli o tym, że będzie musiała dyskretnie odkleić spódnice od ciała, kiedy wstanie. –

To pani, widzę, sprząta... No, trzeba sprzątać. Pracuje pani czy w domu... raczej.

– Pracuję, oczywiście.

– A mąż?

– Też pracuje – kłamie Zuzanna, zaskakując tym samą siebie. Może gdyby miała na sobie bieliznę, myśli, byłaby odważniejsza i nie ukrywała, że rozwiodła się z mężem.

– Dzieci są?

– Tak, mam syna. – Przecież nie powie mu o Małgosi, to byłoby niemal jak obrażenie jej i pamięci o niej, gdyby przywołała ją teraz, w tej dziwacznej, komicznej mieszance, która dzieje się przez jej nieuwagę i brak refleksu.

– A jaki pani ma zawód? – pyta ksiądz, patrząc na nią z ciekawością.

Zuzanna też przygląda się jego szerokiej twarzy pokrytej rozszerzonymi naczynekami, czerwonawej od mrozu; mało ozdobny kartoflowaty nos dopełnia nieciekawego wizerunku, zgodnego z natarczywością właściciela, przed którą nie potrafi się obronić. Oczy są inne, może wzięte z innej twarzy.

– Psycholog – mówi z westchnieniem.

On teraz pewnie splunie i wyjdzie, przelatuje jej przez głowę. Ale ksiądz dzielnie to znosi.

– Na pewno pani rozmawia z wieloma ludźmi i oni się pani zwierniają ze wszystkiego, co najtrudniejsze – mówi z ożywieniem. – W końcu po to jest psycholog. Trochę jak ksiądz, tylko pani pewnie bardziej słucha, a ja muszę powiedzieć takiej osobie, czy postępuje dobrze, czy źle. Pani tego nie robi, prawda?

– Tak – ostrożnie odpowiada Zuzanna.

Nie jest pewna, czy dobrze rozumie intencje księdza.

– Bo te dzieci i młodzież są teraz takie straszne. W ogóle nie słuchają. Ja mam dość tych katechez. To nic nie daje. Ja mówię, a oni śmieją się ze mnie.

– Prowokują pewnie. Nie trzeba tego traktować zbyt serio, bo może robią to celowo, sprawdzają, ile ksiądz wytrzyma.

– Tak pani myśli? Ale dlaczego by tak mieli robić?

– Takie wygłupy, zabawa, popisywanie się.

– Kiedyś zobaczyłem u jednej takiej młodej pierścień Atlantów. Ja wiem, że to jest prosta droga do piekła, i mówię jej to, i żeby tego nie nosiła, bo szatan ma do niej dostęp, a na następnej katechezie ona patrzy mi beczelnie w oczy i widzę, że ten pierścień wciąż ma na palcu. Płakać mi się chciało. Jak ja mam mówić do takiej dziewczyny, co igra z diabłem...

– Ten pierścień jest taki ważny? Pewnie kupiła go za parę złotych, bo jej się podobał, pewnie był oryginalny, inny. Ja nawet nie wiem, jak taki pierścień wygląda. Ona pewnie nie wie, jakie miał znaczenie w dawnych czasach...

– Ale mnie uczyli, że otwiera wrota piekieł... To jest diabeł.

Wrota piekieł nie otwierają się pierścieniem, myśli Zuzanna. I nie diabły z ogonami tam czyhają, jak pewnie sądzi ten ksiądz, ale na przykład śnieg widoczny z dziesiątego piętra. Nie zamierza wygłosić tej myśli przed księdzem. Przecież nie będzie go uczyła o piekle, choć coś mogłaby powiedzieć na ten temat. On pewnie i tak woli swoją wersję.

– Rozumiem, diabeł – mówi obojętnie Zuzanna, przypominając sobie diabły, które tyle razy opisano jej w szpitalu.

Ma nadzieję, że ksiądz zakończy swoją wizytę po wyrzuceniu z siebie tych największych trosk. Przygląda jej się teraz, może oczekując większego zaangażowania, może dyskusji o Atlantach czy Atlancie, a może Atlantyku. O co właściwie tu chodzi? Zuzanna nie ma zielonego pojęcia i nie interesują jej jakieś wymyślne, uwodząco brzmiące opowieści z kategorii fantasy. Niech on już idzie, radzi księdzu

w myślach, niech on idzie.

– To ja pani chcę jeszcze powiedzieć, że wiele razy myślałem o samobójstwie i wątpiłem czasem w to, że Bóg jest – szepcze pospiesznie ksiądz. – Spać nie mogę całe tygodnie. A na mszy nikt mnie nie zastąpi, muszę iść, chociaż nie mam siły i nie wiem, czy to w ogóle ma sens. Ludzi coraz bardziej nienawidzę, siebie nienawidzę. I nie wiem, czy ja nie piję za dużo, bo nie wiem, ile można. Jak otwieram butelkę wódki i muszę ją skończyć, muszę i już. A ostatnio rano piję, żeby w ogóle wstać. To to jeszcze jest normalne picie czy już źle?

Jednak sądziła, że pije mniej i nie tak destrukcyjnie. Tak przynajmniej było w jej pospiesznie zbudowanej historii o nim. Wcale nie chce widzieć tego przerażenia w jego oczach, tego wołania i jakiejś atlantyckiej samotności. Czyli jednak Atlantyka, upewnia samą siebie, bo może jemu też chodzi o Atlantyka właśnie, może ona źle zrozumiała wcześniej, może w ogóle to wszystko jest...

– Bo ja nawet nie mam z kim porozmawiać, jestem przecież sam na plebanii, gospodyni wychodzi, a ja zostaję sam. Z kim mam rozmawiać? Chyba sam ze sobą, czasem zresztą tak robię, ale boję się, że ktoś mnie zauważy czy usłyszy. Ludzie mają rodziny. Gdybym miał żonę, dzieci, to może byłoby mi łatwiej? A tak nie mam nikogo. Wieczory są straszne. Ja jestem bardzo samotny. Gdybym miał żonę, to byłoby mi łatwiej może. Nie tak samotnie przynajmniej. Może czasem pokłóciłbym się z nią albo z dzieckiem... Ludzie tak robią i to jest takie normalne życie, prawda? U mnie w domu, kiedy byłem dzieckiem, też się kłóciliśmy, najbardziej rodzice, oni to aż za bardzo. Bili się często. Tak to bym nie chciał. I kiedy postanowiłem zostać księdzem, to byłem szczęśliwy, że tego nie będę miał, a teraz mi tego brakuje. Więc piję. I wtedy odpływam. Ja może potrzebuję psychiatry? I może psychologa? To jak z panią porozmawiam, to będzie psychoterapia, tak? – Na jego spiętej wcześniej twarzy maluje się wyraźnie ulga.

– Ze mną to lepiej nie, bo się już znamy i będziemy się przecież widywać na mszy czy w innych miejscach, ale ja zaraz dam księdzu telefony do miejsc, gdzie trzeba zadzwonić... Albo poproszę telefon od księdza, sama umówię w poradni i zadzwonię... – Urywa, widząc rozczarowanie i znów strach w jego twarzy.

– Ale z panią tak przyjemnie się rozmawia, pani jest sympatyczna... – mówi ksiądz, a Zuzanna znów widzi, jak dziecięce oczy ma ten człowiek i jak ogromny jest w nich smutek.

– Lepiej, dużo lepiej będzie dla księdza, jeśli to będzie ktoś inny. W poradni są naprawdę sympatyczne dziewczyny. Na pewno ksiądz będzie się czuł dobrze... – kontynuuje z coraz mniejszym przekonaniem, widząc jego lęk, że będzie musiał skoczyć na tym bungee jeszcze raz i jeszcze raz.

– A ja myślałem, że skoro już się znamy, to będzie lepiej.

– Nie, nie, lepiej dla księdza będzie rozmawiać z kimś całkiem obcym. – Zuzanna uśmiecha się ciepło, widząc jego rozczarowanie. – Bo przecież chcemy, żeby ksiądz poradził sobie z tym wszystkim jak najszybciej i jak najlepiej, to znaczy skutecznie.

– Tak...

Chyba przekonała go, bo rozgląda się teraz, jakby znów odzyskał możliwość poruszania szyją i już nie szuka świętych obrazków, ale po prostu ogląda mieszkanie, w którym się znalazł.

– A parafianie tylko czekają, aż się potknę, bo choć chrześcijanie, to w sercu chyba często... pogaństwo... – zwierza się znów zmęczonej i wyczerpanej Zuzannie, która zastanawia się, od kiedy to religia chroni przed ludzkim piekiełkiem; przypomina sobie młodocianych morderców, żarliwych katolików i ministrantów.

– Bo może piekło jest w człowieku, a nie gdzieś tam.. nie wiadomo gdzie. – Teraz ona zwierza się księdzu, który patrzy na nią albo nie bardzo rozumiejąc, albo zastanawiając się, co zrobić z tą herezją. – To może ksiądz wolałby do gabinetu prywatnego...

– Nie, ja dam radę.

Zuzanna jest zdziwiona tym przyływem odwagi i pewności siebie, akurat w miejscu, według niej, nieodpowiednim, ale nie nalega. Podaje wizytówkę.

– Gdyby ksiądz zmienił zdanie, to proszę do mnie zadzwonić.

Ksiądz czyta wizytówkę uważnie, poruszając bezgłośnie ustami.

– To pani w tym szpitalu pracuje. Z szaleńcami... Ja też tam się znajduję?

– Nie, nie, ksiądz ma objawy depresyjne i problemy z alkoholem. I chyba kryzys wiary się pojawił, ale to może być efekt samej depresji... Więc najpierw konsultacja i analiza tego wszystkiego, a gdyby szpital okazał się konieczny, to poszukamy lepszych warunków.

– To dziękuję bardzo. Czekam na telefon.

Wreszcie wyszedł. Jak dobrze, że wyszedł. Zuzanna siada ciężko na kanapie, próbuje pozbierać rozbiegane we wszystkie strony myśli, ale im bardziej stara się je dogonić, tym bardziej one uciekają.

Wchodzi śliskimi schodami do Piątki, która mimo upływu tylu lat nie zmieniła się wcale. Tak samo zanedbana, może nawet jeszcze bardziej koślawa i pokrzywiona. Zapach uderza w nos od drzwi, szczególnie przykry po rzeźkości zimowego, wyjątkowo mroźnego powietrza. Bo zima tego roku wróciła i zawiąła, zmroziła, a miała już tego nie robić. Spacer do Piątki jest tak samo niełatwy, szczególnie wejście po schodach, jak we wszystkie ciężkie zimy trzydzieści parę lat wcześniej, gdy zaczynała te spacerować. Czy wtedy było jej tak samo zimno jak teraz? I jak wytrzymywała czekanie na przystankach w takie mrozy?

Zuzanna dowiaduje się jeszcze w dyżurce o pacjenta, którego ma zbadać, i najpierw wraz z praktykantką lokują się w gabinecie lekarskim, chwilowo pustym, przeglądają historię choroby, a później wyruszają po pacjenta, żeglując w nieprzyjemnej ciasnocie i niechlujności oddziału. Korytarz jest przepełniony, cisza niemal dzwoni w uszach, zapach nieskrępowanie owija jej głowę zgniłym szalem. Zuzanna znajduje łóżko pacjenta śpiącego pod cienkim szaro-czarnym kocem, postrzępionym na brzegach. Wyciąga rękę, aby go obudzić, ale on tylko coś mruczy, niezadowolony. Zuzanna uśmiecha się do Ludwiki, stojącej grzecznie obok, czekającej cierpliwie na rozwój wypadków. Pewnie powie później, jak to zwykle ona, że to było ciekawe doświadczenie. Powiedziałyby tak nawet wtedy, gdyby pacjent zaparł się w łóżku i w ogóle nie chciał z niego wyjść. Zuzanna chwytając pacjenta za ramię i lekko nim potrząsa.

– Panie Sławku, panie Sławku, wstajemy teraz z łóżka! – woła cicho, ale w ciszy Piątki brzmi to podejrzenie głośno.

Zuzanna milknie i przesuwa wzrok po ścianach. Trwa to jakiś czas, pacjent Sławek niechętnie wraca ze swoich sennych krain do borych lamperii. Zuzanna i Ludwika stoją i cierpliwie czekają, aż dojdzie do większej przytomności. Oczy Zuzanny obojętnie przesuwiają się po brudnawych łóżkach.

Poznała go od razu, choć tak bardzo się zmienił. Ale może w samym sednie swoich rysów nie zmienił się wcale i dlatego właśnie rozpoznała go tak szybko wśród tylu głów leżących na pozapadanych łóżkach. Może oprócz rysów twarzy jest jeszcze coś, w zarysie głowy, ucha, układzie włosów czy jeszcze czymś, czego nie umiałyby nazwać, ale widzi i wie. I dlatego jej oczy zatrzymały się bezbłędnie na łóżku pod ścianą, w samym kącie. Wychudzona twarz, siwe włosy, zapadnięte oczy skryte w cieniu głębokich oczodołów. Szarpał się, wiązany wprawnymi rękami pielęgniarzek. Poznała, choć jego łóżko było dosyć daleko od miejsca, w którym się zatrzymały z Ludwiką i czekały na sprzyjające warunki badania. To dlatego umilkła, choć zaczęła mówić jakieś zdanie, które miało zapełnić pusty czas. Ludwika podąża za jej wzrokiem, ale przecież nie może wiedzieć, o co chodzi. Więc czeka, aż Zuzanna nieco przytomnieje i przypomina sobie o jej obecności.

– Mam ogromną prośbę, pani Ludwiko – mówi w końcu Zuzanna. – Przepraszam, ale czy mogłaby pani wrócić na oddział i tam na mnie poczekać?

Nie ma pomysłu na wytłumaczenie przyczyny swojej prośby i z pustką w głowie, przełykając bezradnie ślinę w suchym gardle, czeka na pytanie, o co chodzi. Może to nawet panika. Ale Ludwika nie pyta. Mówi „oczywiście” i odchodzi. Zuzanna jeszcze chwilę czeka, aż dziewczyna zniknie za drzwiami, jeszcze chwilę przygląda się twarzy pacjenta, którego miała zbadać, wciąż sennego i niechętnego. Łatwo będzie zostawić go w spokoju, myśli. Niepytany o nic pacjent zapada w drzemkę, a Zuzanna przygląda się swoim dłoniom, zaciśniętym, obolałym od wbitych w nie od wewnątrz paznokci. Rozprostowuje je z trudem, nabiera gęstego powietrza w usta. No trudno, myśli.

Podchodzi powoli do łóżka w kącie i ogląda twarz leżącego precyzyjnie, milimetr po milimetrze. Być może tak właśnie patrzyła na niego u samego zarania, gdy nie wiedziała o nim tego, czego dowiedziała się później, gdy poznawała pierwszego mężczyznę na świecie, na którym dopiero co się pojawiła.

– Znam cię? – Ojciec marszczy brwi, wbija uważne spojrzenie w jej twarz.

– Nie – odpowiada Zuzanna zgodnie z prawdą.

Dotyka palcami grubych więzów na przegubach jego chudych rąk. Powoli rozplątuje szorstkie węzły, z trudem, ale uparcie. Ojciec w tym czasie patrzy na nią w ciszy.

– Skądś cię jednak znam... – mamrocze.

– Poznaliśmy się kiedyś... – szepcze Zuzanna, ale szepcze dlatego, że siłuje się z węzłami.

– Zuza?

Zuzanna nie odpowiada. Uwolniła już jego prawą rękę, zabiera się do drugiej. W tym celu musi przejść na drugą stronę łóżka. Ojciec przykleja wzrok do jej twarzy, gdy ona obchodzi łóżko. Jego uwolniona ręka zwisa bezwładnie, widać o niej zapomniał. Pionowa zmarszczka, jaką pamięta, między jego siwymi niemal brwiami, jest teraz dużo głębsza. Zmieniły się proporcje, on zmałał, w dużej części zniknął, choć lata temu był tak potężny i wyraźny. Zuzanna siłuje się z drugim węzłem, ojciec patrzy na nią czujnie.

– Zuza! – stwierdza w końcu triumfalnie i uśmiecha się szeroko, ukazując resztki zębów.

Twarz Zuzanny owiewa jego cuchnący oddech.

– No... Zuza? – Ojciec traci pewność.

Minęło tyle lat od ich... Jak to nazwać? Spotkania? Bez sensu. Od czasu, gdy od niego i jego przyjaciela uciekła, zbiegając po schodach z Jimim w kieszeni kurtki. Zaczyna liczyć w pamięci, wciąż skoncentrowana na więzach, podważając paznokciami twardą tkaninę. A więc... zaraz... minęło... czterdzieści? Nie, trochę mniej, trzydzieści... osiem? Nie, dziewięć. Właściwie żadna różnica. Jestem już prawie stara, myśli bez popłochu, a paciorki lat przesuwają się szybko w głowie, zwalniając przy niektórych zdarzeniach, które teraz znów odtwarzają się ze szczegółami: cynamonowa trawa pod balkonem Lilki i Leny, mieszkanie Leny, lakowe pudełko z pudrem, zegar wybijający miarowo godziny. Mały Kubuś i duży Jakub, i Piotr, i Igor, i Adam, i kolorowe krajobrazy, i gruby lekarz w białym kitlu zapewniający ją: „Pani jest młoda...”. I tamto spojrzenie, które uchwyciła kątem oka i wiedziała, że już jest za późno; szarpnięcie; kanapa; kleszczowy uścisk i szorstkość dłoni przesuwających się po jej ciele. Zapach tamtego mężczyzny, o którym wcześniej ani później nie wiedziała nic; ból; dywan; woda spływająca po obolałym ciele. A później, natychmiast, biały śnieg widoczny z okna wieżowca, biały śnieg, który zabrał Małgosię, a może miał zamortyzować jej upadek, kto wie. Dwa przerażające zdarzenia związane czarną wstążką i podane jej w czarnej paczusce, najstraszniejszy prezent. Paczuska z lawendą gdzieś się zagubiła czy rozsypała w pachnący fioletowo pył dawno temu, zbyt dawno.

– Dlaczego zatrzymywał pan tramwaje? – Zuzanna po raz kolejny próbuje zobaczyć oczy Romualda, ale

znów to się nie udaje. Romuald uśmiecha się szelmowsko i zawsze patrzy gdzie indziej, choć czasem jakby na nią, ale jakoś obok, i wtedy jego wzrok ześlizguje się po konturach ciała Zuzanny, jakby było zbyt gładkie, nieprzyczepne dla Romualdowych oczu.

– To jak to z tymi tramwajami było, panie Romku?

– Bo jeździły nieporządnie.

– To znaczy jak?

– Za szybko i kierunki im się myliły. No, to musiałem zrobić porządek. Musiałem pomóc ludziom.

– Ale przecież ci ludzie omal pana nie zabili, jak pan wprowadził ten chaos!

– Nie chaos, tylko porządek wszechświata. – Znow uśmiecha się zaślinionymi ustami, znow parska jak kichający kot. – No, ale oni nie chcieli... Ludzie są dziwni.

– Bo pan przecież wszystko zatrzymał. Pół miasta stało przez pana, a ludzie jechali do pracy, do szkół czy gdzie tam jeszcze.

– Ale źle jechali. Nieporządnie. No to musiałem to naprawić. Ale oni chcieli mnie zbić, chcieli, i to bardzo. Gdyby nie policja, to chyba by mi wtukli, nie?

– Możliwe.

– Ja już tak nie robię. Już wszystko się ułożyło. Ja już nie mam takich myśli, że wszystko mogę. To już mi przeszło. Szkoda, lubiłem być taki ważny dla siebie. – Posmutniał i przygasł. – Ale tu mówią, że taka maniakalna choroba to wraca. To może u mnie też wróci? – Uśmiecha się z nadzieją.

– I co, znowu pan zatrzyma ruch w mieście?

Romuald gwałtownie kręci głową, bardzo gwałtownie i z zaangażowaniem, ale w kącikach jego oczu, a właściwie oka, jako tako widocznego dla Zuzanny w jego profilu, czai się radosna nadzieja.

– Ja też czasem myślę o samolotach. – Chichocze i znowu parska po kociemu. – Ale jak zatrzymać samolot? Może ja bym pojechał na lotnisko? Ale babcia mówi: „Romek, ani się waż, na żadne lotnisko nie pojedziemy. Dość szkód już narobiłeś na ziemi. Niebo zostaw w spokoju”.

– I co, zostawi pan?

Romek patrzy jeszcze bardziej ukośnie. Po dziecięcemu kładzie dłoń na ustach, jakby bał się, że wypowiedzą coś, co go zdradzi. Trzeba nad nimi panować. Podśpiewuje przy tym, jakby nigdy nic, jakby całkiem nie on patrzył roziskrzonym, łakomym wzrokiem na samoloty mknące po niebie. Jakby to nie on szykował zamach na nie, to znaczy wprowadzenie Romualdowego porządku. Niby siedzi na ławce, niby leży na trawie, a tak naprawdę cały czas kombinuje.

– A więc jak, panie Romku, zostawi pan te samoloty w spokoju?

Romuald nadal nic nie mówi, ale całkiem teraz odwraca głowę od Zuzanny, chowa ją w ramionach. Nie potrafi kłamać, ale najwyraźniej chciałby, przynajmniej w sprawie samolotów.

– Babcia mówi, żeby zostawić...

Nadzwyczaj sprytnie i wymijająco jak na Romualda.

– A pan co myśli?

Zuzanna najbardziej obawia się tego, co mogłoby stać się Romualdowi, gdyby zrealizował swój upojny plan. Gdyby wtargnął w przestrzeń przeznaczoną dla innych, niż sobie wymyślił, procedur. Już przecież omal nie zginął, gdy zatrzymał tramwaje, a co dopiero próba zawładnięcia samolotem, jakkolwiek miałyby wyglądać. Raczej nie potraktują tego jak żartu. Gdyby Zuzanna miała lecieć samolotem, bo wciąż się wybiera, zamierza, ale jakoś nie udaje się tego zrobić, to może właśnie z Romualdem byłoby to możliwe. Bo może właśnie Romuald odkrył prawdziwe zasady rządzące powietrzem i wykorzysta je w taki sposób, żeby zawsze było ono przyjazne dla wszelkich latających urządzeń i one już nigdy nie spadną, zawsze wylądują miękko, delikatnie, jak na rozłożonych poduszkach. I wtedy Zuzanna w każdej z tych maszyn polecą z największą ochotą. Dziękujemy, panie Romualdzie.

Ludzkość panu tego nie zapomni.

– Zostawić – szepcze z rezygnacją Romuald.

Ale chyba wciąż w kącikach oczu czai się jakaś iskierka, jakiś chochlik.

– Jak by pan to wszystko ułożył w sprawie samolotów?

– No przecież wiadomo. – Znów pojawił się profil, nie tył głowy, czyli Romuald odzyskuje pewność siebie. – Inaczej muszą latać. Ja widzę, że źle latają, za bardzo równoległe do ziemi, za płasko. Ale też za mocno w górę i w dół. To mi się nie podoba. I to jest niebezpieczne. Bo czasem spadają. Pani wie?

– No tak... – Zuzanna wzdycha.

Nie czuje się uspokojona, wręcz przeciwnie, coraz bardziej nie chce wsiadać do tej dziwnej, kompletnie tajemniczej maszyny, żeby lecieć zbyt płasko czy za bardzo w górę i w dół, czy jakkolwiek. Latanie nie jest naturalnym stanem, pewnie dlatego tyle z nim zamieszania. Już pływanie jest lepsze, dużo lepsze. Nigdy nie bała się wody.

– Pewnie wyjdzie pan niedługo ze szpitala, ale babcia będzie z panem cały czas, prawda?

– No tak, babcia będzie – przyznaje czule Romuald. – Ja kocham babcię – zapewnia.

– Ale babcia już pewnie wymaga pomocy od pana, prawda? Ile ona ma lat?

– Osiemdziesiąt sześć, cztery miesiące, pięć dni, dziewięć godzin.

– I jak sobie radzicie w domu? Co pan robi?

– Ja dużo robię. Babcia mi pisze na kartce, co mam kupić, daje pieniądze, to ja idę do pierwszego sklepu po chleb, warzywa, twarożki, jogurty, a później do drugiego po mięso i wędlinę. I jak jest sobota, to jeszcze do innego po ciasto. Najlepiej z owocami.

– Kto gotuje obiad?

– No babcia. Ja pomagam. Kroję wszystko, bo najlepiej kroję. Babcia mówi, że nie zna nikogo, kto kroiłby tak dobrze jak ja. W kosteczkę, w kostkę, w paski, słupki, krążki, na zapałkę... – wylicza. – Tylko wolno kroję. – Smutnieje. – Jak mamy czas z babcią, to nic się nie dzieje, ale jak nie mamy czasu, to babcia trochę pokrzykuje – wyjaśnia. – Ale to nic, i tak ją kocham. A tu mogę kroić? Mogę? Pani im powie, że mogę, to sobie pokroję. Bo oni wciąż wyganiają mnie z kuchni.

– A co pan by pokroił?

– No kartofle, w dużą kostkę. I marchewkę, w słupki. I w słupki seler, a w krążki por.

– I co dalej pan by z tym zrobił?

– Ja nie wiem. To babcia wie. Ona coś by zrobiła.

– Może zupę?

– No, może. Ja nie wiem.

– Panie Romualdzie – Zuzanna nie może się oprzeć pokusie i rozgląda się wokół, jakby proponowała Romualdowi coś wysoce niestosownego – policzy pan?

– No pewnie, niech pani powie.

Romuald przymyka oczy i czeka.

– Cztery tysiące sześćset pięćdziesiąt dziewięć razy dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt sześć – wymyśla Zuzanna liczby, które wydają jej się niebotyczne, z trudem je zapisuje.

– Jedenaście zero sześćdziesiąt dziewięć siedemset osiemdziesiąt cztery – szepcze Romuald z orgiastyczną niemal przyjemnością.

Zuzanna usiłuje policzyć na kartce, ale mylą jej się i płaczą cyfry, miejsca po przecinku i wszystko razem. Rezygnuje.

Jest pewna, że Romuald podał prawidłową odpowiedź. Tyle razy to już sprawdzano, a jednak wciąż intryguje swoim nieprzydatnym talentem, który jest jak przepiękny, monstrialny, niepotrzebny, trudny do uniesienia pawia ogon mieniący się w słońcu.

- A zadanie mi pani powie?
- Jakie zadanie? Ja nie umiem wymyślić panu zadania z matematyki.
- Nie? – Spogląda na nią ze zdziwieniem, nie pojmując widać takiej nieudolności. – No to z fizyki.
- Tym bardziej.
- To pani może mi przeczyta.

Podsuwa jej stosik książek o mało zrozumiałych tytułach. Zuzanna wyławia nieśmiertelny, jak widać, *Zbiór zadań z fizyki*, który pamięta ze szkoły jako coś całkowicie obcego jej percepcji. Widząc jednak twarz Romualda z miną przypominającą psiaka czekającego na kość, otwiera na chybił trafił i czyta kompletnie niezrozumiałą treść.

- Za łatwe – wyrokuje Romuald. – Coś trudniejszego.

Wydawało jej się, że słyszy mamę, ale nie była pewna w tej mieszaninie dnia z nocą, przeszłości z teraźniejszością, snu z niewyraźną jawą. Głos Kuby przyplątywał widoczniej z przedpokoju, tłumaczył coś czy czegoś się domagał. Chciała zapytać Kubę, co się stało, ale świat znów odpłynął i zawisł gdzieś daleko, poza jej zmysłami. Tylko to dziwne wrażenie, odczucie czegoś, czego nie potrafiła początkowo określić, coś na czole, na twarzy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to mama dotyka jej twarzy, przesuwa dłoń po czole, przygląda się jej i chyba coś powiedziała, ale Zuzanna nie rozumiała. Przygląda się mamie intensywnie, czując ból rażącego światła, bo zasłony zostały odsunięte z okien. Wraz ze światłem wpadło też powietrze przez uchylone chyba teraz okno, powietrze strasznie zimne, powoduje ono drżenie i konieczność skulenia się jeszcze bardziej pod kołdrą.

- Zamknąć? – pyta mama, a Zuzanna chce odpowiedzieć, że tak, ale głos nie wydobywa się z ust.

Mama zamyka okno, zaciąga zasłony. Chyba gdzieś idzie, ale po chwili wraca i Zuzanna czuje teraz na twarzy coś chłodnego i wilgotnego, co początkowo jest bardzo nieprzyjemne, ale kiedy dociera do oczu, już tylko orzeźwia i chłodzi.

- Mama tak leży już ponad dwa tygodnie, nic prawie nie je. I nie chciała, żebym z tobą rozmawiał, ale przecież jest coraz gorzej. Z nią coś się strasznie złego stało...

Kuba płacze, mówiąc to, i Zuzanna chce powiedzieć, żeby się nie martwił. Mobilizuje się i udaje jej się wykrztusić jego imię, co prawda zupełnie nie tak, jak chciała, bo chciała radośnie, a przynajmniej uspokajająco, a wyszło chrapliwie i jękliwie. Pewnie bardziej przestraszyła go, niż uspokoiła. Ale mama mówi:

- Idź, Kuba, do szkoły, ja się teraz zajmę mamą. Ty idź do szkoły i się nie martw.

I chyba mama wyciąga rękę do Kuby i może go głaszczce albo klepnęła w ramię, gdy nachylony nad nimi obiema, zbierał kubki z resztkami herbaty i talerze z niezjedzonymi posiłkami. Kiedy taca się zapełniła, wyszedł, ale spojrzał jeszcze raz uważnie na Zuzannę, która próbowała się uśmiechnąć, znów bezskutecznie.

Mama otula ją kołdrą i wychodzi, co Zuzanna odbiera z ulgą, bo jednak tego wszystkiego już jest za dużo. Później, dużo później lub trochę później, tego nie umie ocenić, mama znów przetała wilgotnym, chłodnym ręcznikiem jej twarz i szyję, i ramiona, i ręce i to jest teraz rzeczywiście przyjemne. Pojawia się też coś słodkiego, co mama włożyła jej do ust. Zuzanna znów czuje, jak bardzo bolą ją mięśnie twarzy, głównie szczęk i to chyba dlatego trudno i ostrożnie trzeba żuć to, co znalazło się w ustach. Później herbata, przypomina sobie, że chciała przecież napić się herbaty. Tak, herbata była tu potrzebna. I chyba znowu zasypia czy zapada się gdzieś w otchłań, która jest trochę bardziej miękka niż dotąd. I jeszcze uchyla powieki, słysząc przytłumione dźwięki, jakich nie może z niczym powiązać, i widzi mamę siłującą się z rozkładanym łóżkiem. Czy ona będzie tu spać, pyta samą siebie, i nie doczekawszy się odpowiedzi, zasypia.

Dużo później, chyba nawet więcej niż dużo później, zapach dłoni mamy, o których od zawsze wiedziała, że takie są, w zapachu i szorstkości, niecierpliwości, pospieszności. Nigdy do końca im nie ufała, choć pewnie kiedyś, bardzo dawno temu, próbowała. Ale zdecydowała, że jednak nie. Czuje wyraźnie ich dotyk, gdy mama szybko przesuwa je po jej czole, sprawdzając tak od zawsze temperaturę, i Zuzanna wie, że jeśli byłaby podwyższona, spojrzałaby na nią z wyrzutem, pretensją. A może to zawsze była bezradność i strach, myśli. I wwąchuje się w zapach tych rąk, warzywno-jakiś jeszcze, próbuje rozszyfrować, bo to tak, jakby dzieciństwo przypląnęło i zalało teraźniejszość, która, jest taka nadzieja, nigdy się nie wydarzyła. Więc Zuzanna poczeka, przycupnie sobie, prześpi, przedrzemie, aż dzieciństwo rozwinie się powoli – lub całkiem szybko, wszystko jedno, będzie przecież spać, a ono, dzieciństwo, rozwinie się w młodość, późną młodość i dojrzałość. Dogoni wtedy swój czas, swoje życie bez tego zbyt ostrego, śmiertelnego zakrętu i będzie je kontynuować z poczuciem, że da sobie radę ze wszystkim. Może jednak da się schronić pod tymi dłońmi, jak pod parasolem, przynajmniej głowę...

– Ugotowałam rosół. Zaraz ci przyniosę.

Mama wstaje i idzie do kuchni, a Zuzanna czuje brak jej dłoni pachnących rosółem. Zrobiło się jeszcze bardziej pusto, cicho, chyba nawet samotnie. A rosół po chwili smakuje tak jak zawsze. Choć trwało jakiś czas, zanim ten smak poczuła.

Później pozwala wrócić światłu, które nie razi już jak sceniczny reflektor. A jeszcze później czuje, że jest za ciepło. I ból stóp postawionych na podłodze, o której już dawno zapomnieli. I kiedy Kuba zmywa naczynia, a mama krząta się w kuchni, Zuzanna słyszy, leżąc pod kocem na kanapie w salonie, pytanie mamy o Piotra: – No, a co tam z tatą, przyjdzie, jak obiecał? – i krótką odpowiedź Kuby: – Nie chcę go znać.

Znów przypływa twarz Piotra skurczona z wściekłości, nie z bólu za Małgosią, tego jest pewna, bo właśnie wściekłość zobaczyła w jego oczach i to bardziej ją przeraziło niż słowa, które wypowiedział, wykrzyczał po chwili jak najgorsze zaklęcie: „To przez ciebie ona się zabiła, tylko przez ciebie”. To nieprawda, wyszeptała, dusząc się z przerażenia, i wtedy Kuba, krzyżąc „to nieprawda”, popchnął Piotra tak mocno, że ten się przewrócił i gdy wstał z nierównego asfaltu, jego ręka ociekała krwią, barwiąc mankiet białej koszuli. Znieruchomiła Zuzanna przesuwa spojrzenie z jego dłoni na twarz i widzi oczy Piotra, tak dobrze znane. Kuba podchodzi do niego i Zuzanna widzi teraz plecy syna w jasnej bluzie, szerokie plecy młodego mężczyzny, który zasłania ją przed Piotrem, i Zuzanna myśli, że nie powinien tak stawać między nią a swoim ojcem, bo to za trudne dla dziecka. Ale Kuba nie rusza się z miejsca i coś mówi, jednak Zuzanna już tego nie słyszy, nawet wtedy, gdy zaczynają obaj na siebie krzyżeć. Zuzanna nie czuje strachu, czuje się bezpieczna za masywnymi plecami syna i wciąż nie jest pewna, czy to dobrze, że za nimi się schowała. Później Kuba obejmuje ją, niemal podnosi i idą z parkingu do domu, a Piotr odjeżdża wściekle. Zuzanna widzi jego samochód zawadzający ze zgrzytem o wysoki krawężnik. Myśli: uszkodził koło. Opierając się o Kubę, wchodzi do mieszkania i już tam zostaje na bardzo długo, zsuwając się z łóżka coraz dalej, do podziemi, w poszukiwaniu swojej Eurydyki. Nie znajduje jej, choć wciąż widzi jej postać tanecznie wychodzącą w śmiertelną przestrzeń, jej uśmiech, gdy odwraca głowę na pożegnanie i wciąż zadaje sobie pytanie, co mogła zrobić i dlaczego tego nie zrobiła, a przecież powinna.

Kuba nachyla się nad nią i nakrywa ją kocem, który zsunął się na podłogę. Chwilę patrzą sobie w oczy i Zuzanna uśmiecha się lekko, bardziej nie potrafi, i głaszcze go po twarzy.

– To za dużo dla ciebie, synku. Przepraszam cię za to wszystko.

– Każdy ma jakieś życie, mamuś. Poradzimy sobie. Tylko może już wstań niedługo, co?

– Dobrze – mówi, sama w to nie wierząc.

Kuba idzie do drzwi, ale nie wychodzi. Zatrzymuje się i nie patrząc na nią, pyta:

- Czy ja mam pójść po niego?
- Po tatę? – pyta ostrożnie Zuzanna.
- Nie.

Zuzanna kuli się, zaciska dłonie.

- Nie – szepcze.
- Na pewno?
- Na pewno, Kubusiu.

Wstaje więc, jak mu obiecała, przypomina sobie świat na nowo, wiele odnajdując, wiele nie odnajdując w sobie i wokół siebie. Dni znów się układają w ciągi zdarzeń. Małgosi niby nie ma już w tym mieszkaniu, mama z Kubą usunęli jej rzeczy, ale przecież nie da się wszystkiego spakować i schować. Zuzanna odnajduje ją wszędzie, najdrobniejsze sytuacje wracają wyraziście i męczą swoją realnością. Nie może jednak rozpuścić się w tym, utonąć, nie może tego zrobić z powodu Kuby, któremu powinna przecież odjąć ciężaru, a nie dodawać. I to jest teraz najważniejsze. Więc przesiadują z mamą w kuchni, gotując obiady, piekąc ciasta, paląc mentolowe papierosy, chowane przed Kubą tak samo jak kiedyś przed Małgosią, ale choć obie o tym pamiętają, żadna nie powie tego głośno. Piją herbatę i kawę oraz zioła przynoszone przez mamę zgodnie z zaleceniami sąsiadki zielarki, niektóre smaczne, niektóre wcale nie i te Zuzanna wylewa potajemnie do zlewu. Siedząc w kuchni, omija wzrokiem miejsce, na którym zawsze lubiła siadać Małgosia, opierając się plecami o ścianę i podciągając nogi prawie pod brodę. Kuba pewnie domyślił się, że to będzie dla niej trudne, i przesunął stół, choć z pewnością jemu też jest źle z tym pustym krzesłem, on też odczuwa ten sam ból. Nie, jednak nie ten sam. Ona ma ten zarezerwowany dla osieroconych matek, nie ma przecież nic boleśniejszego. Wszystko tli się w jej głowie. Wystarczy lekki powiew, by rozpałiło się na nowo i wybuchło tamtym pożarem, a tego Zuzanna nie chce. Wykonuje więc polecenia mamy – obierz... podaj... gdzie masz... pokrój... nie zgłaszając żadnych pretensji do roli podkuchennej. To bardzo wygodna rola. I kiedy Kuba zjawia się, wołany na obiad czy kolację, siada z nimi do stołu, chwali to, co przyrządziły i Zuzanna widzi, jak bardzo on się stara i coraz częściej chciałaby wtulić się w niego, ale nigdy tego nie robi. On jest dzieckiem, a ja jestem dorosła, przekonuje siebie po raz setny.

– Mama mnie niczego nie uczyła – mówi mama, zasnuta mentolowym dymem. – Ja ciebie chyba też niewiele. Nie miałam cierpliwości – dodaje przeprasząco. – Ale ja gotuję tak jak gotowała moja mama, ty tak jak ja, oprócz tych chińskich i włoskich rzeczy oczywiście.

– Szkoda, że jej nie poznałam. Tak szybko umarła.

– Tak, a ja byłam za mała, żeby sobie ze wszystkim poradzić. Ona za szybko umarła, tata, to znaczy twój dziadek, zaginał. Wszystko przez wojnę. – Zaciąga się dymem i przymyka oczy. – To było bombardowanie w trzydziestym dziewiątym. Rysiek dopiero co się urodził. Chcieli go szybko ochrzcić, bo wojna się zaczęła i nic nie było wiadomo, rozumiesz. Poszliśmy do kościoła, zdążyli go ochrzcić, ksiądz cały się trząsał. Gdyby nie tata, dziadek znaczy, co go przywłókł do ołtarza, to pewnie by uciekł. I ledwie polał tą wodą, zaczęły lecieć bomby. Biegliśmy z tego kościoła, była połowa października, ciepło, słońce, biegliśmy Leśną...

– Wiem, piękne miejsce jesienią, taka aleja z drzewami po obu stronach, te drzewa jesienią są takie kolorowe.

– Aleja, mówisz... I że piękna... Może i tak. – Mama przygląda się Zuzannie zdziwiona. – Pewnie tak. Te drzewa miały takie kolory, jakby się paliły. Mama zaczęła krzyczeć, że biegniemy przez ogień i ja ten ogień też widziałam. Bomby leciały za nami, mama krzyczała, że gonią nas Niemcy, że nas zabijają. Ale tata krzyczał, że nic się nie pali, tylko liście w słońcu mają takie kolory. I nie wiedziałam, jak to właściwie jest, ale biegłam dalej, bo bomby to słyszałam na pewno. Tata trzymał Ryśka pod pachą, mnie

ciągnął drugą ręką, a mama nie mogła biec. To był trzeci dzień po porodzie, więc jak miała biec? Przewracała się, czołgała... Tata miał tylko dwie ręce, jedna dla mnie, druga dla Ryśka. Na nią krzyczał, żeby biegła, bo nas zabiją te bomby. Ale ona nie mogła. W końcu on zaczął szybciej biec z nami, a ona została tam. Wyglądało, że ją zostawił, i ja też tak myślałam i cały czas krzyczałam, żeby jej nie zostawiał, że ja chcę zostać z nią, ale nie chciał mnie puścić, ciągnął za sobą. I tak biegliśmy. Kiedy dobiegliśmy do domu, wrzucił nas do takiej dziury w ziemi, którą wcześniej wykopał, taka ziemianka to była. I wrócił po mamę, a ja wciąż słyszałam, jak ona krzyczy, żeby jej nie zostawiał. I kiedy ją przyniósł, całą we krwi, myślałam, że nie żyje, że ją bomba zabiła. Ale ona miała krwotok. Bo to był trzeci dzień po porodzie. A wiesz, że ten malutki Rysiek nie zapłakał ani razu? Spał. Cały czas. Jakby nic się nie działo. Zresztą, on zawsze tak robił, spał, jakby nic się nie działo. Więc tata ją przyciągnął i pobiegł po lekarza, który mieszkał niedaleko. Jak z nim przybiegł, to to bombardowanie było już dalej. Jakby wszystko odchodziło. Mnie kazali wyjść z tej ziemianki, ale ja się bałam, że te bomby wrócą. Zaczęłam kopać swoją ziemiankę pod drzewem, ale nie miałam tyle siły. Ręce sobie tylko poraniłam. Jak oni to zobaczyli, gdy już matkę opatrzyli, to tata się rozplakał. A ten lekarz zajął się wtedy mną, moimi rękami. Nic nie mówił. I kiedy leżałam w tej ziemiance z obandażowanymi rękami, to słyszałam, jak mówił do taty, że i tak zabiją nas wszystkich. Że to już koniec. On był Żydem. Zabili go bardzo szybko. Widziałam to. Uciekał, ale nie dał rady. I włosy mamy zrobiły się całkiem białe. A przecież miała wtedy trzydzieści lat. A ojciec, to znaczy twój ojciec, stracił wszystko w wojnę. Do Niemiec go wywieźli, na zniemczenie, bo był taki aniołek, blondynek. Znaliśmy się od dziecka, mieszkaliśmy niedaleko, bawiliśmy się razem przed wojną, chociaż młodszy był... no i jest, cztery lata ode mnie. Miał jedno zdjęcie, trzymał je przy sobie całą wojnę. Taki szkrab wiedział, że to trzeba chować. Zdjęcie matki, oczywiście. To znaczy on i matka. Zresztą, w czasie wojny cała jego rodzina zginęła. Właściwie dzięki temu, że go wywieźli Niemcy, przeżył.

Zuzanna jest zmęczona.

– Po co ja ci jeszcze głowę zawracam – mówi szybko mama. – Niepotrzebnie to wszystko mówię, za dużo to jest dla ciebie...

– I za dużo, i nie za dużo. – Zuzanna uśmiecha się, wpatrując się w oczy mamy. – Przecież nigdy mi tego wszystkiego nie mówiłaś.

– No właśnie i wybrałam taki niedobry moment. – Mama głaszcze ją po głowie, bardzo lekko i delikatnie, uśmiecha się ciepło i czule. – Połóż się, dziecko, odpocznij, ja tu wszystko zrobię. A dzwonił Kubuś i mówił, że niedługo będzie.

– Dobrze – mówi Zuzanna z ulgą i wychodzi do sypialni, by zwinąć się pod kołdrą w kłębek i zapaść w sen, trochę jak miękki puch, trochę jak szorstki asfalt, trochę jak biały, twardy śnieg, trochę jak zamykająca się nad głową woda, trochę jak wytrawny szampan sączony z wysokiego kieliszka, trochę jak mentolowy dym z papierosa palonego bardzo powoli.

I tylko czasem sny, jak wodospady...

Próbuje podnieść ręce, żeby przykryć się kołdrą, bo jest coraz zimniej, ale te kabelki i rurki, jakie do niej podłączono, utrudniają każdy ruch. Coś miała zrobić... Ach tak, ustalić kolory snów. Zaraz to robi, oczywiście, żaden problem, tylko jeszcze chciała sobie coś przypomnieć. Co to miało być? Buzia maleńkiego Kubusia, kiedy spojrzał na nią z zachwytem po raz pierwszy, i mu ten zachwyt natychmiast oddała, a później znów wzięła pocałunkiem w najcudownie pachnący maleńki policzek. I Małgosia patrząca na nią od pierwszego swojego oddechu zbyt mądrymi oczami, wywołując to dziwne ukłucie w sercu, które później czuła coraz częściej i mocniej. I jeszcze ta płonąca w słońcu ulica, którą biegnie przerażona... Ale przecież nie, to nie ona biegła tą ulicą, pomyliła się. Lubiła tędy jeździć z Igorem autobusem, a później jego samochodem, do lasu, który przyjmował ich ze zrozumieniem i z czułością.

Lubiła tam spacerować z dziećmi, szczególnie jesienią, zanurzając się z nimi w ogniste kolory. Wydawało się, że wystarczy wyciągnąć ręce, by dotknąć pożaru na brzegach, czy też napotkać szorstkość ścian dłońmi na wpół wyciągniętych rąk, bo więcej się nie dało w tej wąziutkiej uliczce w Wenecji, niewiele szerszej od jej bioder i ramion. Zdjęcie, które wtedy zrobił jej Piotr, jest przecież jednym z jej ulubionych. Pamięta swoją przewiewną sukienkę i zimny cień tego zaułka...

A może to jest chłodna sala w Luwrze, nie, chyba w d'Orsay, z płótnami Malczewskiego, które dogoniły ją w Paryżu, bo w Polsce nigdy aż tylu ich nie zdołałaby zobaczyć w jednym miejscu. I te zachwycające kobiety, tak żywe, a niosące śmierć w swoich dłoniach, czule i litościwie przyłożonych do gasnących oczu. I ci rozkrzyczani Anglicy, nagle milknący wobec przepychu tych ciał i krajobrazów, i tylko szeptane: *beautiful, beautiful...* Przecież dobrze pamięta, jak wraz z nimi, oszołomiona, przyglądała się tym pysznym kobiecym kształtom i myślała o śmierci, dla niepoznaki obleczonej w uwodzicielskie ciała. I odetchnęła wtedy z ulgą, przynajmniej w tamtej chwili przekonana, że Śmierć to tylko imię fascynująco urodziwej kobiety, że *beautiful... beautiful...*

Ale stoi chyba na balkonie mieszkania na Lipowej w zachodzącym słońcu, burza ucichła, oczyściwszy duszne powietrze z męczącej suchości. Oddycha się teraz bez trudu w przyjemnym, wilgotnym chłodzie, zaciągając się głęboko mentolowym papierosem...

Nie, nie, to zarośnięty stary cmentarz i ten omszały nagrobek z resztką napisu, który odcyfrowywała mozolnie, czyszcząc kolejne litery, powoli odczytując to, co ukazało się wyraźnie, może niepotrzebnie, na popękanej płycie: „Co mnie spotkało, ciebie nie minie, ja jestem w domu, a ty w gościnie”... Wszystko, co żywe, ucichło wokół, jakby pszczoły, osy, muchy, ptaki i wszelkie inne stworzenia usłyszały to chichotliwie przesłanie z niegłębokiej ziemi.

Ale może to ten dzień na Mazurach, kiedy uciekali przed zbliżającą się burzą i szukali miejsca do zacumowania. Zuzanna sterowała, a Piotr... czy Igor? A może Adam? Oczywiście, że Adam. Szarpie się z pospiesznie zrzuconym żaglem, próbuje przekrzyczeć wiatr: – Steruj w ten przesmyk w trzcinach! Przepłyniemy bez problemu! Za trzcinami jest zatoka! – Zuzanna czuje, jak bołą ją zaciśnięte na sterze dłonie i jeszcze, że boi się wpłynąć w trzciny. Przesmyk jest niewidoczny i może Adam pomylił miejsce, bo nie wygląda na to, żeby trzciny ukrywały jakąś zatoczkę. Może utkną w nich i już nie wypłyną. Czuje narastający lęk, czuje go w gardle, w gwałtownie bijącym sercu i zaciśniętych boleśnie dłoniach. Nie chce tam płynąć, myśli. Odwraca się od steru, szukając wzrokiem Adama, który zniknął w kabinie. Powietrze się uspokaja, woda się uspokaja, tylko niebo wciąż jest granatowe. Silnik milknie. Adam pewnie go wyłączył, widząc, że burza rozpląnęła się między niebem a wodą i już nie wróci. Czyli mają teraz dużo czasu, już nie muszą nigdzie uciekać. Jest bezpiecznie. Stary, wysłużony MAK 707 kołysze się delikatnie w nagłej ciszy, trzciny cichutko szeleszczą od delikatnego tchnienia wiatru. Zuzanna wstaje, chwyta się relingów, rozgląda się. Woda jest ciemna, z pewnością bardzo głęboka. Czuje jej chłód nawet tu. Stopy marzną coraz bardziej, jakby brodziła w wodzie wlewającej się na pokład. Gęstnieje mgła, dlaczego mgła, przecież było piękne słońce, a później bardzo mocny wiatr, niemal burza. Przygląda się zamglonym trzcinom, a przede wszystkim przesmykowi. Wydaje się bardzo wąski, ale jest, rzeczywiście, jest. Ogląda się na Adama, który teraz siedzi na pokładzie oparty o burzę, zwija linkę, która wydaje się nie mieć końca. Obok niego Lucky, w tej śmiesznej apaszcze, którą zawiązywali mu na karku. Lucky opiera łeb na ramieniu Adama i uśmiecha się po psiemu. Zuzanna dotyka dłonią czoła, pod którym przesuwa się niepokój mimo, a właściwie z powodu tej nagłej ciszy wokół. Adam patrzy na nią z wyrazem twarzy, którego nie potrafi rozszyfrować, bo mgła podpełzła aż do niego szarymi pasmami. Adam podnosi się, podchodzi bliżej, ale zatrzymuje się o krok przed nią. Wyciąga rękę, powoli i niepewnie.

– Zoperowali mi wreszcie serce, Adasiu... – szepcze Zuzanna.

Adam opuszcza rękę. Patrzą na siebie z czułością i spokojem, bo wiedzą już za dużo o sobie,

o świecie, może nawet o wszystkim, i po chwili stary MAK odpływa, kierując się prosto w korytarz w trzcinach, coraz słabiej widoczny, zamglony. Zuzanna stoi na pomoście, czując bosymi stopami jego szorstkie deski, i zastanawia się, czy Adam poradzi sobie, wpływając w tak wąziutki tunel w trzcinach, ale widzi, że znika w nim, nie zmniejszając prędkości i nie zawadzając o nieruchome teraz rośliny. Słysząc jeszcze radosne szczekanie Lucky'ego i Zuzanna przez ułamek sekundy żałuje, że została na brzegu.

